

Emilka szuka swojej gwiazdy

Montgomery Lucy Maud



calibre 0.9.43

LUCY MAUD MONTGOMERY

EMILKA SZUKA SWOJEJ

GWIAZDY

(EMILKA DOJRZEWA)

EMILKA TOM 2

TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: EMILY CLIMBS

PRZEŁOŻYŁA EWA HORODYSKA

„Pastorowi Feliksowi”

z wyrazami szacunku

i sympatii

I

PISANIE

Pewnej wietrznej lutowej nocy, w minionych czasach, kiedy świat nie przewrócił się jeszcze do góry nogami, Emilia Byrd Starr siedziała sama w swoim pokoju w Księżycowym Nowiu, starej farmie w Perlistej Wodzie. Była w owej chwili tak szczęśliwa, jak tylko może być ludzka istota. Ze względu na zimną noc ciotka Elżbieta pozwoliła jej rozpaść ogień na małym kominku — rzadki przywilej. Płonął jasno, rozświetlając złotoczerwonym blaskiem niewielki, nieskazitelnie czysty pokój ze staroświeckimi meblami i głęboko osadzonymi oknami o» szerokich parapetach, a do błękitnobiałych, oszronionych szyb przywarły wianuszki śnieżnych płatków. Ogień potęgował głębię, tajemniczość i urok lustra na ścianie, które odbijało postać skulonej na otomanie Emilki. Siedziała przy kominku i przy świetle dwóch wysokich, białych świec — jedyne uznawanego w Księżycowym Nowiu źródła oświetlenia — pisała w nowiutkim, lśniącym, czarnym „zeszycie od Jima”, który tego dnia dostała od niego w podarunku. Emilka bardzo się ucieszyła, bo zapisała już ten, który dostała jesienią, i od ponad tygodnia doskwierało jej boleśnie tłumienie tego, czego nie mogła zapisać w nie istniejącym pamiętniku.

Pamiętnik stał się ważnym elementem w jej młodym, bogatym życiu. Zajął miejsce pewnych „listów”, pisanych w dzieciństwie do zmarłego ojca, w których miała zwyczaj „przelewać na papier” swoje kłopoty i troski — gdyż nawet w wieku lat prawie czternastu można mieć kłopoty i troski, zwłaszcza gdy żyje się pod opieką surowej, pełnej najlepszych chęci, lecz niezbyt czulej ciotki Elżbiety Murray. Czasami wydawało się Emilce, że gdyby nie pamiętnik, wewnętrzne ciśnienie rozsadziłoby ją na kawałki. Gruby, czarny zeszyt od Jima był dla niej czymś w rodzaju bliskiego przyjaciela i zaufanego powiernika pewnych spraw, które musiały zostać wypowiedziane, lecz były zbyt drażliwe, by powierzać je uszom jakiegokolwiek żywej istoty. Czyste kartki niełatwo było zdobyć w Księżycowym Nowiu i

gdyby nie kuzyn Jim Emilka nie miałyby żadnego zeszytu. Z pewnością nie dostałyby czegoś takiego od ciotki Elżbiety, która uważała, że Emilka i tak traci zbyt wiele czasu na „bzdurną pisaninę”, a ciotka Laura nie ośmielała się sprzeciwić siostrze w tej sprawie, głównie dlatego, że sama też uważała, iż Emilka mogłaby znaleźć pożyteczniejsze zajęcie. Ciotka Laura była cudowna, lecz pewnych rzeczy nie potrafiła zrozumieć.

Kuzyn Jim natomiast nigdy nie obawiał się ciotki Elżbiety i gdy tylko uznał, że Emilka może potrzebować nowego zeszytu, ten pojawiał się natychmiast, na przekór pogardliwym spojrzeniom Elżbiety. Tego właśnie dnia nie zważając na nadchodzącą burzę pojechał do Shrewsbury wyłącznie po ów zeszyt. Emilka była zatem szczęśliwa, siedząc w łagodnym i przyjaznym blasku ognia, podczas gdy wicher wył i zawodził wśród starych drzew po północnej stronie Księżycowego Nowiu, wzbijał w sławnym ogrodzie kuzyna Jima olbrzymie, widmowe śnieżne wiry, które tworzyły zaspę na zegarze słonecznym, i gwizdał niesamowicie w koronach Trzech Księżniczek — tak Emilka zawsze nazywała trzy wysokie topole w kącie ogrodu.

Kocham taką nocną zawieruchę, kiedy nie muszę wychodzić z domu — pisała Emilka. — Spędziliśmy z kuzynem Jimem cały wieczór na planowaniu ogrodu i wybieraniu nasion i sadzonek z katalogu. Tam, gdzie leży największa zaspę, za altaną, zrobimy grządkę różowych astrów, a złotym — drzemającym pod kilkunastu centymetrami śniegu — damy tło z kwitnących migdałowców. Bardzo lubię tak planować lato w środku zimowej zadymki. Czuję wtedy, że odnoszę zwycięstwo nad czymś o wiele potężniejszym od siebie, a to dlatego, że ja posiadam mózg, a zawierucha jest jedynie ślepą, białą mocą — straszną, lecz ślepą. Mam to samo uczucie, gdy siedzę przy własnym, ciepłym, miłym kominku, słyszę wszędzie wokół rozszalałą wicherę i śmieję się z niej. Śmieję się, bo przed z góry stu laty prapradziadek Murray zbudował ten dom — i zbudował go solidnie. Zastanawiam się, czy za sto lat ktoś

odniesie jakieś zwycięstwo dzięki temu, co ja zrobiłam lub pozostawiłam. Jest to *inspirująca myśl*.

Napisałam te słowa kursywą, zanim się spostrzegłam. Pan Carpenter mówi, że zbyt często stosuję kursywę. Twierdzi, że jest to wczesnowiktoriańska obsesja i muszę z nią walczyć. Podjęłam to postanowienie po sprawdzeniu w słowniku, ponieważ najwyraźniej obsesja nie jest niczym miłym, choć może nie tak złym jak *opętanie*. No i znowu kursywa, choć tym razem myślę, że użyłam jej słusznie.

Czytałam słownik przez całą godzinę, aż ciotka Elżbieta nabrała podejrzeń i dała mi do zrozumienia, że byłoby dla mnie znacznie lepiej, gdybym zajęła się robieniem pończoch na drutach. Nie wiedziała dokładnie, dlaczego wertowanie słownika miałyby mieć na mnie zły wpływ, ale była o tym przekonana, może dlatego, że sama nigdy nie miała na to ochoty.

Kocham czytać słownik. (Tak, ta kursywa jest *niezbędna*, panie Carpenter. Zwykle „kocham” w najmniejszym stopniu nie oddałoby moich uczuć!) Słowa są takie *fascynujące*. (Tym razem poprzestałam na pierwszej sylabie!) Samo brzmienie niektórych z nich — „nawiedzony”, „mistyczny” na przykład — sprowadza *promyk*.) Och, *muszę* podkreślić *promyk*. To nie jest rzecz zwyczajna, to najniezwyklejsze i najcudowniejsze zjawisko w moim życiu. Kiedy się pojawia, czuję, że w murze przede mną jakieś drzwi stają otworem i pozwalają dostrzec... tak, *niebo*. Znowu *kursywa*! O, rozumiem wyrzuty pana Carpentera! *Muszę* zerwać z tym nawykiem.

Długie słowa nigdy nie są piękne: „obciążający”, „utrudniający”, „międzynarodowy”, „niekonstytucyjny”. Przywodzą na myśl owe okropne, wielkie dalie i chryzantemy, które kuzyn Jim pokazywał mi zeszłej jesieni na wystawie w Charlottetown. Nie widzieliśmy w nich nic ładnego, choć niektórzy uważali, że są przepiękne. Drobne, żółte chryzantemy kuzyna Jima, podobne do białych, dalekich gwiazd świecących na tle jodłowego zagajnika w

północno — zachodniej części ogrodu, były dziesięć razy piękniejsze. Ale odbiegam od tematu — to także jeden z moich złych nawyków, zdaniem pana Carpentera. Mówi, że *muszę* (tym razem podkreślenie jest jego!) nauczyć się koncentracji — następne długie i bardzo brzydkie słowo.

Spędziłam jednak nad słownikiem miłe chwile — znacznie miłsze niż nad pończochami.

Szkoda, że nie mogę mieć choć jednej pary jedwabnych pończoch. Ilza ma trzy. Ojciec daje jej wszystko, odkąd pokochał ją na nowo. Ale ciotka Elżbieta powiada, że jedwabne pończochy są *niemoralne*. Ciekawe dlaczego, skoro jedwabne suknie nie są?

A skoro mowa o jedwabnych sukniach, to ciotka Janina Milburn z Balladowego Stawu — nie jest moją krewną, ale wszyscy nazywają ją „ciotką” — ślubowała, że nie włoży jedwabnej sukni, dopóki wszyscy poganie nie nawrócą się na wiarę chrześcijańską.

To bardzo chwalebne. Chciałabym być tak dobra, ale nie mogę — zbyt kocham jedwab.

Jest taki bogaty i lśniący. Pragnęłabym stroić się weń nieustannie i robiłabym to, gdyby było mnie stać, choć przypuszczam, że za każdym razem, kiedy przypomniałaby mi się poczciwa, stara ciotka Janina i nie nawróceni poganie, czułabym wyrzuty sumienia. Niemniej jednak upłyną lata, zanim będę mogła pozwolić sobie na jedwabną suknię, o ile w ogóle będzie to możliwe, a tymczasem co miesiąc oddaję na misję część moich pieniędzy za jajka. (Mam teraz pięć własnych kur, a wszystkie wywodzą się od szarej kurki, którą dostałam od Perry’ego na dwunaste urodziny.) Jeżeli kiedyś będę mogła kupić sobie jedwabną suknię, wiem, jak będzie wyglądała. Nie będzie czarna, brązowa ani granatowa — w jednym z tych rozsądnych, praktycznych kolorów, noszonych zawsze przez Murrayów z Księżycowego Nowiu — o, nie! Będzie z mieniącego się jedwabiu, błękitna w jednym oświetleniu, w innym srebrzysta jak niebo o zmierzchu, prześwitujące przez oszronioną szybę, z odrobiną koronki przypominającej piórka, które mróz kreśli na moim oknie. Ted mówi, że namaluje mnie w

niej jako „Dziewicę Lodów”, a ciotka Laura uśmieca się i pyta, słodko i pobłaźliwie, w sposób, którego nie cierpię nawet u kochanej ciotki Laury:

— Po co ci taka suknia, Emilko?

Być może po nic, ale czułabym, że jest częścią mnie, że *wyrosła* ze mnie, a nie została tylko kupiona i włożona. Chciałabym mieć w życiu choć *jedną* taką suknię. A pod nią jedwabną halkę — i jedwabne pończochy!

Ilza ma jedwabną sukienkę — jasnorożową. Ciotka Elżbieta powiada, że doktor Burnley ubiera Ilzę zbyt dorośle i strojnie jak na dziecko. Ale on pragnie wynagrodzić jej te wszystkie lata, podczas których nie ubierał jej wcale. (Nie chcę przez to powiedzieć, że chodziła nago, ale doktor Burnley zupełnie o to nie dbał. Obcy ludzie musieli troszczyć się o jej garderobę.) Teraz robi wszystko, co ona zechce, i daje jej całkowicie wolną rękę. Ciotka Elżbieta mówi, że to nie wyjdzie jej na dobre, ale czasami trochę zazdroszczę Ilzie. Wiem, że to niegodziwe, ale nic nie poradzę.

Doktor Burnley zamierza jesienią posłać Ilzę do szkoły średniej w Shrewsbury, a potem do Montrealu na studia aktorskie. Tego właśnie jej zazdroszczę — a nie jedwabnych sukienek. Chciałabym, żeby ciotka Elżbieta pozwoliła mi uczyć się w Shrewsbury, ale obawiam się, że to nigdy nie nastąpi. Wydaje się jej, że nie można spuścić mnie z oczu, bo moja matka kiedyś uciekła z domu. Ale nie powinna obawiać się mojej ucieczki. Postanowiłam, że nigdy nie wyjdę za mąż. *Poślubię moją sztukę.*

Ted chciałby jechać do Shrewsbury przyszłej jesieni, ale matka go nie puści. Nie dlatego, że mógłby uciec, lecz dlatego, że nazbyt go kocha, by się z nim rozstać. Ted pragnie być malarzem, a pan Carpenter mówi, że ma talent i powinien spróbować, tylko że każdy boi się wspomnieć o tym pani Kent. Jest drobną kobietą, w istocie nie wyższą niż ja, cichą i nieśmiałą, ale wszyscy się jej boją. *Ja się jej boję okropnie.* Wiem, że nigdy mnie nie lubiła,

począwszy od chwili, gdy dawno temu wraz z Ilzą zjawiłam się po raz pierwszy we Wrotyczowym Łanie, żeby pobawić się z Tedem. Teraz jednak mnie nienawidzi — jestem tego pewna — po prostu dlatego, że Ted mnie lubi. Nie może znieść myśli, że on lubi kogoś czy coś prócz niej. Jest nawet zazdrosna o jego obrazki. Nie ma więc zbyt dużej szansy, żeby wyjechał do Shrewsbury. Perry wyjeżdża. Nie ma centa przy duszy, ale zamierza zarabiać na życie. Dlatego chce uczyć się w Shrewsbury, a nie w Akademii Królewskiej. Myśli, że w Shrewsbury będzie łatwiej o pracę i że stancje są tam tańsze.

— Ta moja straszna ciotka Tomaszowa ma trochę pieniędzy — powiedział mi — ale nie da ani centa, dopóki... dopóki... — i tu spojrzał na mnie *znacząco*.

Zarumieniłam się, a ponieważ nic nie mogłam na to poradzić, byłam wściekła na siebie za ten rumieniec — i na Perry'ego za to, że wspomniał o tym, o czym nie chciałam nawet słyszeć: jak to kiedyś jego ciotka natknęła się na mnie w zagajniku Dumnego Jana i niemal przeraziła mnie na śmierć żądając, żebym przyrzekła *poślubić Perry'ego, gdy dorośniemy*, a wówczas ona go wykształci. Nigdy o tym nikomu nie mówiłam — wstydziłam się — powiedziałam tylko Ilzie, a ona oświadczyła:

— I pomyśleć, że starej ciotce Tomaszowej zachciewa się Murrayówny dla Perry'ego!

Ale Ilza jest dla Perry'ego okropnie surowa i ciągle kłóci się z nim o sprawy, które *u mnie* wywołują jedynie uśmiech. Perry nie lubi, żeby ktoś go w czymkolwiek przewyższał. W zeszłym tygodniu na przyjęciu u Amy Moore jej wuj opowiadał, że widział przedziwne ciele z trzema nogami, a Perry odezwał się na to:

— O, to nic takiego w porównaniu z kaczką, którą widziałem w Norwegii.

(Perry naprawdę był w Norwegii. Kiedy był mały, pływał wszędzie ze swoim ojcem. Ale nie wierzę w ani jedno słowo o tej kaczce. On nie *klamał* — po prostu *fantazjował*. Drogi panie Carpenter, nie potrafię pisać bez kursywy.)

Kaczka Perry'ego miała — według niego — cztery łapki: dwie w zwykłym miejscu, a dwie wyrastające z grzbietu. Gdy zmęczyło ją chodzenie na normalnych nogach, przewracała się na grzbiet i używała drugiej pary.

Perry opowiadał o tym poważnym tonem; wszyscy wybuchnęli śmiechem, a wuj Amy go zachęcał: „Mów dalej, Perry”. Ale Ilza była wściekła i nie rozmawiała z nim przez całą drogę do domu. Powiedziała, że ośmieszył się próbując „odegrać” głupią historyjkę i że żaden dżentelmen tak by się nie zachował.

Perry powiedział:

— Jeszcze nie jestem dżentelmenem, tylko chłopakiem do posług, ale pewnego dnia, panno Ilzo, będę lepszym dżentelmenem niż którykolwiek z twoich znajomych.

— Dżentelmenem — odparła nieprzyjemnym tonem Ilza — trzeba się urodzić. Tego nie można się nauczyć.

Ilza już prawie nie używa brzydkich słów, którymi w trakcie kłótni zwykła obrzucać Perry'ego i mnie, ale zaczęła mówić okrutne, kąśliwe rzeczy. Są o wiele boleśniejsze niż przezwiska, ale nie chowam urazy zbyt długo, bo wiem, że Ilza tak nie myśli i kocha mnie równie mocno, jak ja ją. Perry powiada jednak, że dopieka mu tym do żywego. Nie rozmawiali z sobą w drodze do domu, ale nazajutrz Ilza znowu złościła się na niego, że mówi niegramatycznie i nie wstaje, kiedy dama wchodzi do pokoju.

— Oczywiście, trudno się spodziewać, że będziesz *o tym* wiedział — rzekła swym najpaskudniejszym tonem — ale z pewnością pan Carpenter dołoży wszelkich starań, by nauczyć cię gramatyki.

Perry nie odezwał się do Ilzy ani słowem, lecz zwrócił się do mnie.

— Czy *ty* nie zechciałabyś wskazywać mi moich błędów? — zapytał.

— Nie mam nic przeciwko temu... bo to *ty* będziesz miała ze mną do czynienia, kiedy

dorośniemy, a nie Ilza.

Powiedział to na złość Ilzie, ale jeszcze bardziej rozgniewał mnie, gdyż była to aluzja do *zakazanego tematu*. Nie rozmawialiśmy z nim przez dwa dni, a on stwierdził, że dzięki temu odetchnął od humorów Ilzy.

Nie tylko Perry popadł w niełaskę w Księżycowym Nowiu. Wczoraj wieczorem powiedziałam coś głupiego i na samo wspomnienie oblewam się rumieńcem. Odbyło się tutaj spotkanie Koła Kobiet, a ciotka Elżbieta wydała kolację, na którą przyszli także mężowie. Ilza i ja podawałyśmy do stołu w kuchni, ponieważ jadalniana była zbyt mała. Na początku było całkiem ciekawie, ale później, kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, zrobiło się nudnawo, więc stanęłam przy oknie wychodzącym na ogród i zaczęłam w myślach układać wiersze. Byłam tym tak pochłonięta, że wkrótce zapomniałam o Bożym świecie, aż tu nagle usłyszałam, jak ciotka Elżbieta mówi bardzo ostrym tonem: „Emilko”, a jej znaczące spojrzenie kieruje się ku panu Johnsonowi, naszemu nowemu pastorowi. Zakłopotana chwyciłam imbryk i zawołałam:

— Och, panie *Filizanko*, czy pański *Johnson* jest pusty?

Wszyscy parsknęli śmiechem, ciotka Elżbieta wydawała się zgorziona, ciotka Laura zawstydzona, a ja pragnęłam zapaść się pod ziemię. Przez pół nocy nie mogłam zasnąć. To dziwne, ale czuję, że byłam bardziej zawstydzona, niż gdybym zrobiła coś naprawdę złego. To oczywiście „duma Murrayów” i przypuszczam, że jest czymś bardzo grzesznym. Czasami obawiam się, że ciotka Ruth Dutton mimo wszystko ma słuszość co do mnie.

Nie, nie ma!

Ale tradycją Księżycowego Nowiu jest to, że kobiety winny sprostać wszystkim obowiązkom zawsze z wdziękiem i godnością. A w pytaniu, jakie zadałam nowemu pastorowi, nie było nic wdzięcznego ani godnego. Jestem pewna, że będzie mu się to

przypominało, ilekroć na mnie spojrzy, i zawsze będę się wtedy skręcała ze wstydu.

Teraz jednak, gdy napisałam o tym w pamiętniku, nie czuję się już tak źle. Kiedyś coś zostanie zapisane, nie wydaje się już tak wielkie i straszne — ani tak piękne i wzniosłe, niestety! — jak wówczas gdy się o tym myśli lub to odczuwa. Wydaje się *kurczyć* z chwilą, gdy wyraża się to słowami. Nawet poetyczny wers, który ułożyłam tuż przed owym niedorzecznym pytaniem, nie wydaje się ani w połowie tak piękny po jego zapisaniu:

Gdzie miękko stąpają mroku aksamitne stopy.

To *nie* to. Mam wrażenie, że uleciał zeń jakiś urok. A jednak, kiedy tam stałam, mając za plecami rozgadanych, jedzących ludzi, i *ujrzałam* mrok wkradający się tak miękko do ogrodu i na wzgórze, niczym piękna kobieta przystrojona w cienie, pojawił się *promyk* i zapomniałam o wszystkim. Pragnęłam tylko wyrazić choć część odczuwanego piękna słowami wiersza.

Gdy wymyśliłam ten wers, miałam wrażenie, że to nie ja tworzę — że to *Coś Innego* próbuje przemówić przeze mnie — i Coś Innego nadaje temu wersowi cudowne brzmienie — a teraz, kiedy odeszło, słowa wydają się płaskie i niemądre, a obraz, który chciałam namalować, wcale nie jest taki cudowny.

O, gdybym tylko umiała ujmować rzeczy w słowa tak, jak je *widzę*! Pan Carpenter mówi:

„Walcz... walcz... nie poddawaj się... słowa są twoim narzędziem... uczyn z nich niewolników... dopóki nie wyrażą tego, co chcesz wyrazić”. To prawda — i wciąż próbuję, ale wydaje mi się, że istnieje coś *poza* słowami — obojętne jakimi — wszelkimi słowami — coś, co zawsze umyka, gdy próbuję to pochwycić, a jednak pozostawia coś, czego nigdy bym nie dotknęła, gdybym nie wyciągnęła po to ręki.

Pamiętam pewien dzień zeszłej jesieni, kiedy Dean zabrał mnie na przechadzkę do lasu za Rozkoszną Górą — rosły tam przeważnie jodły, lecz w jednym zakątku natknęliśmy się na wspaniałe, stare sosny. Usiedliśmy pod nimi, a Dean czytał mi *Peveriła z górskiego szczytu* i

wiersze Scotta; potem spojrział w górę ku wielkim, puszystym gałęziom i rzekł:

— Bogowie przemawiają wśród sosen... bogowie dawnej północy... sag Wikingów.

Gwiazdko, czy znasz Emersona?

I zacytował jego wiersz, który zapamiętałam i pokochałam:

W tchnieniu wrzosowisk brzmią głosy bogów,

W szeleście igieł sosnowych.

Nad starym morzem rozbrzmiewa echo

Odwiecznej boskiej rozmowy.

A poeta, który usłyszy

Choć jedno słowo zbłąkane,

Jest wybrańcem wśród wszystkich ludzi

I wieki są mu poddane.

O, to „słowo zbłąkane” — to jest to *Coś*, co mi umyka. Wciąż nasłuchuję... wiem, że nigdy go nie usłyszę... *moje* ucho go nie uchwyci... ale jestem pewna, że czasami słyszę nikłe, ulotne, odległe echo, które budzi we mnie bolesny zachwyt i rozpacz, że nigdy nie zdołam wyrazić tego piękna w znanych mi słowach.

Mimo wszystko szkoda, że zachowałam się tak głupio tuż po tym cudownym przeżyciu.

Gdybym po prostu przemknęła obok pana Johnsona jak aksamitnostopy mrok i wdzięcznie naleła mu herbaty ze srebrnego imbryka prababki Murray niczym moja cienista kobieta, która nalewa noc do białej filiżanki Perlistej Doliny, ciotka Elżbieta byłaby z tego znacznie bardziej zadowolona niż z najwspanialszego poematu, jaki napisałabym.

Kuzyn Jim jest zupełnie inny. Zacytowałam mu mój wiersz tego samego wieczoru, kiedy już przejrzelismy katalog, i uznał, że jest piękny. (Nie mógł wiedzieć, jak dalece odbiega od tego, co widziałam oczyma duszy.) Kuzyn Jim także układa wiersze. Jest bardzo mądry... w

pewnych punktach. A w innych, w których jego umysł ucierpiał, gdy ciotka Elżbieta wepchnęła go do starej studni w Księżycowym Nowiu, jest *niczym*. Ma tam *puste miejsce*. Dlatego ludzie nazywają go głupim, a ciotka Ruth ma czelność twierdzić, że nie potrafiłby nawet wypłoszyć kota ze spiżarni. A przecież, jeśli złożyć razem wszystkie jego mądrości, nikt w Perlistej Wodzie nie jest ani w połowie tak mądry — nawet pan Carpenter. Kłopot w tym, że nie da się połączyć jego mądrych punktów — zawsze są między nimi szczeliny. Ale kocham kuzyna Jima i wcale się go nie lękam, kiedy popada w swoje dziwne nastoje. Wszyscy — z wyjątkiem Perry’ego — boją się go, nawet ciotka Elżbieta, choć u niej są to raczej wyrzuty sumienia. Perry przechwala się zawsze, że niczego się nie boi i nie wie, co to lęk. Myślę, że to wspaniałe. Chciałabym być tak nieustraszona. Pan Carpenter mówi, że strach jest paskudną rzeczą i leży u podstaw niemal każdego zła i nienawiści na świecie. — Wyrzuć go, mała — powtarza — wyrzuć go z serca. Strach jest przyznaniem się do słabości. To, czego się boisz, jest mocniejsze od ciebie, a przynajmniej tak ci się wydaje, bo inaczej byś się nie bała. Pamiętaj, co napisał Emerson: „Zawsze rób to, co boisz się zrobić”. Ale to jest świadectwo doskonałości, jak mawia Dean, a nie sądzę, bym kiedykolwiek zdołała ją osiągnąć. Uczciwie mówiąc, lękam się wielu *rzeczy*, ale są na świecie tylko dwie osoby, które budzą we mnie prawdziwy strach. Jedną z nich jest pani Kent, a drugą Szalony Pan Morrison. Strasznie się go boję i chyba nie ja jedna. Mieszka w Balladowym Stawie, ale rzadko tam przebywa... włóczy się po okolicy w poszukiwaniu swej utraconej młodej żony. Przed wielu laty umarła po kilku zaledwie tygodniach małżeństwa i od tego czasu nigdy nie odzyskała zdrowych zmysłów. Upiera się, że ona wcale nie umarła, jedynie zaginęła, i że kiedyś ją odnajdzie. On sam postarzał się i zgarbił podczas swych poszukiwań, lecz ona pozostała dla niego piękna i młoda.

Zjawił się tutaj pewnego letniego dnia, ale nie chciał wejść do domu... zajrzał tylko

kęsknie do kuchni i zapytał: „Czy Ania tu jest?” Był całkiem łagodny, ale czasami bywa gwałtowny i nieopanowany. Twierdzi, że wciąż słyszy nawoływania swojej Ani, jej głos rozbrzmiewa gdzieś przed nim, jak moje zbląkane słowo. Ma twarz skurczoną i pomarszczoną i wygląda jak stara, bardzo stara małpa. Ale najbardziej nienawidzę jego prawej ręki — jest cała krwistoczerwona, i to od urodzenia. Nie rozumiem, dlaczego ta ręka budzi we mnie taką zgrozę. Za nic nie mogłabym jej dotknąć. A czasami śmieje się do siebie przerażająco. Jedyłą żywą istotą, o którą dba, jest stary, czarny pies, który mu towarzyszy wszędzie. Podobno nigdy nie prosi o jedzenie dla siebie. Jeżeli ludzie nic mu nie dadzą, chodzi głodny, ale żebrze o kęs stawy dla psa.

Och, strasznie się go boję i bardzo się cieszyłam, że nie wstąpił wtedy do domu. Ciotka Elżbieta odprowadziła go spojrzeniem, kiedy tak szedł przed siebie, a jego długie, siwe włosy powiewały na wietrze.

— Fairfax Morrison był kiedyś urodziwym, inteligentnym młodzieńcem o wspaniałych widokach na przyszłość — powiedziała. — Cóż, niezbadane są wyroki Boże.

— I dlatego tak interesujące — wtrąciłam.

Ale ciotka Elżbieta zmarszczyła brwi i zakazała mi odzywać się tak lekceważąco, co czyni zawsze, ilekroć powiem cokolwiek o Bogu. Ciekawe dlaczego. Nie pozwala mi rozmawiać o Nim z Perryem, choć Perry naprawdę bardzo się Nim interesuje i chce wiedzieć o Nim wszystko. Ciotka Elżbieta usłyszała pewnego niedzielnego popołudnia, jak opowiadam Perry’emu, co myślę o Bogu, i uznała, że było to skandaliczne.

Nie było! Kłopot w tym, że Bóg ciotki Elżbiety jest inny niż mój, to wszystko. Myślę, że każdy ma swojego Boga. Na przykład Bóg ciotki Ruth karze jej nieprzyjaciół — zsyła na nich „wyroki”. Wydaje mi się, że do niczego więcej nie jest jej potrzebny. Jim Cosgrain używa swojego Boga do zaklinania się nań. A ciotka Janina Milburn kroczy co dnia w blasku

zesłanym przez swego Boga i cała nim promienieje.

Przelałam dzisiaj na papier dostatecznie dużo i idę do łóżka. Wiem, że „marnotrawiłam słowa” w tym pamiętniku — to moja kolejna literacka wada, zdaniem pana Carpentera.

„Marnujesz słowa, moja mała... trwonisz je bez umiaru. Oszczędność i powściągliwość, oto, czego ci potrzeba”.

Ma słuszość, oczywiście, zarówno w esejach, jak i w opowiadaniach, usiłuję stosować się do jego nauk. Ale w pamiętniku, którego nikt prócz mnie nie ogląda i nie zobaczy, póki żyję, pragnę po prostu dać upust uczuciom.

Emilka spojrzała na świecę, która wypaliła się niemal do końca. Wiedziała, że tej nocy nie dostanie drugiej — prawa ustanowione przez ciotkę Elżbietę przypominały te, którymi rządził się Medowie i Persowie. Odłożyła pamiętnik na półkę w szafce nad kominkiem, zgasiła ogień, rozebrała się i zdmuchnęła świecę. Pokój napełnił się stopniowo nikłym, widmowym poblaskiem śnieżnej nocy, podczas której księżyc w pełni przesłaniają żeglujące po niebie burzowe chmury. W chwili gdy Emilka miała właśnie wśliznąć się do wysokiego, czarnego łóżka, odczuła nagły poryw natchnienia — przyszedł jej do głowy świetny pomysł na opowiadanie. Nagle przeniknął ją chłód — w pokoju zrobiło się zimno. Ale pomysł narzucił się nieodparcie. Emilka wsunęła dłoń między puchowy piernat i materac i wyjęła na pół wypaloną świecę, ukrytą w takim właśnie celu.

Nie było to, oczywiście, przyzwoite z jej strony. Ale nigdy nie udawałam i nie będę udawała, że Emilka była dzieckiem przyzwoitym. Nie pisze się książek o przyzwoitych dzieciach. Byłyby tak nudne, że nikt by ich nie czytał.

Zapaliła świecę, włożyła pończochy i okryła się ciepło, sięgnęła po inny, na pół zapisany zeszyt od Jima i zaczęła pisać przy świetle migoczącej świecy, tworzącym bladą oazę blasku w mrocznym pokoju. W tej oazie Emilka pisała, pochyliwszy ciemną głowę nad zeszytem, a

tymczasem noc mijała, a inni mieszkańcy Księżycowego Nowiu spali smacznie; zmarzła już i zeszywniała, lecz nie była tego świadoma. Jej oczy płonęły, policzki pałały, słowa maszerowały niczym armie posłusznych duchów pod rozkazami jej pióra. Gdy w końcu świeca dopaliła się z sykiem i trzaskiem w kałuży stopionego łoju, Emilka powróciła do rzeczywistości z westchnieniem i nagłym dreszczem. Zegar wskazywał drugą, była bardzo zmęczona i zziębnięta, ale skończyła opowiadanie, najlepsze z wszystkich, jakie dotychczas napisała. Wśliznęła się do zimnego gniazdka z poczuciem spełnienia — i zwycięstwa, jakimi nappełnił ją twórczy poryw, i usnęła, ukołysana odgłosami cichnącej zawieruchy.

II

ZIELONE DNI

Książka ta nie będzie w całości, czy nawet w głównej mierze, składać się z fragmentów pamiętnika Emilki: lecz aby połączyć sprawy nie na tyle istotne, by im poświęcić cały rozdział, a jednocześnie konieczne dla właściwego zrozumienia jej osobowości i warunków życia, zamierzam przytoczyć jeszcze kilka z nich. Nawiasem mówiąc, czemu nie wykorzystać gotowego materiału, jeżeli jest pod ręką? „Pamiętnik” Emilki mimo pewnej chropowatości stylu oraz nadużywania kursywy oddaje w istocie lepiej jej wyobraźnię i jej świat wewnętrzny w czternastej wiosnie życia, niż mógłby to uczynić najzyczliwszy biograf. Zerknijmy więc raz jeszcze w pozółkłe kartki starego zeszytu od Jima, zapisane dawno temu w Księżycowym Nowiu.

15 lutego 19...

Postanowiłam zapisywać w tym pamiętniku wszystkie moje dobre i złe uczynki.

Zaczerpnęłam ten pomysł z pewnej książki i uważam, że jest ciekawy. Chciałabym pisać o tym najuczciwiej, jak umiem. Łatwo będzie, rzecz jasna, pisać o dobrych uczynkach, ale trudniej przedstawić te złe.

Zrobiłam dzisiaj tylko jedną złą rzecz — to znaczy jedną rzecz, którą *ja* uważam za złą.

Zachowałam się impertynencko wobec ciotki Elżbiety. Uznała, że zbyt długo zmywam naczynia. Nie sądziłam, że powinnam się spieszyć, i tworzyłam właśnie opowiadanie pod tytułem — „Tajemnica młyna”. Ciotka Elżbieta spojrzała na mnie, a potem na zegar, po czym przemówiła swym najbardziej nieprzyjemnym tonem:

— Czy jesteś siostrą ślimaka, Emilko?

— Nie! Ślimaki nie należą do *moich* krewnych — odparłam wyniośle.

Impertynenckie były nie moje słowa, lecz sposób, w jaki je wypowiedziałam. *I chciałam tego*. Byłam bardzo zła — zawsze złościła mnie złośliwe uwagi. Później było mi bardzo

przykro, że wpadłam w złość, ale było mi przykro dlatego, że zachowałam się *głupio i niegodnie*, a nie dlatego, że było to *nikczemne*. Przypuszczam więc, że moja skrucha nie jest szczerą.

Odnosnie dobrych uczynków, zaliczyłam dzisiaj dwa. Ocaliłam życie dwóm stworzonkom. Psołka przywlokła nieszczęsną ziębę, a ja odebrałam jej zdobycz. Ptaszek odleciał żwawo i jestem pewna, że był uszczęśliwiony. Potem zesłam do spiżarni w piwnicy i znalazłam mysz w pułapce. Biedactwo leżało tam wyczerpane i *tak* patrzyło na mnie czarnymi oczkami. Nie mogłam tego znieść i wypuściłam mysz, a ona uciekła prędko mimo skaleczonej łapki. Nie jestem *pewna*, czy *to* był dobry uczynek. Wiem, że był dobry z punktu widzenia myszy, ale co na to powiedziałyby ciotka Elżbieta?

Dzisiaj wieczorem ciotka Elżbieta i ciotka Laura przeczytały i spaliły pudło starych listów. Czytały je głośno i wypowiadały swoje uwagi, a ja siedziałam w kącie dziergając pończochy. Listy były bardzo ciekawe i dowiedziałam się z nich wielu nowych rzeczy o Murrayach. Uważam, że wspaniale jest należeć do takiej rodziny. Nic dziwnego, że mieszkańcy Perlistej Wody nazywają nas „Narodem Wybranym”, choć w ich ustach nie brzmi to jak komplement. Czuję, że muszę żyć zgodnie z rodzinną tradycją.

Otrzymałam dziś długi list od Deana Priesta. Spędza zimę w Algierze. Pisze, że wróci do domu w kwietniu i zamieszka latem u siostry, która jest żoną Freda Evansa. Bardzo mnie to cieszy. Wspaniale będzie mieć go w Perlistej Wodzie przez całe lato. Nikt nie rozmawia ze mną tak jak Dean. Jest najmiłszą i najciekawszą ze znanych mi starszych osób. Ciotka Elżbieta twierdzi, że jest samolubny jak wszyscy Priestowie. Ale ona nie lubi Priestów. Zawsze nazywa go „Krzywym”, co bardzo mnie drażni. Jedno ramię Deana *jest* nieco wyższe niż drugie, ale to nie jego wina. Powiedziałam raz ciotce Elżbiecie, że wołałabym, aby nie mówiła tak o moim przyjacielu, lecz ona stwierdziła tylko:

— To nie ja nadałam *twojemu przyjacielowi* ten przydomek, Emilko. Jego rodzina zawsze nazywała go Krzywym. Priestowie nigdy nie słynęli z delikatności!

Ted także dostał list od Deana, a do tego książkę „Żywoty wielkich malarzy”: Michała Anioła, Rafaela, Velasqueza, Rembrandta, Tycjana. Mówi, że nie odważy się czytać jej przy matce — spaliłaby tę książkę. Jestem pewna, że gdyby Ted miał szansę, mógłby zostać równie wielkim artystą.

18 lutego 19...

Dzisiaj wieczorem spędziłam cudowne chwile sama z sobą, spacerując po lekcjach nad potokiem w zagajniku Dumnego Jana. Kremowe słońce chyliło się ku zachodowi, śnieg był taki biały, a cienie takie smukłe i błękitne. Wydaje mi się, że nie ma nic piękniejszego nad cienie drzew. Gdy weszłam do ogrodu, mój własny cień wyglądał bardzo zabawnie — był taki wydłużony, że słał się przez cały ogród. Natychmiast ułożyłam wiersz, którego dwie linijki brzmiały:

Gdybyśmy byli wysocy jak cienie,

Jakże wysokie cienie te by były.

Myślę, że jest to bardzo *filozoficzne* stwierdzenie.

Dzisiaj napisałam opowiadanie, a ciotka Elżbieta wiedziała, co robię, i była bardzo zagniewana. Skarciła mnie, że tracę czas. Ale to nie był stracony czas. Dojrzewiałam dzięki temu — wiem, że tak. I niektóre zdania podobają mi się. „Lęk budzi we mnie szary las” — to szczególnie mnie cieszy. I: „biała i dostojna niczym księżycowy promień kroczyła przez mroczną knieję”. Myślę, że ujęłam to ładnie. Wprawdzie pan Carpenter mówi, że powinnam wyrzucać wszystko, co wydaje mi się szczególnie piękne, lecz... och, *nie mogę* tego wyrzucić — przynajmniej na razie. Co mnie dziwi, to to, że po jakichś trzech miesiącach od chwili, gdy pan Carpenter każe mi coś wyrzucić, przyznaję mu rację i wstydzę się tego. Pan Carpenter

obszedł się dzisiaj dość bezlitośnie z moim esejem. Nic mu się nie podobało.

— Trzy razy napisałaś *niestety* w jednym akapicie, Emilko! Nawet raz byłoby za wiele.

Bardziej nieodparty... na miłość boską, co ty wypisujesz! To jest karygodne!

I *było*. Sama to dostrzegłam i wstyd zalał mnie czerwoną falą od stóp do głów. Później pan Carpenter podkreślił na niebiesko prawie wszystkie zdania, wydrwił moje wyrażenia, wytknął błędy w większości sformułowań i stwierdził, że lubuję się w „wymądrzaniu”, po czym cisnął zeszytem, złapał się za głowę i wykrzyknął:

— I ty piszesz! Dziewczyno, chwyć lepiej łyżkę i naucz się gotować!

I poszedł sobie, mamrocząc złorzeczenia „niezbyt głośne, lecz za to dosadne”. Pozbierałam nieszczęsny eseje, ale nie czułam się bardzo źle. *Umiem* już gotować i wiem coś niecoś o panu Carpenterze. Im lepsze są moje eseje, tym gorzej je ocenia. Ten musiał być naprawdę niezły. Ale złości go i niecierpliwi myśl, że mogłabym pisać *jeszcze lepiej*, a nie robię tego — przez nieuwagę, z lenistwa albo obojętności. ‘Nie może ścierpieć kogoś, kto *robi* mniej, niż potrafi. I nie zajmowałby się mną, gdyby nie sądził, że dojdę do czegoś w przyszłości.

Ciotka Elżbieta nie pochwała pana Johnsona. Uważa, że jego teologia nie jest rozsądna.

Zeszłej niedzieli podczas kazania powiedział, że buddyzm ma swoje dobre strony.

— Następnym razem gotów powiedzieć, że i papizm ma swoje dobre strony — stwierdziła z oburzeniem ciotka Elżbieta przy obiedzie.

Może buddyzm ma naprawdę dobre strony? Muszę zapytać o to Deana, gdy wróci.

2 marca 19...

Byliśmy dzisiaj wszyscy na pogrzebie starej pani Sary Paul. Zawsze lubiłam chodzić na pogrzeby. Kiedy wyznałam to głośno, ciotka Elżbieta wydawała się wstrząśnięta, a ciotka Laura zawołała:

„Och, Emilko *droga!*” Nawet lubię szokować ciotkę Elżbietę, lecz zawsze czuję się

nieswojo, kiedy zmartwię ciotkę Laurę — jest *taka* kochana — więc wyjaśniłam im to, a przynajmniej spróbowałam. Wytłumaczenie czegokolwiek ciotce Elżbiecie bywa niekiedy bardzo trudne.

— Pogrzeby są interesujące — powiedziałam. — I zabawne.

Ale mówiąc tak pogorszyłam tylko sprawę. A przecież ciotka Elżbieta wiedziała dobrze, jaki śmieszny widok przedstawiali krewni pani Paul, którzy kłócili się z nią i nienawidzili jej od lat — nie żyje już, lecz *nie była* miłą osobą! — a teraz siedzieli z chusteczkami przy oczach i udawali, że płaczą. Wiedziałam dobrze, co każdy z nich sobie myśli. Jake Paul zastanawiał się, czy stara jędza nie zapisała mu przypadkiem czegoś w testamencie, a Alicja Paul, która wiedziała, że nic nie dostanie, miała nadzieję, że również Jake’a Paula spotka to samo. To by *jej* wystarczyło. Żona Karola Paula zastanawiała się, jak prędko będzie mogła, nie uchybiając przyzwoitości, przemeblować dom, tak jak tego zawsze pragnęła, a pani Paul *jej nie pozwalała*. Ciocia Min zamartwiała się, że nie wystarczy pieczeni dla tego całego tłumu kuzynów w czwartej linii, których wcale nie zapraszali i nie oczekiwali; a Lizetta Paul liczyła obecnych i była poirytowana, gdyż przyszło mniej ludzi niż na pogrzeb pani Lister w zeszłym tygodniu. Kiedy powiedziałam o tym ciotce Laurze, odparła z powagą:

— Może to i prawda, Emilko — (wiedziała, że tak!) — ale jakoś nie wydaje mi się stosowne, by taka młoda panienka jak ty była zdolna ... była zdolna... zauważać takie rzeczy. Nic jednak nie mogę poradzić na to, że je zauważam. Kochana ciocia Laura zawsze tak żałuje ludzi, że nie dostrzega ich śmiesznośtek. Ale widziałam i inne rzeczy. Widziałam, że mały Zack Fritz, którego pani Paul adoptowała i traktowała bardzo dobrze, był zrozpaczony; i widziałam, że Marta Paul odczuwa żal i wstyd na myśl o zadawnionej, zaciętej kłótni z panią Paul. Widziałam także, że twarz pani Paul, tak pełna rozgoryczenia i zawodu za życia, wydaje się teraz pogodna, majestatyczna, nawet piękna — jak gdyby śmierć przyniosła jej w końcu

zadowolenie.

Tak, pogrzeby są interesujące.

5 marca 19...

Dzisiaj wieczorem prószę śnieg. Bardzo lubię patrzeć na śnieg padający na tle ciemnych drzew.

Myślę, że spełniłam dziś dobry uczynek. Był tutaj Jason Merrow — by i pomagał kuzynowi Jimowi rąbać drwa. W pewnej chwili *zauważyłam, że wślizguje się do chlewika i pociąga łyk whisky z butelki.* Ale nie pisałam nikomu ani słowa — i to jest mój dobry uczynek.

Może *powinnam* powiedzieć o tym ciotce Elżbiecie, ale gdybym to zrobiła, ona nigdy by go już nie najęła, a on bardzo potrzebuje pracy ze względu na swą biedną żonę i dzieci.

Przekonałam się, że nie zawsze można mieć pewność, czy twoje uczynki są dobre, czy złe.

20 marca 19...

Wczoraj ciotka Elżbieta bardzo się gniewała, ponieważ nie chciałam napisać

„wierszowanego nekrologu” dla starego Piotra DeGeer, który zmarł w zeszłym tygodniu. Pani

DeGeer przysłała tutaj i prosiła mnie o to. Nie zgodziłam się — oburzyło mnie takie żądanie.

Czułam, że coś takiego byłoby *profanacją mojej sztuki*, choć oczywiście nie powiedziałam

tego pani DeGeer, Po pierwsze, zraniłabym jej uczucia, po drugie, nie miałaby zielonego

pojęcia, o czym mówię. Nawet ciotka Elżbieta nic nie rozumiała, kiedy po wyjściu pani

DeGeer wyjawiałam jej przyczynę mojej odmowy.

— Bez przerwy zapisujesz sterty papieru nikomu niepotrzebnymi bredniami —

powiedziała. — Mogłabyś choć raz napisać coś pożytecznego. Biednej starej Marii DeGeer

sprawiłoby to przyjemność. „Profanacja twojej sztuki”, doprawdy! Jeżeli już *musisz* mówić,

Emilko, to czemu nie mówisz z sensem?

Spróbowałam więc przemówić z sensem.

— Ciociu Elzbieta — zaczęłam z powagą — jak mogłabym napisać dla niej ten nekrolog?

Nie potrafiłabym napisać *nieprawdy* tylko po to, żeby komuś sprawić przyjemność. Wiesz sama, że o starym Piotrze DeGeer nie dałoby się powiedzieć niczego dobrego i przekonującego.

Ciotka Elżbieta wiedziała i to ją zbiło z tropu, ale tym bardziej była na mnie zła. Tak mnie rozdrażniła, że poszłam do swojego pokoju i napisałam „wierszowany nekrolog” Piotra, wyłącznie dla własnej satysfakcji. Jest to niewątpliwa uciecha pisać w nekrologu *prawdę* o kimś, kogo się *nie* lubiło. Nie żebym istotnie nie lubiła Piotra DeGeer — po prostu gardziłam nim, tak jak wszyscy. Ale ciotka Elżbieta rozzłościła mnie, a gdy jestem zła, potrafię pisać bardzo sarkastycznie. I znowu poczułam, że *Coś* przemawia przeze mnie — lecz jest to *Coś* zupełnie innego niż zwykle — złośliwe, szydercze *Coś*, które *bawi się* wyśmiewaniem nieszczęsnego, leniwego, niezdarneho, kłamliwego, głupiego, fałszywego, starego Piotra DeGeer. Pomysły — słowa — rymy — wszystko zdawało się odnajdywać swoje miejsce, podczas gdy to *Coś* chichotało.

Wiersz wydał mi się tak inteligentny, że nie mogłam oprzeć się pokusie zabrania go dzisiaj do szkoły i pokazania panu Carpenterowi. Myślałam, że mu się spodoba — i chyba *spodobał się* w pewien sposób — ale po przeczytaniu odłożył go i spojrzał na mnie.

— Przypuszczam, że wyszydzanie nieudaczników *sprawia* ci przyjemność — powiedział.

— Nieszczęsny stary Piotr był nieudacznikiem... już nie żyje... i być może Stwórca okazał mu miłosierdzie, którego nie znają jego bliźni. Gdy *ja* umrę, Emilko, czy też tak o mnie napiszesz? Masz zdolności... o tak, widać je tu wyraźnie... to *jest* inteligentnie napisane.

Potrafisz odmalować słabość, głupotę i nikczemność charakteru w sposób wręcz niesamowity u dziewczynki w twoim wieku. Ale... czy warto, Emilko?

— Nie... oczywiście, że nie — odparłam. Było mi tak przykro i wstyd, że chciałam uciec, aby się wypłakać. Straszna była myśl, że pan Carpenter wyobrażał sobie, iż mogłabym kiedykolwiek napisać tak o *nim* po tym wszystkim, co dla mnie zrobił.

— Nie warto — powiedział pan Carpenter. — Istnieje pole dla satyry... tyle przeróżnej zarazy, którą można jedynie wypalić... ale pozostaw wypalanie geniuszom. Lepiej jest leczyć, niż ranić. My, nieudacznicy, wiemy coś o tym.

— Och, panie Carpenter! — zaczęłam. Chciałam powiedzieć, że *on* nie jest nieudacznikiem; chciałam powiedzieć sto rzeczy naraz, ale nie pozwolił mi.

— Cicho, cicho, nie mówmy już o tym, Emilko. Kiedy ja umrę, powiedz: „Był nieudacznikiem i nikt nie wiedział o tym lepiej i nie odczuwał tego boleśniej niż on sam”. Miej litość dla nieudaczników, Emilko. Wyśmiewaj nikczemność, jeżeli musisz, ale okaż współczucie słabości.

Później wyszedł i przywołał klasę. Byłam nieszczęśliwa i nie mogłam usnąć. Ale tu i teraz najuroczyściej zapisuję w pamiętniku taką oto przysięgę: *Moje pióro będzie leczyć, nie ranić*. Zapisuję ją kursywą, choć to może i wczesnowiktoriańskie, gdyż jestem ogromnie przejęta. Nie podarłam jednak tego wiersza — nie mogłam, jest naprawdę zbyt dobry, by go niszczyć. Włożyłam go do sekretarzyka z moimi utworami, by czytać od czasu do czasu dla własnej przyjemności, ale nikomu go już nie pokażę.

O, jak bardzo żałuję, że zraniłam pana Carpentera!

i kwietnia 19...

Dzisiaj w Perlistej Wodzie usłyszałam coś, co bardzo mnie rozgniewało. Pan Alec Sawyer i jego żona, którzy mieszkają w Char — lottetown, byli dzisiaj na poczcie, kiedy tam weszłam. Pani Sawyer jest bardzo urodziwa, elegancka i protekcyjna. Usłyszałam ją mówiącą do męża: „Jak tutejsi ludzie mogą żyć latami w tym sennym miejscu? Ja bym

zwariowała. Tu nigdy *nic* się nie dzieje”.

Z wielką radością powiedziałabym jej parę rzeczy o Perlistej Wodzie. Mogłabym jej odplacić jeszcze większym sarkazmem. Ale mieszkańcy Księżycowego Nowiu *nie urządzają publicznych scen*, oczywiście. Zadowoliliam się więc *bardzo chłodnym* skinieniem głowy w odpowiedzi na jej powitanie i *przepłynęłam* obok. Słyszałam pytanie pana Sawyera: „Kim jest ta dziewczyna?”, na co pani Sawyer odparła: „To pewnie ta mała kotka, Starrówna... nosi głowę oczywiście jak Murrayowie”.

Żeby opowiadać takie bzdury, że „tu nigdy nic się nie dzieje!” Ależ dzieje się nieustannie, i są to rzeczy *pasjonujące*. Myślę, że życie jest *niezmiernie* cudowne. Zawsze mamy się z czego śmiać, mamy nad czym płakać, mamy o czym mówić.

Spójrzmy na to, co się wydarzyło w Perlistej Wodzie w ciągu ostatnich trzech tygodni — komedia przeplata się z tragedią. Jakub Baxter niespodziewanie przestał rozmawiać z żoną i *nikt nie wie dlaczego*. Ona w każdym razie nie wie, biedactwo, i bardzo nad tym rozpacza. Stary Adam Gillian, który nie znosił wszelkiego udawania, zmarł dwa tygodnie temu, a jego ostatnie słowa brzmiały: „Dopilnujcie, żeby na moim pogrzebie nie było żadnego zawodzenia i pociągania nosem”. Nikt nie miał na to ochoty, a ponieważ zmarły tego zabronił, nie musiano udawać. Nigdy jeszcze nie było w Perlistej Wodzie tak radosnego pogrzebu.

Widziałam wesela, które były smutniejsze — na przykład Elli Brice. Cieniem legło na jej ślubie to, że kiedy się ubierała, zapomniała o włożeniu białych pantofelków i zeszła do salonu w starych, przydeptanych kapciach z dziurami na palcach. Doprawdy, ludzie nie mogliby gadać więcej, nawet gdyby zeszła zupełnie *nie ubrana*. Biedna Ella przepłakała z tego powodu całe wesele.

Stary Robert Scobie pokłócił się ze swą przyrodnią siostrą po trzydziestu latach mieszkania pod jednym dachem bez najmniejszej sprzeczki, choć powiadają, że jest ona bardzo irytującą

kobietą. Żadne jej słowo ani czyn nie wyprowadziły go dotychczas z równowagi, ale podobno pewnego wieczoru, całkiem niedawno, został po kolacji jeden pączek, a Robert bardzo je lubi. Odłożył go sobie do spizarni, żeby zjeść przed snem, a kiedy poszedł po niego, okazało się, że zjadła go Matylda. Wpadł w straszny gniew, złapał ją za nos, nazwał *diablicą* i wypędził z domu. Zamieszkała z siostrą w Balladowym Stawie, a Robert zamierza żyć po kawalersku. Żadne z nich nie wybaczy drugiemu, tacy już są Scobie'owie, i żadne nie będzie już nigdy szczęśliwe ani zadowolone.

Pewnego księżycowego wieczoru przed dwoma tygodniami Jerzy Lakę wracał z Balladowego Stawu do domu i *znieńacka* ujrzał tuż obok swego cienia drugi, *bardzo czarny*, przesuający się po śniegu oświetlonym blaskiem księżyca.

A nie było tam nic, co mogłoby rzucać ów cień.

Półżywy ze strachu pobiegł do najbliższego domu i powiadają, że nigdy już nie będzie tym samym człowiekiem.

Jest to najbardziej *dramatyczne* wydarzenie. Drzę, gdy o tym piszę. Jerzy z pewnością się omylił. Ale jest człowiekiem prawdomównym i nie pije. Nie wiem, co o tym myśleć.

Arminiusz Scobie jest *wielkim skąpcem* i zawsze sam kupuje żonie kapelusze, żeby nie przepłacała. Znają go w sklepach w Shrewsbury i śmieją się z niego. W zeszłym tygodniu, kiedy kupował kapelusz u Jonesa i McCalluma, pan Jones powiedział, że odda mu go za darmo, jeżeli Arminiusz w tym kapeluszu na głowie przejdzie ze sklepu do stacji. I on to zrobił. Do stacji miał ćwierć mili i wszyscy mali chłopcy ze Shrewsbury biegli za nim pokrzykując. Ale Arminiusz nie dbał o to. Zaoszczędził trzy dolary i czterdzieści dziewięć centów.

A pewnego wieczoru, tutaj, w Księżycowym Nowiu, upuściłam jajko na miękko prosto na kaszmirową suknię ciotki Elżbiety, tę prawie najlepszą. To *było* wydarzenie. Gdyby w

Europie upadło jakieś królestwo, nie byłoby tyle zamieszania w Księżycowym Nowiu.

Zatem jest pani w wielkim błędzie, pani Sawyer. Pomijając wszelkie wydarzenia, ludzie są tutaj zajmujący sami w sobie. Nie wszystkich *lubię*, ale każdego uważam za interesującego: pannę Matty Smali, która ma lat czterdzieści i nosi stroje w *skandalicznych* kolorach — przez całe ubiegłe lato chodziła do kościoła w brudno — różowej sukni i szkarłatnym kapeluszu; starego wuja Reubena Bascoma, który jest tak leniwy, że pewnej deszczowej nocy, kiedy dach zaczął przeciekać, trzymał nad sobą w łóżku parasol, bo nie chciało mu się wstać i przesunąć łóżka; Eldera McCloskey, który uważał, że nie może mówić o „spodniach”, gdy opowiadał o pewnym misjonarzu podczas zebrania modlitewnego, wyrażał się więc bardzo oględnie o „dolnych częściach jego ubioru”; Amasę Derry’ego, który zdobył cztery nagrody na jesiennej wystawie za warzywa skradzione z pola Ronniego Bascoma, podczas gdy Ronnie nie dostał ani jednej; Jimmy’ego Joe Belle, który przyszedł wczoraj z Balladowego Stawu po drewno na „kurnik dla pieska”; starego Łukasza Elliota, który jest takim fanatykiem systematyczności, że pierwszego stycznia układa plan zajęć na cały rok, zaznacza w nim dni, w które zamierza się upić — *I trzyma się tego*. Wszyscy oni są interesujący, zabawni i zachwycający.

Skoro dowiedziałam, iż pani Sawyer tak gruntownie się myli, jestem do niej w tej chwili życzliwie usposobiona, mimo że nazwała mnie kotką.

Dlaczego nie lubię, kiedy ktoś nazywa mnie kotką, skoro koty to takie miłe stworzenia?

Ale lubię być nazywana *kociątkiem*.

28 kwietnia 19...

Dwa tygodnie temu wysłałam mój najlepszy wiersz, „Pieśń wiatru”, do nowojorskiego magazynu, a dzisiaj wrócił do mnie z odpowiedzią *wydrukowaną* na kartce: „Żałujemy, ale nie skorzystamy z nadesłanego materiału”.

Czuję się okropnie. Nie przypuszczam, abym potrafiła kiedykolwiek napisać coś naprawdę dobrego.

A właśnie, że *potrafię*. Pewnego dnia ten magazyn z *radością* przyjmie moje utwory!

Nie mówiłam panu Carpenterowi, że wysłałam ten wiersz. Nie zrozumiałby mnie.

Powiada, że za pięć lat nadejdzie odpowiednia chwila, by zacząć molestować wydawców. Ale ja *wiem*, że niektóre wiersze z tego magazynu wcale nie były lepsze od „Pieśni wiatru”.

Wiosną mam większą ochotę na pisanie poezji niż w jakiegokolwiek innej porze roku. Pan Carpenter każe mi zwalczać ten impuls. Mówi, że wiosna jest odpowiedzialna za więcej bredni niż cokolwiek innego w Bożym wszechświecie.

Sposób mówienia pana Carpentera ma swój *smaczek*.

Imaja 19...

Dean jest w domu. Wczoraj odwiedził siostrę, a dziś wieczorem przyszedł tutaj.

Odbyliśmy przechadzkę po ogrodzie wokół zegara słonecznego i rozmawialiśmy. To wspaniałe mieć go z powrotem, móc widzieć jego tajemnicze zielone oczy i miłe usta.

Nasza rozmowa trwała długo. Mówiliśmy o Algierze, wędrownce dusz, kremacji i profilach.

Dean twierdzi, że mam dobry profil, „czysto grecki”. Zawsze podobają mi się komplementy Deana.

— Gwiazdko Poranna, ależ wyrosłaś! — powiedział. — Jesienią zostawiłem tu dziecko, a teraz zastaję kobietę!

(Za trzy tygodnie skończę czternaście lat i jestem wysoka na swój wiek. Dean wydaje się z tego zadowolony — w przeciwieństwie do ciotki Laury, która zawsze wzdycha przy przedłużaniu moich sukienek i uważa, że dzieci rosną zbyt szybko.)

— Tak upływa czas — odparłam, cytując motto z zegara słonecznego i czując się jak osoba *całkiem wyrafinowana*.

— Jesteś prawie mojego wzrostu — stwierdził, a potem dodał z *gorączką*: — Krzywy Priest na pewno nie odznacza się zbyt okazałą posturą.

Zawsze unikałam wszelkich wzmianek o jego barku, ale tym razem powiedziałam:

— Proszę cię, Deanie, nie drwij z siebie, a przynajmniej nie rób tego przy mnie. *Nigdy* nie myślę o tobie jako o Krzywym Prieście.

Dean ujął moją dłoń i spojrzał mi prosto w oczy, jak gdyby próbował *czytać w mojej duszy*.

— Czy jesteś tego pewna, Emilko? Czy nie chciałabyś, żebym nie był ułomny...

skrzywiony?

— Tylko ze względu na ciebie — odparłam — ale dla mnie nie ma to znaczenia i nigdy nie będzie miało.

— Nigdy nie będzie miało! — Dean powtórzył moje słowa z naciskiem. — Gdybym mógł być tego pewien, Emilko... gdybym tylko mógł być pewien.

— *Możesz* być pewien — oświadczyłam ciepło. Drażniło mnie, że wydawał się w to wątpić — a jednak coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że poczułam się trochę nieswojo.

Nieoczekiwanie przypomniałam sobie chwilę, kiedy uratował mnie na skałach zatoki Malvern i powiedział, że moje życie należy odtąd do niego, skoro je ocalił. Nie podoba mi się myśl, że moje życie miałoby należeć do kogoś prócz mnie samej — do *kogokolwiek*, nawet do Deana, choć ogromnie go lubię. A *w pewien sposób* lubię Deana bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Gdy się ściemniło, pojawiły się gwiazdy i obserwowaliśmy je przez nową, wspaniałą lunetę Deana. Było to naprawdę fascynujące. Dean wie o gwiazdach wszystko — wydaje mi się, że on w ogóle wie wszystko. Ale kiedy mu to powiedziałam, odparł:

— Jest jedna tajemnica, której nie znam... oddałbym za nią całą moją wiedzę... za tę jedną tajemnicę, której, być może, nigdy nie poznam. Jak zdobyć... jak zdobyć...

— Co takiego? — spytałam zaciekawiona.

— To, czego pragnie moje serce — dokończył z rozmarzeniem Dean, wpatrując się w migotliwą gwiazdę, która zdawała się zawieszona na samym wierzchołku jednej z Trzech Księżniczek. — Wydaje się w tej chwili równie upragnione i nieosiągalne jak ta podobna do klejnotu gwiazda, Emilko. Lecz... kto wie?

Ciekawe, czego Dean pragnie tak mocno.

4 maja 19...

Dean przywiózł mi z Paryża śliczną teczkę na papiery. Wpisałam mój ulubiony cytat z „Kwiatu goryczki” na wewnętrznej stronie okładki. Będę odczytywać go codziennie i przypominać sobie przysięgę, że „podążę alpejską ścieżką”. Zaczynam pojmować, że czeka mnie mozolne wdrapywanie się pod górę, choć dawniej przypuszczałam, że wzlecę ku owemu „odległemu celowi” na lśniących skrzydłach. Pan Carpenter pozbawił mnie złudzeń. — Jedyne sposoby to czepianie się skały zębami i pazurami — oświadczył.

Wczorajszej nocy w łóżku wymyśliłam kilka przepięknych tytułów dla książek, które zamierzam napisać w przyszłości: „Dama wysokiego rodu”, „Wierny przysiędź”, „O, bladolica Małgorzato” (zaczepiłam to z Tennysona), „Kasta Vere de Vere” (jak wyżej) oraz „Królestwo nad morzem”.

Gdybym jeszcze miała do nich odpowiednie pomysły!

Piszę teraz opowiadanie „Dom wśród jarzębin”. Uważam, że to także bardzo dobry tytuł.

Nadal jednak sprawiają mi kłopot dialogi miłosne. Wszystko, co napiszę, wydaje mi się natychmiast tak sztywne i głupie, że wpadam we wściekłość. Prosiłam Deana, czy nie mógłby nauczyć mnie, jak je poprawnie pisać, gdyż dawno już mi to obiecał, ale powiedział, że jestem jeszcze za młoda — powiedział to swym tajemniczym tonem, który zawsze sprawia wrażenie, jak gdyby w słowach kryło się więcej treści, niż można wnosić z ich brzmienia.

Szkoda, że nie potrafię wyrażać się tak *znacząco*, bo czyni to człowieka *bardzo interesującym*.

Dziś wieczorem po szkole siedząc na kamiennej ławce w ogrodzie czytaliśmy z Deanem na nowo „Alhambrę”. Książka ta zawsze budzi we mnie uczucie, jakbym otworzyła furtkę wiodącą wprost do krainy czarów.

— Jakże chciałabym ujrzeć Alhambrę! — powiedziałam.

— Pojedziemy tam kiedyś... razem — rzekł Dean.

— Och, to byłoby cudowne! — zawołałam. — Deanie, czy myślisz, że nam się to kiedykolwiek uda?

Zanim Dean zdążył odpowiedzieć, usłyszałam gwizdanie Teda dobiegające z zagajnika Dumnego Jana — drogi memu sercu dźwięk, dwa krótkie, wysokie gwizdnięcia i jedno niskie i długie, *nasz znak*.

— Wybacz, muszę iść... Ted mnie wzywa — powiedziałam.

— Czy zawsze musisz biec na jego wezwanie? — spytał Dean. Skinęłam głową i wyjaśniłam:

— On gwizdże w ten sposób w *szczególnych* chwilach i obiecałam, że zawsze przyjdę, jeżeli tylko będę mogła.

— Dla mnie też jest to *szczególna* chwila — oświadczył Dean. — Przyszedłem tu dzisiaj wyłącznie po to, by czytać z tobą „Alhambrę”.

Poczułam się nagle bardzo nieszczęśliwa. Strasznie chciałam zostać z Deanem, a jednocześnie czułam, że muszę iść do Teda. Dean przeszył mnie spojrzeniem, a potem zamknął „Alhambrę”.

— Idź — powiedział.

Poszłam... ale miałam wrażenie, że coś się zepsuło.

10 maja 19...

Przeczytałam trzy książki, które Dean pożyczył mi w tym tygodniu. Jedna przypominała różany ogród — bardzo przyjemna, lecz nieco za słodka. Druga była jak sosnowy las na zboczu góry — pełna aromatów i dźwięków. Bardzo mi się spodobała, a jednocześnie napełniła mnie pewną rozpaczą. Była tak pięknie napisana — z pewnością nigdy nie napiszę czegoś podobnego. A trzecia... przypominała chlew. Dean dał mi ją przez pomyłkę. Był bardzo zły na siebie, kiedy się zorientował — zły i zmartwiony.

— Gwiazdko... Gwiazdko... *za nic* nie dałbym ci takiej książki... to moje przekłete roztargnienie... wybacz mi. Ta książka jest wiernym odbiciem pewnego świata, ale dzięki Bogu nie twojego... ani takiego, w którym mogłabyś się znaleźć. Obiecuj mi, Gwiazdko, że zapomnisz o niej.

— Zapomnę, jeśli zdołam — odparłam.

Ale nie wiem, czy zdołam. Była tak brzydka. Odkąd ją przeczytałam, nie jestem już tak szczęśliwa jak przedtem. Mam uczucie, jakby moje ręce zostały czymś zbrukane i jakbym nie mogła ich domyć. Mam jeszcze osobliwe wrażenie, że *zatrzasnęła się za mną jakaś brama*, a ja pozostałam w świecie, którego nie rozumiem i nie lubię, ale muszę w nim żyć.

Dzisiaj wieczorem próbowałam opisać Deana w brulionie przeznaczonym do szkiców charakterologicznych. Ale nie udało mi się. To, co napisałam, bardziej przypomina fotografię niż portret. W Deanie jest coś, czego nie pojmuję.

Przedwczoraj Dean zrobił mi zdjęcie nowym aparatem, ale nie był z niego zadowolony.

— Nie jesteś tu podobna do siebie — stwierdził — ale przecież nie da się sfotografować gwiazdnego blasku.

A potem dodał dość ostro, jak mi się zdawało:

— Powiedz temu chochlikowi Kentowi, żeby zostawił w spokoju twoją twarz. Nie ma

prawa wtykać *ciebie* w każdy swój rysunek.

— To nieprawda! — zawołałam. — Przecież Ted narysował mnie tylko raz... a ten portret ukradła ciotka Nancy.

Powiedziałam to złośliwie i bez zażenowania, bo nigdy nie wybaczyłam ciotce Nancy, że nie oddała mi tego rysunku.

— W każdym z jego obrazków jest *coś* z ciebie — upierał się Dean. — Twoje oczy, linia szyi, zarys głowy... twoja osobowość. To jest najgorsze. Nie mam nic przeciwko temu, żeby rysował twoje oczy czy sylwetkę... ale nie zniosę, żeby ten szczeniak wplatał część twojej duszy we wszystko, co rysuje. Zapewne nie zdaje sobie z tego sprawy... ale to tym gorzej.

— Nie rozumiem cię — powiedziała wyniośle. — Ted jest *znakomity*... tak mówi pan Carpenter.

— A Emilka z Księżycowego Nowiu powtarza niczym echo! O, ten dzieciak ma talent... dojdzie do czegoś, jeśli jego chora matka nie zmarnuje mu życia. Ale niech on się trzyma swojego ołówka i nie tyka mojej własności!

Dean powiedział to ze śmiechem, ale ja uniosłam wysoko głowę. Nie jestem niczyją „własnością”, nawet w żartach. I nigdy nie będę.

12 maja 19...

Dzisiaj po południu przyjechali: ciotka Ruth, wuj Wallace i wuj Oliwer. Lubię wuja Oliwera, ale ciotka Ruth i wuj Wallace nie budzą we mnie cieplejszych uczuć. Odbyli w salonie coś w rodzaju rodzinnego konklawe, razem z ciotką Elżbietą i ciotką Laurą.

Dopuszczono również kuzyna Jima, ale mnie nie, choć jestem pewna, że miało to coś wspólnego ze mną. Myślę też, że ciotka Ruth niczego nie wskórała, bo podczas kolacji wciąż mnie strofowała i oświadczyła, że jestem chuderlawa! Ciotka Ruth zawsze mnie strofuje, a wuj Wallace traktuje mnie protekcjonalnie. Wolę już docinki ciotki Ruth, bo przynajmniej nie

muszę udawać, że jest mi miło. Znosiłam je przez pewien czas i w końcu nie wytrzymałam. Ciotka Ruth odezwała się do mnie: „Emilio, nie kłóć się ze mną”, zupełnie jak do *małego dziecka*.

Spojrzałam jej prosto w oczy i rzekłam zimno:

— Ciociu Ruth, chyba jestem już zbyt dorosła, by mówić do mnie w ten sposób.

— Jak na osobę dorosłą, jesteś nader grubiańska i bezczelna — prychnęła ciotka — i na miejscu Elżbiety wytargałabym cię za uszy, moja panno.

Nienawidzę, gdy ktoś mówi do mnie „Emilio” i „moja panno”, a do tego prycha! Wydaje mi się, że ciotka Ruth odziedziczyła wszystkie wady Murrayów i *ani jednej* z ich zalet.

Z wujem Oliwerem przyjechał jego syn Andrzej i zostanie tu przez tydzień. Jest ode mnie starszy o cztery lata.

19 maja 19...

Dzisiaj są moje urodziny. Skończyłam czternaście lat. Napisałam list „Ode mnie, czternastoletniej, do mnie, dwudziestoczteroletniej”. Zapieczętowałam go i włożyłam do sekretarzyka, by zaczekał tam do moich dwudziestych czwartych urodzin. Umieściłam w nim kilka przepowiedni. Ciekawe, czy się spełnią.

Ciotka Elżbieta oddała mi dzisiaj książki ojca. Tak się cieszę! Wydaje mi się, że zawierają jakąś Jego część. Podpisał każdą z nich, a na marginesach są Jego notatki. Mam wrażenie, jakby to były listy od Niego. Przeglądałam je przez cały wieczór i miałam wrażenie, że On znowu jest tak *blisko* mnie. Czuję się uszczęśliwiona i smutna równocześnie.

Pewne wydarzenie zepsuło mi dzień. Kiedy w szkole podeszłam do tablicy, by rozwiązać zadanie, wszyscy nieoczekiwanie zaczęli chichotać. Nie miałam pojęcia dlaczego. Później zauważyłam, że ktoś przypiął mi z tyłu kartkę z dużym, czarnym napisem: *Emilia Byrd Stan*, autorka „*Czworonożnej Kaczki*”. Śmiali się jeszcze głośniejsze, gdy zerwałam kartkę i

wrzuciłam do wiadra na węgiel. Takie wyszydzenie moich ambicji doprowadza mnie do wściekłości. Wróciłam do domu zła i rozdrażniona. Kiedy jednak usiadłam na stopniach szopy i popatrzyłam przez pięć minut na wielkie fioletowe bratki kuzyna Jima, przeszła mi wszelka złość. Nikt nie może się długo złościć, jeżeli zajrzy w serce bratka.

A kiedyś nadejdzie taka chwila, że nie będą się śmiać ze mnie!

Andrzej odjechał wczoraj. Ciotka Elżbieta zapytała, co o nim myślę. Nigdy dotąd nie pytała mnie, co myślę o kimkolwiek — moje upodobania nie miały wielkiego znaczenia.

Przypuszczam, że zaczyna rozumieć, iż *nie jestem już dzieckiem*.

Powiedziałam, że jest miły i poczciwy, niemądry i nieciekawy.

Ciotka Elżbieta tak się rozgniewała, że nie rozmawiała ze mną przez cały wieczór.

Dlaczego? Przecież musiałam powiedzieć prawdę. Andrzej jest taki.

21 maja 19...

Stary Kelly przyjechał tu dzisiaj po raz pierwszy tej wiosny z nową, błyszczącą blachą.

Przywiózł mi jak zwykle torbę cukierków, a jego docinki — jak zwykle — dotyczyły małżeństwa. Ale wydawało się, że coś go gnębi i kiedy poszłam do mleczarni po mleko, o które prosił, ruszył za mną.

— Dzieweczko droga — rzekł tajemniczo — spotkałem po drodze Krzywego Priesta.

Często on tu przychodzi?

Uniosłam głowę murrayowskim ruchem.

— Jeżeli ma pan na myśli Deana Priesta — odparłam — to tak. Jest moim bliskim przyjacielem.

Stary Kelly potrząsnął głową.

— Dzieweczko droga... ostrzegałem cię, nie mów, że nie. Jakem cię wiózł do Księżego

Stawu, mówiłem, żebyś nie wychodziła za Priesta. Czy nie tak?

— Panie Kelly, to brednie — oświadczyłam z gniewem, a jednocześnie z poczuciem, że to niedorzeczne gniewać się na starego Jocka Kelly'ego. — Nie zamierzam wychodzić za mąż. Pan Priest mógłby być moim ojcem, a ja jestem tylko dziewczynką, której pomaga w nauce. Stary Kelly ponownie potrząsnął głową.

— Znam Priestów, dziewczeczko droga... jeśli się przy czymś uprą, równie dobrze mogłabyś spróbować odmienić wiatr. A ten Krzywy... Powiadają, że ma na ciebie oko, odkąd wyratował cię w Malvern, czeka tylko, aż dorośniesz na tyle, żeby się o ciebie starać. Słyszałem, że to niedowiarek i wszyscy wiedzą, że jak go chrzcili, ściągnął pastorowi okulary z nosa. Czego tu się spodziewać? Nie muszę ci mówić, że jest kaleką, bo sama widzisz. Posłuchaj rady głupiego Starego Kelly'ego i zmykaj póki czas. No, nie patrz na mnie tak po murrayowsku, dziewczeczko droga. Przecie to mówię dla twego własnego dobra. Zostawiłam go i odeszłam. *Nie można* spierać się o coś takiego. Wolałabym, żeby ludzie nie nabijali mi głowy takimi myślami. Przyczepiają się jak rzepy. Teraz upłyną tygodnie, zanim poczuję się swobodnie w towarzystwie Deana, choć wiem doskonale, że Stary Kelly mówił same brednie.

Kiedy Stary Kelly odjechał, poszłam do swojego pokoju i opisałam go dokładnie w zeszycie od Jima.

Ilza ma nowy kapelusz, przybrany obłokiem błękitnego tiulu i czerwonymi wiśniami oraz szerokimi tiulowymi wstążkami do zawiązywania pod brodą. Nie podoba mi się i powiedziałam jej o tym. Była wściekła, oświadczyła, że jestem zazdrosna, i nie rozmawiała ze mną przez dwa dni. Przemyślałam to dokładnie. Wiem, że nie jestem zazdrosna, ale doszłam do wniosku, że popełniłam błąd. Nigdy więcej nie powiem czegoś takiego. Było to zgodne z prawdą, lecz nietaktowne.

Mam nadzieję, że Ilza przebaczy mi do jutra. Bardzo mi jej brak, kiedy jest na mnie

obrażona. Jest takim kochanym, wesołym, wspaniałym stworzeniem, gdy się nie gniewa.

Ted także dąsa się na mnie ostatnio. *Myślę*, że to dlatego, iż Geoff North odprowadził mnie do domu w zeszłą środę po zebraniu modlitewnym. Mam *nadzieję*, że to jest przyczyną. Lubię czuć, że mam *aż taką władzę* nad Tedem.

Zastanawiam się, czy powinnam była to napisać. Ale to *prawda*. Gdyby Ted wiedział, jaka byłam nieszczęśliwa i zawstydzona z tego powodu! Na początku, kiedy Geoff wybrał mnie spośród wszystkich dziewcząt, czułam się bardzo dumna. Po raz pierwszy ktoś *odprowadzał* mnie do domu, a Geoff jest chłopcem z miasta, *przystojnym i dobrze ułożonym*, i wszystkie starsze dziewczęta z Perlistej Wody szaleją za nim. Przekroczyłam więc drzwi kościoła u jego boku z uczuciem, iż od razu stałam się dorosła. Ale już po chwili znienawidziłam go. Był taki *protekcjonalny*. Wydawało mu się, że jestem prostą, wiejską dziewczyną, oszołomioną zaszczytem, że mogę przebywać w jego towarzystwie.

I w pierwszej chwili tak było! To właśnie mnie ubodło. Pomyśleć tylko, że byłam taka niemądra!

Po każdej mojej uwadze powtarzał afektowanym, przeciągłym tonem: „Doprawdy, zadziwiasz mnie”. I *nudził* mnie. O niczym nie potrafił mówić rozsądnie. Albo nie chciało mu się wysilać dla mnie. Zanim dotarliśmy do Księżycowego Nowiu, nie posiadałam się ze złości. A potem ta nieznośna kreatura poprosiła mnie o pocałunek! Zebrałam się w sobie... o, byłam w owej chwili Murrayówną w każdym calu. Czułam, że wyglądam dokładnie jak ciotka Elżbieta.

— Nie całuję młodych ludzi — odparłam pogardliwie. Geoff ze śmiechem pochwycił moją dłoń.

— A jak myślisz, po co cię odprowadzałem, ty gąsko? — zapytał. Wyrwałam rękę i pomaszerowałam do domu. Ale przedtem zrobiłam jeszcze coś.

Spoliczkowałam go!

Później pobiegłam do pokoju i rozplakałam się ze wstydu, że tak mnie obrażono, a ja zachowałam się niegodnie. Godność należy do tradycji Księżycowego Nowiu i czuję, że sprzeniewierzyłam się jej.

Myślę jednak, że „zadziwiłam” Geoffa Northa należycie!

24 maja 19...

Jennie Strang powiedziała mi dzisiaj, że Geoff North mówił jej bratu, iż jestem „istną sekutnicą” i nie chce mnie więcej widzieć.

Ciotka Elżbieta dowiedziała się, że Geoff odprowadził mnie do domu, i oznajmiła mi dzisiaj, że nie można mnie „puszczać samej” na zebrania modlitewne.

25 maja 19...

Zapada zmierzch, a ja siedzę w pokoju. Okno jest otwarte i słyszę żabią pieśń o dawnych dziejach. Przy ścieżce biegnącej środkiem ogrodu Wesołe Ludziki wznoszą ku górze wielkie, rubinowo–złoto–perłowe kielichy. Przez cały dzień padał deszcz pachnący bzem, lecz teraz już nie pada. Lubię każdą pogodę i lubię deszczowe dni — łagodne, mgliste deszczowe dni, gdy Królowa Wiatru delikatnie potrząsa czubkami świerków; i gwałtowne, burzliwe, ulewne dni. Lubię siedzieć w domu i słuchać deszczu pluszczącego o dach, uderzającego w szyby i spływającego strugami z okapu, podczas gdy Królowa Wiatru niczym szalona, stara czarownica zawodzi w lasach i ogrodzie.

A jednak, jeżeli pada akurat wtedy, gdy gdzieś się wybieram, zzymam się tak samo jak każdy!

Wieczór taki jak dzisiejszy zawsze przypomina mi nasz drogi, stary domek w Majowym Gaju i wiosnę sprzed trzech lat, kiedy umarł ojciec. Nie byłam tam od owego czasu. Ciekawe, czy ktoś w nim teraz mieszka. I czy Adam i Ewa, i Strzelista Sosna, i Modlitewne Drzewo

wyglądają tak samo. I kto śpi w moim dawnym pokoju, i czy ktoś kocha młode brzoźki i bawi się z Królową Wiatru na pustkowiu wśród świerków. Pisząc o „pustkowiu wśród świerków” przypominałam sobie chwilę sprzed lat. Pewnego wiosennego wieczoru, kiedy miałam osiem lat, bawiłam się na pustkowiu w chowanego z Królową Wiatru i podczas zabawy natrafiłam na kotlinkę między dwoma świerkami, pokrytą drobnymi, jasnozielonymi liśćmi, choć wszystko wokół było jeszcze brązowe i wypłowiłe. Listki były tak piękne, że gdy na nie patrzyłam, pojawił się *promyk* — po raz pierwszy w moim życiu. Zapewne dlatego pamiętam te zielone listeczki tak wyraźnie. Nikt inny ich nie pamięta — być może nikt prócz mnie ich nie widział. Nie pamiętam innych liści, ale te wspominam każdej wiosny i wspomnienie to zawsze pozwala mi przeżyć na nowo tamtą cudowną chwilę.

III

NOC CZUWANIA

Niektóre z nas potrafią przypomnieć sobie dokładnie pewne kamienie milowe na drodze życia — cudowną godzinę, w której dziecko staje się dziewczyną, a także czarodziejską i piękną — lub druzgocącą i straszną — godzinę, w której dziewczyna staje się nagle kobietą... budzącą dreszcz godzinę, w której zdajemy sobie sprawę z tego, że młodość pozostała nieodwołalnie za nami — spokojną, pełną smutku godzinę, w której uświadamiamy sobie, że jesteśmy już stare. Emilka Starr nigdy nie zapomniała nocy, podczas której dotarła do pierwszego kamienia milowego i na zawsze pożegnała dzieciństwo.

Każde doświadczenie wzbogaca nasze życie i im jest głębsze, tym większe bogactwo przynosi. Owa noc grozy, tajemnicy i przedziwnego zachwyty sprawiła, że umysł i serce Emilki dojrzały, jakby upłynęły lata.

Noc ta nadeszła na początku lipca. Dzień był niezwykle upalny. Upał tak zmęczył ciotkę Elżbietę, że postanowiła nie iść na zebranie modlitewne. Ciotka Laura, kuzyn Jim i Emilka poszli. Przed wyjściem Emilka uzyskała pozwolenie ciotki Elżbiety na powrót z Ilzą Burnley i spędzenie u niej nocy. Była to rzadka przyjemność. Ciotka Elżbieta nie pochwałała nocowania poza domem.

Doktor Burnley musiał jednak wyjechać, a gospodyni leżała ze złamaną kostką. Ilza zaprosiła Emilkę na noc i Emilka otrzymała pozwolenie. Ilza nie wiedziała o tym — prawdę mówiąc żywiła słabą nadzieję — ale miała dowiedzieć się podczas zebrania. Gdyby się nie spóźniła, Emilka powiadomiłaby ją, zanim się zaczęło, i można byłoby uniknąć nocnych wypadków; lecz Ilza spóźniła się jak zwykle i dzięki temu stało się to, co się stało.

Emilka siedziała w ławce Murrayów, blisko ołtarza, przy oknie wychodzącym na jodłowo-klonowy zagajnik wokół niewielkiego, białego kościoła. To zebranie nie było zwykłym, cotygodniowym spotkaniem grupki wiernych. Było „specjalnym zebraniem”, zwołanym ze

względu na nadchodzącą pierwszą niedzielę miesiąca, a mówcą nie był tym razem młody i pełen zapału pastor Johnson, którego Emilka, pomimo nietaktu, jaki popełniła podczas kolacji Koła Kobiet, zawsze lubiła słuchać, lecz wędrowny, kaznodzieja wypożyczony na jeden wieczór z Shrewsbury. Jego sława przyciągnęła do kościoła tłum ludzi, ale większość z nich oświadczyła później, że znacznie chętniej słuchaliby swojego pana Johnsona. Emilka przyjrzała mu się chłodno i krytycznie i orzekła, że jest zbyt gładki i mało uduchowiony. Wysłuchiwała modlitwy i pomyślała:

„Dawanie Bogu dobrych rad i złorzeczenie diabłu nie jest modlitwą”.

Przez kilka minut słuchała jego wywodu, po czym stwierdziła, że jest krzykliwy, nielogiczny i przesadny — i spokojnie zamknęła przed nim uszy i umysł, przenosząc się w krainę marzeń, co potrafiła robić na zawołanie, jeżeli tylko zapragnęła uciec od pozbawionej harmonii rzeczywistości.

Na zewnątrz światło księżycy wciąż mżyło srebrzystym deszczem wśród gałęzi jodeł i klonów, choć od północnego zachodu nadciągały złowieszcze masy chmur, a odległe grzmoty przerywały ciszę gorącej letniej nocy — bezwietrznej nocy, jeśli nie liczyć rzadkich, nagłych powiewów, bardziej przypominających westchnienia niż podmuchy wiatru, które muskały drzewa i wprawiały ich cienie w dziwaczny taniec. To osobliwe połączenie spokojnego, zwyczajnego piękna nocy ze zwiastunami nadchodzącej burzy zaintrygowało Emilkę i połowa wystąpienia kaznodziei upłynęła jej na układaniu w myślach opisu tego zjawiska, by później zanotować wszystko w zeszycie od Jima. Resztę czasu spędziła obserwując słuchaczy, którzy znajdowali się w jej polu widzenia.

Robiła to zawsze podczas publicznych zebrań i nigdy się nie nudziła, a im była starsza, tym bardziej to lubiła. Fascynującą rzeczą było przyglądanie się różnym twarzom i odczytywanie historii wypisanych na nich tajemniczymi hieroglifami. Wszyscy ci mężczyźni

i kobiety mieli swoje wewnętrzne, sekretne życie, znane jedynie im samym i Bogu. Inni mogli wyłącznie zgadywać, a Emilka bardzo lubiła tę grę w zgadywanie. Czasami miała wrażenie, że jest to w istocie coś więcej niż zgadywanie — że w chwilach napięcia potrafi wśliznąć się w ich dusze i odczytać ukryte pobudki i namiętności, które stanowią, być może, tajemnicę nawet dla owych ludzi. Kiedy czuła w sobie tę moc, niełatwo przychodziło Emilce opieranie się takiej pokusie, choć zawsze ulegała jej z niespokojnym poczuciem naruszania cudzej własności. Było to zupełnie odmienne od wzbijania się na skrzydłach wyobraźni do idealnego świata twórczości — odmienne od subtelnego, nieziemskiego piękna promyka. Żadnemu z tych uczuć nie towarzyszyły wahania ani wątpliwości. Ale przekradanie się na palcach przez czyjeś chwilowo uchylone drzwi i podglądanie skrytych, nie wyrażonych i niewyraźnych cząstek serc i dusz innych ludzi budziło zawsze — prócz poczucia władzy — wrażenie, że jest to coś zakazanego, a nawet świętokradczego. Emilka nie wiedziała jednak, czy kiedykolwiek zdoła oprzeć się urokowi tej pokusy — zawsze zerkała przez uchylone drzwi i dostrzegała różne rzeczy, zanim jeszcze zdała sobie z tego sprawę.

Prawie za każdym razem były to rzeczy straszne. Piękno rzadko bywa ukryte — w przeciwieństwie do brzydoty i wypaczeń.

„Elder Forsyth w dawnych czasach mógłby być łowcą czarownic — myślała Emilka. —

Widać to z jego twarzy. W tej chwili ogromnie mu się podoba ten kaznodzieja, bo mówi o piekle, a Elder Forsyth uważa, że pójdą tam wszyscy jego wrogowie. Tak, to dlatego ma zadowoloną minę. Myślę, że pani Bowes nocami lata na miotle. *Wygląda* mi na taką.

Czteryście lat temu byłaby czarownicą, a Elder Forsyth spaliłby ją na stosie. Ona nienawidzi wszystkich... to musi być straszne czuć do wszystkich nienawiść... mieć duszę pełną nienawiści. Muszę spróbować opisać taką osobę w zeszycie od Jima. Ciekawe, czy nienawiść wyparła z jej duszy *wszelką* miłość, czy może pozostała jakaś drobna cząstka zdolna kochać

kogokolwiek lub cokolwiek. Jeżeli tak, to mogłoby ją ocalić. Byłby to dobry pomysł na opowiadanie. Muszę go zanotować przed snem... Pożyczę od Ilzy kartkę papieru. Nie ... mam tu, w modlitewniku, jakiś skrawek. Zapiszę tę myśl od razu”.

„Zastanawiam się, co powiedzieliby ci wszyscy ludzie, gdyby zapytano ich nieoczekiwanie, czego pragną najmocniej, i *musieliby* dać szczerą odpowiedź. Ciekawe, ilu spośród tych mężów i żon marzy o odmianie? Z pewnością Krzysztof Farrar i jego żona — wszyscy o tym wiedzą. Nie rozumiem także, skąd u mnie ta pewność, że podobnie jest z Jakubem Beattym i jego żoną. *Wydają się* całkiem zadowoleni z siebie nawzajem, ale raz zauważyłam, jak na niego patrzy, nieświadoma, że ktoś ją obserwuje... o, miałam wrażenie, że przez oczy zaglądam wprost do jej duszy. Ona go nienawidzi i boi się go. Siedzi teraz tutaj obok niego, drobna, chuda i zaniedbana, z poszarzałą twarzą i wypłowiałymi włosami — ale wewnątrz niej płonie czerwony ogień buntu. Ona najbardziej ze wszystkiego pragnie uwolnić się od niego — albo chociaż *raz mu odplacić*. To by jej wystarczyło.

Przyszedł także Dean — ciekawe, co go przywiodło na zebranie modlitewne? Wyraz jego twarzy jest bardzo uroczy, lecz oczy szydzą z pana Sampsona... o czym to mówi pan Sampson? Aha, coś o pannach mądrych. Nie cierpię panien mądrych — uważam, że były potwornie samolubne. Mogły przecież dać nieszczęsnym głupim pannom trochę oliwy. Nie wierzę, aby Jezus chciał je wychwalać bardziej niż, na przykład, niesprawiedliwego zarządcę. Myślę raczej, że próbował ostrzec głupich ludzi, żeby *nie byli* tacy głupi i lekkomyślni, gdyż ci rozważni i samolubni nigdy im nie pomogą. Zastanawiam się, czy to bardzo grzeszne, że wolałabym pozostać na zewnątrz z głupimi pannami, by im pomóc i pocieszyć je, niż ucztować w domu z tymi mądrymi. Byłoby to w dodatku *ciekawsze*.

Jest i pani Kent z Tedem. O, ona rozpaczliwie pragnie czegoś... nie wiem czego, ale jest to nieosiągalne, a pragnienie dręczy ją dniem i nocą. Dlatego nie puszcza Teda od siebie na krok

— wiem o tym. Nie wiem natomiast, co sprawia, że jest tak różna od pozostałych kobiet. Ani razu nie udało mi się zajrzeć do jej duszy... zamyka ją przed każdym i nigdy nie zostawia uchylonych drzwi.

A czego ja pragnę najmocniej? Podążyc Alpejską Ścieżką aż na sam szczyt.

I wyryć na lśniącym zwoju

Skromne imię dziewczyny.

Wszyscy jesteśmy głodni. Wszyscy pragniemy chleba życia — lecz pan Sampson nie może nam go dać. Ciekawe, czego on pragnie najmocniej? Jego dusza jest tak błotnista, że nie potrafię do niej zajrzeć. Ma wiele plugawych pragnień, ale nie pragnie *niczego* na tyle mocno, by to nim zawiądnęło. Pan Johnson chce pomagać ludziom i głosić prawdę — rzeczywiście tego chce. A ciocia Janina najgoręcej pragnie, by wszyscy poganie przyjęli chrześcijaństwo. W jej duszy nie ma żadnych mrocznych zachcianek. Wiem, czego chce pan Carpenter: odzyskania utraconej szansy. Katarzyna Morris chciałaby znowu być młoda, nienawidzi nas, dziewcząt, ponieważ jesteśmy młode. Stary Malcolm Strang chce po prostu żyć — jeszcze rok, zawsze jeszcze jeden rok... byle tylko żyć, byle nie umrzeć. To musi być okropne, żyć wyłącznie po to, by oddalić śmierć. A jednak wierzy w niebo — sądzi, że tam pójdzie. Gdyby mógł choć raz ujrzeć mój promyk, nie lękałby się śmierci aż tak bardzo, nieszczęsny staruszek. Maria Strang pragnie umrzeć, zanim zadręczy ją na śmierć to coś potwornego, czego się boi. Powiadają, że to rak. A tam, na chórze, stoi Szalony Pan Morrison... wszyscy wiedzą, czego on pragnie — odnaleźć swoją Anię. Tom Sibley pragnie księżycy, jak mi się wydaje, i wie, że nigdy go nie zdobędzie, dlatego ludzie mówią, że jest niespełna rozumu. Amy Crabbe pragnie powrotu Terry'ego — nic innego nie ma dla niej znaczenia.

Jutro muszę zapisać to wszystko w zeszycie od Jima. Są to fascynujące sprawy, ale mimo wszystko wolę pisać o rzeczach pięknych. Tylko że... te sprawy mają pewien smak, którego

brakuje rzeczom pięknym. Lasy za oknem... jakże są cudowne w swej srebrzystości i cieniu.

Blask księżyca wyczynia dziwy z nagrobkami — sprawia, że nawet te brzydkie wydają się piękne. Ale jest strasznie gorąco... można się tu udusić... a grzmoty rozlegają się coraz bliżej. Mam nadzieję, że dotrzemy z Ilzą do domu przed burzą. Och, panie Sampson, panie Sampson, Bóg nie jest gniewnym Bogiem — skoro tak pan o Nim mówi, to nic pan o nim nie wie. Z pewnością zasmuca Go nasza głupota i nikczemność, ale nie miewa napadów wściekłości. Pański Bóg jest dokładnie taki sam jak Bóg Ellen Greene. Mam ochotę wstać i powiedzieć to panu, lecz docinanie komukolwiek w kościele nie leży w tradycji Murrayów. Obrzydza pan Boga, a On jest piękny. Nienawidzę pana za to, trusty człowieczku”.

W tym miejscu pan Sampson, który kilkakrotnie zwrócił uwagę na skupione, badawcze spojrzenie Emilki i uznał, że wywarł na niej ogromne wrażenie uświadamiając, iż jest niegodna zbawienia, zakończył mowę gwałtownym i błagalnym okrzykiem, po czym usiadł. Słuchacze, zgromadzeni w dusznym, zatłoczonym, oświetlonym przez lampy kościele, wydali wyraźne westchnienie ulgi i zaczęli tłumnie wychodzić na świeże powietrze, zanim jeszcze przebrzmiał hymn i błogosławieństwo. Emilka, porwana przez strumień ludzi i rozdzielona z ciotką Laurą, znalazła się po lewej stronie ambony, za drzwiami prezbiterium. Dopiero po dłuższej chwili zdołała wydostać się z ciżby i pospieszyła przez kościół, gdzie spodziewała się znaleźć Ilzę. W gęstym, choć teraz szybko rzednącym tłumie nie natrafiła jednak nawet na ślad Ilzy. Wtem zauważyła, że nie ma przy sobie modlitewnika. Spiesznie rzuciła się ku bocznemu wejściu. Musiała zostawić modlitewnik w ławce — a w żadnym wypadku nie mogła sobie na to pozwolić. Włożyła przecież do środka kartkę, na której zanotowała ukradkiem to i owo podczas końcowego hymnu: dość zjadliwy opis kościstej panny Potter siedzącej na chórze, kilka satyrycznych uwag na temat samego pana Sampsona oraz parę przypadkowych myśli, które nade wszystko pragnęła ukryć, gdyż zawarła w nich cząstkę

marzeń i wizji, które obce oko mogłoby sprofanować czytaniem.

Zakrystian, stary Jakub Banks, trochę ślepy i więcej niż trochę głuchy, gasił właśnie lampy, kiedy Emilka wróciła do kościoła. Zgasił już dwie na ścianie obok ambony. Emilka pochwyciła modlitewnik, lecz kartki w nim nie było. W nikłym świetle ostatniej lampy, którą Jakub gasił w tej chwili, dostrzegła świstek na podłodze pod następną ławką. Uklęła i sięgnęła po niego. Tymczasem zakrystian wyszedł z kościoła zamykając drzwi na klucz. Emilka nie zauważyła tego — kościół był nadal słabo oświetlony blaskiem księżyca, którego nie zdołały jeszcze przesłonić spiętrzone, burzowe chmury. Okazało się, że to nie ta kartka... gdzież mogła się podziać? Och, jest tutaj, nareszcie! Emilka złapała ją i pobiegła ku drzwiom. Były zamknięte.

Po raz pierwszy Emilka zdała sobie sprawę z tego, że Jakub Banks wyszedł — że została sama w kościele. Bezskutecznie usiłowała otworzyć drzwi, wołając przy tym pana Banksa. W końcu pobiegła między ławkami w stronę kruchty. Biegąc usłyszała ostatnią bryczkę, która ze skrzypieniem ruszyła spod bramy. Jednocześnie czarne chmury połknęły nagle księżyc i kościół pogrzył się w ciemnościach. Emilka krzyknęła ogarnięta niemal dotykálną paniką, zabębniła w drzwi, gwałtownie szarpnęła klamką i znowu krzyknęła. Przecież wszyscy nie mogli sobie pójść... na pewno ktoś ją usłyszy! „Ciociu Lauro... kuzynie Jimie... Ilzo...” — a w końcu, z jękiem rozpacz: „Och, Ted... Ted!”

Kruchtę rozświetliła błękitno-biała błyskawica, a potem rozległ się grzmot. Zaczęła się jedna z najgorszych burz w dziejach Perlistej Wody, a Emilka Starr była zamknięta sama jedna w mrocznym kościele w klonowym lasku — ona, która zawsze bała się burzy z piorunami, zawsze czuła nieuzasadniony, instynktowny lęk, nie dający się stłumić ani całkowicie opanować.

Drżąc osunęła się na stopień i skuliła bezradnie. Na pewno ktoś po nią wróci, gdy odkryje

jej zniknięcie. Ale czy ktokolwiek je odkryje? Kto zauważy, że jej nie ma? Ciotka Laura i kuzyn Jim będą myśleli, że jest u Ilzy, jak zostało ustalone. Ilza, która najwyraźniej poszła do domu, przekonana, że Emilka nie może u niej nocować, pomyśli, że wróciła do Księżycowego Nowiu. Nikt nie wiedział, gdzie jest... nikt po nią nie przyjdzie. Musi siedzieć w tym upiornym, odludnym, ciemnym, pełnym ech miejscu... gdyż w owej chwili kościół, który znała tak dobrze i który kochała ze względu na odległe skojarzenia ze szkółką niedzielną, śpiewem i znajomymi twarzami przyjaciół, stał się dla niej straszny, obcym miejscem pełnym groźnych, przycających zjaw. Nie było stąd ucieczki. Okna nie dawały się otworzyć. Kościół wietrzono za pomocą wysoko umieszczonych wywietrzników z szybkami, otwieranymi i zamykanymi przez pociąganie za drucik. Nie potrafiłaby wspiąć się do nich, a gdyby nawet, nie przecisnęłaby się przez żaden z nich.

Drżąc od stóp do głów przycupnęła na stopniu. Błyskawice i grzmoty trwały teraz prawie nieprzerwanie, deszcz uderzał w okna nie kroplami, lecz strumieniami, ustępując niekiedy salwom gradu. Wichura wzmogła się wraz z burzą i cały kościół aż huczał. Nie był to głos starej, dobrej przyjaciółki z dzieciństwa, lekkiej jak mgiełka Królowej Wiatru o nietoperzych skrzydłach, lecz wycie hordy czarownic. Emilka słyszała kiedyś Szalonego Pana Morrisona mówiącego: „Książę Powietrznych Mocy rządzi wiatrem”. Dlaczego właśnie teraz przyszedł jej na myśl Szalony Pan Morrison? Jak te okna dygocą, zupełnie jakby potrząsały nimi demony burzy! Znała niesamowitą opowieść, że ktoś pewnej nocy, przed laty, słyszał organy grające w pustym kościele. *A gdyby tak zaczęły grać w tej chwili?* Żadne wyobrażenie nie było na tyle groteskowe ani przerażające, by nie mogło się ziścić. Czy schody nie zaskrzypiały? Ciemność pomiędzy błyskawicami była tak gęsta, że wydawała się *namacalna*. W obawie, że ta ciemność ją dotknie, Emilka wtuliła twarz w kolana. Po chwili jednak wzięła się w garść i pomyślała, że nie jest godna tradycji Murrayów. Murrayowie nie wpadają w taką

panikę. Mur — rayowie nie szaleją ze strachu podczas burzy. Dawni Murrayowie, śpiący na cmentarzu za stawem, pogardzaliby nią jako wyrodną potomkinią. Ciotka Elżbieta powiedziałaaby, że wychodzą na jaw cechy Starrów. Musi być dzielna — w końcu przeżywała już gorsze chwile: noc po zjedzeniu zatrutego jabłka Dumnego Jana*... dzień, gdy osunęła się ze skały w zatoce Malvern. To zaś spadło na nią tak nieoczekiwanie, że poddała się lękowi, zanim zebrała siły. Musi się opanować. Nie stanie się jej nic strasznego — nic gorszego niż spędzenie nocy w kościele. Rano zwróci uwagę jakiegoś przechodnia. Jest tu już od godziny i nic się nie stało — chyba że jej włosy zbielały, co, jak wiedziała, zdarzało się czasami. Czuła, że jeżą jej się włosy na głowie. Ujęła swój długi warkocz, czekając na kolejną błyskawicę. W jej świetle dostrzegła, że włosy ma nadal czarne. Westchnęła z ulgą i ożywiła się nieco. Burza mijała. Grzmoty stały się cichsze i rzadsze, choć deszcz wciąż padał, a wiatr dął i wył w nawie kościoła, gwizdząc niesamowicie w wielkiej dziurze od klucza.

Emilka wyprostowała się i ostrożnie opuściła stopę na niższy schodek. Pomyślała, że lepiej będzie wrócić do głównej nawy. Gdyby nadciągnęła kolejna chmura, piorun mógłby uderzyć w wieżę — Emilka pamiętała, że pioruny zawsze biją w wieżę — i trafić prosto w kruchtę. Zejdzie i usiądzie w ławce Murrayów; będzie rozsądna, opanowana i spokojna. Wstydziła się swego panicznego lęku... ale to naprawdę było przerażające.

Otaczał ją teraz miękki, gęsty mrok, sprawiający wciąż to samo niesamowite uczucie czegoś dotykającego, zrodzone być może przez parną i wilgotną lipcową noc. Kruchta była mała i wąska — Emilka pomyślała, że na dole w kościele nie będzie jej tak duszno i nieswojo. Wyciągnęła dłoń w stronę poręczy i stanęła na zdrętwiałych nogach. Jej ręka dotknęła... nie poręczy... litościwe nieba, cóż to mogło być?... czegoś włochatego. Okrzyk zgrozy zamarł Emilce na wargach... obok na schodach rozległo się tupanie i w świetle błyskawicy dostrzegła u stóp schodów wielkiego, czarnego psa, który obejrzał się ku niej, zanim

pochłonęła go na nowo ciemność. Zdążyła jednak zobaczyć jego oczy jarzące się diabelską czerwienią.

Włosy Emilki zjeżyły się ponownie, a wzdłuż kręgosłupa zaczęła pełznąć powoli bardzo duża i lodowata gąsienica. Nie była w stanie ruszyć palcem, choćby od tego zależało jej życie. Nie mogła nawet krzyczeć. Jediną rzeczą, która w pierwszej chwili przyszła jej na myśl, był straszliwy pies — widmo z zamku Manx, występujący w „Peverilu z górskiego szczytu”. Przez chwilę ogarnęła ją taka groza, że poczuła się niemal fizycznie chora. Potem z wysiłkiem i zupełnie niedziecięcą determinacją — chyba właśnie wtedy Emilka przestała być dzieckiem — odzyskała panowanie nad sobą. Nie podda się lękowi... zacisnęła zęby i zwinęła w pięści drżące dłonie; będzie dzielna... i rozsądna. To był po prostu zwyczajny pies z Perlistej Wody, który wszedł tutaj za swym właścicielem, jakimś małym łobuziakiem, i został w kościele. Takie rzeczy już się zdarzały.

Błyskawica oświetliła pustą kruchtę. Widocznie pies znajdował się w głównej nawie. Emilka postanowiła nie ruszać się z miejsca. Paniczny lęk opuścił ją już, ale nie chciała poczuć nagle w ciemnościach dotyku zimnego nosa lub włochatego boku. Nie mogła zapomnieć tej okropnej chwili, gdy dotknęła zwierzęcia.

Zapewne była już północ — zebranie skończyło się o dziesiątej. Odgłosy burzy niemal ucichły. Od czasu do czasu dobiegały jeszcze podmuchy i wycie wiatru, ale między nimi zapadała cisza, przerywana jedynie słabnym pluskaniem deszczu. Grzmoty nadal pomrukiwały z oddali, a błyskawice często rozświetlały niebo, lecz był to bledszy, łagodniejszy blask — nie owa oślepiająca jasność, która zdawała się ogarniać kościół nieznośną, błękitną poświatą i przeszywać oczy. Serce Emilki stopniowo powracało do normalnego rytmu. Powróciła też zdolność rozumowania. Nie odpowiadało jej to kłopotliwe

* Patrz „Emilka z Księżycowego Nowiu”

położenie, ale zaczęła dostrzegać w nim pewne dramatyczne możliwości. O, cóż to będzie za rozdział w pamiętniku... albo w zeszycie od Jima... a później w powieści, którą kiedyś napisze! Była to sytuacja w sam raz dla bohaterki — która musiała zostać, rzecz jasna, wyratowana przez bohatera. Emilka zaczęła budować tę scenę, rozszerzać ją, nasycać napięciem... szukała słów, by to wyrazić. To było dość interesujące... mimo wszystko. Żałowała tylko, że nie wie, gdzie jest pies. Jak nieziemskie wydawały się nagrobki skąpane w księżycowej poświacie, widoczne przez okienko wieży! Jak dziwnie wyglądała znajoma dolina, oświetlona powracającymi błyskami! Wiatr zawodził, wzdychał i narzekał — ale był to znowu głos dawnej Królowej Wiatru. Królowa Wiatru należała do dziecięcych wyobrażeń Emilki zabranych w dojrzałość i teraz niosła jej pociechę wraz z poczuciem dawnego koleżeństwa. Demony burzy odeszły, a zaczarowana przyjaciółka powróciła. Emilka westchnęła niemal z zadowoleniem. Najgorsze było już za nią — i czyż nie zachowała się jak należy? Zaczęła na nowo odzyskiwać szacunek dla siebie.

I nagle poczuła, że nie jest sama w kościele!

Nie wiedziała, skąd płynie to przeświadczenie. Nic nie widziała ani nie słyszała, niczego nie dotknęła... a jednak czuła niewątpliwą i niepodważalną Obecność w mroku na schodach za sobą.

Odwróciła się i spojrzała ku górze. Strasznie było patrzeć, ale mniej strasznie było mieć to... Coś przed sobą, a nie za plecami. Wpatrywała się w ciemność dzikimi, rozszerzonymi oczyma, lecz nic nie widziała. A potem... usłyszała nad sobą cichy śmiech, śmiech, od którego jej serce zamarło... przerażający, nieludzki śmiech istoty obłąkanej. Nie potrzebowała światła kolejnej błyskawicy, by odgadnąć, że na schodach znajduje się Szalony Pan Morrison. Ale i tak go zobaczyła... poczuła, że zapada się w lodowate odmęty... nie była w stanie nawet krzyknąć.

Jego obraz, odcisnięty w jej umyśle przez błyskawicę, pozostał tam na zawsze. Pan Morrison przykucnął pięć stopni nad nią, wysunąwszy naprzód siwą głowę. Widziała obłąkańczy blask w jego oczach, podobne do kłów żółte zęby, wyszczerzone w okropnym uśmiechu, długą, chudą, krwistoczerwoną rękę wyciągniętą tak, że niemal dotykała jej ramienia.

Paniczny lęk wyrwał Emilkę z transu. Zerwała się z przeraźliwym krzykiem.

— Ted! Ted, ratuj mnie! — krzyknęła jak oszalała.

Nie wiedziała, dlaczego wzywa Teda — nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że go wzywa — przypominała sobie o tym później, tak jak człowiek wspomina krzyk, z którym obudził się z koszmarne snu. Wiedziała tylko, że pomoc jest konieczna, że umrze, jeśli dotknie jej ta straszna ręka. Nie może jej dotknąć!

Jednym szalonym susem znalazła się u stóp schodów i wbiegła między ławki. Musi się ukryć przed następną błyskawicą, ale nie w ławce Murrayów. Mógłby jej tam szukać.

Wsunęła się w jedną ze środkowych ławek i skuliła w rogu na podłodze. Oblewał ją zimny pot. Uległa bez reszty nieopanowanemu przerażeniu. Mogła myśleć tylko o jednym: żeby nie dotknęła jej ta ręka... krwistoczerwona ręka szalonego starca.

Mijały chwile, które były jak lata. Wtedy usłyszała kroki... kroki rozlegające się coraz bliżej. Wiedziała już, co on robi. Nie czekając na błyskawicę wchodził do każdej ławki i wyciągał rękę po omacku. A zatem szukał jej — słyszała wcześniej, że czasami szedł za jakąś dziewczyną, myśląc, że to jego Ania. Kiedy ją dogonił, przytrzymał ją jedną ręką, drugą zaś tkliwie gładził jej twarz i włosy, mamrocząc niemądre, starcze czułości. Nigdy nikogo nie skrzywdził, lecz nie chciał puścić dziewczyny, dopóki inna osoba nie wybawiła jej z opresji. Mówiono, że Maria Paxton z Balladowego Stawu nigdy już nie odzyskała równowagi — jej nerwy nie wytrzymały tego wstrząsu.

Emilka wiedziała, że to tylko kwestia czasu i że w końcu dojdzie do jej ławki... macając przed sobą tymi rękami! Ciało jej było zimne jak lód, ale zachowała przytomność jedynie dzięki myśli, że jeżeli zemdleje, te ręce będą jej dotykały... obejmowały... pieściły. Kolejna błyskawica ukazała go przy kolejnej ławce. Emilka wyskoczyła i pobiegła ku przeciwległej stronie kościoła. Ukryła się ponownie: odnajdzie ją, lecz ona znowu mu umknie. To mogło trwać przez całą noc — szalenciec był silniejszy niż ona i w końcu nie wytrzyma z wyczerpania, a wtedy ją dopadnie.

Obłąkańcza zabawa w chowanego trwała, jak się Emilce wydawało, wiele godzin. W rzeczywistości było to około pół godziny. Emilka przestała być istotą rozumną — prawie w tym samym stopniu co jej szalony prześladowca. Zamieniła się w skulone, biegające, krzyżące, przerażone stworzenie. On zaś tropił ją bez wytchnienia, z przebiegłą, nieubłaganą cierpliwością. W końcu znalazła się przy drzwiach kruchty i zdesperowana wbiegła za nie, zatraskując mu je przed nosem. Resztkami sił próbowała utrzymać gałkę, by jej nie przekręcił. I w trakcie tych zmagania usłyszała nagle... czyżby śniła? Usłyszała głos Teda wołający ze schodów za zewnętrznymi drzwiami:

— Emilko! Emilko! Jesteś tam?

Nie wiedziała, jak to się stało, że przyszedł... nie zastanawiała się nad tym... wiedziała tylko, że tam jest!

— Ted, jestem w kościele... zamknięta! — krzyknęła. — I jest tu Szalony Pan

Morrison... och, szybko, szybko, ratuj mnie... ratuj!

— Klucz wisi na gwoździu po prawej stronie! — zawołał Ted. — Czy możesz go zdjąć i otworzyć drzwi? Jeżeli nie, rozbiję okno!

W tej samej chwili księżyc wyjrzał zza chmur i oświetlił kruchtę. Emilka dostrzegła wyraźnie wielki klucz wiszący wysoko na ścianie obok głównego wejścia. Rzuciła się w jego

stronę i złapała go, a jednocześnie Szalony Pan Morrison pchnął drzwi i razem ze swym psem wpadł do kruchty. Emilka przekręciła klucz w zewnętrznych drzwiach i zatoczyła się prosto w ramiona Teda, umykając w ostatniej chwili przed czerwoną, wyciągniętą ręką. Usłyszała dziki, niesamowity, rozpaczliwy okrzyk Szalonego Pana Morrisona. Szlochając i dygocąc przywarła do Teda.

— Och, Ted, zabierz mnie stąd, prędko... nie pozwól mu mnie dotknąć, Ted... nie pozwól!

Ted zasłonił ją sobą i stanął na kamiennym stopniu przed panem Morrisonem.

— Jak pan śmiał tak ją przerazić? — zapytał z gniewem. Szalony Pan Morrison uśmiechnął się z dezaprobatą. Nagle przestał być gwałtowny i niepohamowany — był tylko załamany starcem, szukającym swej ukochanej.

— Chcę Ani — wymamrotał. — Gdzie jest Ania? Myślałem, że ją znalazłem. Chciałem tylko odnaleźć moją śliczną Anię.

— Nie ma tutaj Ani — odparł Ted, ściskając mocniej zimną dłoń Emilki.

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest? — poprosił tęsknie pan Morrison. — Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest moja ciemnowłosa Ania?

Ted był wściekły na Szalonego Pana Morrisona, ponieważ przeraził Emilkę, ale poruszyło go żalodne błaganie starego człowieka — a jako artysta dostrzegł urok obrazu malującego się na tle białego, oświetlonego księżycowym blaskiem kościoła. Pomyślał, że chciałby namalować Szalonego Pana Morrisona tak jak stał — wysokiego i chudego, w szarym prochowcu, z długimi, siwymi włosami i brodą, i z odwiecznym pragnieniem w pustych, zapadniętych oczach.

— Nie... nie... nie wiem, gdzie ona jest — odparł łagodnie — ale myślę, że odnajdzie ją pan pewnego dnia.

Szalony Pan Morrison westchnął.

— O, tak. Kiedyś ją dogonię. Chodź, piesku, poszukamy jej. Zszedł ze stopni, a za nim jego stary, czarny pies. Przeciął trawnik i ruszył przed siebie długą, podmokłą, ocienioną drogą. W ten sposób odszedł z życia Emilki. Nigdy już nie zobaczyła Szalonego Pana Morrisona. Ale odprowadziła go współczującym spojrzeniem i wybaczyła mu. We własnych oczach nie był tym odrażającym starcem, jakim wydał się Emilce — ale wytwornym młodzieńcem szukającym utraconej i ślicznej młodej żony. Wzruszające piękno jego poszukiwań zaintrygowało Emilkę, choć drżała jeszcze pod wpływem straszliwego przeżycia.

— Biedny pan Morrison — szlochała, gdy Ted na pół niósł, na pół prowadził ją ku jednemu ze starych, płaskich kamieni nagrobnych obok kościoła.

Siedzieli tam, dopóki Emilka nie uspokoiła się, a wówczas opowiedziała, co się zdarzyło — dość ogólnikowo. Czuła, że nie byłaby w stanie opowiedzieć — ani, być może, nawet opisać w zeszycie od Jima — całej historii z jej przerażającą grozą. To nie dawało się wyrazić słowami.

— I pomyśleć — szlochała — że ten klucz wisiał tam przez cały czas. Nie miałam pojęcia.

— Stary Jakub Banks zawsze zamyka główne drzwi od środka swoim wielkim kluczem, a potem wiesza go na gwoździu — wyjaśnił Ted. — Drzwi prezbiterium zamyka małym kluczem, który zabiera z sobą. Robi to od trzech lat, kiedy to zgubił duży klucz i *znalazł* go dopiero po paru tygodniach.

Nagle Emilka uświadomiła sobie, jak dziwne było zjawienie się Teda.

— Ted, jak to się stało, że przyszedłeś tutaj?

— Przecież słyszałem twoje wołanie — odparł. — Wzywałaś mnie, prawda?

— Tak — przyznała z ociąganiem Emilka. — Zawołałam cię, kiedy zobaczyłam

Szalonego Pana Morrisona. Ale nie mogłeś mnie słyszeć, Ted... *nie mogłeś*. Wrotyczowy Łan

leży o milę stąd.

— Słyszałem cię — powtórzył z uporem Ted. — To mnie wyrwało ze snu. Wołałaś: „Ted, Ted, ratuj mnie”. Słyszałem twój głos bardzo wyraźnie. Wstałem, ubrałem się prędko i przybiegłem tu jak najszybciej.

— Skąd wiedziałaś, że jestem tutaj?

— No... nie wiem — odparł Ted z zakłopotaniem. — Nie zastanawiałem się nad tym... po prostu, kiedy usłyszałem twój głos, wydawało mi się, iż wiem, że jesteś w kościele i że muszę dotrzeć tutaj jak najszybciej. To... to wszystko jest... zabawne — dokończył niezgrabnie.

— To...to mnie trochę przeraża — Emilka zadrżała. — Ciotka Elżbieta mówi, że mam szósty zmysł. Pamiętasz matkę Ilzy? Pan Carpenter powiedział, że jestem medium. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale chyba wolałabym nim nie być.

Zadrżała znowu. Ted pomyślał, że zmarzła, a ponieważ nie miał jej czym okryć, objął ją ramieniem — jak gdyby na próbę, bo przecież mógł urazić dumę i godność Murrayów. Ciało Emilki nie było zmarznięte, lecz jej duszę przeszył lekki dreszcz. Coś nadprzyrodzonego — jakaś niepojęta tajemnica — musnęło ją o włos w tym dziwnym wezwaniu. Bezwiednie przysunęła się bliżej do Teda, uświadamiając sobie wyraźnie, że pod nieśmiałą chłopięcą wyniosłością kryje się czułość. Zrozumiała nagle, że lubi Teda najbardziej ze wszystkich — bardziej nawet niż ciotkę Laurę, Ilzę czy Deana.

Ted objął ją mocniej.

— W każdym razie cieszę się, że przyszedłem w porę — powiedział. — Inaczej ten stary wariat przeraziłby cię na śmierć.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Wszystko wydawało się wspaniałe i piękne — trochę nierealne. Emilka pomyślała, że chyba śni albo znalazła się w jednej z własnych baśniowych opowieści. Burza minęła i księżyc znowu świecił jasno. Świeże, chłodne

powietrze wypełniło się urzekającymi dźwiękami — kapryśne krople deszczu spadały z rozkołysanych gałęzi klonów, wokół kościoła słyhać było przedziwne nawoływania Królowej Wiatru, z dala dobiegał intrygujący głos morza, a wszędzie rozbrzmiewały coraz delikatniejsze i rzadsze, nikłe, odległe pojedyncze odgłosy nocy. Emilka odbierała wszystko bardziej duszą niż ciałem, jak się wydawało, gdyż nigdy dotąd nie słyszała takich dźwięków. Dookoła rozpościerały się pola, zagajniki i drogi, nieuchwytnie i nasuwające miłe myśli, jak gdyby dumały w blasku księżyca nad sekretami elfów. Srebrzystobiałe stokrotki kiwały główkami i kołysały się nad zapomnianymi i zadbanymi grobami. Wśród gałęzi starej sosny jakaś sowa zaśmiała się do siebie radośnie. Ów magiczny dźwięk obudził w Emilce mistyczny promyk i ogarnął ją niczym silny podmuch wiatru. Wydawało się jej, że są z Tedem sami w nowym, cudownym świecie, stworzonym wyłącznie dla nich z młodości, tajemnic i zachwytu. Byli jak gdyby cząstką ulotnego, chłodnego zapachu nocy, śmiechu sowy, stokrotek kołyszących się wśród cieni.

Ted tymczasem myślał, że Emilka wygląda bardzo słodko w bladym świetle księżyca, ze swymi tajemniczymi oczyma i długimi rzęsami, i drobnymi ciemnymi loczkami wokół szyi o barwie kości słoniowej. Objął ją jeszcze mocniej — i tym razem także duma ani godność Murrayów nie wyraziły najmniejszego sprzeciwu. — Emilko — szepnął Ted — jesteś najśłodsza dziewczyną na świecie. Słowa te były tak często wypowiedane przez miliony chłopców do milionów dziewcząt, że powinny już zedrzeć się na strzępy. Ale gdy słyszy się je po raz pierwszy w pewnej czarodziejskiej, nastoletniej godzinie, są tak nowe, świeże i zdumiewające, jakby przed chwilą napłynęły z rajskiego ogrodu. Kimkolwiek jesteś, ilekolwiek liczysz sobie lat, bądź uczciwa i przyznaj, że słysząc te słowa po raz pierwszy z ust onieśmiałego adoratora, przeżyłaś ważną chwilę w życiu. Emilka zadrżała na całym ciele od owego nieznanego dotychczas i niemal przerażającego uczucia słodczy — było ono dla

jej zmysłów tym, czym promyk dla ducha. Jest rzeczą zupełnie możliwą i niekoniecznie naganną, że następnym krokiem mógłby być pocałunek. Emilce wydawało się, że Ted zamierza ją pocałować; Ted wiedział, że ma taki zamiar; i istnieją wszelkie przesłanki do twierdzenia, że nie zostałby spoliczkowany, jak to się przydarzyło Geoffowi Northowi. Lecz nie było im to dane. Cień, który wśliznął się przez bramę i przemknął po wilgotnej trawie, przystanął obok nich i dotknął ramienia Teda, który pochylał właśnie lśniąca, czarna głowę. Wzdrygnął się i podniósł oczy. Emilka także spojrzała w górę. Stała przed nimi pani Kent, z gołą głową, a jej zeszpecona blizną twarz nabrała w świetle księżyca tragicznego wyrazu.

Emilka i Ted zerwali się z miejsca tak gwałtownie, jak gdyby ktoś ich pociągnął. Czarodziejski świat Emilki znikł jak pękająca bańka mydlana. Znalazła się w zupełnie innym świecie — nedorzecznym i groteskowym. Tak, groteskowym. Wszystko nagle stało się groteskowe. Czy mogło być coś bardziej groteskowego niż fakt, że zostali z Tedem przyłapani przez jego matkę o drugiej w nocy na... co to za okropne słowo — usłyszała niedawno?... ach, tak, umizgi... to było to... na umizgach przy liczącym lat osiemdziesiąt grobie Jerzego Hor — tona? Tak to będzie wyglądało w oczach innych. Jak to możliwe, że coś wydaje się w jednej chwili tak piękne, a w następnej tak nedorzeczne? Emilka aż płonęła ze wstydu. A Ted... wiedziała, że Ted czuje się jak głupiec.

Dla pani Kent sytuacja nie była groteskowa — była straszna. W swej chorobliwej zazdrości przypisywała temu wydarzeniu najbardziej złowrobną wymowę. Spojrzała na Emilkę pustymi, głodnymi oczyma.

— A więc próbujesz ukraść mi syna — powiedziała. — Jest wszystkim, co posiadam, a ty próbujesz go ukraść.

— Och, mamó, na miłość boską, bądź rozsądna! — mruknął Ted.

— On... on mówi mi, żebym była rozsądna — powtórzyła tragicznym tonem pani Kent, zwracając się do księżycyca. — Rozsądna!

— Tak, rozsądna — rzekł gniewnie Ted. — Nie ma o co robić tyle hałasu. Emilka została przypadkowo zamknięta w kościele, a razem z nią Szalony Pan Morrison, który przeraził ją niemal na śmierć. Przyszedłem, żeby ją uwolnić, i usiedliśmy tutaj na chwilę, by mogła dojść do siebie i wrócić do domu. To wszystko.

— Skąd wiedziałaś, że tu jest? — spytała z naciskiem pani Kent. Właśnie, skąd? Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Prawda zabrzmiałaby jak niemądre wymysły. Ted jednak ją wypowiedział.

— Zawołała mnie — odparł prosto z mostu.

— A ty usłyszałeś... o milę stąd. Czy myślisz, że w to uwierzę? — pani Kent wybuchnęła dzikim śmiechem.

Tymczasem Emilka odzyskała równowagę. Jeszcze nigdy w życiu Emilia Byrd Starr nie dała się zbić z tropu na długo. Wyprostowała się dumnie i w niewyraźnym świetle, mimo rysów Starrów, wyglądała tak, jak mogła wyglądać Elżbieta Murray przed trzydziestu laty.

— To prawda, pani Kent, czy pani w to wierzy, czy nie — rzekła wyniośle. — Nie kradnę pani syna... Nie zależy mi na nim... może odejść.

— Najpierw odprowadzę cię do domu, Emilko — oświadczył Ted. Założył ręce, odrzucił głowę do tyłu i usiłował przybrać postawę równie godną jak Emilka. Czuł, że poniósł druzgocącą klęskę, ale mimo to wywarł pewne wrażenie na pani Kent. Zaczęła płakać.

— Idź... idź — szlochała. — Idź z nią... porzuć mnie.

Emilka była już bardzo zła. Jeżeli ta niezrównoważona kobieta życzy sobie sceny, bardzo dobrze, będzie ją miała.

— Nie chcę, żeby mnie odprowadzał — oznajmiła zimno. — Ted, idź z matką.

— O, wydajesz mu polecenia, czy tak? Musi robić, co każesz, prawda? — zawołała pani Kent, która najwyraźniej traciła panowanie nad sobą. Jej drobnym ciałem wstrząsały gwałtowne łkania. Załamywała ręce. — Niech sam wybierze! — wykrzyknęła. — Czy odejdzie do ciebie, czy wróci do mnie. Wybierz sam, Ted. Nie słuchaj jej rozkazów.

Wybieraj!

Ted czuł się tak nieszczęśliwy, zły i bezradny, jak czuje się każdy mężczyzna, gdy dwie kobiety kłócą się o niego w jego obecności. Pragnął znaleźć się o tysiąc mil stąd. Co za kłopotliwe położenie... zostać tak wystawionym na pośmiewisko przed Emilką! Dlaczego jego matka nie może zachowywać się jak inne matki? Dlaczego musi być tak natarczywa i wymagająca? Wiedział, że w Perlistej Wodzie plotkowano, iż jest „trochę nawiedzona”. Nie wierzył w to. Lecz... lecz... krótko mówiąc, jego położenie było kłopotliwe. Wszystko na to wskazywało. Co miał teraz zrobić? Wiedział, że jeżeli odprowadzi Emilkę, matka będzie płakała i modliła się całymi dniami. Z drugiej strony, opuszczenie Emilki po tym strasznym przeżyciu w kościele i pozostawienie jej samej na drodze było nie do pomyślenia. Emilka jednak panowała nad sytuacją. Była bardzo rozgniewana, owym zimnym gniewem starego Hugona Murraya, nie wdającym się w jałowe spory, lecz zmierzającym prosto do celu.

— Jest pani niemądra, samolubną kobietą — powiedziała — i doprowadzi pani do tego, że syn panią znienawidzi.

— Samolubną! Nazywasz mnie samolubną! — załkała pani Kent. — Żyję tylko dla Teda... on jest celem mojego życia.

— Jest pani samolubna. — Emilka stała wyprostowana, jej oczy pociemniały, głos stał się ostry. Twarz przybrała „murrayowski wyraz”, który w bladej księżycowej poświacie był dość przerażający. Mówiąc zastanawiała się, skąd wie o pewnych rzeczach. Ale wiedziała o nich.

— Uważa pani, że go kocha... ale naprawdę kocha pani tylko siebie. Postanowiła pani

zniszczyć mu życie. Nie chce go pani puścić do Shrewsbury, bo rozstanie sprawiłoby pani ból. Pozwoliła pani, by zazdrość o wszystko, co jest mu drogie, pożerała pani serce i rządziła panią. Nie jest pani skłonna do najmniejszego poświęcenia. Wcale nie postępuje pani jak matka. Ted ma ogromny talent... wszyscy to mówią. Powinna pani być z niego dumna... dać mu szansę. Ale pani nie chce... i kiedyś on znienawidzi panią za to... tak, znienawidzi.

— Och, nie, nie — jęknęła pani Kent. Uniosła ręce, jakby osłaniając się przed ciosem, i cofnęła w stronę Teda. — O, jesteś okrutna... okrutna. Nie wiesz, ile wycierpiałam... nie wiesz, ile bólu mam w sercu. On jest dla mnie wszystkim... wszystkim. Nic innego mi nie zostało... nawet wspomnienia. Ty tego nie rozumiesz. Nie mogę... nie mogę go utracić.

— Utraci go pani, jeżeli pani zazdrość zniszczy mu życie — powiedziała nieugięta Emilka. Zawsze bała się pani Kent. Teraz nagle poczuła, że już się nie boi, i wiedziała, że nigdy więcej już się bać nie będzie. — Nienawidzi pani wszystkiego, co jest mu drogie... jego przyjaciół, jego psa, jego rysunków. Wie pani o tym dobrze. Ale w ten sposób nie zatrzyma go pani dla siebie, pani Kent. Zrozumie to pani, gdy będzie już za późno. Dobranoc, Ted. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Dobranoc, pani Kent.

„Dobranoc” Emilki zabrzmiało bardzo stanowczo. Odwróciła się i pomaszerowała przez trawę, nie oglądając się ani razu, z głową wysoko uniesioną. Maszerowała podmokłą drogą, na początku bardzo zła, a później, kiedy złość opadła, bardzo zmęczona... och, strasznie zmęczona. Zdała sobie sprawę, że cała drży ze znużenia. Była wyczerpana mocnymi przeżyciami — co miała teraz zrobić? Nie uśmiechał się jej powrót do Księżycowego Nowiu. Czowała, że nie byłaby w stanie stawić czoła rozgniewanej ciotce Elżbiecie, gdyby rozmaite gorszące epizody tej nocy miały wyjść na jaw. Przekroczyła bramę posiadłości doktora Burnleya. Nigdy nie zamykał drzwi na klucz. Emilka wśliznęła się do przedsionka, gdy świt zaczął już rozjaśniać niebo, i skuliła na kanapce pod schodami. Nie było po co budzić Ilzy.

Rano opowie jej o wszystkim i zobowiąże do zachowania tajemnicy... o wszystkim prócz jednej rzeczy, którą wypowiedział Ted, i prócz rozmowy z panią Kent. Pierwsze było zbyt piękne, a drugie zbyt przykre, żeby o tym mówić. Oczywiście pani Kent nie była taka jak inne kobiety i nie warto brać sobie tego do serca. Niemniej jednak zepsuła coś kruchego i pięknego... splamiła nedorzecznym zachowaniem chwilę, która powinna pozostać cudowna na zawsze. I, oczywiście, przez nią biedny Ted czuł się głupio. W ostatecznym rozrachunku tego właśnie Emilka nie mogła jej wybaczyć.

Zapadając w sen wspomniała jeszcze wypadki tej niezwyklej nocy: uwięzienie w pustym kościele... przerażające dotknięcie psa... jeszcze bardziej przerażający pościg Szalonego Pana Morrisona... wszechogarniającą ulgę na dźwięk głosu Teda... krótką, księżycową idyllę na cmentarzu — doprawdy, idylliczne miejsce! — i tragikomiczne zjawienie się nieszczęsnej, chorej, zazdrosnej pani Kent.

„Mam nadzieję, że nie byłam dla niej zbyt surowa — myślała Emilka usypiając, — Jeżeli tak, to jest mi przykro. Muszę to opisać w pamiętniku jako zły uczynek. Czuję się tak, jakbym nagle dorosła tej nocy. Wczorajszy dzień wydaje się odległy o całe lata. Lecz jakież to będzie rozdział w pamiętniku! Opiszę wszystko... prócz słów Teda, że jestem najśłodszą dziewczyną na świecie. Są zbyt... cenne, żebym miała je zapisywać. Po prostu je *zapamiętam*”.

IV

JAK WIDZĄ NAS INNI

Emilka skończyła szorowanie kuchennej podłogi i pochłonięta była piaskowaniem jej w piękny i zawiły wzór zwany „jodełką”, który stanowił jedną z tradycji Księżycowego Nowiu, a wynaleziony został podobno przez praprababkę słynną z powiedzenia „Tutaj zostaję”.

Emilka, którą ciotka Laura nauczyła, jak to robić, była dumna ze swej zręczności. Nawet ciotka Elżbieta raczyła przyznać, że Emilka wykonuje słynny wzór bardzo dobrze, a po pochwale ciotki Elżbiety wszelkie inne uwagi były zbyteczne.

Księżycowy Nów był jedynym domem w Perlistej Wodzie, który zachował stary zwyczaj piaskowania podłóg; inne gospodynie od dawna stosowały „nowomodne” urządzenia i odkurzacze. Ale Elżbieta Murray nie chciała o tym słyszeć; póki rządziła Księżycowym Nowiem, poty miały płonąć w nim świece, a piaskowane podłogi — lśnić bielą.

Ciotka Elżbieta zirytowała nieco Emilkę kazać jej włożyć starą podomkę ciotki Laury na czas sprzątanía. Była to podomka zwana „matką Hubbard” i należy chyba wyjaśnić młodszemu pokoleniu, że strój ten, luźny i bezkształtny, służył głównie jako rodzaj powszechnie lubianego szlafroka, ponieważ był przewiewny i łatwy do narzucenia na siebie. Nie trzeba dodawać, że ciotka Elżbieta nie uznawała „matki Hubbard”. Uważała ją za nader niechlujną i nigdy nie pozwoliła Laurze kupić drugiej. Ale ta stara podomka, choć jej ładny kolor dawno wyblakł i przeszedł w brudną biel, była wciąż „za porządną”, by ją przeznaczyć na ścierki do kurzu — i dlatego Emilka musiała ją założyć.

Emilka nie znosiła „matek Hubbard” równie serdecznie jak sama ciotka Elżbieta. Uważała, że są gorsze nawet od znieawidzonych „dzidziusiowych fartuszków” z pierwszego lata w Księżycowym Nowiu. Wiedziała, że wygląda śmiesznie w „matce Hubbard” ciotki Laury: podomka sięgała jej do stóp i zwisała w luźnych, nierównych fałdach z jej szczupłych ramion

— a Emilka panicznie bała się „śmieszności”. Pewnego razu zgorszyła ciotkę Elżbietę mówiąc jej chłodno, że wolałaby „być złą niż śmieszna”. Emilka szorowała i piaskowała podłogę, rzucając niespokojne spojrzenia na drzwi, gotowa do ucieczki, gdyby pojawił się ktoś obcy.

Emilka wiedziała dobrze, że „ucieczka” nie należy do tradycji Murrayów. W Księżycowym Nowiu każdy stawiał czoło sytuacji niezależnie od tego, co miał na sobie — zakładając, że był zawsze przyodziany schludnie i odpowiednio do wykonywanej czynności. Emilka uznawała słuszność tego założenia, lecz była jeszcze na tyle młoda i niemądra, że czuła, iż umrze ze wstydu, jeśli ktoś ją zobaczy w ciotczynej „matce Hubbard”. Była schludna, czysta — ale „śmieszna”. Ot, co!

W chwili, gdy Emilka skończyła piaskowanie i miała właśnie wstawić puszkę z piaskiem do kuchennej wnęki, gdzie było jej miejsce od niepamiętnych czasów, usłyszała na podwórku obce głosy. Szybkie spojrzenie przez okno pozwoliło jej rozpoznać właścicielki owych głosów — pannę Beulah Potter i panią Annę Cyrillę Potter, które przyszły niewątpliwie w związku z planowanym spotkaniem Koła Kobiet. Skierowały się ku bocznym drzwiom, jak to było w zwyczaju w Perlistej Wodzie, gdy odwiedzało się sąsiada bez zaproszenia albo w konkretnej sprawie; minęły już barwne zastępy malw, które kuzyn Jim zasadził przy kamiennej ścieżce biegnącej do mleczarni — z wszystkich ludzi mieszkających w Perlistej Wodzie i poza nią były to osoby, którym Emilka za żadne skarby nie pokazałaby się w śmiesznym stroju. Bez zastanowienia wskoczyła do szafy z butami i zamknęła drzwi. Pani Anna Cyrilla zastukała dwukrotnie do kuchennych drzwi, lecz Emilka ani drgnęła. Wiedziała, że ciotka Laura szyje na poddaszu — słyszała nad głową głuchy stukot maszyny — ale myślała, że ciotka Elżbieta piecze paszteciki w letniej kuchni i z pewnością zobaczy lub usłyszy gości. Zaprowadzi panie do salonu, a wówczas Emilka umknie na

górze. Co do jednego była zdecydowana — nie zobaczy jej w „matce Hubbard”. Panna Potter była chudą, złośliwą, skwaszoną plotkarką i sprawiała wrażenie, że nie lubi nikogo w ogóle, a Emilki w szczególności; pani Anna Cyrilla zaś była pulchną, niebrzydką, układną i przyjacielską plotkarką i dzięki swej przyjaznej układności wyrządzała więcej szkody przez tydzień niż panna Potter przez cały rok. Emilka nie ufała jej, choć jednocześnie nie mogła jej nie lubić. Słyszała często, jak pani Anna Cyrilla wyśmiewała się za plecami z ludzi, którym „w oczy” okazywała wielką uprzejmość i słodycz; a ponieważ pochodziła z „wytwornej” rodziny Wallace z Balladowego Stawu, szczególnie lubiła wyszydzać dziwactwa w ubiorze innych ludzi.

Ponownie rozległo się pukanie — tym razem panna Potter, co Emilka rozpoznała po gwałtownym bębnieniu. Zaczynały się niecierpliwić. Cóż, mogą sobie pukać do wieczora, uznała Emilka. Nie otworzy im w „matce Hubbard”. Usłyszała głos Perry’ego, który wyjaśniał, że panna Elżbieta zbiera maliny za stodołą i że zaraz po nią pójdzie, a panie mogą tymczasem wejść i rozgościć się w domu. Ku rozpaczem Emilki zastosowały się do tej rady. Krzesło zaskrzypiało pod panną Potter, inne sapnęło pod panią Anną Cyrilla, a kroki Perry’ego ucichły w oddali. W ciasnej szafie było bardzo gorąco i duszno — kuzyn Jim trzymał tam nie tylko buty, ale i roboczą odzież. Emilka miała nadzieję, że Perry prędko sprowadzi ciotkę Elżbietę.

— Oj, straszny dzisiaj upał! — jęknęła głośno pani Anna Cyrilla. Biedna Emilka... nie, nie możemy nazwać jej „biedną”, nie zasługuje bowiem na litość — postąpiła bardzo niemądrze i należała jej się nauczka. Emilka zatem, pocąc się obficie w ciasnym schowku, przyznała jej całkowitą słuszność.

— Ja nie odczuwam upału tak dotkliwie jak ludzie otyli — zauważyła panna Potter. — Mam nadzieję, że Elżbieta nie każe nam długo czekać. Laura szyje na poddaszu... słyszę

maszynę. Ale rozmowa z nią na nic się nie zda, bo Elżbieta i tak odrzuci każdą obietnicę Laury tylko dlatego, że jej przy tym nie było. Widzę, że ktoś właśnie skończył piaskowanie podłogi. Popatrz tylko na te zniszczone deski.

Elżbieta Murray powinna wymienić podłogi, ale oczywiście jest zbyt skąpa. Spójrz na te świece nad kominkiem... Tylko kłopot z nimi i światło marne, a wszystko ze względu na koszt dodatkowego oleju. Cóż, nie zabierze pieniędzy na tamten świat... będzie musiała zostawić je za złotą bramą, mimo że jest Murrayówną.

Emilka doznała wstrząsu. Uświadomiła sobie, że nie tylko siedzi na pół uduszona w szafie z butami, lecz na dodatek podsłuchuje — czego nie robiła od owego wieczoru w Majowym Gaju, kiedy to schowała się pod stołem, by posłuchać ciotek i wujów radzących o jej losie. Z całą pewnością wówczas zrobiła to z własnej woli, natomiast teraz została do tego zmuszona — przez „matkę Hub — bard”. Uwagi panny Potter nie stały się jednak przez to ani trochę miłsze. Jakim prawem zarzucała ciotce Elżbiecie skąpstwo? Ciotka Elżbieta *nie była* skąpa.

Emilkę ogarnęła nagła złość na pannę Potter. Sama często po cichu krytykowała ciotkę Elżbietę, ale było to nie do zniesienia u obcej osoby. I ta drwiąca wzmianka o Murrayach! Emilka mogła sobie wyobrazić złośliwy błysk w oku panny Potter, kiedy to mówiła. Ale co do świec...

„Murrayowie widzą lepiej przy świecach niż pani w blasku słońca, panno Potter” — pomyślała z pogardą Emilka; w każdym razie na tyle pogardliwie, na ile jest to możliwe, gdy pot ścieka strumieniami po plecach i oddycha się wyłącznie wyziewami starej skóry.

— Przypuszczam, że to ze względu na koszty nie chce posłać Emilki do szkoły w przyszłym roku — powiedziała pani Anna Cyrilla.

— Większość ludzi uważa, że powinna pozwolić jej pojechać do Shrewsbury choćby na rok... mogłaby to zrobić przynajmniej ze względu na swą dumę. Ale słyszałam, że

postanowiła inaczej.

Serce Emilki zamarło. Do tej chwili nie miała pewności, czy ciotka Elżbieta nie pośle jej do Shrewsbury. Łzy napłynęły jej do oczu — piekące, gorzkie łzy rozczarowania.

— Emilka powinna nauczyć się czegoś, żeby zarabiać na życie — stwierdziła panna Potter.

— Jej ojciec nic nie zostawił. „Zostawił mnie” — szepnęła Emilka zaciskając pięści. Gniew osuszył jej łzy.

— Och — pani Anna Cyrilla zaśmiała się z pobłażliwą ironią — słyszałam, że Emilka zamierza żyć z pisania historyjek... i zarobi na tym fortunę, jak sądzę.

Zaśmiała się ponownie. Już sama myśl o tym była tak niedorzeczna. Pani Anna Cyrilla od dawna nie słyszała czegoś równie zabawnego.

— Powiadają, że marnuje mnóstwo czasu na tę bazgraninę — przytaknęła panna Potter. — Gdybym była na miejscu Elżbiety, prędko wyleczyłabym ją z tych głupstw.

— Nie przyszłoby ci to chyba zbyt łatwo. Wydaje mi się, że zawsze były z nią trudności wychowawcze... jest zawzięta jak wszyscy Murrayowie. Całe to towarzystwo jest uparte jak stado mułów.

(Emilka z gniewem: „Co za lekceważący sposób mówienia o nas! O, gdybym tylko nie miała na sobie tej podomki, otworzyłabym drzwi i powiedziała, co myślę”)

— O ile znam się na ludzkiej naturze, należałoby jej przykrócić cugli — stwierdziła panna Potter. — Widać wyraźnie, że zapowiada się na kokietkę. Będzie taka sama jak Julia, zobaczysz. Przewraca oczyma do każdego, a ma zaledwie czternaście lat!

(Emilka uszczypliwie: „Nieprawda! Mama nie była kokietką. Mogła nią być, ale nie była. Pani nie potrafiłaby kokietować nikogo, nawet gdyby pani chciała... stary babsztylu!”)

— Nie jest tak ładna jak biedna Julia, a przy tym bardzo przebiegła i skryta. Pani Dutton powiada, że nigdy nie spotkała tak przebiegłego dziecka. Ale ja nawet dość lubię biedną

Emilkę.

Pani Anna Cyrilla powiedziała to bardzo protekcyjnym tonem. „Biedna” Emilka aż się skręcała między butami.

— Ja nie lubię w niej tego, że zawsze jest taka przemądrzała — oświadczyła stanowczo panna Potter. — Powtarza różne mądre zdania z książek jako swoje własne...

(Emilka z oburzeniem: „Nieprawda!”)

— ...jest uszczypliwa, drażliwa i oczywiście dumna jak sam Lucyfer — dokończyła panna Potter.

Pani Anna Cyrilla ponownie zaśmiała się wesoło i pobłażliwie.

— Och, to zupełnie zrozumiałe u kogoś z rodu Murrayów. Ale ich najgorszą wadą jest to, że uważają, iż tylko oni postępują właściwie, a już Emilka jest o tym najgłębiej przekonana. Myśli nawet, że potrafiłaby wygłaszać lepsze kazania niż pastor Johnson.

(Emilka: „To dlatego, że raz wytknęłam mu sprzeczność w kazaniu — i miałam słuszość.

A sama wiele razy słyszałam, jak pani krytykuje kazania, pani Anno Cyrillo”.)

— I jest zawistna — ciągnęła pani Anna Cyrilla. — Nie potrafi znieść porażki, zawsze chce być najlepsza. Podobno aż płakała z upokorzenia po koncercie, bo Ilza Burnley święciła tryumfy w recytacji. Emilka wypadła bardzo kiepsko... Była sztywna jak kołek. W dodatku nieustannie zaprzecza starszym. Mogłoby to być nawet zabawne, gdy nie było tak niegrzeczne.

— Dziwne, że Elżbieta tego z niej nie wykorzeniła. Murrayowie myślą, że ich maniery wyrastają ponad przeciętność — rzekła panna Potter.

(Emilka gniewnie, do butów: „Bo tak jest!”)

— Uważam, oczywiście — zaczęła znowu pani Anna Cyrilla — że wiele wad Emilki bierze się z przyjaźni z Ilzą Burnley. Nie powinna tak wszędzie się z nią włóczyć. Powiadają,

że Ilza jest takim samym niedowiarkiem jak jej ojciec. Podobno ona wcale nie wierzy w Boga... ani nawet w diabła.

(*Emilka*: „A to jest dla pani znacznie gorsze”.)

— O, doktor traktuje ją trochę lepiej, odkąd się dowiedział, że jego ukochana żoneczka nie uciekła z Leo Mitchellem — prychnęła panna Potter. — Każe jej chodzić do szkółki niedzielnej. Ale ona nie jest odpowiednią towarzyszką dla Emilki. Słyszałam, że klnie jak żołnierz. Pewnego dnia pani Markowa Burns, będąc w gabinecie doktora, usłyszała Ilzę mówiącą wyraźnie w salonie: „precz, przeklęta Plamo!”, prawdopodobnie do psa.

— Och, Boże, Boże — jęknęła pani Anna Cyrilla.

— Czy wiesz, czego ja sama byłam świadkiem w zeszłym tygodniu... co widziałam na własne oczy? — panna Potter podkreśliła to bardzo dobitnie. Pani Anna Cyrilla nie mogła mieć wątpliwości, że były to własne oczy panny Potter.

— Nic mnie już nie zdziwi — zachichotała pani Anna Cyrilla. — Podobno zeszłego wtorku przebrała się za chłopca i wzięła udział w kocie muzyce pod oknem Johnsona.

— To całkiem prawdopodobne. Ale mam na myśli coś, co się wydarzyło na moim podwórku. Zjawiała się razem z Jennie Strang, która przyszła po zaszczepkę perskiej róży dla matki. Zapytałam Ilzę, czy potrafi szyć i piec, a także o kilka innych rzeczy, o których moim zdaniem należało jej przypomnieć. Ilza odpowiadała „nie” na każde pytanie, dość bezczelnie zresztą, a potem powiedziała... jak myślisz, co ta dziewczyna powiedziała?

— Co takiego? — szepnęła w napięciu pani Anna Cyrilla.

— Powiedziała: „A czy pani potrafi stanąć na jednej nodze i unieść drugą na wysokość oczu, panno Potter? Bo ja tak”. I... — tu panna Potter zniżyła głos do przesiąkniętego grozą szeptu — zrobiła to!

Emilka w szafie stłumiła wybuch śmiechu, wtulając twarz w szarą bluzę Jima. Ta

postrzelona Ilza uwielbiała gorszyć pannę Potter!

— Dobry Boże, czy byli w pobliżu jacyś mężczyźni? — spytała błagalnym tonem pani Anna Cyrilla.

— Na szczęście nie. Ale święcie wierzę, że zrobiłaby to bez względu na czyjąkolwiek obecność. W pobliżu biegnie droga... każdy mógł nią przechodzić. Płonęłam ze wstydu. Za moich czasów młoda dziewczyna prędzej by umarła, niż zrobiła coś podobnego.

— Jeszcze gorsze było to, że Ona i Emilka kąpały się w świetle księżyca zupełnie nago — oznajmiła pani Anna Cyrilla. — To było po prostu skandaliczne. Słyszałaś o tym?

— O tak, cała Perlsta Woda o tym mówi. Tylko Elżbieta i Laura o niczym nie wiedzą. Nie mam pojęcia, skąd wszyscy się dowiedzieli. Czy ktoś je widział?

— Och nie, aż tak źle nie było. Opowiadała o tym sama Ilza. Myślała zapewne, że to nic nadzwyczajnego. Wydaje mi się, że ktoś powinien powiadomić Elżbietę i Laureę.

— Sama im powiedz — podsunęła panna Potter.

— O, nie, nie chcę narażać się sąsiadom. Dzięki Bogu to nie ja jestem odpowiedzialna za wychowanie Emilki Starr. Gdyby to ode mnie zależało, nie pozwoliłabym jej także zadawać się z Krzywym Priestem. On jest największym dziwakiem wśród tych zdiwaczałych Priestów. Z pewnością ma na nią zły wpływ. Te jego zielone oczy przyprawiają mnie o dreszcz. Nie wiem, czy on wierzy w cokolwiek.

(Emilka, ponownie z uszczypliwością: „Choćby w diabła?”)

— O nim i o Emilce krąży dziwna historia — powiedziała panna Potter. — Nie bardzo wiem, o co tu chodzi. Widziano ich w zeszłą środę wieczorem, o zachodzie słońca, na wzgórzu... i zachowywali się wręcz niezwykle. Szli wpatrzeni w niebo, a potem nagle zatrzymali się, chwycili za ręce i coś sobie pokazywali. Powtórzyli to kilka razy. Pani Price obserwowała ich przez okno i nie mogła zrozumieć, co właściwie robią. Było zbyt wcześnie

na gwiazdy, a ona nic na niebie nie zauważyła. Przez całą noc nie mogła zasnąć, tak ją to męczyło.

— Cóż, wszystko wskazuje na to, że Emilką Starr trzeba się zająć — stwierdziła pani Anna Cyrilla. — Czasami wydaje mi się, że Muriel i Gladys nie powinny przebywać z nią zbyt często.

(Emilka gorąco: „Bardzo bym tego pragnęła. One są tak głupie, a przy tym nie odstępują mnie i Ilzy na krok”.)

— Mimo wszystko żal mi jej — oświadczyła panna Potter. — Jest tak niemądra i wyniosła, że zraża do siebie każdego i żaden przyzwoity, rozsądny mężczyzna nigdy nie zechce zawracać sobie nią głowy. Geoff North mówi, że raz odprowadził ją do domu i to mu wystarczyło.

(Emilka z naciskiem: „Wierzę! W tej uwadze Geoff wykazał niemal ludzką inteligencję”.)

— Ale ona prawdopodobnie nie dożyje dwudziestki. Wydaje się podatna na suchoty.

Doprawdy, Anno Cyrillo, żal mi tego biedactwa.

Była to przysłowiowa ostatnia kropla dla Emilki. Ona, córka Starra i Murrayówny, ma być przedmiotem politowania Beulah Potter! Nieważne „matka Hubbard” czy nie „matka Hubbard”, to było nie do zniesienia! Drzwi szafy otworzyły się raptownie i stanęła w nich Emilka w swojej podomce, na tle roboczych bluz i butów. Jej policzki pałały, a oczy były prawie czarne. Pani Anna Cyrilla i panna Potter otworzyły usta i zamarły, ich twarze okryły się czerwienią i aż zaparło im dech w piersiach.

Emilka przyglądała im się przez chwilę w pogardliwym, wymownym milczeniu. Później z miną królowej przeszła przez kuchnię i zniknęła za drzwiami salonu dokładnie w chwili, gdy na schodach pojawiła się ciotka Elżbieta z pełnymi godności przeprosinami, że kazała paniom czekać. Panna Potter i pani Anna Cyrilla były tak oszołomione, że z trudem zmusiły się do

rozmowy o sprawach Koła Kobiet i wyszły zakłopotane po kilku niespójnych pytaniach i odpowiedziach. Ciotka Elżbieta nie rozumiała, co im się stało, i pomyślała, że zapewne obraziły się na nią, gdyż musiały czekać. A potem zapomniała o całej sprawie. Murrayowie nie zważali na to, co myślą czy robią Potterowie. Otwarte drzwi szafy nic nie powiedziały, a ciotka Elżbieta nie wiedziała, że na górze Emilka leży na łóżku i wylewa gorące łzy wstydu, gniewu i upokorzenia. Czowała się poniżona i zraniona. Wszystkiemu była winna niemądra próżność, lecz kara okazała się zbyt surowa.

Nie dbała o to, co mówiła panna Potter, lecz drobne złośliwości pani Anny Cyrilli były bolesne. Emilka lubiła ładną, miłą panią Annę, która wydawała się zawsze życzliwa i przyjacielska i prawiała jej liczne komplementy. Myślała, że pani Anna Cyrilla naprawdę ją lubi. A teraz okazało się, że potrafi mówić o niej w taki sposób!

— Czy nie mogły powiedzieć o mnie nic dobrego? — szlochała Emilka. — Och, czuję się splamiona... własną głupotą i ich złośliwością... a do tego brudna i rozstrojona nerwowo.

Czy kiedykolwiek poczuję się znowu czysta?

Emilka poczuła się „czysta”, dopiero gdy opisała wszystko w pamiętniku. Potem spojrzała na wydarzenia nieco przytomniej i wezwała na pomoc filozofię.

Pan Carpenter powiada, że z każdego doświadczenia powinniśmy wyciągnąć korzyść — pisała. — Mówi, że każde przeżycie, przyjemne czy nieprzyjemne, coś nam przynosi, jeśli potrafimy podejść do niego obiektywnie. „To — dodał z goryczą — jedna z dobrych rad, która utkwiała mi w pamięci na całe życie, lecz nigdy nie potrafiłem z niej skorzystać”.

Dobrze, spróbuję podejść do tego obiektywnie! Sądzę, że w tym celu powinnam rozważyć wszystko, co o mnie powiedziano, i oddzielić prawdę od fałszu czy zniekształcenia — które jest chyba jeszcze gorsze od fałszu.

Po pierwsze: samo ukrycie się z czystej próżności w szafie powinnam odnotować jako zły

uczynek. *I przypuszczam*, że nagle pojawienie się po tak długiej chwili i wywołanie zamieszania również było złym uczynkiem. Nie potrafię jednak na razie spojrzeć na to „obiektywnie”, gdyż odczuwam grzeszną radość na samą myśl o tym... mimo iż widziano mnie w „matce Hubbard”! Nigdy nie zapomnę wyrazu ich twarzy, zwłaszcza pani Anny Cyrilli. Panna Potter nie będzie się tym długo przejmowała — powie, że dobrze mi tak — ale pani Anna Cyrilla do końca życia nie przeboleje, że dała się przyłapać.

A teraz, gdy mowa o ich krytycznych uwagach dotyczących Emilii Byrd Starr, należy rozstrzygnąć, czy wyżej wymieniona zasługuje na owe uwagi, całkowicie lub częściowo.

Bądź teraz uczciwa, Emilko, „patrz w serce swoje” i spróbuj osądzić, jaka jesteś — nie jaką cię widzi panna Potter czy ty sama, ale jaka jesteś naprawdę.

(To chyba będzie ciekawe!)

Na początku pani Anna Cyrilla stwierdziła, że jestem zawzięta.

Czy jestem!

Wiem, że potrafię postawić na swoim, a ciotka Elżbieta mówi, że jestem uparta. Ale być zawziętą to jest coś jeszcze gorszego. Zdecydowanie stanowi zaletę i nawet upór ma w sobie coś dobrego, jeśli towarzyszy mu odrobina rozsądku. Ale osoba zawzięta jest zbyt głupia, by dostrzec i zrozumieć, że coś jest niemądre, tylko obstaje przy swoim — krótko mówiąc, upiera się przy tłuczeniu głową o mur.

Nie, *nie* jestem zawzięta. Zdaję sobie sprawę z istnienia murów.

Ale dużo czasu zajmuje mi upewnienie się, że jest to kamienny mur, a nie przepierzenie z tektury. A zatem *jestem* trochę uparta.

Panna Potter powiedziała, że jestem kokietką. To nieprawda, więc nie będę tego rozważać.

Ale powiedziała także, że „przewracam oczyma”. Czy rzeczywiście? Wiem, że nie robię tego z rozmysłem, ale chyba można „przewracać oczyma” nieświadomie, jak więc mam temu

zapobiec? Nie mogę przez cały czas chodzić ze spuszczoneymi oczyma, Dean powiedział mi niedawno:

— Kiedy tak na mnie patrzysz, Gwiazdko, nie pozostaje mi nic innego, tylko zrobić, co każesz.

Ciotka Elżbieta rozgniewała się na mnie w zeszłym tygodniu, ponieważ — jak twierdziła — spoglądałam *niewłaściwie* na Perry’ego, namawiając go do udziału w pikniku szkółki niedzielnej. (Perry nie znosi tych pikników.)

W obu przypadkach starałam się tylko wyrazić *gorącą prośbę*.

Pani Anna Cyrilla uznała, że nie jestem ładna. Czy miała słuszość?

Emilka odłożyła pióro, podeszła do lustra i „obiektywnie” przyjrzała się sobie. Czarne włosy... ciemnofioletkowe oczy... pąsowe usta. Na razie nie najgorzej. Miała zbyt wysokie czoło, ale nowe uczesanie tuszowało tę wadę. Jej skóra była bardzo jasna, a policzki, tak blade w dzieciństwie, miały teraz subtelny odcień różowej perły. Usta były nieco za duże, ale zęby ładne. Lekko spiczaste uszy dodawały jej uroku młodego zwierzątka. Nie mogła też nie być zadowolona z linii szyi. Jej smukła, dziewczęca figura była pełna wdzięku; i wiedziała od ciotki Nancy, że ma kostki i podbicie prababki Shipley. Emilka obejrzała Emilkę—w—Zwierciadle bardzo uważnie i z różnych stron, po czym wróciła do pamiętnika.

Stwierdziłam, że nie jestem ładna — napisała. — Wydaje mi się, że mogę *wyglądać* całkiem ładnie w odpowiednim uczesaniu, ale dziewczyna naprawdę ładna po prostu jest ładna niezależnie od uczesania, zatem pani Anna Cyrilla miała słuszość. Z pewnością jednak nie jestem tak brzydka, jak ona uważa.

Następnie powiedziała, że jestem przebiegła — i *skryta*. Nie wydaje mi się, aby „skrytość” była czymś złym, choć pani Anna Cyrilla tak zapewne uważa. Wolę być skryta, niż mieć pusto w głowie. Ale czy jestem przebiegła? Nie. Nie jestem. Cóż więc mam takiego w sobie,

że ludzie tak myślą? Ciotka Ruth zawsze tak twierdziła. Myślę, że to ze względu na mój zwyczaj wycofywania się do własnego świata i zamykania za sobą drzwi, kiedy ktoś mnie nudzi albo napawa odrazą. Ludzie czują się tym urażeni — to chyba naturalne, że jesteśmy urażeni, gdy ktoś zamyka nam drzwi przed nosem. Nazywają przebiegłością to, co jest tylko samoobroną. Nie zamierzam więc martwić się tym zbytnio.

Panna Potter powiedziała o mnie coś paskudnego: że powtarzam mądre rzeczy przeczytane w książkach jako swoje własne i że jestem przemądrzała. Jest to *całkowity fałsz!* Naprawdę, nigdy nie bywam „przemądrzała”. Ale... *próbuję* często sprawdzać, jak będą brzmiały moje myśli ujęte w słowa. Być może jest to rodzaj popisowywania się. Muszę zwrócić na to baczniejszą uwagę.

Zawiść... nie, nie jestem zawiistna. Przyznaję, że *lubię* być najlepsza. Ale podczas tamtego koncertu nie dlatego płakałam, że zazdrościłam Ilzie. Płakałam, ponieważ czułam, że moja rola wypadła źle. *Byłam* sztywna jak kołek, pani Anna Cyrilla miała rację. Jakoś nie potrafię *grać*. Czasami rola mi odpowiada i mogę się w nią *wcielić*, lecz jeśli nie, jestem do niczego. Wzięłam w tym udział jedynie na prośbę pani Johnson i czułam się strasznie upokorzona, bo wiedziałam, że sprawiłam jej zawód. Przypuszczam także, że ucierpiała nieco moja duma, ale nawet mi nie przyszło do głowy, że mogę być zazdrosna o Ilzę. Byłam z niej dumna — ona doskonale radzi sobie w przedstawieniach.

Owszem, zaprzeczam starszym. Przyznaję, że jest to jedna z moich wad. Ale ludzie czasami mówią takie nedorzeczności! I dlaczego im wolno spierać się ze mną? Robią to nieustannie — a ja mam *śluszość* równie często jak oni.

Uszczypliwość? Tak, obawiam się, że jest to kolejna moja wada. Drażliwość — nie, *nie* jestem drażliwa. Jestem tylko wrażliwa. A dumna? Cóż, to prawda, *jestem* trochę dumna, ale nie aż tak, jak się ludziom wydaje. Nic na to nie poradzę, że noszę głowę tak a nie inaczej i że

uważam, iż wspaniale jest mieć za sobą kilka pokoleń porządnych, uczciwych ludzi o świetnych tradycjach i błyskotliwych umysłach. Nie tak, jak Potterowie — ci parweniusze! Och, jak te kobiety przekręcały wszystko, co dotyczy biednej Ilzy! Trudno zresztą oczekiwać od Potterów i ich żon, by rozpoznali scenę obłędu z „Makbeta”. Mówiłam Ilzie nie raz, że powinna sprawdzić, czy wszystkie drzwi są zamknięte, kiedy ćwiczy tę scenę. Jest znakomita jako lady Makbet. I nie brała udziału w kociej muzyce — powiedziała tylko, że *chciałaby* tam pójść. A gdy mowa o kąpieli w blasku księżyca, jest to prawda — tylko że *nie byliśmy* nagie. Nie ma w tym nic zdrożnego. To było bardzo piękne — choć zostało popsute i sprofanowane przez pospolite plotkarki. Szkoda, że Ilza się wygadała.

Poszliśmy na spacer nad morze. Świecił księżyc i na plaży było cudownie. Królowa Wiatru szeleściła w trawach na wydmach, a połyskliwe, drobne fale łagodnie obmywały wybrzeże. Chciałyśmy się wykąpać, ale nie miałyśmy kostiumów, więc na początku myślałyśmy, że to niemożliwe. Usiadłyśmy na piasku i rozmawiałyśmy o najrozmaitszych rzeczach. Była to prawdziwa rozmowa, a nie paplanina. Przed nami rozpościerała się rozległa zatoka, srebrzysta, połyskliwa, kusząca, która ginęła w oddali wśród mgieł północnego nieba. Była jak ocean z „utraconej, czarodziejskiej krainy”. Powiedziałam:

— Chciałabym wsiąść na statek i popłynąć przed siebie daleko... daleko... Do jakiego przybiłabym brzegu?

— Wydaje mi się, że do wyspy Anticosti — odparła Ilza, nieco zbyt prozaicznie jak na mój gust.

— Nie... nie... chyba do Ultima Thule — ciągnęłam z rozmarzeniem. — Do jakiegoś pięknego, nieznanego brzegu, „gdzie deszcz nigdy nie pada i wicher nie wieje”. Może do tej krainy Północnego Wiatru, do której pozegłował „Diament”? Można tam dotrzeć srebrzystym morzem w taką noc jak dzisiejsza.

— Myślę, że to było niebo — powiedziała Ilza.

Później rozmawialiśmy o nieśmiertelności i Ilza wyznała, że boi się jej — że bałaby się żyć wiecznie — i że z pewnością strasznie zmęczyłaby się sobą. Odparłam, że podoba mi się pomysł Deana z „wędrownką dusz”, choć nie potrafię dociec, czy on rzeczywiście w to wierzy; a Ilza stwierdziła, że wszystko byłoby dobrze, gdyby mieć pewność, że się urodzisz ponownie jako osoba przyzwoita — ale jeśli nie?

— Cóż, każda nieśmiertelność niesie z sobą ryzyko — odparłam.

— W każdym razie — podjęła Ilza — czy będę w przyszłym życiu sobą czy kimś innym, mam nadzieję, że nie będę taką złośnicą. Jeżeli pozostanę sobą, roztrzaskam harfę, podreę na strzępy aureolę i powyrywam innym aniołom pióra ze skrzydeł w pół godziny po przybyciu do nieba. Znasz mnie, Emilko. Nic na to nie poradzę.

Wczoraj znowu pożarłam się z Perrym. Wina leżała po mojej stronie, ale on zirytował mnie swoimi przechwałkami. *Szkoda*, że nie potrafię nad sobą zapanować.

Wybuchy Ilzy nie robią już na mnie wrażenia. Wiem, że mówi wtedy rzeczy, których wcale nie myśli. Nigdy też się nie odcinam. Uśmiecham się tylko do niej i jeśli mam pod ręką kartkę, notuję jej wypowiedzi. To ją doprowadza do takiej furii, że dławi się ze złości i nie jest w stanie powiedzieć nic więcej. Poza tym Ilza jest kochana i bawimy się wyśmienicie.

— Nie potrafisz panować nad swoimi wybuchami, bo to lubisz — powiedziałam.

Ilza utkwiała we mnie oczy.

— Nieprawda... nie lubię.

— Lubisz. Bawisz się tym — nie ustępowałam.

— Cóż, pewnie — Ilza wyszczerzyła zęby. — Rzeczywiście *bawię się*, gdy trwają. To taka *satysfakcja* miotać najgorsze obelgi i wyzwiska. Chyba masz rację, Emilko. Cieszę mnie te wybuchy złości. To dziwne, że nigdy o tym nie pomyślałam. Przypuszczam, że gdyby

sprawiwały mi przykrość, dałabym sobie z tym spokój. Ale kiedy mijają, mam wyrzuty sumienia. Wczoraj po kłótni z Perrym płakałam przez godzinę.

— Tak, ale i to cię cieszyło... prawda? Ilza zamyśliła się.

— Chyba tak, Emilko. Jesteś niesamowitym stworzeniem. Nie chcę już o tym mówić.

Wykapmy się. Nie mamy kostiumów? I cóż z tego? Wokoło nie ma żywego ducha. Nie mogę oprzeć się tym falom. *Wzywają* mnie.

Czułam to samo co ona, a kąpiel przy księżycu wydawała się cudowna i romantyczna. *Jest* taka, dopóki nie wiedzą o niej Potterowie tego świata. Gdy się dowiedzą, brukają wszystko. Rozebrałyśmy się w kotlince wydm — w świetle księżyca wyglądała jak srebrna misa — ale zostałyśmy w halkach. Bawiłyśmy się precudownie, pluszcząc się i pływając w srebrnogrnatowej wodzie, wśród drobnych, pienistych fal, niczym syreny albo nimfy morskie. To było jak poemat, jak baśń. Kiedy wyszłyśmy z wody, wyciągnęłam ręce do Ilzy i wyrecytowałam:

Za mną, za mną na żwir złoty!

Gdy całunki, gdy pieszczoty

Ukołyszą morskie tonie,

Suńcie po nich krok wesoly

I zanućcie ze mną społy.

Ilza ujęła moje dłonie i zaczęłyśmy zataczać taneczne kręgi na piasku zalanym księżycową poświatą, a potem wróciłyśmy do srebrnej misy, ubrałyśmy się i uszczęśliwione poszłyśmy do domu. Musiałyśmy tylko nieść pod pachą zwinięte, mokre halki, więc wyglądałyśmy dość nieporządnie, ale nikt nas nie widział. I to jest właśnie przyczyna zgorszenia w Perlistej Wodzie.

Mam jednak nadzieję, że ciotka Elżbieta o niczym się nie dowie. Wielka szkoda, że pani

Price tak się przejęła Deanem i mną. Nie odprawialiśmy żadnych dziwacznych zaklęć — po prostu spacerowaliśmy po Rozkosznej Górze, odgadując w chmurach różne obrazy. Może to było dziecinne, ale bawiliśmy się świetnie. To właśnie lubię w Deanie — nie waha się robić rzeczy niewinnych i przyjemnych, choćby były dziecinne. Pokazał mi chmurę, która wyglądała dokładnie jak anioł płynący po bladym, rozjaśnionym niebie z dzieckiem w ramionach. Jego głowę otaczał przejrzysty, błękitny welon, przez który przeświecała nieśmiało pierwsza gwiazda. Miał skrzydła obrzeżone złotem, a jego biała szata upstrzona była purpurą.

— Oto Anioł Gwiazdy Wieczornej, niosący w ramionach jutrzejszy dzień — powiedział Dean.

To było tak piękne, że przeżyłam wówczas jedną z najcudowniejszych chwil. Ale po dziesięciu sekundach anioł zmienił się w coś, co wyglądało jak wielbłąd z olbrzymim garbem!

Spędziliśmy wspaniałe pół godziny, nawet jeśli pani Price, która nic nie widziała na niebie, uznała, że postradaliśmy zmysły.

Cóż, można stąd wysnuć jeden wniosek: nie ma co opierać się na zdaniu innych. Należy polegać wyłącznie na własnym. Mimo wszystko wierzę w siebie. Nie jestem tak zła i głupia, za jaką mnie uważają, nie mam skłonności do suchot i *potrafię* pisać. Teraz, kiedy opisałam to wszystko, czuję się lepiej. Złości mnie tylko jedno — to, że panna Potter *litowała się* nade mną. Litość Potterów!

Wyjrzałam właśnie przez okno i zobaczyłam rabatkę nasturcji kuzyna Jima i nagle pojawił się promyk, a panna Potter, jej litość i złośliwy język przestały mieć znaczenie. Nasturcje, kto dał wam taką barwę, cudowne, płomienne istoty? Zapewne wykrojono was z letniego zachodu słońca.

Tego lata bardzo często pomagam kuzynowi Jimowi w ogrodzie. Chyba Kocham tę pracę tak samo jak on. Każdego dnia odkrywamy nowe pąki i kwiaty.

A zatem ciotka Elżbieta nie pośle mnie do Shrewsbury! O, moje rozczarowanie jest tak wielkie, jakbym istotnie żywiła jakieś nadzieje. Wydaje mi się, że zamknięto przede mną wszystkie drzwi.

Nadał jednak mam za co być wdzięczna losowi. Ciotka Elżbieta pozwoli mi chyba jeszcze przez rok chodzić do naszej szkoły, a pan Carpenter może mnie wiele nauczyć; nie jestem odrażająca; księżycowa poświata jest i tak piękna; zamierzam kiedyś dokonać czegoś moim piórem — i mam ślicznego, szarego kota o okrągłym pyszczku. Skoczył właśnie na stół i trącił nosem pióro na znak, że dość już pisania na dzisiaj.

Jedynym prawdziwym kotem jest kot szary!

V

UMOWA

Pewnego sierpniowego wieczoru Emilka usłyszała znajome gwizdanie Teda dobiegające z Jutrzejszej Drogi, wymknęła się więc z domu na spotkanie. Miał jej coś do powiedzenia — zdradzały to jego błyszczące oczy.

— Emilko! — wykrzyknął w podnieceniu. — Jadę jednak do Shrewsbury! Mama powiedziała mi dzisiaj, że się zgadza!

Emilka była uradowana, lecz jednocześnie poczuła dziwny żal, za który miała do siebie pretensję. Jakże osamotniona będzie teraz w Księżycowym Nowiu, kiedy troje bliskich przyjaciół wyjedzie! Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na towarzystwo Teda. Przez cały czas zajmował miejsce w jej rozmyślaniach o przyszłym roku. Jego obecność była zawsze czymś zrozumiałym i naturalnym. Teraz nie będzie miała nikogo — nawet Deana, gdyż Dean jak zwykle wyjeżdżał na całą zimę, do Egiptu albo Japonii, podejmując decyzję w ostatniej chwili. Co będzie robiła? Czy zeszyty od Jima zastąpią jej przyjaciół z krwi i kości?

— Gdybyś i ty mogła pojechać! — westchnął Ted, gdy spacerowali Jutrzejszą Droga, która stała się niemal Dzisiejszą Droga, tak szybko rosły bujne, młode klony.

— Próżno by o tym marzyć... i nie mówmy na ten temat, bo czuję się nieszczęśliwa — odparła szorstko Emilka.

— Cóż, w każdym razie będziemy mieli soboty i niedziele dla siebie. To tobie powinienem podziękować. Matka zgodziła się na mój wyjazd po tym, co jej powiedziałaś tamtej nocy na cmentarzu. Wiem, że wciąż nad tym rozmyślała, bo od czasu do czasu mówiła różne rzeczy...

W zeszłym tygodniu szepnęła do siebie: „To straszne być matką... być matką i tak cierpieć. A ona nazwała mnie samolubną!” Innym razem powiedziała: „Czy to samolubne, że pragnę zatrzymać przy sobie jedyną istotę, jaka mi pozostała na świecie?” Ale dziś wieczorem, kiedy

pozwoiliła mi jechać, była cudowna. Wiem, co ludzie mówią o mojej matce: że ma nie po kolei w głowie... i niekiedy rzeczywiście bywa dziwna. Ale tylko w obecności innych. Nie masz pojęcia, Emilko, jaka potrafi być miła i kochana, gdy jesteśmy sami. Tak mi przykro, że zostawiam ją samą. Ale muszę zdobyć wykształcenie!

— Cieszę się, że dzięki moim słowom zmieniła zdanie, ale ona nigdy mi nie wybaczy.

Znienawidziła mnie za to... wiesz przecież. Wiesz, jak na mnie patrzy, kiedy przychodzę do Wrotyczowego Łanu... O, jest dla mnie bardzo uprzejma. Ale, Ted... jej oczy.

— Wiem — przyznał z zakłopotaniem Ted. — Nie gniewaj się na moją matkę, Emilko.

Jestem pewien, że nie zawsze była taka... choć tylko taką ją pamiętam. Nie wiem, co było dawniej. Nigdy mi nie mówi... nic nie wiem o moim ojcu. Nie chce o nim rozmawiać. Nie wiem nawet, skąd wzięła się ta blizna na jej twarzy.

— Nie sędzę, aby coś było naprawdę nie w porządku z umysłem twojej matki —

powiedziała z ociąganiem Emilka. — Myślę jednak, że coś ją dręczy... dręczy nieustannie...

coś, czego nie można zapomnieć ani przejść nad tym do porządku. Ted, twoja matka jest z pewnością nawiedzona. Nie mam, oczywiście, na myśli ducha ani niczego niemądrego.

Chodzi mi o jakąś straszną myśl.

— Wiem, że nie jest szczęśliwa — rzekł Ted — a poza tym, jesteśmy ubodzy. Mama powiedziała dzisiaj, że może mnie posłać do Shrewsbury tylko na trzy lata... nie stać jej na więcej. Ale to pozwoli mi zacząć. Potem jakoś sobie poradzę. Wiem, że dam radę. Kiedyś jej wszystko wynagrodzę.

— Zostaniesz wybitnym malarzem — powiedziała Emilka z rozmarzeniem.

Doszli już do końca Jutrzejszej Drogi. Przed nimi rozpościerało się pastwisko upstrzone kępkami stokrotek. Rolnicy nie znoszą stokrotek i uważają je za chwasty, lecz łąka pełna tych kwiatków, bielejących w letnim zmierzchu, jest wizją Krainy Utraconych Rozkoszy. Perlista

Woda lśniła w oddali jak wielka, złocista lilia. Rozczarowany Dom na wschodnim wzgórzu przycupnął wśród cieni, marząc być może o niewiernej narzeczonej, która nigdy nie przekroczyła jego progu. Okna Wrotyczowego Łanu były ciemne. Czy samotna pani Kent płakała w mroku, mając za towarzyszkę jedynie swą tajemnicę, dręczący głód serca? Emilka wpatrywała się w zachodzące słońce, jej oczy były pełne uniesienia, twarz blada i wyczekująca. Nie czuła już smutku ani przygnębienia — w towarzystwie Teda nigdy nie poddawała się im na długo. Żadna muzyka na świecie nie mogła się równać z brzmieniem jego głosu. W jego obecności wszystko, co dobre, wydawało się możliwe. Nie mogła pojechać do Shrewsbury, ale mogła uczyć się i pracować w Księżycowym Nowiu — och, jakże będzie teraz pracowała! Kolejny rok z panem Carpenterem da jej bardzo wiele — być może tyle samo, ile zyskałaby w Shrewsbury. Miała także przed sobą swą Alpejską Ścieżkę — i podejmie wspinaczkę, nie bacząc na przeszkody — nie zważając, czy ktoś jej pomoże czy nie.

— Kiedy nim zostanę — powiedział Ted — namaluję cię taką, jaką jesteś w tej chwili... i nazwę ten obraz „Joanna D’Arc”... z uduchowioną twarzą, zasłuchaną w szept głosów. Pomimo głosów Emilka poszła spać tej nocy z ciężkim sercem, lecz obudziła się rano z dziwnym przeświadczeniem, że usłyszy dzisiaj jakąś dobrą nowinę — a przeświadczenie to nie opuszczało jej w miarę jak w Księżycowym Nowiu mijały godziny wypełnione zwykłymi sobotnimi obowiązkami — pracowite godziny, podczas których sprzątano dom przed niedzielą i uzupełniano zapasy w spiżarni. Dzień był chłodny i wilgotny, wschodni wiatr niósł mgliste opary znad morza, spowijając nimi stary ogród Księżycowego Nowiu.

O zmierzchu zaczął padać drobny, szary deszcz, a dobra nowina nie nadeszła. Emilka skończyła właśnie polerowanie mosiężnych świeczników, podczas której to czynności układała poemat zatytułowany „Deszczowa pieśń”, kiedy ciotka Laura oznajmiła, że ciotka

Elżbieta czeka na nią w salonie.

Wspomnienia Emilki dotyczące rozmów z ciotką Elżbietą w salonie nie należały do najprzyjemniejszych. Nie mogła sobie przypomnieć, co takiego zrobiła — lub czego nie zrobiła — ostatnimi czasy, by mogło to tłumaczyć podobne wezwanie. Weszła jednak do salonu rozdygotana; cokolwiek miała jej do powiedzenia ciotka Elżbieta, musiało to być szczególnie ważne, inaczej nie ogłaszałaby tego w salonie. Ciotka Elżbieta miała swoje sposoby. Prym, wielki kot Emilki, wśliznął się za nią jak cichy, szary cień. Miała nadzieję, że ciotka Elżbieta go nie wyrzuci — jego obecność przynosiła pewną pociechę. Dobrze jest mieć kota po swojej stronie!

Ciotka Elżbieta robiła na drutach. Miała poważną minę, lecz nie wydawała się urażona ani zagniewana. Nie zwróciła uwagi na Pryma, pomyślała tylko, że w tym starym, pełnym godności pokoju, oświetlonym promieniami zachodzącego słońca, Emilka sprawia wrażenie, jakby bardzo urosła. Jak te dzieci szybko dorastają! Wydawałoby się, że zaledwie wczoraj urocza, promienna Julia... tu Elżbieta Murray z trzaskiem zamknęła drzwi przed podobnymi myślami.

— Usiądź, Emilko — powiedziała. — Chcę z tobą pomówić. Emilka usiadła. To samo zrobił Prym, owijając łapki ogonem.

Emilka poczuła nagle, że zaschło jej w ustach i pocą jej się dłonie. Żałowała, że nie ma przy sobie jakiejś robótki. Bezczynność i zastanawianie się, co ją czeka, były nieprzyjemnym uczuciem. A czekało ją coś, czego się nie spodziewała. Ciotka Elżbieta, wykonawszy bez pośpiechu kilka ściegów, zapytała bez ogródek:

— Emilko, czy chciałabyś pojechać do Shrewsbury w przyszłym tygodniu?

Do Shrewsbury? Czy dobrze usłyszała?

— Och, ciociu Elżbieto! — powiedziała tylko.

— Omówiłam tę sprawę z twoimi wujami i ciotkami — ciągnęła ciotka Elżbieta. —

Zgadzasz się ze mną, że powinnaś zdobyć wykształcenie. To będzie spory wydatek, rzecz jasna... nie przerywaj, nie lubię, gdy mi się przerywa... ale Ruth przyjmie cię na stancję za pół ceny i to będzie jej wkład w twoje wychowanie... Emilko, nie przerywaj mi. Wuj Oliwer dołoży drugą połowę, wuj Wallace będzie płacił za książki, a ja zadbam o twoją garderobę. Będziesz oczywiście, w miarę możliwości, pomagała ciotce Ruth w domu, by odwdziżyć się trochę za jej życzliwość. Możesz pojechać do Shrewsbury pod pewnym warunkiem.

Jakim warunkiem? Emilka, która miała ochotę tańczyć, śpiewać i śmiać się głośno w starym salonie, tak jak nikt z Murrayów, nie wyłączając jej matki, nie odważył się śmiać i tańczyć nigdy przedtem, zmusiła się do sztywnego siedzenia na kanapie, zadając sobie to pytanie. W tej niepewności czuła dramatyczność owej chwili.

— Trzy lata w Shrewsbury — podjęła ciotka Elżbieta — dadzą ci tyle samo, co trzy lata w Akademii... tyle, że nie otrzymasz dyplomu nauczycielskiego, co w twoim przypadku nie ma znaczenia, ponieważ nie musisz zarabiać na swoje utrzymanie. Lecz, jak wspomniałam, jest pewien warunek.

Dlaczego ciotka Elżbieta nie wymienia tego warunku? Emilka nie mogła już znieść niepewności. Czyżby ciotka Elżbieta bała się go wymienić? Tak długie wstępy nie były w jej stylu. Czy warunek był aż tak okropny?

— Musisz obiecać — zaczęła surowo ciotka Elżbieta — że przez trzy lata, które spędzisz w Shrewsbury, wyrzekniesz się całkowicie swojej niedorzecznej bazgraniny... całkowicie, z wyjątkiem wypracowań szkolnych.

Emilka zmartwiała i siedziała nieruchomo. Albo nici ze Shrewsbury, albo nici z pisania wierszy, opowiadań i „szkiców”, żadnych rozkosznych zapisków w zeszycie od Jima. Podjęła decyzję w mgnieniu oka.

— Nie mogę tego obiecać, ciociu Elżbieto — powiedziała stanowczo.

Ciotka Elżbieta ze zdumienia aż opuściła robótkę na kolana. Tego się nie spodziewała.

Myślała, że Emilka tak bardzo pragnie pojechać do Shrewsbury, iż zgodzi się na wszystko — zwłaszcza na taki drobiazg. Zachowanie Emilki w oczach ciotki Elżbiety było jedynie przejawem upor.

— Czy rzeczywiście nie chcesz wyrzec się swojej głupiej pisaniny dla wykształcenia, które zawsze zdawałaś się cenić wysoko? — zapytała z naciskiem.

— To nie to, że nie chcę... po prostu nie mogę — wyznała Emilka z rozpaczą. Wiedziała, że ciotka Elżbieta jej nie zrozumie. Ciotka Elżbieta nigdy tego nie rozumiała. — Nie potrafię nie pisać, ciociu Elżbieto, mam to we krwi. Takie żądania są bezcelowe. Pragnę wykształcenia... naprawdę... ale nie mogę wyrzec się pisania. Nie potrafię dotrzymać takiej obietnicy... po co więc miałabym ją składać?

— W takim razie możesz zostać w domu — oświadczyła gniewnie ciotka Elżbieta.

Emilka myślała, że ciotka wstanie i wyjdzie z salonu. Ale ciotka Elżbieta ze wzburzeniem podniosła robótkę i zaczęła machać drutami. Prawdę mówiąc, była zupełnie zbita z tropu. Rzeczywiście zamierzała posłać Emilkę do Shrewsbury. Warunek był jej własnym pomysłem. Wydawało się, że jest to dobra sposobność, by wykorzenić z Emilki ów niemądry, nie — murrayowski nawyk marnowania czasu i papieru — i nie wątpiła, że plan się powiedzie, gdyż wiedziała, jak bardzo Emilka pragnie pojechać do Shrewsbury. A teraz ten niedorzeczny, bezrozumny, niewdzięczny upór! „Wychodzą na jaw cechy Starrów” — pomyślała z urazą ciotka Elżbieta, zapominając o prababce Shipley. Co robić? Wiedziała z doświadczenia, że gdy Emilka coś postanowi, nic jej od tego nie odwiedzie. Wiedziała także, że Wallace, Oliwer i Ruth, choć uważali podobnie jak ona, że pisarska mania Emilki jest głupia i niezgodna z tradycją, nie poprą tego żądania. Perspektywa odwrotu nie podobała się Elżbiecie Murray.

Chętnie potrząsnęłaby z całej siły tą szczupłą, bladą istotą siedzącą na kanapie. Była tak krucha... młoda... i nieposkromiona. Przez trzy lata z górą Elżbieta Murray próbowała wyleczyć Emilkę z tej głupiej pisaniny i od trzech lat ponosiła klęskę — ona, która zawsze zwyciężała! Nie można było głodem wymusić na Emilce uległości — a nic innego by nie poskutkowało.

Zirytowana Elżbieta migiała wściekle drutami, a Emilka siedziała nieruchomo, walcząc z gorzkim rozczarowaniem i poczuciem krzywdy. Postanowiła nie płakać przy ciotce Elżbiecie, lecz z trudem powstrzymywała łzy. Żeby chociaż mruczenie Pryma nie było tak pełne zadowolenia, jak gdyby z punktu widzenia szarego kota wszystko szło doskonale! Pragnęła, by ciotka Elżbieta kazała jej odejść. Ale ciotka Elżbieta zajadła i w milczeniu robiła na drutach. Wszystko to wydawało się koszmarnym snem. Wiatr przybrał na sile i deszcz zaczął uderzać o szyby, a zmarli Murrayowie spoglądali potępiająco z pociemniałych ram. Oni nie rozumieli promyków, zeszytów od Jima i Alpejskich Ścieżek, pogoni za niedoścignymi, kuszącymi cudami. Mimo rozczarowania Emilka nie mogła oprzeć się myśli, jakże wspaniałe byłoby to tło dla tragicznej sceny w powieści.

Drzwi uchyliły się nieco i kuzyn Jim wśliznął się do salonu. Wiedział, co się dzieje, i z rozmysłem podsłuchiwał pod drzwiami. Wiedział też, że Emilka nigdy nie złoży takiej obietnicy — powiedział to Elżbiecie dziesięć dni temu podczas rodzinnej narady. Był jedynie głupim Jimem Murrayem, lecz rozumiał to, czego nie potrafiła pojąć rozsądna Elżbieta Murray.

— Czy coś się stało? — zapytał, wodząc spojrzeniem od jednej do drugiej.

— Nie — odparła wyniośle ciotka Elżbieta. — Zaproponowałam Emilce wykształcenie, a ona odrzuciła moją propozycję. Oczywiście jest wolna, może wybierać.

— Nie jest wolnym ten, kto ma tysiąc protoplastów — rzekł kuzyn Jim niesamowitym

głosem, którym zazwyczaj wypowiadał podobne sentencje. W takich chwilach Elżbietę zawsze przechodziły dreszcze. Nie mogła zapomnieć, że owa niesamowitość jest jej winą. —

Emilka nie może spełnić twojego żądania. Prawda, Emilko?

— Tak. — Kilka wielkich łez stoczyło się po policzkach Emilki wbrew jej woli.

— Gdybyś mogła — ciągnął kuzyn Jim — zrobiłabyś to dla mnie, prawda?

Emilka skinęła głową.

— Żądasz zbyt wiele, Elżbieto — kuzyn Jim zwrócił się do gniewnej damy z drutami. —

Każesz jej wyrzec się wszelkiego pisania... a gdybyś poprosiła, żeby zrezygnowała z niego częściowo? Emilko, gdyby tak ciotka kazała ci zrezygnować z pisania tylko częściowo?

Mogłabyś przystać na to, czyż nie?

— Jak to częściowo? — spytała ostrożnie Emilka.

— No, na przykład z tego, co nie jest prawdą. — Kuzyn Jim przysunął się do Emilki i

prosząc położył jej dłoń na ramieniu. Elżbieta nie przestała robić na drutach, lecz teraz poruszała nimi znacznie wolniej. — Z opowiadań, Emilko. Ona darzy szczególną niechęcią

twoje opowiadania. Uważa je za kłamliwe. Inne rzeczy nie przeszkadzają jej aż tak bardzo.

Czy nie myślisz, że mogłabyś na trzy lata wyrzec się opowiadań? Wykształcenie jest bardzo

ważne. Niejeden raz słyszałem, jak twoja babka powtarzała, że mogłaby nawet głodować,

byle je zdobyć. Co ty na to, Emilko?

Emilka rozmyślała gorączkowo. Bardzo lubiła pisać opowiadania — ciężko będzie wyrzec

się ich. Mogła jednak zapisywać swoje wrażenia wierszem... tworzyć szkice

charakterologiczne w zeszytach od Jima... notować codzienne wydarzenia..., dowcipne,

satyryczne, tragiczne, w zależności od nastroju. Mogła przez to przebrnąć.

— Spróbuj... spróbuj — szeptał kuzyn Jim. — Ustąp choć trochę. Wiele jej zawdzięczasz,

Emilko. Wyjdź jej naprzeciw.

— Ciociu Elżbieto — odezwała się drżącym głosem Emilka — jeżeli pozwolisz mi pojechać do Shrewsbury, obiecuję, że przez trzy lata nie napiszę niczego, co nie byłoby prawdą. Czy to wystarczy? Bo tylko tyle mogę obiecać.

Elżbieta wykonała parę rzędów, zanim raczyła odpowiedzieć. Kuzyn Jim i Emilka myśleli już, że nie zamierza się odezwać. Wtem odłożyła robótkę i wstała.

— Dobrze. Niech i tak będzie. Oczywiście największe zastrzeżenia mam do twoich opowiadań, a co do reszty, Ruth już zatroszczy się o to, żebyś nie marnowała czasu.

Ciotka Elżbieta wyszła z salonu, skrywając ulgę, że nie została całkowicie pokonana i mogła zachować twarz w tej potyczce. Kuzyn Jim pogładził ciemne włosy Emilki.

— Dobrze się stało, Emilko. Nie powinnaś być zanadto uparta, wiesz? A trzy lata to nie wieczność, kociątko.

Być może; ale gdy ma się lat czternaście, wydają się wiecznością. Emilka długo płakała, zanim usnęła — i obudziła się o trzeciej nad ranem w wietrzną, ciemnoszarą noc. Wstała, zapaliła świecę. Usiadła przy stole i opisała całą scenę w zeszycie od Jima, bacząc pilnie, by nie wpleść ani jednego słowa, które nie byłoby zgodne z prawdą.

VI

POCZĄTKI W SHREWSBURY

Ted, Ilza i Perry powitali radosnymi okrzykami wieść o wyjeździe Emilki do Shrewsbury. Emilka przemyślawszy wszystko była umiarkowanie szczęśliwa. Bardzo się cieszyła, że pójdzie do szkoły średniej. Nie podobała jej się jednak myśl, że będzie mieszkała u ciotki Ruth. Nie spodziewała się takiego obrotu spraw. Przypuszczała, że ciotka Ruth nie zechce wziąć jej do siebie i jeśli ciotka Elżbieta postanowi posłać ją do Shrewsbury, zamieszka prawdopodobnie z Ilzą. Oczywiście wolałaby, żeby tak było. Wiedziała, że nie będzie miała łatwego życia pod dachem ciotki Ruth. W dodatku nie wolno jej było pisać opowiadań. Czuć natchnienie i nie móc go wyrazić... drżeć z zachwytu na myśl o zabawnych lub tragicznych postaciach i nie móc powołać ich do życia... wyobrażać sobie wspaniałą fabułę, wiedząc jednocześnie, że nie wolno jej rozwinąć — wszystko to było torturą niepojętą dla tych, którzy nie urodzili się z fatalną skłonnością do pisania. Ciotki Elżbiety tego świata nie potrafiły zrozumieć takich rzeczy. Dla nich była to zwykła głupota.

Ostatnie dwa tygodnie sierpnia były bardzo pracowite dla mieszkańców Księżycowego Nowiu. Elżbieta i Laura spędzały długie godziny na omawianiu strojów Emilki. Musiała mieć wyprawę, która nie przyniesie wstydu Murrayom, lecz głos decydujący przypadł zdrowemu rozsądkowi, a nie modzie. Sama Emilka nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Obie siostry spierały się „od południa do wieczornej rosy” o to, czy sprawić Emilce taftową bluzkę — Ilza miała trzy — i ku rozczarowaniu Emilki zdecydowały, że jej nie kupią. Laura jednak dopięła swego w kwestii sukienki, której nie odważyła się nazwać „wieczorową”, gdyż to pogrzyłoby ją w oczach Elżbiety. Była to bardzo ładna sukienka z krepy, koloru zgaszonego rózu — odcień ten zwano wówczas „popielatym różem” — miała dekolt, co było dużym ustępstwem ze strony Elżbiety, a także rękawy z wielkimi

bufami, które dzisiaj wydają się śmieszne, lecz w owych czasach wyglądały — jak każda modna rzecz — uroczo i ponętnie, gdy nosiły je młode i piękne dziewczęta. Była to najładniejsza sukienka Emilki — i najdłuższa, co miało wówczas wielką wagę, ponieważ tylko dorosłe osoby nosiły „długie” suknie. Sięgała aż po ładne kostki Emilki.

Włożyła ją pewnego wieczoru, kiedy Laury i Elżbiety nie było w domu, bo chciała pokazać się w niej Deanowi. Odwiedził ją w przeddzień wyjazdu do Egiptu i spacerowali razem po ogrodzie. Emilka czuła się dorosła i wyrafinowana, gdyż musiała unosić nieco brzeg sukni, gdy przechodziła przez trawnik. Miała we włosach popielatoróżową wstążkę i Dean pomyślał, że wygląda jeszcze bardziej gwiazdziście niż zazwyczaj. Towarzyszyły im koty: lśniący, pasiasty Prym i Psotka, która nadal rządziła niepodzielnie stodołami Księżycowego Nowiu. Różne koty mogły przychodzić i odchodzić, lecz Psotka zawsze trwała na posterunku. Skakały wśród splątanych traw, wypadały na siebie z kwietnych dżungli i ocierały się znacząco o nogi Emilki. Dean wyjeżdżał do Egiptu, lecz wiedział, że nawet wśród nieznanych cudów zapomnianych imperiów nie ujrzy piękniejszego widoku niż obraz Emilki i jej kotów w zadbanym, dostojnym, pachnącym ogrodzie Księżycowego Nowiu.

Nie rozmawiali tyle co zazwyczaj i chwile ciszy wywierały na obojgu dziwne wrażenie.

Deana nawiedziła szalona myśl, by zrezygnować z podróży do Egiptu i spędzić zimę w kraju — na przykład w Shrewsbury. Wzruszył ramionami i skwitował ten pomysł śmiechem. Ona nie potrzebuje jego opieki — damy z Księżycowego Nowiu były czujnymi opiekunkami.

Emilka to jeszcze dziecko

— mimo że wyrosła i zeszcupiała, a jej oczy wydawały się niezgłębione. Lecz jakże doskonała była linia jej białej szyi... i słodkie, pąsowe usta, stworzone do pocałunków.

Wkrótce stanie się kobietą, lecz nie dla niego, nie dla ułomnego Krzywego Priesta, który mógłby być jej ojcem. Po raz setny Dean powtórzył sobie, że nie zamierza się ośmieszać.

Musi poprzestać na tym, co zsyła mu los — na przyjaźni i życzliwości tej czarującej, gwiazdzistej istoty. Kiedyś, w przyszłości, jej miłość będzie czymś cudownym — dla innego mężczyzny. Niewątpliwie, pomyślał cynicznie Dean, obdarzy nią jakiegoś przystojnego lalusia, który nie będzie tego wart.

Emilka tymczasem myślała, jak bardzo będzie jej brak Deana — bardziej niż dotychczas.

Tego lata spędzili razem wiele miłych chwil. Po każdej rozmowie, nawet krótkiej, czuła, że życie stało się bogatsze. Jego mądre, dowcipne, zabawne, kpiące powiedzenia były dla niej pouczające. Pobudzały ją... ożywiały... inspirowały. Jego komplementy dawały jej pewność siebie. Dean fascynował ją w pewien osobliwy sposób, jak nikt inny na świecie. Czuła to, choć nie potrafiła tego określić. Ted, na przykład... doskonale wiedziała, dlaczego lubi Teda. Lubiała go za to, że był Tedem. A Perry... Perry był wesołym, opalonym, szczerym zawadiaką, którego nie sposób nie lubić. Ale Dean był inny. Czy jego urok nie był pokusą nieznanego? Doświadczenia... wyrafinowanej wiedzy... umysłu, który dojrzał dzięki gorzkiej mądrości... rzeczy, które Dean poznał, a o których ona nigdy się nie dowie? Emilka nie wiedziała. Czuła jedynie, że w porównaniu z Deanem wszyscy wydają jej się bezbarwni — nawet Ted, którego lubiała najbardziej. O tak, Emilka nigdy nie wątpiła, że najbardziej lubi Teda. A jednak wydawało się, że Dean zaspokaja pewną część jej delikatnej i skomplikowanej natury.

— Dziękuję ci za wszystko, czego mnie nauczyłeś, Deanie — odezwała się, gdy przystanęli obok zegara słonecznego.

— A czy ty myślisz, Gwiazdko, że nie nauczyłaś mnie niczego?

— Jakże bym mogła? Ja, taka młoda... niedoświadczona...

— Nauczyłaś mnie śmiać się bez goryczy. Mam nadzieję, że nigdy nie zrozumiesz, jakie to dobrodziejstwo. Nie pozwól, aby Shrewsbury cię zepsuło, Emilko. Tak się cieszysz z

wyjazdu, że nie chciałbym oblewać cię zimną wodą. Ale równie dobrze... nawet lepiej...

posłużyłby ci pobyt tutaj, w Księżycowym Nowiu.

— Deanie! Muszę być wykształcona...

— Wykształcona! Wykształcenie to nie algebra i drugorzędna łacina, wkładana łopatą do głowy. Stary Carpenter może nauczyć cię więcej i lepiej niż nieopierzeni wykładowcy szkoły średniej w Shrewsbury.

— Nie mogę już chodzić do naszej szkoły — zaprotestowała Emilka. — Byłabym zupełnie sama. Wszyscy uczniowie w moim wieku wyjeżdżają do Shrewsbury albo do Akademii, albo zostają w domu. Nie rozumiem cię, Deanie. Myślałam, że będziesz zadowolony, iż pozwolono mi jechać do Shrewsbury.

— Ależ jestem zadowolony... bo tobie sprawia to radość. Tylko że... wiedza, której pragnę dla ciebie, nie jest wykładana w szkołach średnich i nie da się zmierzyć końcowymi egzaminami. Cokolwiek zyskasz w szkole, będzie twą własną zasługą. Nie daj się zmienić, pozostań sobą, to wszystko. Nie sądzę, żebyś się zmieniła.

— Nie — odparła Emilka. — Jestem jak ów kot u Kiplinga... chodzę własnymi ścieżkami i macham ogonem, jak mi się spodoba. Dlatego właśnie Murrayowie patrzą na mnie krzywo. Uważają, że powinnam trzymać się stada. Och, Deanie, będziesz pisał do mnie często, prawda? Nikt mnie tak nie rozumie jak ty. Tak bardzo przywykłam do twego towarzystwa, że nie dam sobie rady bez ciebie.

Emilka powiedziała to dość lekkim tonem, lecz szczupła twarz Deana pociemniała. Nie pożegnali się — mieli od dawna taką umowę. Dean pomachał ręką.

— Niechaj sprzyja ci każdy dzień — rzekł.

Emilka obdarzyła go niespiesznym, tajemniczym uśmiechem. W nikłym, błękitnym blasku ogród wydawał się opustoszały, jedynie tu i ówdzie jaśniały widmowe pąki białych floksów.

Ucieszyła się słysząc gwizdanie Teda w zagajniku Dumnego Jana.

Ostatniego wieczoru odwiedziła pana Carpentera, by zapytać, co sądzi o rękopisach, które zostawiła mu do oceny tydzień temu. Były wśród nich najnowsze opowiadania, napisane przed umową z ciotką Elżbietą. Pan Carpenter potrafił wygłaszać krytyczne uwagi i nigdy nie owijał niczego w bawełnę; był sprawiedliwy i Emilka ufała jego sądom, nawet gdy jego wypowiedzi raniły jej duszę.

— Ta historia miłosna jest do niczego — rzekł bez ogródek.

— Wiem, że nie jest taka, jak chciałam — westchnęła Emilka.

— Zawsze z opowiadaniem tak jest — powiedział pan Carpenter. — Nigdy nie napiszesz niczego, co zadowoliłoby ciebie, choć innym może się podobać. A gdy mowa o historiach miłosnych, nie potrafisz ich pisać, bo ich nie czujesz. Nie próbuj pisać o rzeczach, których nie czujesz... to będzie klęska... „echo nic niewarte”. No a to drugie opowiadanie... o starej kobiecie... jest niezłe. Błyskotliwe dialogi, zakończenie proste i zaskakujące. Dzięki Bogu masz poczucie humoru. Chyba właśnie dlatego nie potrafisz pisać o miłości. Nikt, kto naprawdę posiada poczucie humoru, nie potrafi pisać o miłości. Emilka nie mogła tego pojąć. Lubiła pisać opowiadania o miłości — a były one straszliwie sentymentalne i tragiczne.

— Szekspir potrafił — odparła buntowniczo.

— Nie porównywałbym cię z Szekspirem — stwierdził oschle pan Carpenter.

Emilka spłonęła rumieńcem.

— Wiem. Ale pan powiedział, że nikt nie potrafi.

— I podtrzymuję to. Szekspir był wyjątkiem, który potwierdza regułę. Chociaż z pewnością zawiesił na kołku swoje poczucie humoru, kiedy pisał „Romea i Julię”. Wróćmy jednak do Emilki z Księżycowego Nowiu. A co do opowiadania... cóż, nie wywarłoby złego wpływu na żadną młodą osobę.

Ton pana Carpentera powiedział Emilce, że nie jest to komplement. Milczała, a pan

Carpenter przeglądał cenne rękopisy, odrzucając je lekceważąco na bok.

— To brzmi jak kiepskie naśladownictwo Kiplinga. Czytałaś go ostatnio?

— Owszem.

— Tak myślałem. Nie próbuj naśladować Kiplinga. Jeśli już musisz, naśladuj Laurę Jean Libbey. W tym tutaj dobry jest tylko tytuł. Kołtuńska historyjka. A „Ukryte bogactwa” to nie opowiadanie, lecz maszyna. Skrzypi przy czytaniu. Ani przez chwilę nie zapomniałem, że jest to opowiadanie. A zatem nie jest to dobre opowiadanie.

— Próbowałam napisać coś prawdziwego — broniła się Emilka.

— Ach, więc to dlatego. Wszyscy spoglądamy na życie przez pryzmat złudzeń... nawet jeżeli jesteśmy ich pozbawieni. Dlatego właśnie rzeczy nazbyt prawdziwe nie są przekonujące. Niech no spojrzę... „Rodzina Madderów”... kolejna próba realizmu. Ale to tylko fotografia, nie portret.

— Ileż przykrych rzeczy pan mi powiedział — westchnęła Emilka.

— Świat, w którym nie mówiłoby się przykrych *rzeczy*, byłby miły, lecz niebezpieczny — odparł pan Carpenter. — Powiedziałaś, że chcesz krytycznych uwag, a nie pochlebstw.

Zachowałem je na koniec. „Inna sprawa” jest nawet dosyć dobra i gdybym nie obawiał się, że cię zepsuję, powiedziałbym, że jest bardzo dobra. Za dziesięć lat będziesz mogła napisać ją na nowo i nadać jej inne walory. Tak, za dziesięć lat... nie rób takiej miny, mała. Masz talent i znakomite wyczucie słowa... zawsze wybierasz najlepsze... to rzecz bezcenna. Ale masz także paskudne wady. Ta przekłeta kursywa... Wyrzeknij się jej, mała, wyrzeknij się. Twoja wyobraźnia potrzebuje cugli, kiedy odbiegasz od realizmu.

— Teraz będzie je miała — wtrąciła posepnie Emilka i opowiedziała o umowie z ciotką Elżbietą. Pan Carpenter kiwał głową.

— Znakomicie.

— Znakomicie? — powtórzyła tępo Emilka.

— Tak. Tego ci właśnie potrzeba. To cię nauczy powściągliwości i oszczędności słów.

Trzymaj się faktów przez trzy lata, a zobaczysz, do czego ci się przydadzą. Zostaw w spokoju królestwo wyobraźni i ogranicz się do powszedniego życia.

— Nie ma czegoś takiego jak powszednie życie — powiedziała Emilka.

Pan Carpenter wpatrywał się w nią przez chwilę.

— Masz słuszość, nie ma czegoś takiego — rzekł powoli. — Ale to trochę dziwne, że wiesz o takich rzeczach. Cóż, idź naprzód, nie poddawaj się... krocź ścieżką, którą wybierzesz, i „dziękuj bogom” za wolność wyboru.

— Kuzyn Jim mówi, że nie może być wolnym ktoś, kto ma tysiąc protoplastów.

— A ludzie nazywają tego człowieka głupim — mruknął pan Carpenter. — Twoi protoplasci nie obłożyli cię jednak klątwą. Po prostu zobowiązują cię do tego, byś wspięła się na wyżyny, i nie dadzą ci spokoju, dopóki tego nie zrobisz. Nazwij to ambicją, aspiracją, *cacoethes scribendi*... jakkolwiek zechcesz. Ten bodziec... lub pokusa... sprawia, że pragniesz wspinać się wyżej, póki nie nastąpi porażka albo...

— Zwycięstwo — dokończyła Emilka, unosząc dumnie ciemną głowę.

— Amen — podsumował pan Carpenter.

Tej nocy Emilka napisała wiersz „Pożegnanie z Księżycowym Nowiem” i uroniła nad nim kilka łez. Przeżywała każdą jego linijkę. Dobrze było jechać do szkoły... lecz opuścić drogi Księżycowy Nów! Wszystko w nim wiązało się z jej uczuciami i myślami, było częścią jej samej.

„To nie tylko to, że kocham mój pokój, drzewa i wzgórza... one także mnie kochają” — pomyślała.

Jej niewielka czarna walizka była już spakowana. Ciotka Elżbieta dopilnowała, by znalazły się w niej wszystkie potrzebne rzeczy, a ciotka Laura i kuzyn Jim dołożyli kilka niekoniecznie potrzebnych rzeczy. Ciotka Laura powiedziała Emilce, że w sandałkach znajdzie parę czarnych, koronkowych pończoch — nawet Laura nie odważyła się pomyśleć o jedwabnych pończochach — a kuzyn Jim dał jej trzy zeszyty i kopertę, w której znajdował się pięciodolarowy banknot.

— Wydadz to, na co zechcesz, kociątko. Dałbym ci dziesięć, ale Elżbieta nie chciała wypłacić mi większej zaliczki za następny miesiąc. Chyba coś podejrzewała.

— Czy mogę wydać dolara na amerykańskie znaczki, jeśli gdzieś je dostanę? — szepnęła z niepokojem Emilka.

— Na cokolwiek zechcesz — powtórzył lojalnie kuzyn Jim, choć nawet jemu kupowanie amerykańskich znaczków wydawało się czymś niepojętym. Skoro jednak droga, mała Emilka pragnęła znaczków, niech je sobie ma.

Następny dzień Emilka spędziła jak we śnie. Obudziła się o świcie i usłyszała ptasie trele w zagajniku Dumnego Jana... a potem jazda do Shrewsbury we wczesny, rześki wrześnieowy poranek... chłodne powitanie ciotki Ruth... godziny w nieznannej szkole... organizowanie pierwszych klas... powrót na kolację... wszystko to musiało przecież trwać dłużej niż jeden dzień.

Dom ciotki Ruth znajdował się przy końcu jednej z bocznych ulic, już prawie za miastem.

Emilka uznała, że jest bardzo brzydki i przeładowany tandetnymi ozdobami, lecz domy z wykuszowymi oknami i dachami okolonymi białą drewnianą koronką uchodziły w

Shrewsbury za szczyt elegancji. Nie było tam ogrodu, jedynie pusty, wymuskany, nieduży

trawnik. Jednakże jedna rzecz uradowała oko Emilki. Za domem znajdowała się spora

plantacja wysokich, smukłych jodeł — najwyższych, najprostszych, najsmuklejszych jodeł,

jakie Emilka widziała w życiu — rozciągająca się aż po długie, zielone pola, osnute babim latem.

Ciotka Elżbieta spędziła w Shrewsbury cały dzień i po kolacji wyruszyła w drogę powrotną. W progu uściśniła dłoń Emilki i powiedziała jej, żeby zachowywała się jak należy i robiła to, co każe ciotka Ruth. Nie ucałowała Emilki, lecz jej głos brzmiał wyjątkowo łagodnie. Emilka zdławiła szloch i ze łzami w oczach żegnała spojrzeniem ciotkę Elżbietę, która wracała do drogiego Księżycowego Nowiu.

— Wejdz do domu — rzekła ciotka Ruth — i proszę, nie trzaskaj drzwiami.

Emilka nigdy nie trzaskała drzwiami.

— Zmyjemy naczynia po kolacji — oświadczyła ciotka. — Będiesz to odtąd robiła codziennie. Pokażę ci, gdzie należy wszystko kłaść. Przypuszczam, że Elżbieta mówiła ci, iż oczekuję od ciebie pewnych prac domowych w zamian za mieszkanie.

— Tak — odparła krótko Emilka.

Nie miała nic przeciwko pracom domowym, nawet licznym... ale ten ton ciotki Ruth!

— Oczywiście twój pobyt tutaj wiąże się dla mnie ze sporymi wydatkami — podjęła ciotka. — Ale sprawiedliwość wymaga, byśmy wszyscy wnieśli wkład w twoje wychowanie. Myślę jednak, zawsze tak myślałam, że byłoby znacznie lepiej posłać cię do Akademii, żebyś uzyskała dyplom nauczycielski.

— Ja też tego pragnęłam — powiedziała Emilka.

— Hmm... — Ciotka Ruth zesznurowała usta. — Skoro tak twierdzisz... nie rozumiem, dlaczego Elżbieta nie posłała cię do Akademii. Z pewnością w innych sprawach jest dla ciebie aż nazbyt pobłażliwa i uległaby także w tym wypadku, gdybyś naprawdę tego chciała.

Będiesz spała w pokoiku nad kuchnią. Zimą jest tam cieplej niż w innych pokojach. Nie ma w nim oświetlenia gazowego, ale nie stać mnie na to, abyś wypalała gaz podczas nauki.

Dostaniesz świece... będziesz mogła palić dwie naraz. Wymagam od ciebie utrzymywania czystości i ładu w pokoju i punktualnego przychodzenia na posiłki. To dla mnie bardzo istotne. I jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnaś wiedzieć z góry. Nie wolno ci zapraszać tu znajomych. Nie mam zamiaru ich podejmować.

— Nawet Ilzy... Perry'ego... Teda?

— No cóż, Ilza jest córką Burnleya i daleką krewną. Może czasami przychodzić, ale nie za często. Z tego, co słyszałam, nie jest dla ciebie odpowiednią towarzyszką. Ale chłopcy... w żadnym razie. Nic mi nie wiadomo na temat Teda Kenta, a duma nie powinna ci pozwolić na zadawanie się z Perrym Millerem.

— Jestem zbyt dumna, żeby się z nim nie zadawać — odparła Emilka.

— Nie bądź zuchwałą, Emilio. Lepiej, żebyś od razu zrozumiała, że tutaj nie będziesz się szarogęsić tak jak w Księżycowym Nowiu. Jesteś bardzo rozpieszczona. Ale ja nie życzę sobie, żeby jakieś parobki odwiedzały moją siostrzenicę. Nie wiem, skąd u ciebie te gminne gusta. Nawet twój ojciec wyglądał na dżentelmena. Idź na górę i rozpakuj walizkę. Później odrób lekcje. Kładziemy się spać o dziewiątej!

Emilka była oburzona. Nawet ciotce Elżbiecie nie przyszło do głowy, by zabronić Tedowi odwiedzania Księżycowego Nowiu. Zamknęła się w pokoju i w posępnym nastroju rozpakowała swoje rzeczy. Pokój był bardzo brzydki. Znienawidziła go od pierwszego wejrzenia. Drzwi nie dawały się dobrze zamknąć, ukośny sufit był poplamiony i schodził tak nisko nad łóżko, że mogła dotknąć go ręką. Na gołej podłodze leżała duża szydełkowa mata, od której Emilkę aż rozboleły oczy. Nie była w guście Murrayów — ani, żeby być sprawiedliwym, w guście Ruth Dutton. Był to prezent od kuzyna świętej pamięci pana Duttona. Jaskrawoczerwony środek otaczały pomarańczowe i zjadliwie zielone kręgi. W rogach widniały bukiety fioletowych paproci i niebieskich róż.

Drzwi i okna pomalowane były na ohydny, czekoladowy kolor, a tapeta na ścianach miała jeszcze ohydniejszy wzór. Obrazy pasowały do tego wystroju, zwłaszcza litografia przedstawiająca obwieszoną klejnotami królową Aleksandrę i zawieszona pod takim kątem, że wydawało się, iż władczyni lada chwila runie na twarz. Nawet litografia nie zdołała uczynić królowej Aleksandry brzydką ani pospolitą, choć niewiele brakowało. Na wąskiej, ciemnobrązowej półce stał wazon z papierowymi kwiatami, które były tak samo papierowe dwadzieścia lat temu. Trudno było uwierzyć, że może istnieć coś równie brzydkiego i przygnębiającego.

— Ten pokój jest nieprzyjazny... nie chce mnie... nigdy nie będę się w nim czuła u siebie — powiedziała Emilka.

Okropnie tęskniła za domem. Za odblaskiem świec Księżycowego Nowiu na pniach brzoź... zapachem rosistych winorośli... mruczącymi kotami... własnym, kochanym pokojem pełnym marzeń... poważnymi hymnami, które wyśpiewywał wiatr znad zatoki... ową dźwięczną, starą muzyką, której tak jej brakowało w śródłądowej ciszy. Tęskniła nawet za cmentarzykiem, na którym spoczywali zmarli z Księżycowego Nowiu.

— Nie będę płakać — Emilka zacisnęła dłonie. — Ciotka Ruth wyśmiałaby mnie. W tym pokoju nie ma nic, co mogłabym pokochać. A czy jest poza nim?

Otworzyła okno. Wychodziło na jodłowy zagajnik od południowej strony i żywiczna woń pieścotliwie musnęła nozdrza Emilki. Na lewo wśród drzew widniał otwór przypominający hakowate okno, przez który przezierał czarujący, zalany księżycową poświatą krajobraz. Będzie stąd widać zachody słońca! Na prawo rozpościerało się zbocze wzgórza, wzdłuż którego biegła zachodnia część Shrewsbury. W jesiennym zmierzchu wzgórze usiane było światłami i miało baśniowy urok. Gdzieś w pobliżu dało się słyszeć senne ćwierkanie, jak gdyby ptaki układały się do snu na cienistej gałęzi.

— Och, to jest piękne! — westchnęła Emilka, wychylając się przez okno, by odetchnąć wonnym powietrzem. — Ojciec powiedział mi kiedyś, że wszędzie da się znaleźć coś pięknego, co można pokochać. Będę to kochała.

Ciotka Ruth bez pukania wsunęła głowę do pokoju.

— Emilio, dlaczego pozostawiłaś w nieładzie pokrowiec na sofie w jadalni?

— Nie... nie wiem — wybąkała Emilka. Nie miała pojęcia, że przekrzywiła pokrowiec.

Czemu ciotka Ruth zadaje pytania w taki sposób, jakby podejrzewała ją o jakieś mroczne, ukryte i nieczne zamiary?

— Zejdź na dół i popraw go.

Emilka odwróciła się posłusznie, a ciotka wykrzyknęła nagle:

— Emilio Starr, natychmiast zamknij okno! Czyś ty oszalała?

— W tym pokoju jest tak duszno... — zaczęła błagalnie Emilka.

— Możesz go wietrzyć za dnia, ale nigdy nie otwieraj okna po zachodzie słońca. Teraz ja odpowiadam za twoje zdrowie. Musisz wiedzieć, że suchotnicy powinni unikać nocnego powietrza i przeciągów.

— Nie jestem suchotnicą! — zawołała buntowniczo Emilka.

— Jeszcze się sprzeciwiasz.

— Gdybym nawet była, świeże powietrze o każdej porze dobrze mi robi. Tak mówi doktor Burnley. Nienawidzę dusznych pomieszczeń.

— Młodzi *myślą*, że starsi są głupi, a starsi *wiedzą*, że młodzi są głupi. — Ciotka Ruth uznała, że to przysłowie zakończyło sprawę. — Idź i popraw pokrowiec, Emilio.

„Emilia” przełknęła ślinę i wyszła. Pokrowiec został poprawiony z matematyczną dokładnością.

Emilka stała przez chwilę, rozglądając się wokół. Jadalnia ciotki Ruth była o wiele

okazalsza i bardziej „nowoczesna” niż salon w Księżycowym Nowiu, gdzie wydawano prozowane podwieczorki. Podłoga z twardego drewna... wiltonowski dywan... dębowe meble. Nie był to jednak pokój ani w połowie tak „przyjazny” jak ten w Księżycowym Nowiu. Emilka zatęskniła za domem jeszcze mocniej. Nie wierzyła, że polubi cokolwiek w Shrewsbury... życie z ciotką Ruth i chodzenie do szkoły. Po uszczypliwym panu Carpenterze wszyscy nauczyciele wydawali się nudni i bezbarwni, a w drugiej klasie była dziewczyna, którą Emilka znienawidziła od pierwszego wejrzenia. A myślała, że wszystko będzie zachwycające — mieszkanie w uroczym Shrewsbury i nauka w szkole średniej. Cóż, nigdy nie jest tak, jak oczekujemy, powiedziała sobie Emilka w napadzie pesymizmu, wracając do pokoju. Czy Dean nie opowiadał jej pewnego razu, jak to przez całe życie marzył o popłynięciu gondolą po weneckich kanałach w księżycową noc? A gdy to zrobił, komary omal nie pożarły go żywcem.

Emilka wśliznęła się do łóżka zaciskając zęby.

„Muszę skupić się na romantyzmie i blasku księżycy i nie zważać na komary — pomyślała. — Tylko że... ciotka Ruth jest *taka* kąśliwa”.

VII

POTPOURRI

20 września 19...

Zaniedbałam ostatnio pamiętnik. Jeśli mieszka się u ciotki Ruth, nie można mieć wiele wolnego czasu. Ale dzisiaj jest piątek, nadszedł wieczór, a ja nie mogę pojechać do domu na sobotę i niedzielę, więc szukam pociechy w pamiętniku. Jeżdżę do Księżycowego Nowiu co dwa tygodnie, bo ciotka Ruth chce, abym co drugi tydzień pomagała jej w sprzątaniu.

Sprzątamy więc dom od piwnicy po dach, czy trzeba, czy nie trzeba, jak mawiał pewien włóczęga myjący twarz raz w miesiącu — a w niedzielę odpoczywamy po trudach.

Czuję dzisiaj lekki mróz w powietrzu. Obawiam się, że ucierpi ogród w Księżycowym Nowiu. Ciotka Elżbieta uzna niebawem, że już czas zrezygnować z letniej kuchni i wróci niechętnie do domu. Kuzyn Jim będzie gotował w starym sadzie kartofle dla świń i recytował swoje wiersze. Zapewne Ted, Ilza i Perry, którzy pojechali do domu — szczęśliwcy! — zjawią się tam, a Prym będzie krążył w pobliżu. Ale nie wolno mi o tym myśleć, bo zacznę tęsknić za domem.

Zaczynam lubić Shrewsbury, szkołę i nauczycieli — choć Dean słusznie powiedział, że nie spotkam tu drugiego pana Carpentera. Druga i trzecia klasa patrzą na pierwszą z góry i zachowują się protekcyjnie. Niektóre dziewczęta potraktowały *mnie* protekcyjnie, lecz nie sądzę, by spróbowały tego ponownie — z wyjątkiem Eweliny Blake, która odnosi się tak do mnie przy każdym spotkaniu, a spotykamy się dość często, gdyż jej przyjaciółka, Maria Carswell, mieszka z Ilzą na stacji u pani Adamson.

Nienawidzę Eweliny Blake. Nie ma co do tego wątpliwości. A ona nienawidzi mnie.

Jesteśmy instynktownymi nieprzyjaciółkami — przy pierwszym spotkaniu popatrzyłyśmy na siebie jak dwa obce sobie koty i to wystarczyło. Nigdy przedtem nie czułam do nikogo prawdziwej nienawiści. Czasami wydawało mi się, że ją czuję, ale wiem teraz, że to była

tylko niechęć. Nienawiść jest interesującym uczuciem. Ewelina chodzi do drugiej klasy, jest wysoka, inteligentna i dość ładna. Ma podłużne, świetliste, *zdradliwe* piwne oczy i mówi przez nos. O ile wiem, ma też *ambicje literackie* i uważa się za najlepiej ubraną dziewczynę w szkole. Może to i prawda i rzeczywiście jej stroje zdają się wywierać większe wrażenie niż jej *osoba*. Ludzie krytykują Ilzę za to, że ubiera się zbyt strojnie i *dorośle*, ale ona *góruje* nad strojem, a Ewelina nie. Zawsze myśli się najpierw o jej ubiorze, a dopiero potem o samej

Ewelinie. Różnica polega na tym, że Ewelina stroi się dla innych, a Ilza dla siebie. Muszę napisać szkic na jej temat, gdy ją lepiej poznam. Cóż to będzie za satysfakcja!

Spotkałam ją po raz pierwszy u Ilzy i Maria Carswell przedstawiła nas sobie. Ewelina spojrzała na mnie z góry — jest o rok starsza, a zatem nieco wyższa — i powiedziała:

— O, panna Starr? Moja stryjenka, żona Henryka Blake’a, wspomniała kiedyś w rozmowie to nazwisko.

Pani Blake była niegdyś panną Brownell. Spojrzałam Ewelinie prosto w oczy i odparłam:

— Niewątpliwie pani Blake mówiła o mnie same pochlebne rzeczy. Ewelina zaśmiała się nieprzyjemnie — nie lubię takiego śmiechu.

Ma się wówczas wrażenie, że ona śmieje się z *ciebie*, a nie z tego, co powiedziałaś.

— Nie układało się między wami najlepiej, nieprawdaż? O ile wiem, masz pewne zacięcie literackie. Z jakimi pismami współpracujesz?

Zadała to pytanie ze słodyczą, ale dobrze wiedziała, że nie współpracuję z żadnym pismem... na razie.

— Z „Enterprise” w Charlottetown i „Tygodnikiem” w Shrewsbury — odparłam z podstępny uśmiechem. — Zawarłam z nimi umowę. Dostaję dwa centy za każdą notkę dla „Enterprise” i dwadzieścia pięć centów tygodniowo za listy dla „Tygodnika”.

Mój uśmiech zaniepokoił Ewelinę. Pierwszoklasistka nie powinna zwracać się w ten sposób do drugoklasistki. To nie jest przyjęte.

— O, rozumiem, że pracujesz na swoje utrzymanie — powiedziała. — Przypuszczam, że w twoim wypadku liczy się każdy grosz. Ale miałam na myśli pisma literackie.

— Takie jak „Pióro”? — spytałam, nie przestając się uśmiechać. „Pióro” jest gazetą szkolną i wychodzi raz w miesiącu. Wydają je członkowie literackiego stowarzyszenia „Czaszka i Sowa”, do którego dopuszcza się jedynie drugie i trzecie klasy. Treść „Pióra” jest dziełem uczniów i teoretycznie każdy może nadsyłać swoje utwory, lecz w praktyce nie przyjmuje się ich od pierwszoklasistów. Ewelina należy do stowarzyszenia, a jej kuzyn jest redaktorem „Pióra”. Najwyraźniej pomyślała, że natrząsam się z niej, i przez resztę wizyty ignorowała mnie, jeśli nie liczyć drobnej złośliwości podczas rozmowy o strojach.

— Chciałabym kupić sobie nową szarfę — powiedziała. — W sklepie Jonesa i McCalluma jest kilka wprost słodkich i bardzo eleganckich. Ta aksamitna wstążeczka, którą nosisz na szyi, panno Starr, jest nader twarzowa. Sama taką nosiłam, kiedy jeszcze były w modzie. Nie przyszła mi na myśl żadna błyskotliwa odpowiedź. A przychodzą tak łatwo, kiedy nikt nie może ich usłyszeć. Milczałam więc i tylko uśmiechnęłam się *bardzo* powoli i *wzgardliwie*. Wydawało się, że to rozzłościło Ewelinę bardziej niż słowa, bo później powiedziała, że „ta Emilia Starr” ma bardzo afektowany uśmiech.

Uwaga: Można wiele zdziałać dzięki odpowiedniemu uśmiechowi. Muszę dokładnie przestudiować tę kwestię. Uśmiech przyjazny... uśmiech pogardliwy... uśmiech niedbały... uśmiech błagalny... uśmiech pospolity lub grymas.

Gdy mowa o pannie Brownell — czy raczej pani Blake — spotkałam ją kilka dni temu na ulicy. Kiedy mnie mijiała, powiedziała coś do swojej towarzyszki i obie wybuchnęły śmiechem. *Moim* zdaniem był to przejaw złego wychowania.

Lubię Shrewsbury i szkołę, ale nigdy nie polubię domu ciotki Ruth. Ma niemiłą osobowość. Domy są jak ludzie — jedne dadzą się lubić, inne nie — a czasami trafia się taki,

który można pokochać. Ten dom aż kapie od ozdób. Mam ochotę złapać miotłę i wymieść to wszystko. Pokoje są kwadratowe, nienaganne i bezduszne. Cokolwiek by do nich wstawić, wydawałoby się nie na miejscu. Nie ma tu miłych, romantycznych zakątków, jak w Księżycowym Nowiu. Mój pokój także nie zyskał przy bliższym poznaniu. Sufit wręcz mnie przygniata — schodzi tak nisko, a ciotka Ruth nie pozwala mi przesunąć łóżka. Kiedy o to poprosiłam, spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Łóżko zawsze stało w tym miejscu — powiedziała takim tonem, jakby mówiła: „Słońce zawsze wstaje na wschodzie”.

Najgorsze są jednak obrazy — litografie najgorszego gatunku. Raz odwróciłam je do ściany, a ciotka Ruth wmaszerowała do pokoju — ona nigdy nie puka — i zauważyła to od razu.

— Emilio, dlaczego ruszałaś obrazy?

Ciotka Ruth zawsze pyta, „dlaczego” robię to czy tamto. Czasami potrafię odpowiedzieć, a czasami nie. Tym razem nie bardzo potrafiłam. Musiałam jednak udzielić odpowiedzi na pytanie. Tutaj nie wystarczyłby pogardliwy uśmiech.

— Naszyjnik królowej Aleksandry działa mi na nerwy — odparłam — a wyraz twarzy Byrona na łożu śmierci w Missolonghi przeszkadza mi w nauce.

— Emilio — rzekła ciotka Ruth — mogłabyś spróbować okazać choć trochę wdzięczności.

Chciałam zapytać: „Komu? Królowej Aleksandrze czy Byronowi?” — ale nie zrobiłam tego, oczywiście. Potulnie odwróciłam obrazy na właściwą stronę.

— Nie podałaś mi prawdziwej przyczyny odnośnie obrazów — powiedziała surowo ciotka Ruth. — Przypuszczam, że nie masz zamiaru tego zrobić. Skryta i przebiegła... skryta i przebiegła, zawsze taka byłaś. Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam cię w Majowym Gaju, wiedziałam, że jesteś najprzebieglejszym dzieckiem, jakie znam.

— Dlaczego ciocia tak do mnie mówi? — spytałam poirytowana.

— Czy dlatego, że ciocia mnie kocha i chce, bym się poprawiła, czy nienawidzi mnie i chce sprawić mi przykrość... Czy może nie potrafi inaczej?

— Panno Impertynentko, zechciej pamiętać, że to jest *mój* dom. I nie ruszaj więcej *moich* obrazów. Tym razem ci daruję, ale uważaj na przyszłość. Już ja się dowiem, dlaczego odwróciłaś te obrazy, choć wydaje ci się, że taka jesteś mądra.

Ciotka Ruth zamasyście wyszła z pokoju, lecz wiem, że przez dłuższą chwilę podsłuchiwała na półpiętrze, by sprawdzić, czy nie zacznę mówić do siebie. Wciąż mnie obserwuje. Nawet gdy nic nie mówi ani nie robi, wiem, że mnie obserwuje. Czuję się jak mucha pod mikroskopem. Żadne słowo, żadne działanie nie umknie jej krytycznej uwadze, a ponieważ nie potrafi czytać w moich myślach, przypisuje mi inne, takie, które nigdy nie przysłyby mi do głowy. Nienawidzę tego bardziej niż czegokolwiek.

Czy nie da się powiedzieć nic dobrego o ciotce Ruth? Naturalnie, że się da.

Jest uczciwa, cnotliwa, prawdomówna i zaradna i nie musi wstydzic się swej spiżarni. Nie ma jednak zalet, za które można by ją pokochać — i nigdy nie przestanie dociekać, dlaczego odwróciłam obrazy. Nigdy nie uwierzy w to, że powiedziałam jej prawdę.

Oczywiście „mogło być gorzej”, jak mówi Ted. Zamiast królowej Aleksandry mogła być królowa Wiktoria.

Przypięłam kilka własnych obrazków, które dodają mi otuchy — urocze szkice

Księżycowego Nowiu i starego sadu, prezent od Teda, oraz sztych od Deana. Jest to obraz o łagodnych, stonowanych barwach, przedstawiający palmową oazę na pustyni i karawanę wielbłądów kroczących po piasku na tle czarnego, wygwieżdżonego nieba. Jest urzekający i tajemniczy i gdy na niego patrzę, zapominam o biżuterii królowej Aleksandry i ponurej twarzy lorda Byrona, a moja dusza wślizguje się przez ukrytą furtkę do rozległej krainy

wolności i marzeń.

Ciotka Ruth spytała, skąd mam ten obrazek. Kiedy jej powiedziałam, prychnęła:

— Nie rozumiem, skąd u ciebie to upodobanie do Krzywego Priesta. Nie miałabym żadnego pożytku z takiego mężczyzny.

Niewątpliwie!

Choć jednak dom jest brzydki, a pokój nieprzyjazny, Wyniosła Kraina jest piękna i podtrzymuje mnie na duchu. Jest to jodłowy lasek za domem. Nazwałam go tak, ponieważ jodły są w nim niezmiernie wysokie, smukłe i proste. Jest tam sadzawka okolona paprociami, a obok tkwi wielki, szary głaz. Dochodzi doń kręta, kapryśna ścieżka, tak wąska, że mieści się na niej tylko jedna osoba. Kiedy jestem zmęczona, samotna, zła lub dręczy mnie nadmiar ambicji, idę tam i przysiadam na chwilę. Nikt nie mógłby trwać w złości patrząc na te smukłe, strzeliste wierzchołki drzew na tle nieba. W pogodne wieczory uczę się w tym miejscu, choć ciotka Ruth patrzy na to podejrzliwie i uważa, że jest to kolejny przejaw mojej przebiegłości. Wkrótce zmrok zacznie zapadać zbyt wcześnie, abym mogła tam czytać, i to będzie dla mnie bardzo przykre. Wydaje się, że w tym miejscu książki mają więcej *treści* niż gdziekolwiek indziej.

W Wyniosłej Krainie jest tyle miłych, zielonych zakątków, pachnących nagrzanymi słońcem paprociami, i trawiastych polanek pełnych bladych astrów, kołyszących się łagodnie pod tchnieniem Królowej Wiatru. Za moim oknem po lewej stronie rośnie grupa wysokich, starych jodeł, które o zmierzchu i w blasku księżyca wyglądają jak grupka czarownic pochłoniętych rzucaniem zaklęć. Kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy pewnego wietrznego wieczoru na tle czerwonego zachodu słońca, a wśród ich gałęzi odbijał się płomień mojej świecy zawieszony w powietrzu niczym przedziwny, ognisty znak, pojawił się promyk — pierwszy raz w Shrewsbury — i poczułam się tak uszczęśliwiona, że wszystko inne przestało

się liczyć. Napisałam o tym wiersz.

Lecz jakże pragnę pisać opowiadania! Wiedziałam, że nie będzie łatwo dotrzymać obietnicy danej ciotce Elżbiecie, lecz nie myślałam, iż będzie to *aż tak* trudne. Z każdym dniem jest mi trudniej — przychodzą mi do głowy tak wspaniałe pomysły. A potem muszę wracać do studiowania charakterów znanych mi ludzi. Napisałam już kilka szkiców. Za każdym razem czuję tak silną pokusę, by *dodać im nieco kolorytu* — pogłębić cienie, wydobyć blaski. Przypominam sobie jednak, że przyrzekłam ciotce Elżbiecie jak najściślej trzymać się prawdy, powstrzymuję więc dłoń i usiłuję odmalować je wiernie.

Napisałam szkic o ciotce Ruth. Interesujący, lecz niebezpieczny. Nigdy nie zostawiam zeszytu od Jima ani pamiętnika w pokoju. Wiem, że ciotka Ruth przetrząsa go podczas mojej nieobecności. Dlatego zawsze noszę je przy sobie.

Dzisiaj wieczorem była u mnie Ilza i wspólnie odrabiałymy lekcje. Ciotka Ruth patrzy na to krzywo i, uczciwie mówiąc, nie jestem pewna, czy nie ma racji. Ilza jest tak wesoła i ma w sobie tyle komizmu, że obawiam się, iż więcej jest w tym śmiechu niż nauki. Nazajutrz wypadamy niezbyt dobrze na lekcjach, a w dodatku ten dom nie pochwała śmiechu.

Perry i Ted polubili szkołę. Perry zarabia na mieszkanie doglądając pieca i pilnując ogrodu, a na jedzenie — podając do stołu. Prócz tego wykonuje dorywcze prace za dwadzieścia pięć centów od godziny. Nie widuję zbyt często ani jego, ani Teda poza sobotami i niedzielami w domu, gdyż szkolne przepisy zabraniają chłopcom i dziewczętom chodzić i wracać razem ze szkoły. Zdarza się to jednak dość często. Sama miałam kilka takich sposobności, lecz doszłam do wniosku, że łamanie przepisów nie byłoby zgodne z tradycją Księżycowego Nowiu. W dodatku ciotka Ruth wypytuje co wieczór, czy ktoś odprowadzał mnie do domu. Chwilami wydaje mi się, że jest nieco zawiedziona, gdy odpowiadam „nie”. Poza tym nie podobał mi się żaden z chłopców, którzy chcieli mnie odprowadzić.

20 października 19...

Mój pokój wypełnia woń gotowanej kapusty, lecz nie mam odwagi otworzyć okna.

Napłynęłoby zbyt wiele nocnego powietrza. Zaryzykowałabym, gdyby nie to, że ciotka Ruth była przez cały dzień w bardzo złym humorze. Wczoraj wypadła niedziela, którą spędzałam w Shrewsbury i kiedy poszliśmy do kościoła, usiadłam w rogu ławki. Nie wiedziałam, że ciotka Ruth zawsze siada w tym miejscu, ale ona pomyślała, że zrobiłam to celowo. Przez całe popołudnie czytała Biblię. *Czułam, że czyta ją przeciwko* mnie, choć nie miałam pojęcia dlaczego. Dziś rano zapytała, czemu to zrobiłam.

— Ale co? — spytałam w osłupieniu.

— Dobrze wiesz, Emilio. Nie będę dłużej tolerowała twoich wykrętów. Czym się kierowałaś?

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym ciocia mówi — odparłam dość wyniośle, bo czułam, że jestem traktowana niesprawiedliwie.

— Emilio, wczoraj specjalnie usiadłaś w rogu ławki, żeby mnie tam nie dopuścić.

Dlaczego tak postąpiłaś?

Spojrzałam na ciotkę z góry — jestem wyższa od niej i mogę to robić. Ona bardzo tego nie lubi. Byłam zła i *chyba* cień murrayowskiego spojrzenia pojawił się na mojej twarzy. To wszystko wydawało się zupełnie niewarte roztrząsania.

— Jeżeli nie przepuściłam cioci specjalnie, czy nie jest to wystarczający powód? — spytałam ze wzgardą, którą w owej chwili czułam. Podniosłam torbę z książkami i ruszyłam ku drzwiom. Przystanąłam. Przyszło mi na myśl, że niezależnie od zasad Murrayów nie zachowuję się jak przystało córce Starra. Ojciec nie byłby ze mnie zadowolony. Odwróciłam się więc i oświadczyłam bardzo uprzejmie:

— Nie powinnam była tego mówić, ciociu Ruth, i proszę o wybaczenie. Usiadłam w rogu

bez żadnej złej myśli, po prostu dlatego, że weszłam do ławki jako pierwsza. Nie wiedziałam, że to cioci miejsce.

Może nieco przesadziłam z uprzejmością. Tak czy inaczej moje przeprosiny wzmogły jedynie rozdrażnienie ciotki Ruth. Prychnęła i powiedziała:

— Tym razem ci daruję, ale uważaj na przyszłość. Nie spodziewałam się, oczywiście, że podasz mi prawdziwą przyczynę. Jesteś na to zbyt przebiegła.

Ciotko Ruth, ciotko Ruth! Jeżeli będziesz wmawiać mi nieustannie, że jestem przebiegła, zmusisz mnie, bym stała się taką naprawdę, a wtedy — strzeż się. Jeśli zechcę być przebiegła, owinę sobie ciebie wokół palca! Możesz mną rządzić wyłącznie dlatego, że jestem szczerą.

Codziennie muszę chodzić spać o dziewiątej — „ludzie zagrożeni suchotami potrzebują dużo snu”. Po szkole wypełniam domowe obowiązki, a wieczory muszę poświęcać na naukę.

Nie mam więc czasu na pisanie. Wiem, że ciotka Elżbieta i ciotka Ruth odbyły naradę w tej sprawie. Ale ja *muszę* pisać. Wstaję zatem o świcie, ubieram się, wkładam płaszcz — bo ranki są już zimne — siadam i piszę przez jedną, bezcenną godzinę. Nie chciałam, żeby ciotka Ruth to wykryła i nazwała mnie przebiegłą, więc powiedziałam jej o tym. Dała mi do zrozumienia, że jestem umyślowo niezrównoważona i skończę marnie w jakimś zakładzie dla obłąkanych, ale nie wydała zakazu — być może pomyślała, że to się na nic nie zda. I słusznie. *Muszę* pisać, i tyle. Ta szara godzina jest dla mnie najpiękniejszą chwilą dnia.

Ostatnio wymyślam opowiadania, skoro nie wolno mi ich pisać. Pewnego dnia jednak przyszło mi do głowy, że łamię umowę z ciotką Elżbietą, nie czynem wprawdzie, lecz myślą. Zaprzestałam więc tego.

Napisałam dzisiaj szkic charakterologiczny o Ilzie. To fascynujące. Trudno dociec, jaka ona jest. Wydaje się tak zmienna i nieprzewidywalna. (Sama wymyśliłam to słowo.) Nawet złości się inaczej niż wszyscy. Bawią mnie jej wybuchy. Nie używa już tylu okropnych słów,

co dawniej, lecz jest pełna *pikanterii*. (Pikanteria jest moim nowym słowem. Lubię nowe słowa. Nie czuję, że jakieś słowo naprawdę należy do mnie, póki go nie wypowiem lub nie napiszę.)

Piszę przy oknie. Lubię patrzeć na światła Shrewsbury zapalające się o zmierzchu za długim wzgórzem.

Dostałam dzisiaj list od Deana. Podróżuje po Europie — ogląda zburzone świątynie dawnych bogów i grobowce dawnych królów. Spojrzałam na ów obcy kraj jego oczyma — wydało mi się, że kroczę wraz z nim przez wieki — poznałam magię tamtego nieba. Byłam Emilką z Karnaku lub Teb, a nie Emilką ze Shrewsbury. Tylko Dean potrafi tak pisać. Ciotka Ruth koniecznie chciała przeczytać jego list, a gdy przeczytała, orzekła, że jest bezbożny!

Takie określenie nie przyszłoby mi do głowy.

21 października 19...

Dzisiaj wieczorem wspięłam się na strome, lesiste wzgórze w Wyniosłej Krainie i na jego wierzchołku przeżyłam chwilę uniesienia. We wspinaczce jest zawsze jakaś satysfakcja. W powietrzu czuło się lekki mróz, widok na zatokę był cudowny, a otaczające mnie lasy wydawały się oczekiwać czegoś — tylko tak potrafię określić wrażenie, jakie na mnie wywarły. Zapomniałam o wszystkim — o złościwościach ciotki Ruth, wywyższaniu się Eweliny Blake i naszyjniku królowej Aleksandry — o wszystkim, co przykre w życiu. Piękne myśli nadlatywały ku mnie jak ptaki. Nie były to *moje* myśli. Nie potrafiłabym wymyślić niczego tak zachwycającego. Coś je do mnie *wysyłało*.

Kiedy wracałam wąską, mroczną ścieżką, gdzie powietrze pełne było cudownych szeptów, usłyszałam w jodłowym lasku tuż za sobą dziwny chichot. Byłam zaskoczona i trochę zaniepokojona. Wiedziałam od razu, że nie jest to ludzki śmiech — bardziej przypominał

chichotanie Puka i innych czarodziejskich istot i pobrzmiwała w nim złośliwa nuta. Nie wierzę już w leśne elfy — człowiek wiele traci, niestety, stając się niedowiarkiem — więc śmiech ten zaintrygował mnie, a jednocześnie poczułam dreszcz zgrozy. Potem pomyślałam nagle o sowach i rozpoznałam ów dźwięk — prawdziwie urzekający, jak gdyby w ciemnościach śmiały się do siebie duchy Złotego Wieku. Było ich chyba dwie i zapewne ubawiły się setnie jakimś sowim dowcipem. Muszę napisać o tym wiersz — choć nigdy nie zdołam ująć w słowa nawet części tego demonicznego uroku.

Wczoraj dyrektor wezwał Ilzę na dywanik, ponieważ wróciła ze szkoły z Guyem Lindsayem. Pan Hardy powiedział coś, co tak rozwścieczyło Ilzę, że złapała wazon z chryzantemami, który stał na biurku, i cisnęła nim o ścianę. Oczywiście roztrzaskał się na kawałki.

— Gdybym nie rzuciła nim o ścianę, musiałabym rzucić w pana — oświadczyła.

Niektórym dziewczętom nie uszłoby to na sucho, ale doktor Burnley jest przyjacielem pana Hardy’ego. W dodatku te złote oczy Ilzy mają w sobie coś takiego, że serce mięknie. Dobrze wiem, jak patrzyła na pana Hardy’ego, kiedy rozbiła wazon. Minęła jej cała złość, a oczy miała roześmiane i zuchwałe — bezwstydne, jak powiedziałyby ciotka Ruth. Pan Hardy orzekł jedynie, że zachowała się jak małe dziecko i będzie musiała zapłacić za wazon, który był własnością szkoły. To zmieszało Ilzę; uznała, że się jej upiekło.

Zbeształam ją ostro. Doprawdy, ktoś *musi* się zająć wychowaniem Ilzy, a nikt prócz mnie nie czuje się za to odpowiedzialny. Doktor Burnley wybuchnie tylko śmiechem, gdy ona mu o tym opowie. Ale równie dobrze mogłam besztać Królową Wiatru. Ilza uściskała mnie ze śmiechem.

— Kochanie, to było bycze! Kiedy usłyszałam ten brzdęk, przeszła mi cała złość.

Ilza deklamowała na koncercie szkolnym w zeszłym tygodniu i wszyscy byli nią

zachwyceni.

Ciotka Ruth powiedziała mi dzisiaj, że ma nadzieję, iż otrzymam gwiazdkę za wyniki w nauce. Nie czyniła żadnych aluzji do mojego nazwiska — o nie, ciotka Ruth nie rozumie gier słownych. Wszyscy uczniowie, którzy uzyskają dziewięćdziesiąt punktów na sto podczas zimowych egzaminów i nie spadną poniżej osiemdziesięciu z żadnego przedmiotu, zwani są „gwiazdkowiczami” i otrzymują złote szpilki w kształcie gwiazdy, które noszą do końca semestru. Jest to upragnione wyróżnienie i, rzecz jasna, przypada w udziale tylko nielicznym. Jeżeli zawiodę, ciotka Ruth mnie zamęczy. *Nie mogę zawieść.*

30 października 19...

Dzisiaj ukazał się listopadowy numer „Pióra”. Tydzień temu posłałam redaktorowi mój wiersz o sowach, ale go nie zamieścił. Wydrukował za to wierszyk Eweliny Blake — głupią, sztuczną rymowaną „Jesienne liście”, bardzo podobną do tego, co zdarzało mi się pisywać trzy lata temu.

Ewelina przy całej klasie wyraziła mi *współczucie*, że nie przyjęto mojego wiersza.

Podejrzewam, że dowiedziała się o tym od Toma Blake’a.

— Nie bierz sobie tego do serca, panno Starr. Tom powiedział, że to nie było złe, lecz, oczywiście, nie na poziomie „Pióra”. Za rok lub dwa zapewne przyjmą ci coś do druku. Nie trać nadziei.

— Dziękuję — odparłam. — Nie biorę sobie tego do serca. Nie mam powodu. W moim wierszu nie ma rymów w rodzaju „zorza” — „pożar”. To dopiero byłby powód do zmartwienia.

Ewelina oblała się rumieńcem.

— Nie okazuj rozczarowania tak jawnie, moje *dziecko* — powiedziała. Ale zaraz potem zmieniła temat.

Dla własnej satysfakcji napisałam szkic krytyczny o wierszu Eweliny w zeszycie od Jima, gdy tylko wróciłam ze szkoły. Wzorowałam się na eseju Macaulaya o nieszczęsnym Robercie Montgomerym i bawiłam się przy tym tak dobrze, że minął cały mój ból i upokorzenie. Muszę pokazać ten szkic panu Carpenterowi. Uśmieje się z niego.

6 listopada 19...

Dzisiaj wieczorem, przeglądając mój pamiętnik, zauważyłam, że przestałam zapisywać dobre i złe uczynki. Przypuszczam, że to dlatego, iż tak wiele moich uczynków mieści się gdzieś pośrodku. Nie potrafię ustalić, do jakiej kategorii należą.

Podczas poniedziałkowych apeli porannych wymaga się od nas, abyśmy odpowiadali cytatami. Dziś rano odpowiedziałam strofą z mojego własnego utworu „Okno z widokiem na morze”. Kiedy wychodziłam z auli, by zejść na dół do klasy, zatrzymała mnie wicedyrektorka, panna Aylmer.

— Emilko, zacytowałaś dzisiaj na apelu bardzo piękny wiersz. Skąd go wzięłaś? Czy znasz go w całości?

Byłam tak podniecona, że z trudem wydobyłam z siebie głos.

— Tak, panno Aylmer — odparłam bardzo skromnie.

— Chciałabym mieć ten wiersz — powiedziała panna Aylmer. — Czy możesz go dla mnie przepisać? Kto jest autorem?

— Autorką — odpowiedziałam ze śmiechem — jest Emilia Byrd Starr. Muszę się przyznać, panno Aylmer, że zapomniałam o cytacie na dzisiejszy apel i w tym pośpiechu nic mi nie przychodziło do głowy, więc przytoczyłam fragment własnego wiersza.

Panna Aylmer milczała przez chwilę. Patrzyła tylko na mnie. Jest to tęga dama w średnim wieku, o sympatycznej twarzy i miłych, dużych, szarych oczach.

— Czy nadal życzy sobie pani mieć ten wiersz? — spytałam z uśmiechem.

— Tak — odparła, wciąż przyglądając mi się z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby widziała mnie po raz pierwszy. — Tak... i proszę z dedykacją.

Obiecałam jej i zesłałam na dół. Kiedy się obejrzałam, nadal na mnie patrzyła. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że poczułam się szczęśliwa, dumna, zadowolona i... i *wdzięczna*. Tak, właśnie tak się czułam.

O, to był wspaniały dzień. Cóż mnie obchodzi „Pióro” i Ewelina Blake?

Wieczorem ciotka Ruth wybrała się do miasta w odwiedziny do Andrzeja, syna wuja Oliwera, który teraz pracuje w banku.

Musiałam jej towarzyszyć. Udzieliła Andrzejowi rozlicznych dobrych rad co do jego prowadzenia się, posiłków oraz bielizny i zaprosiła go, by przychodził do nas, kiedy zechce.

Andrzej jest Murrayem, rozumiecie, i może przekraczać progi, których nie wolno przestąpić Tedowi i Perry’emu. Jest dość przystojny i ma proste, starannie zaczesane rude włosy.

Zawsze jednak sprawia wrażenie, jakby go ktoś wykrochmalił i wyprasował.

Wieczór nie był dla mnie zupełnie stracony, gdyż pani Garden, właścicielka pensjonatu, posiada nader interesującego kota, który czynił mi pewne awanse. Kiedy jednak Andrzej pogłaskał go i nazwał „biednym kiciusiem”, mądre zwierzę prychnęło na niego.

— Nie wolno zachowywać się zbyt poufale wobec kota — pouczyłam Andrzeja. —

Należy o nim i do niego mówić z szacunkiem.

— Terefere — rzekła ciotka Ruth.

Ale kot to kot i wszystko chwyta w lot.

8 listopada 19...

Noce są już zimne. Na pociechę przywiozłam sobie z Księżycowego Nowiu butelkę do ogrzewania stóp. Wkładam ją do łóżka i rozkoszuję się jej ciepłem, gdy wicher wyje w Wyniosłej Krainie, a deszcz bębni o dach. Ciotka Ruth boi się, że korek wyleci z butelki i

woda zaleje łóżko. Byłoby to niemal tak okropne jak to, co przytrafiło mi się przedwczoraj w nocy. Obudziłam się koło dwunastej i przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł na opowiadanie. Poczułam, że muszę natychmiast wstać i zanotować go, zanim zapomnę. Odleży się przez trzy lata i wówczas będę mogła go rozwinąć.

Wyskoczyłam z łóżka i macając po stole w poszukiwaniu świecy przewróciłam kałamarz.

Tak mnie to zdenerwowało, że nic już nie mogłam znaleźć! Zapałki, świece, wszystko zniknęło. Postawiłam kałamarz z powrotem, ale wiedziałam, że na stole jest teraz kałuża atramentu. Całe dłonie miałam w atramencie i nie śmiałam niczego dotykać w ciemności, a nie było w co wytrzeć rąk. I przez cały czas słyszałam, jak atrament kapie na podłogę.

W rozpaczy otworzyłam drzwi — palcami stopy, bo nie odważyłam się dotknąć ich ręką — i zesłam na dół. Wytarłam palce w kuchenną ścierkę i znalazłam zapałki. Tymczasem ciotka Ruth oczywiście wstała i zażądała wyjaśnień. Odebrała mi zapałki, zapaliła świecę i pomaszerowała ze mną na górę. Widok był zaiste przerażający! Czy zwykły, nieduży kałamarz może zawierać kwartę atramentu? *Musiał* tyle zawierać, sądząc po bałaganie, jakiego narobił.

Czułam się jak ów stary szkocki emigrant, który wróciwszy pewnego wieczoru do domu, zastał dymiące zgliszcza oraz całą rodzinę oskałpowaną przez Indian i oświadczył; „To jest kompletny absurd”. Obrus na stole był doszczętnie zniszczony, dywan przesiąknięty atramentem, nawet tapety były poplamione. Ale królowa Aleksandra wciąż uśmiechała się dobrotliwie, a Byron nie przestał umierać.

Odbyłyśmy z ciotką Ruth godzinną sesję z solą i octem. Ciotka nie uwierzyła mi, kiedy tłumaczyłam, że chciałam zanotować pomysł na opowiadanie. Była przekonana, że musiałam kierować się zupełnie innymi pobudkami i jest to kolejny przejaw mojej skrytości i przebiegłości. Powiedziała też kilka *rzeczy*, których nie chcę tutaj przytaczać. Oczywiście,

zasłużyłam na burę za to, że zostawiłam kałamarz otwarty, ale nie zasłużyłam na to wszystko, co mówiła. Zniosłam to jednak bardzo potulnie. Po pierwsze, istotnie byłam lekkomyślna, a po drugie, miałam na nogach kapcie. Każdy może mnie zakrzyczeć, gdy jestem w kapciach. Ciotka zakończyła tyradę mówiąc, że tym razem mi daruje, lecz na przyszłość powinnam uważać.

Perry wygrał szkolny bieg na odległość jednej mili i pobił rekord. Za bardzo się tym przechwalał i rozzłościł Ilzę.

11 listopada 19...

Wczoraj wieczorem ciotka Ruth zastała mnie przy lekturze „Dawida Copperfielda”.

Płakałam nad rozłąką małego Dawida z matką i czułam niepoohamowany gniew na pana Murdstone’a. Ciotka zażądała wyjaśnienia, dlaczego płaczę, a kiedy jej powiedziałam, nie uwierzyła mi.

— Płakać nad losem ludzi, którzy nie istnieją! — rzekła z niedowierzaniem.

— Och, ależ oni *istnieją!* — wykrzyknęłam. — Są równie prawdziwi jak ciocia. Czy panna Betsy Trotwood mogłaby być tylko złudzeniem?

Myślałam, że w Shrewsbury będzie mi wolno pić *prawdziwą* herbatę, ale ciotka Ruth uważa, że herbata jest niezdrowa. Piję więc zimną wodę, bo nie zamierzam dłużej pić bawarki. Nie jestem dzieckiem!

30 listopada 19...

Andrzej odwiedził nas dzisiaj wieczorem. Zawsze przychodzi w piątki, gdy nie wyjeżdżam do Księżycowego Nowiu. Ciotka Ruth zostawiła nas samych w salonie i wyszła na zebranie Koła Kobiet. Andrzejowi można zaufać, bo jest Murrayem.

Andrzej nie budzi we mnie niechęci. Istota tak nieszkodliwa nie może budzić w nikim niechęci. Należy do tych rozmownych, niezdarnych pocziwców, którzy aż się proszą o to,

żeby im dokuczać. Później człowiek ma wyrzuty sumienia, bo to przecież *taki* pocziwina.

Dzisiaj, pod nieobecność ciotki Ruth, postanowiłam sprawdzić, ile słów uda mi się powiedzieć do Andrzeja, gdy jednocześnie będę myślała o czymś innym. Odkryłam, że wystarczy zaledwie kilka słów: „tak”, „nie” — wypowiedziane różnym tonem, ze śmiechem lub bez — „nie wiem”, „doprawdy?”, „no, no” i „cudownie” — zwłaszcza to ostatnie.

Andrzej rozprawiał, a gdy przerywał dla nabrania tchu, mówiłam: „Cudownie!”.

Powiedziałam to jedenaście razy. Andrzej był zadowolony. Wiem, że wzbudziłam w nim przyjemne, pełne próżności uczucie, iż cudowny jest zarówno *on sam*, jak i jego wypowiedzi.

Tymczasem ja przeżywałam w marzeniach wspaniałe chwile w Egipcie za panowania

Totmesa I.

Byliśmy więc obydwój bardzo szczęśliwi. Chyba spróbuję tego powtórnie. Andrzej jest zbyt głupi, żeby mnie przyłapać.

Po powrocie ciotka Ruth zapytała:

— No i jak się wam rozmawiało?

Zadaje to pytanie po każdej wizycie Andrzeja. *Wiem, dlaczego. Znam te drobne knowania Murrayów*, choć nie sądzę, by ktokolwiek z rodziny ujął je kiedykolwiek w słowa.

— Świetnie — odparłam. — Andrzej robi postępy. Dzisiaj powiedział *jedną* ciekawą rzecz i nie miał aż tylu rąk i nóg co zwykle.

Nie wiem, dlaczego czasami odzywam się w ten sposób do ciotki Ruth. Byłoby dla mnie znacznie lepiej, gdybym tego nie robiła. Ale coś — czy to krew Murrayów czy Starrów, czy Shipleyów, czy Burnleyów, czy może czysta przekora — *każe* mi to mówić, zanim się zastanowię.

— Niewątpliwie znalazłabyś odpowiedniejsze towarzystwo dla siebie w Piecykowej Rurze

— oświadczyła ciotka Ruth.

NIE UDOWODNIONA WINA

Emilka opuściła księgarnię z żalem, bo zapach książek i nowych czasopism był dla niej jak woń słodkiego kadzidła, i pospieszyła zimną i hałaśliwą ulicą Książęcą. Zaglądała do księgarni, gdy tylko mogła, i zachłannie wertowała różne pisma, na których kupno nie było jej stać, pragnęła bowiem sprawdzić, jakie utwory są w nich drukowane — zwłaszcza poetyckie. Wielu spośród zamieszczanych wierszy nie uważała za lepsze od swoich — a jednak redaktorzy skrupulatnie odsyłali jej rękopisy. Emilka zużyła wiele tych amerykańskich znaczków kupionych za dolara, który dał jej kuzyn Jim, na opłacenie zwrotu przesyłek opatrzonych jedynie chłodną adnotacją zawiadamiającą o nieprzyjęciu utworu. „Śmiech sowy” zwrócono już sześć razy, lecz Emilka nie straciła jeszcze wiary do końca. Tego ranka po raz kolejny wrzuciła kopertę do skrzynki przy księgarni.

„Do siedmiu razy sztuka” — pomyślała, skręcając w stronę pensjonatu Ilzy. O jedenastej miała egzamin z angielskiego i chciała przedtem przejrzeć zeszyt Ilzy. Pierwszoklasiści pozdawali już prawie wszystkie egzaminy semestralne, przystępując do nich w chwilach, gdy klas nie zajmowali drugo- i trzecioklasiści, co było bardzo denerwujące. Emilka była przekonana, że otrzyma gwiazdkę. Miała za sobą egzaminy z najtrudniejszych przedmiotów i uważała, że z każdego otrzyma powyżej osiemdziesięciu punktów. Dzisiaj miała zdawać angielski i spodziewała się, że uzyska ponad dziewięćdziesiąt punktów. Pozostawała tylko historia, którą Emilka również bardzo lubiła. Wszyscy oczekiwali od niej zdobycia wyróżnienia. Kuzyn Jim był niezmiernie poruszony, a Dean nadesłał przedwczesne powinszowania ze szczytu piramidy, tak był pewien jej zwycięstwa. List od niego przyszedł poprzedniego dnia wraz z gwiazdkowym prezentem.

„Posyłam ci złoty wisiołek, zdjęty z mumii zmarłej księżniczki z dziewiętnastej dynastii — pisał Dean. — Miała na imię Mena, a w jej epitafium napisano, że cechowała ją »słodycz

serca«. Myślę więc, że ci dawni, straszni bogowie potraktowali ją wyrozumiale, gdy stawiała się na sąd. Ów mały amulet spoczywał na jej piersi przez tysiące lat. Posyłam ci go. Ciężą na nim stulecia miłości. Myślę, że musiał to być dar ukochanego. Czy inaczej leżałby na jej sercu przez cały ten czas? Z pewnością wybrała go sama. Inni włożyliby cenniejszy klejnot na szyję królewskiej córki”.

Urok i tajemniczość wisiorka intrygowały Emilkę, choć jednocześnie niemal się go bała. Zadrżała lekko, zapinając go na smukłej, białej szyi, i pomyślała o młodej księżniczce, która nosiła ów przedmiot w czasach chwały dawnego imperium. Jakie były jego dzieje i tajemnica?

Ciotka Ruth naturalnie nie pochwałała prezentu. Z jakiej to racji Emilka dostaje gwiazdkowe podarunki od Krzywego Priesta?

— Jeżeli już chciał ci coś podarować, czemu nie przysłał czegoś nowego? — gderała.

— Pamiątki z Kairu wyprodukowanej w Niemczech — podsunęła z powagą Emilka.

— Czegoś w tym rodzaju — zgodziła się ciotka Ruth nic nie podejrzewając. — Pani Ayers ma bardzo ładny, poślacany przycisk do papieru ze szkła, ze Sfinksem w środku, który brat przywiózł jej z Egiptu. A ta powyginana błyskotka wygląda po prostu tandetnie.

— Tandetnie! Ciociu Ruth, czy ciocia nie rozumie, że ten naszyjnik jest ręcznie robiony i że nosiła go egipska księżniczka jeszcze przed czasami Mojżesza?

— Och... skoro wierzysz w bajki Krzywego Priesta — rzekła z rozbawieniem ciotka Ruth.

— Na twoim miejscu, Emilio, nie nosiłabym go publicznie. Murrayowie nigdy nie noszą tandetnej biżuterii. Chyba nie zamierzasz mieć go na sobie dziś wieczorem, dziecko?

— Ależ oczywiście, że zamierzam. Ostatnim razem noszono go zapewne na dworze faraona w czasach niewoli Żydów. A teraz znajdzie się na wieczorku u Kitty Barrett. Co za przeskok! Mam nadzieję, że duch księżniczki Meny nie będzie mnie straszył tej nocy. Może

urazi ją moje świętokradztwo... kto wie? Ale to nie ja obrabowałam jej grobowiec i gdybym nie dostała jej amuletu, dostałby go ktoś inny... ktoś, kto mógłby wcale o niej nie pomyśleć. Jestem pewna, że ona woli, by naszyjnik ten błyszczał na mojej ciepłej szyi niż aby tysiące ciekawskich, zimnych oczu oglądały go w jakimś ponurym muzeum. Dean pisze, że cechowała ją „słodycz serca”, więc nie pożałuje mi swej uroczej ozdoby. Egipska damo, której królestwo wsiąkło w piaski pustyni niczym rozlane wino, pozdrawiam cię poprzez otchłań czasu.

Emilka złożyła głęboki ukłon i skinęła ręką cieniom minionych wieków.

— Takie górnolotne frazesy brzmią bardzo głupio — prychnęła ciotka Ruth.

— Och, ostatnie zdanie było prawie w całości wzięte z listu Deana — oświadczyła szczerze Emilka.

— To w jego stylu — przyznała ciotka Ruth. — Cóż, moim zdaniem twoje weneckie

paciorki wyglądałyby lepiej niż ten pogański przedmiot. Pamiętaj, żebyś nie zabawiła zbyt długo, Emilio. Powiedz Andrzejowi, by odprowadził cię do domu najpóźniej o dwunastej.

Emilka wybierała się z Andrzejem na zabawę do Kitty Barrett — a ciotka wyraziła zgodę dość łaskawie, gdyż Andrzej należał do jednostek wybranych. Mimo że Emilka wróciła

dopiero o pierwszej, ciotka Ruth patrzyła na to przez palce. Emilka była jednak nazajutrz

bardzo senna, zwłaszcza że w poprzednie dwie noce uczyła się do późna. W okresie

egzaminów ciotka złagodziła swe żelazne rygory i wydzieliła Emilce dodatkowe świece.

Ciekawe, co by powiedziała na to, że jej siostrzenica wykorzystała część z nich do napisania

poematu „Cienie”? Uznałaby to niewątpliwie za kolejny dowód jej przebiegłości. Może

istotnie było to przebiegłe. Pamiętajcie, że piszę biografię Emilki, a nie hymn na jej cześć.

W pokoju Ilzy Emilka zastała Ewelinę Blake, która w skrytości ducha była bardzo

rozdrażniona tym, że jej nie zaproszono na zabawę, natomiast zaproszono Emilkę Starr. A

zatem Ewelina, która siedziała na stole Ilzy, kołysząc ostentacyjnie kształtną stopą w jedwabnych pończochach, była usposobiona nieprzychylnie.

— Cieszę się, że przyszłaś, moja ty wierna i ukochana — jęknęła Ilza. — Ewelina od rana ostrzy sobie na mnie język. Może teraz rzuci się na ciebie i da mi spokój.

— Mówiłam jej, że powinna nauczyć się panowania nad sobą — oświadczyła cnotliwie Ewelina. — Czyż nie tak, panno Starr?

— Co znowu zrobiłaś, Ilzo?

— Och, dzisiaj rano pokłóciłam się solidnie z panią Adamson. Musiało do tego dojść prędzej czy później. Tak długo byłam spokojna, że nagromadziło się we mnie strasznie dużo złości. Maria wiedziała o tym, prawda, Mario? Była pewna, że wybuch nastąpi lada chwila. Pani Adamson najpierw zaczęła zadawać niemiłe pytania. Ciągle to robi... prawda, Mario? Potem mnie zbesztła, a na koniec uderzyła w płacz. I wtedy ja ją spoliczkowałam.

— No widzisz — wtrąciła znacząco Ewelina.

— Nie mogłam się powstrzymać — podjęła Ilza szczerząc zęby.

— Jakoś zniosłam jej bezczelność i gderanie, ale kiedy zaczęła płakać... jest taka brzydka, gdy płacze... po prostu ją spoliczkowałam.

— Przypuszczam, że potem poczułaś się lepiej — powiedziała Emilka, postanowiwszy nie okazywać dezaprobaty w obecności Eweliny.

Ilza wybuchnęła śmiechem.

— Z początku tak! W każdym razie przestała zawodzić. Ale później ruszyło mnie sumienie. Przepraszę ją, oczywiście. Jest mi naprawdę przykro... ale niewykluczone, że to się powtórzy. Gdyby Maria nie była taka dobra, ja nie byłabym taka zła. Muszę dbać o zachowanie pewnej równowagi. Maria jest łagodna, potulna i pani Adamson włazi jej na głowę. Szkoda, że nie słyszałaś, jak ją strofuje, jeśli Maria wyjdzie wieczorem częściej niż raz

w tygodniu.

— Ma słuszość — oznajmiła Ewelina. — Byłoby znacznie lepiej dla ciebie, gdybyś nie wychodziła tak często. Ludzie zaczynają cię obmawiać, Ilzo.

— Ty za to nigdzie nie wychodziłaś wczoraj wieczorem, nieprawdaż, moja droga? — spytała Ilza ze złośliwym uśmiechem.

Ewelina zarumieniła się, milcząc wyniośle. Emilka zagłębiła się w notatkach, a Maria z Ilzą wyszły z pokoju. Emilka pragnęła, żeby Ewelina także sobie poszła. Ale Ewelina nie miała takiego zamiaru.

— Dlaczego nie skłonisz Ilzy, żeby zachowywała się przyzwoicie? — zaczęła paskudnie poufałym tonem.

— Nie mam nad Ilzą żadnej władzy — odparła Emilka zimno.

— Poza tym nie uważam jej zachowania za nieprzyzwoite.

— Och, moja droga... sama słyszałaś z jej własnych ust, że uderzyła panią Adamson.

— Pani Adamson zasłużyła na to. Jest odpychającą kobietą i zawsze płacze bez powodu.

Nie ma nic bardziej denerwującego.

— Ale wczoraj po południu Ilza znowu uciekła z francuskiego i poszła nad rzekę z Ronniem Gibsonem. W końcu ją przyłapią, jeśli będzie to robiła zbyt często.

— Ilza ma duże powodzenie u chłopców — powiedziała Emilka, wiedząc, że Ewelina sama chciałaby je mieć.

— Ma powodzenie u niewłaściwych chłopców — Ewelina mówiła teraz protekcyjnym tonem, wyczuwając instynktownie, że Emilka Starr tego nienawidzi. — Zauważ, że kręci się wokół niej gromada łobuzów... a mili chłopcy nie zaprzatają sobie nią głowy.

— Ronnie Gibson jest przecież miły.

— No, a co powiesz o Marshallu Orde?

— Ilza nie zadaje się z Marshalllem Orde.

— O, czyżby? W ostatni wtorek jeździła z nim do północy... a był pijany, kiedy wynajmował konie.

— Nie wierzę w ani jedno słowo! Ilza nigdy nie spotkała się z Marshalllem Orde. — Usta Emilki pobladyły z oburzenia.

— Powiedziała mi o tym osoba, która ich widziała. O Ilzie plotkuje się wszędzie. Być może nie masz nad nią władzy, ale z pewnością masz pewien wpływ. Choć i tobie samej zdarza się postępować niemądrze, czyż nie? Zapewne bez złej myśli. Na przykład wtedy, gdy kąpałaś się w Perlistej Wodzie nie mając nic na sobie. Wie o tym cała szkoła. Słyszałam, jak brat Marsha śmiał się z tego. I czy to było mądre, moja droga?

Emilka oblała się rumieńcem gniewu i wstydu — choć głównie z powodu zwrotu „moja droga”, którym raczyła ją Ewelina Blake.

Taki piękny, księżycowy wieczór — jakże świat potrafił go sprofanować! Nie chciała rozmawiać o tym z Ewelina — nie powie jej nawet, że obydwie z Ilzą miały na sobie halki.

Niech myśli, co chce.

— Nie sędzę, abyś potrafiła zrozumieć pewne rzeczy — powiedziała tylko z lekką, niedbałą ironią w głosie i ruchach, która nadawała najprostszym słowom głębokie i niewypowiedziane znaczenie.

— O, bo ty należysz do Narodu Wybranego, nieprawdaż? — Ewelina zaśmiała się krótkim, złośliwym śmieszkiem.

— Owszem — odparła spokojnie Emilka, nie podnosząc oczu znad zeszytu.

— Ależ nie irytuj się tak, moja droga. Powiedziałam ci o tym tylko dlatego, że żal mi biednej Ilzy, która wszędzie popada w niełaskę. Nawet lubię tę biedaczkę. Żałuję też, że lubuje się w tak jaskrawych kolorach. Ta szkarłatna suknia, w której wystąpiła na szkolnym

koncercie... jest doprawdy dziwaczna.

— Moim zdaniem wyglądała jak wysoka, złocista lilia spowita w szkarłat — oświadczyła Emilka.

— Jaką ty jesteś oddaną przyjaciółką, moja droga. Nie wiem, czy Ilza stawiałaby tak w twojej obronie. Cóż, chyba powinnam cię zostawić, żebyś się trochę pouczyła. O dziesiątej zdajesz angielski, prawda? Pan Scoville będzie pilnował klasy, bo pan Travers zachorował. Czy nie sądzisz, że pan Scoville ma piękne włosy? A skoro mowa o włosach, moja droga, czemu nie układasz swoich tak, by zasłonić uszy... a przynajmniej ich czubki? Myślę, że byłoby ci z tym o wiele bardziej do twarzy.

Emilka postanowiła, że jeżeli Ewelina jeszcze raz zwróci się do niej „moja droga”, rzuci w nią kałamarzem. Dlaczego sobie stąd nie pójdzie i nie pozwoli jej uczyć się w spokoju? Ewelina miała w zanadrzu jeszcze jedną strzałę.

— Twój nieopierzony przyjaciel z Piecykowej Rury nadesłał swój utwór do „Pióra”. Był to wiersz patriotyczny. Tom pokazał mi go. Zaśmiewaliśmy się do łez. Zwłaszcza jedna linijka była pyszna: „Kanada, jak dziewica, swych synów wdzięcznie wita”. Powinnaś była słyszeć Toma.

Emilka z trudem powstrzymała uśmiech, choć Perry strasznie ją rozzłościł tym wystawieniem się na pośmiewisko. Czemu nie potrafił zdać sobie sprawy z własnych nieudolności i zrozumieć, że nigdy nie wkroczy na Parnas?

— Nie wydaje mi się, aby redaktor „Pióra” miał prawo pokazywać odrzucone utwory osobom postronnym — powiedziała chłodno.

— Och, dla Toma nie jestem osobą postronną. I ten wiersz naprawdę był zbyt dobry, aby go nie pokazać. Cóż, biegnę teraz do księgarni.

Kiedy Ewelina wyszła, Emilka odetchnęła z ulgą. Po chwili wróciła Ilza.

— Poszła sobie? Słodka była dzisiaj, nie ma co. Nie mogę pojąć, co Maria w niej widzi.

Maria jest przyzwoitą osobą, choć trochę nudną.

— Ilzo — odezwała się z powagą Emilka — czy w zeszłym tygodniu byłeś na przejażdżce z Marshem Orde?

Ilza wytrzeszczyła oczy.

— Ależ skąd, moja kochana gąsko! Domyślam się, kto ci to powiedział. Nie znam dziewczyny, która z nim była.

— Ale uciekłeś z francuskiego i poszłeś nad rzekę z Ronniem Gibsonem?

— Zgrzeszyłam, wyznaję.

— Ilzo... naprawdę nie powinnaś...

— Nie doprowadzaj mnie do furii, Emilko! — burknęła Ilza. — Stajesz się kołtunką...

Warto by cię z tego wyleczyć, zanim przejdzie w stan chroniczny. Nie cierpię min i frazesów.

Wychodzę... muszę przed szkołą zajrzeć do księgarni.

Ilza z rozdrażnieniem zgarnęła książki i wybiegła. Emilka ziewnęła i postanowiła zamknąć zeszyt. Miała jeszcze pół godziny do wyjścia. Położy się na łóżku Ilzy tylko na chwilę.

Wydało jej się, że upłynęła zaledwie minuta, kiedy usiadła i utkwiała przerażone spojrzenie w zegarze Marii Carswell. Za pięć jedenasta... miała pięć minut na to, by przebiec pół mili i znaleźć się przy stole egzaminacyjnym. Emilka pospiesznie narzuciła płaszcz, złapała czapkę i zeszyty i wybiegła z pokoju. Zjawiała się w szkole zadyszana, z przykrym, niejasnym wrażeniem, że przez całą drogę ludzie przyglądali się jej jakoś dziwnie. Powiesiła płaszcz nie patrząc w lustro i pospieszyła do klasy.

Powitały ją zdumione spojrzenia i ciche śmieszki. Pan Scoville, wysoki, szczupły i wytworny, rozdawał właśnie tematy prac egzaminacyjnych. Kładąc kartkę przed Emilką odezwał się poważnym tonem:

— Panno Starr, czy spojrzała pani w lustro przed wejściem do klasy?

— Nie — odpowiedziała z urazą Emilka, wyczuwając, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

— Ja... bym chyba... spojrział... na pani miejscu — wyrzekł z pewnym trudem pan Scoville.

Emilka wstała i wróciła do szatni dla dziewcząt. Po drodze natknęła się na dyrektora Hardy'ego, który wybałuszył na nią oczy. Dlaczego tak się zachował — dlaczego pierwszoklasiści wybuchnęli śmiechem — Emilka zrozumiała stanąwszy przed lustrem w szatni.

Nad jej górną wargą widniały zręcznie wyrysowane czarne wąsy o fantazyjnie zakręconych końcach. Przez chwilę Emilka wpatrywała się w swoje odbicie z niemą zgrozą.

Dlaczego... co... kto to zrobił?

Zawróciła z furją. Do szatni weszła właśnie Ewelina Blake.

— To ty... ty to zrobiłaś! — zachłysnęła się Emilka.

Ewelina wytrzeszczyła oczy, a po chwili zanosła się niepohamowanym śmiechem.

— Emilio Starr! Wyglądasz koszmarnie. Chyba nie powiesz, że tak weszłaś do klasy?

Emilka zacisnęła dłonie.

— Ty to zrobiłaś — powtórzyła. Ewelina przybrała wyniosłą pozę.

— Doprawdy, panno Starr, nie zniżyłabym się do podobnej sztuczki. Przypuszczam, że twoja droga przyjaciółka Ilza chciała spłatać ci figła... chichotała, kiedy tu niedawno przyszła.

— To na pewno nie Ilza! — zawołała Emilka. Ewelina wzruszyła ramionami.

— Ja bym to najpierw zmyła, a później dociekała, kto zawinił — powiedziała tłumiąc śmiech i wyszła z szatni.

Emilka zmyła wąsy, drżąc od stóp do głów z gniewu, wstydu i upokorzenia najgłębszego, jakiego doznała w życiu. W pierwszym porywie chciała wracać do domu — nie mogła ponownie stawić czoła pierwszoklasistom. Potem zacisnęła zęby i weszła do klasy, krocząc między ławkami z wysoko uniesioną głową. Twarz ją paliła, dusza stanęła w płomieniach. W rogu zauważyła złotą głowę Ilzy, pochyloną nad kartką. Inni uczniowie uśmiechali się i szeptali. Pan Scoville zachowywał obelżywą powagę. Emilka ujęła pióro, choć trzęsły się jej ręce.

Gdyby mogła od razu wypłakać się należycie, jej wstyd i gniew znalazłby ujście. To było jednak niemożliwe. *Nie* będzie płakała. Nie zobaczą, jak dogłębnie czuje się upokorzona. Gdyby zaś potrafiła śmiać się z tego złośliwego żartu, byłoby lepiej dla niej samej. Ale będąc Emilką — jedną z dumnych Murrayów — nie potrafiła. Cała jej porywcza dusza burzyła się na myśl o tej hańbie.

Co do egzaminu z angielskiego, mogła równie dobrze iść do domu. Straciła już dwadzieścia minut. Upłynęło kolejnych dziesięć, zanim jej dłoń przestała drżeć na tyle, że była w stanie pisać. Nie mogła zapanować nad myślami. Pytania były trudne, jak zwykle u pana Traversa. Umysł Emilki przypominał rój chaotycznych myśli krążących wokół jednego stałego punktu: dręczącego wstydu. Kiedy oddała kartki i wyszła z klasy, wiedziała już, że utraciła wyróżnienie. Jej praca jest najwyżej dostateczna. Nie dbała jednak o to, pogrążona w duchowym zamęcie. Pospieszyła do domu, do nieprzyjaznego pokoju, wdzięczna losowi za nieobecność ciotki Ruth, rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Czuła się obolała, skrzywdzona, pokonana — a mimo tego całego bólu kielkowała w niej drobna, okrutna wątpliwość.

Czy Ilza mogła... nie, nie mogła, ona tego nie zrobiła. A zatem kto? Maria? Sama myśl o tym była niedorzeczna. To musiała być Ewelina... Ewelina wróciła i splatała jej tego

okrutnego figla z czystej złośliwości i urazy. Ale zaprzeczyła temu — z miną pozornie pełną oburzenia, ze spojrzeniem być może nieco zbyt niewinnym. Co takiego powiedziała Ilza?

„Stajesz się kołtunką... warto by cię z tego wyleczyć, zanim przejdzie w stan chroniczny”.

Czyżby Ilza uciekła się do tak obrzydliwych metod leczenia?

„Nie... nie... nie...!” — Emilka gwałtownie szlochała w poduszkę. Ale wątpliwość pozostała.

Ciotka Ruth „nie miała wątpliwości. Odwiedziła znajomą, panią Bali, a ta znajoma miała córkę w pierwszej klasie. Anita Bali opowiedziała w domu o wydarzeniu, z którego zaśmiewała się cała szkoła, i dodała, że Ewelina Blake uważała, iż było to dzieło Ilzy Burnley.

— Cóż — rzekła ciotka Ruth wkraczając do pokoju Emilki — słyszałam, że Ilza Burnley pięknie cię dzisiaj przyozdobiła. Mam nadzieję, że wreszcie zrozumiałaś, jaka ona jest.

— Ilza tego nie zrobiła — odparła Emilka.

— Pytałaś ją?

— Nie. Nie obrażałabym jej takim pytaniem.

— No cóż, ja uważam, że to ona. I zabraniam jej odtąd przychodzić tutaj. Masz o tym pamiętać.

— Ciociu Ruth...

— Słyszałaś, co powiedziałam, Emilio. Ilza Burnley nie jest dla ciebie odpowiednią towarzyszką. Wiele mi o niej ostatnio opowiadano, ale tym razem jest to niewybaczalne.

— Ciociu Ruth, gdybym zapytała Ilzę, czy to zrobiła, a ona powiedziała by, że nie, czy ciocia by jej uwierzyła?

— Nie. Nie uwierzyłabym żadnej pannicy, którą wychowywano tak jak Ilzę Burnley.

Wierzę święcie, że jest zdolna do wszystkiego. Nie chcę jej więcej widzieć w moim domu.

Emilka wstała, usiłując przywołać murrayowskie spojrzenie na spuchniętą od płaczu twarz.

— Oczywiście, ciociu Ruth — odezwała się chłodno. — Nie będę zapraszała Ilzy, skoro nie jest tu mile widziana. Ale będę ją odwiedzać. Jeżeli mi ciocia zabroni, wrócę... wrócę do Księżycowego Nowiu. W tej chwili chciałabym wyjechać stąd... dokądkolwiek. Ale nie dam się wypędzić Ewelinie Blake.

Ciotka Ruth wiedziała dobrze, że mieszkańcy Księżycowego Nowiu nie zgodzą się na całkowite rozdzielenie Emilki z Ilzą. Byli zbyt blisko zaprzyjaźnieni z doktorem. Pani Dutton nigdy nie lubiła doktora Burnleya. Musiała zadowolić się pretekstem, dzięki któremu mogła nie wpuszczać Ilzy do swego domu, a na który czekała już od dawna. Cała ta sprawa oburzyła ją nie dlatego, że współczuła Emilce, lecz ze względu na to, iż ktoś z rodziny Murrayów został wystawiony na pośmiewisko.

— Wydawało mi się, że masz już dość odwiedzin u Ilzy. A co do Eweliny Blake, to jest zbyt inteligentna i rozsądna, by płać takie głupie figle. Znam Blake'ów. To znakomita rodzina, a ojciec Eweliny jest bardzo zamożny. Przestań już płakać. Twarz ci od tego nie pięknieje. I co ci płacz pomoże?

— Nie pomoże — przyznała posępnie Emilka — ale nic nie mogę na to poradzić. Nie potrafię znieść, że wystawiono mnie na pośmiewisko. Mogę gnieść wszystko, tylko nie to. Och, ciociu Ruth, proszę, niech ciocia zostawi mnie samą. Nie mogłabym przełknąć kolacji.

— Zawodzą cię nerwy, jak wszystkich Starrów. My, Murrayowie, skrywamy nasze uczucia.

„Nie sądzę, abyście mieli co ukrywać... przynajmniej niektórzy z was” — pomyślała buntowniczo Emilka.

— Trzymaj się z dala od Ilzy Burnley, a unikniesz na przyszłość publicznego ośmieszania.

— Tak brzmiała rada ciotki Ruth na odchodnym.

Po nieprzespanej nocy Emilka — która miała wrażenie, że jeśli nie odepchnie sufitu od twarzy, udusi się z pewnością — poszła do Ilzy i niechętnie powtórzyła jej słowa ciotki Ruth. Ilza była wściekła, lecz Emilka z przykrością zauważyła, że nie zapewnia jej o swej niewinności.

— Ilzo... ty tego nie zrobiłaś, prawda? — wyjąkała. Wiedziała, że nie... była tego pewna... lecz chciała to usłyszeć z ust Ilzy. Ku jej zdumieniu twarz Ilzy okryła się nagłym rumieńcem.

— Czyż twoja służebnica jest psem? — spytała z pewnym zmieszaniem. Prostolinijna, szczerza Ilza nie bywała tak zmieszana. Odwróciła głowę i zaczęła szperać bez celu w szkolnej torbie. — Chyba nie myślisz, że zrobiłabym coś podobnego, Emilko?

— Oczywiście, że nie — odparła Emilka z ociąganiem. Nie mówiły więcej na ten temat, ale zwątpienie i nieufność wypełzły z zakamarków umysłu Emilki i rozgościły się na dobre. Mimo wszystko nie mogła uwierzyć, że Ilza byłaby w stanie tak postąpić i jeszcze w dodatku kłamać. Dlaczego jednak była tak zmieszana i zawstydzona? Czy niewinna Ilza nie wpadłaby w swój zwykły szal, wymyślając Emilce już za samo podejrzenie i w ten sposób rozwiewając je raz na zawsze?

Nie wspominały już więcej o tej sprawie. Cień jednak pozostał i zatruł w pewnej mierze Boże Narodzenie w Księżycowym Nowiu. Pozornie dziewczęta były przyjaciółkami jak dawniej, lecz Emilka zdawała sobie sprawę z rozdzwiewku, który nagle powstał między nimi. Mimo najlepszych chęci nie mogła zbliżyć się do Ilzy. Rozdzwiewek pogłębiało jeszcze wrażenie, że Ilza nie uświadamia sobie zupełnie jego istnienia. Czyżby Ilza tak niewiele dbała o ich przyjaźń, że nie czuje chłodu, który wkradł się między nie? Czy mogła być tak płytka i obojętna, by tego nie zauważyć? Emilka rozmyślała nad tym posepnie. Takie sprawy — mroczne i pełne jadu, przyczajone w cieniu i lękające się dziennego światła — zawsze

wywoływały straszny zamęt w jej wrażliwej, porywczej naturze. Żadna otwarta sprzeczka z Ilzą nie miała na nią podobnego wpływu — kłóciły się wielokrotnie i zaraz potem godziły, nie chowając urazy i nie oglądając się wstecz. Teraz było inaczej. Im więcej Emilka o tym rozmyślała, tym potworniejsze jej się to wydawało. Była nieszczęśliwa, roztargniona, niespokojna. Ciotka Laura i kuzyn Jim zwrócili na to uwagę, myśleli jednak, że przyczyną jest rozczarowanie w związku ze złotą gwiazdką. Powiedziała im, że z pewnością jej nie otrzyma. Ale nie dbała już o wyróżnienie.

Przeżyła niewątpliwie przykre chwile po powrocie do szkoły, gdy podano wyniki egzaminów. Nie należała do szczęśliwej czwórki paradującej ze złotymi szpilkami i ciotka Ruth wałkowała to przez kilka tygodni. Ciotka Ruth czuła, że porażka Emilki obniżyła prestiż rodziny, i była z tego powodu bardzo rozgoryczona. Emilka miała wrażenie, że nowy rok zaczął się dla niej bardzo niepomyślnie. Nigdy nie lubiła wspominać pierwszego miesiąca tego roku. Czuła się bardzo osamotniona. Ilza nie mogła do niej przychodzić, a Emilka — choć zmuszała się do odwiedzania Ilzy — wyczuwała, że coraz bardziej oddalają się od siebie. Ilza nadal nie dawała znać po sobie, że cokolwiek dostrzega, lecz jednocześnie rzadko się zdarzało, by zostawała z Emilka sam na sam. Jej pokój zawsze był pełen dziewcząt, zgiełku, ich śmiechu, żartów i plotek szkolnych — nieszkodliwych, nawet wesołych — ale dawna zażyłość i porozumienie zniknęły. Przedtem istniała między Emilka a Ilzą przyjacielska umowa, że mogą spacerować albo siedzieć razem godzinami nie mówiąc ani słowa i znakomicie się przy tym bawić. Teraz to było niemożliwe. Jeżeli nawet zostały same, obydwie paplały wesoło i byle co, jak gdyby każda lękała się skrycie chwili niebezpiecznej ciszy.

Emilka bardzo bolała nad utraconą przyjaźnią; jej poduszka co noc była mokra od łez. Nic jednak nie mogła zrobić. Nie mogła, choć usilnie próbowała, wyzbyć się zwątpienia, które ją

ogarnęło. Wielokrotnie podejmowała szczere wysiłki. Codziennie powtarzała sobie, że Ilza Burnley w żadnym wypadku nie byłaby w stanie spłatać podobnego figla... że jest do tego z natury niezdolna... i szła do Ilzy z mocnym postanowieniem, że będzie dla niej taka jak dawniej. W rezultacie jednak była nienaturalnie serdeczna i przyjacielska — nawet wylewna — nie podobna do samej siebie, a raczej do Eweliny Blake. Ilza była równie serdeczna i przyjacielska — a przepaść między nimi rosła.

„Ilza teraz nigdy nie złości się na mnie” — myślała ze smutkiem Emilka.

Była to prawda. Ilza odnosiła się do Emilki łagodnie, z wymuszoną uprzejmością, nie skażoną najmniejszym przeblyskiem dawnego nieokiełznanego temperamentu. Emilka czuła, że nic bardziej by jej nie uradowało, jak wybuch złości Ilzy. Mógłby skruszyć górę lodową, rosnącą nieubłaganie między nimi, i uwolnić spętany węzeł dawnych uczuć.

Jedną z najbardziej przykrych stron tej sytuacji był fakt, że Ewelina Blake doskonale wiedziała, jak sprawy stoją między Ilzą a Emilka. Jej zadowolenie z tego stanu rzeczy zdradzał drwiący wyraz podłużnych, piwnych oczu i ukryte żądła w rzucanych mimochodem uwagach. Dla Emilki było to źródłem dodatkowej goryczy, czuła bowiem, że nie potrafi się przed tym bronić. Ewelina należała do tych dziewcząt, które drażni bliska przyjaźń innych osób, a przyjaźń Ilzy i Emilki drażniła ją szczególnie. Była tak pełna... tak wszechogarniająca. Nie pozostawiała miejsca dla trzeciej osoby. A Ewelina nie lubiła czuć się pominięta — nie lubiła zamkniętych ogrodów, do których nie miała wstępu. Rozkoszowała się zatem myślą, że owa irytująco piękna przyjaźń dwóch dziewcząt, skrycie przez nią znieawidzonych, dobiegła kresu.

NAJWSPANIALSZA CHWILA

Emilka zeszła na dół niechętnie, czując, że życie straciło dla niej wszelką barwę i blask, a przyszłość jest jedynie nieskończoną szarością. Dziesięć minut później otoczyły ją tęczowe łuki, a pustynia przyszłości rozkwitła niczym róża.

Przyczyną cudownej przemiany była cienka koperta, którą ciotka Ruth wręczyła Emilce z typowym dla siebie prychnięciem. W środku znajdował się między innymi egzemplarz czasopisma, lecz Emilka w pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi. W rogu koperty dostrzegła adres firmy ogrodniczej i wyczuła dotykem obiecująco cienką zawartość — tak odmienną od grubych listów z odrzuconymi wierszami.

Z bijącym sercem rozerwała kopertę i przebiegła spojrzeniem po kartce, na której napisano na maszynie:

Panna Emilia B. Starr

Shrewsbury, Wyspa Ks. Edwarda

Kanada

Droga Panno Starr,

z wielką przyjemnością zawiadamiamy Panią, że wiersz „Śmiech sowy” został przyjęty do druku w piśmie „Lasy i ogrody”. Zamieszczamy go w najnowszym numerze, który niniejszym załączamy. Poezja Pani jest bardzo melodyjna i pragnęlibyśmy zapoznać się z innymi Pani utworami.

Nie płacimy gotówką za nadesłane wiersze, lecz może Pani wybrać z naszego katalogu za sumę dwóch dolarów nasiona lub sadzonki, które prześlemy pod wskazany adres.

Z podziękowaniem i wyrazami szacunku Tomasz E. Carlton i Spółka

Emilka upuściła list i drżącą dłonią sięgnęła po czasopismo. Kręciło jej się w głowie, litery tańczyły przed oczyma i czuła dziwne duszności — gdyż na pierwszej stronie, obramowany

delikatnymi zawijasami, znajdował się jej wiersz... „Śmiech sowy”, autorstwa Emilii B. Starr.

Był to pierwszy słodki bąbelek w kielichu powodzenia i nie możemy uważać Emilki za osobę niemądrą tylko dlatego, że ją to odurzyło. Zniosła list i czasopismo do pokoju, by napawać się nimi w błogosławionej nieświadomości, że ciotka Ruth prycha coraz głośniej.

Nagły, purpurowy rumieniec, błyszczące oczy, uniesienie i oderwanie od spraw przyziemnych — wszystko to wydawało się jej wielce podejrzane.

Emilka usiadła w swoim pokoju i przeczytała wiersz, jak gdyby widziała go po raz pierwszy. Znalazł się w nim co prawda błąd drukarski, od którego ścierpła jej skóra — to straszne ujrzenie w druku „jęk łowca” zamiast „jak łowca” — lecz był to jej wiersz — *jej własny* — przyjęty i wydrukowany przez *prawdziwe* czasopismo.

I zapłacono za niego! Z pewnością czek byłby lepszy — dwa dolary zarobione własnym piórem wydawałyby się Emilce fortuną. Ale z jaką przyjemnością ona i kuzyn Jim będą wybierali nasiona! Wyobraziła sobie piękną rabatkę, która pojawi się latem w ogrodzie Księżycowego Nowiu — bogactwo purpury, fioletu, błękitu i złota.

Jak to napisano w liście?

Poezja Pani jest bardzo melodyjna i pragnęlibyśmy zapoznać się z innymi Pani utworami.

O, cóż za radość, co za upojenie! Świat należał do niej... Alpejska Ścieżka była niemal przebyta... Tych kilka kroków dzielących ją od szczytu nie miało znaczenia.

Emilka nie mogła usiedzieć w ciemnym pokoiku z jego niskim sufitem i nieprzyjaznymi meblami. Grobowa mina lorda Byrona była zniewagą dla jej radości. Narzuciła płaszcz i wybiegła, kierując się do Wyniosłej Krainy.

W kuchni ciotka Ruth, jeszcze bardziej podejrzliwa niż zazwyczaj, zapytała z wyraźnym sarkazmem:

— Czy dom się pali? A może woda w zatoce?

— Nie. To moja dusza płonie — odparła Emilka z nieodgadnionym uśmiechem. Zamknęła drzwi za sobą, natychmiast zapominając o ciotce Ruth i wszystkich innych przykrych osobach i sprawach. Jaki piękny jest świat... jak piękne jest życie... jaka cudowna Wyniosła Kraina! Młode jodły przy wąskiej ścieżce lekko przyprószył śnieg, jak gdyby — zauważyła Emilka — ktoś podstępnie okrył ulotnym, koronkowym welonem cnotliwe, młode kapłanki, które wyrzekły się wszelkiej próżności i ozdób. Emilka postanowiła zapisać to zdanie, gdy wróci do domu. Wydawało jej się, że fruwa — jej stopy naprawdę *nie mogły* dotykać ziemi. Na górze zatrzymała się i stała przez dłuższą chwilę — pełna zachwytu i uniesienia postać z zaciśniętymi dłońmi i rozmarzonymi oczyma. Słońce zaszło przed chwilą. W oddali, nad skutą lodem zatoką, piętrzyły się oślepiające, opalizujące masy potężnych chmur. Za nimi pierwsze gwiazdy świeciły nad migotliwymi, białymi wzgórzami. Z prawej strony, między ciemnymi pniami starych jodeł, oddzielony krystalicznym wieczornym powietrzem, wschodził olbrzymi, okrągły księżyc w pełni.

— „Jest bardzo melodyjna” — szepnęła Emilka, smakując na nowo niewiarygodne słowa.

— Pragnę zapoznać się z innymi utworami. Och, gdyby tatuś mógł zobaczyć mój wiersz w druku!

Przed laty w starym domu w Majowym Gaju ojciec Emilki pochylił się nad śpiącą córką i powiedział: „Będzie kochała czule, będzie cierpiała głęboko, zazna wielu wspaniałych chwil, które jej wszystko wynagrodzą...”

Teraz nadeszła jedna z takich chwil. Emilka odczuwała cudowną lekkość ducha — przejmującą radość samego istnienia. Zdolność twórcza, drzemiąca w ciągu ostatniego, nieszczęśliwego miesiąca, zapłonęła znowu w jej duszy jak oczyszczający ogień, wypalając wszystko, co chore, zatrute i jątrzące. Nagle Emilka *wiedziała*, że Ilza na pewno *tego* nie

zrobiła. Zaśmiała się radośnie, z rozbawieniem.

— Jakim ja byłam głuptasem! Oczywiście, że Ilza tego nie zrobiła. Teraz już nic nas nie dzieli... nic, nic, nic. Zaraz do niej pójde i powiem jej to.

Emilka pospieszyła z powrotem wąską ścieżką. Wokół niej rozpościerała się Wyniosła Kraina, tajemnicza w świetle księżyca, okolona nieuchwytnym pięknem zimowego lasu.

Emilka wydawała się utożsamiać z jej urodą, czarem i tajemniczością. Wraz z nieoczekiwanym westchnieniem Królowej Wiatru w cienistych alejkach pojawił się promyk

— i Emilka pobiegła do Ilzy jak na skrzydłach, z radością w duszy.

Zastała Ilzę samą. Objęła ją i uściskała gorąco.

— Ilzo, wybacz mi! — zawołała. — Nie powinnam była wątpić w ciebie... a wątpiłam... ale teraz już wiem... wiem. Czy mi wybaczysz?

— Ty kozo — powiedziała Ilza.

Emilka była zachwycona „kozą”. Oto dawna Ilza — jej Ilza.

— Och, Ilzo, byłam taka nieszczęśliwa.

— Cóż, nie ma się nad czym rozwodzić — odparła Ilza. — Ja sama też nie byłam zbyt radosna. Posłuchaj, Emilko, mam ci coś do powiedzenia. Milcz i słuchaj. Tamtego dnia spotkałam Ewelinę w księgarni i wróciłyśmy po jakąś książkę. Zastałyśmy cię smacznie śpiącą, tak twardym snem, że nawet nie drgnęłaś, gdy uszczypnęłam cię w policzek. A potem dla kawału wzięłam węgielek i powiedziałam: „Narysuję jej wąsy”... cicho bądź! Ewelinie zrzędła mina: „Och, nie! To byłoby podłe, nie uważasz?”. Nie miałam najmniejszego zamiaru... żartowałam tylko... ale ta diabelska kreatura, Ewelina, tak mnie rozwścieczyła swoją sztuczną cnotliwością, że postanowiłam to zrobić... Cicho bądź! Chciałam cię zaraz obudzić i podetknąć ci pod nos lusterko, to wszystko. Ale wtedy wpadła Kasia Errol i zawołała nas, więc odłożyłam węgiel i wyszłam. To wszystko, Emilko, słowo honoru. Później

było mi wstyd i czułam się głupio... Powiedziałabym, że czułam wyrzuty sumienia, gdybym miała coś takiego jak sumienie, bo uznałabym, że to ja podsunęłam pomysł temu komuś, kto to zrobił, i jestem w pewien sposób odpowiedzialna. A potem zauważyłam, że mi nie ufasz, i wpadłam w złość... ale nie taką porywczą złość, wiesz, tylko w zimną, paskudną, utajoną złość. Myślałam sobie, że nie masz prawa podejrzewać, że mogłabym pozwolić ci wejść do klasy w takim stanie. I pomyślałam, że skoro tak, to możesz się dąsać... ja nie powiem ani słowa, żeby to wyjaśnić. Ale, do licha, tak się cieszę, że wreszcie zmądrzałaś.

— Czy myślisz, że to Ewelina Blake?

— Nie. O, ona jest do tego zdolna, ale nie wiem, jak miałyby to zrobić. Poszłyśmy razem do księgarni, Kasia, ona i ja, i tam ją zostawiłyśmy. Po piętnastu minutach była już w szkole, więc nie sędzę, żeby miała czas wrócić do ciebie. Prawdę mówiąc wydaje mi się, że to ta mała diablica, May Hilson. Jest zdolna do wszystkiego, a była na korytarzu, kiedy wywijałam tym węglem. Chwyta w lot każdą okazję. Ale to nie mogła być Ewelina.

Emilka wierzyła nadal, że to mogła być Ewelina — i była. Teraz jednak liczyło się wyłącznie to, że ciotka Ruth wciąż była przekonana o winie Ilzy i nie chciała zrezygnować z tego przekonania.

— Cóż, to parszywy wstyd — powiedziała Ilza. — Tutaj nie da się pogadać od serca.

Maria zawsze sprasza tłumy gości, a panna E.B. czuje się tu jak u siebie.

— Jeszcze się dowiem, czyja to robota — oznajmiła ponuro Emilka — i zmuszę ciotkę Ruth, żeby się poddała.

Następnego popołudnia Ewelina Blake zastała Ilzę i Emilkę w trakcie pięknej kłótni. A przynajmniej krzyczała Ilza, Emilka zaś siedziała ze skrzyżowanymi nogami i znudzonym, wyniosłym spojrzeniem obraźliwie półprzymkniętych oczu. Widok ów powinien był uradować dziewczynę, która patrzyła z niechęcią na zażyłość innych. Ale Ewelina Blake nie

była uradowana. Ilza sprzeczała się z Emilką — *ergo*, Ilza i Emilka znowu były w przyjaźni.

— Tak się cieszę, że wybaczyłaś Ilzie ten podły żart — powiedziała słodko do Emilki na drugi dzień. — Oczywiście była to z jej strony tylko bezmyślność... zawsze tak

twierdziłam... Nie pomyślała, na jaką śmieszność cię naraża. Biedna Ilza, taka już jest.

Wiesz, próbowałam ją powstrzymać... Nie mówiłam ci o tym wcześniej, naturalnie, nie

chciałam pogarszać sprawy... ale powiedziałam jej, że

to strasznie podły postępek wobec przyjaciółki. Myślałam, że udało mi się ją przekonać. To

cudownie, że jej przebaczyłaś, droga Emilko. Masz lepsze serce niż ja. Obawiam się, że nigdy

nie potrafiłabym wybaczyć komuś, kto wystawił mnie na takie pośmiewisko.

— Dlaczego nie poderżnęłaś jej gardła? — zapytała Ilza, kiedy Emilka jej to powtórzyła.

— Po prostu przymknęłam oczy i rzuciłam jej murrayowskie spojrzenie — odparła Emilka

— a ono jest gorsze niż śmierć.

GODZINA SZALEŃSTWA

Uczniowski koncert na rzecz wsparcia biblioteki szkolnej odbywał się w Shrewsbury co roku, na początku kwietnia, zanim jeszcze nadszedł czas wytężonej nauki przed egzaminami. Tego roku miał składać się jak zwykle z muzyki i recytacji oraz krótkiej scenki. Emilkę poproszono o udział w tym ostatnim i zgodziła się, uzyskawszy bardzo niechętnie zezwolenie, którego ciotka Ruth prawdopodobnie nie udzieliłaby nigdy, gdyby nie osobista prośba panny Aylmer. Panna Aylmer była wnuczką senatora Aylmera i ciotka Ruth uległa jej, tak jak nie byłaby uległa przed nikim innym. Potem zaś panna Aylmer zaproponowała, by usunąć większą część muzyki oraz recytacje i zamiast tego wystawić krótką sztukę. Uczniowie przychylni się do tego pomysłu i zmianę wprowadzono natychmiast. Emilka została obsadzona w roli, która jej odpowiadała, wykazywała zatem żywe zainteresowanie sprawą i z przyjemnością uczęszczała na próby, które odbywały się dwa razy w tygodniu w budynku szkoły pod nadzorem panny Aylmer.

Sztuka wywołała pewne poruszenie w Shrewsbury. Uczniowie szkoły średniej nigdy przedtem nie podjęli się czegoś równie ambitnego; rozeszła się wieść, że studenci Akademii Królewskiej zamierzają przyjechać wieczornym pociągiem z Charlottetown, żeby obejrzyć przedstawienie. Wykonawcy wpadli w popłoch. Studenci Akademii od dawna wystawiali sztuki. Przyjeżdżali, rzecz jasna, po to, żeby krytykować. Każdy z wykonawców wręcz obsesyjnie pragnął, aby sztuka wypadła równie dobrze jak w Akademii, i wszyscy nerwy mieli napięte jak struny. Siostra Kasi Errol, która skończyła kursy wymowy, przesłuchiwała ich i udzielała rad; a gdy nadszedł wieczór przedstawienia, w wielu domach i pensjonatach Shrewsbury zapanowało szalone podniecenie.

W pokoju oświetlonym płomykiem świecy Emilka przyglądała się Emilce—w—Zwierciadle

z wyraźnym zadowoleniem, zresztą całkowicie usprawiedliwionym. Popielatoróżowa suknia znakomicie podkreślała zarumienione policzki i ciemną szarość oczu, a wianek ze srebrnych listków spoczywający na czarnych włosach sprawiał, że Emilka wyglądała jak młoda driada. Nie czuła się jednak driadą. Ciotka Ruth kazała jej zdjąć koronkowe pończochy i włożyć kaszmirowe — usiłowała nawet zmusić ją do założenia grubych wełnianych pończoch, lecz w tym punkcie przegrała potyczkę, odzyskując jednak utracone pozycje uparłszy się przy flanelowej halce.

„Ohydne, fałdzone paskudztwo” — myślała z urazą Emilka, mając, rzecz jasna, na myśli halkę. Ale w owych czasach modne były sute spódnice, a Emilka była tak szczupła, że nie przeszkadzała jej nawet gruba flanelowa halka.

Kiedy zapinała na szyi egipski łańcuszek, do pokoju wkroczyła ciotka Ruth. Widać było na pierwszy rzut oka, że jest bardzo zagniewana.

— Emilio, była u mnie pani Bali. Dowiedziałam się od niej rzeczy zdumiewającej. Czy dzisiaj wieczorem zamierzasz wystąpić w sztuce?

Emilka szeroko otworzyła oczy.

— Oczywiście, ciociu Ruth. Przecież ciocia o tym wie.

— Kiedy prosiłaś mnie o zgodę na udział w koncercie, powiedziałaś, że chodzi o scenkę

— podkreśliła lodowato ciotka Ruth.

— O... ale panna Aylmer postanowiła zamiast tego wystawić krótką sztukę. Myślałam, że ciocia wie... naprawdę. Myślałam, że wspominałam cioci o tym.

— Nic podobnego nie myślałaś, Emilio... Celowo utrzymywałaś mnie w niewiedzy, zdając sobie sprawę, że nie pozwoliłabym ci wystąpić w sztuce.

— Ależ nie, ciociu — zaprzeczyła Emilka z powagą. — Nawet nie przyszło mi na myśl, żeby to ukrywać. Oczywiście nie rozmawiałam z ciocią o tym zbyt często, bo wiedziałam, że

ciocia nie pochwała tego koncertu.”

Kiedy Emilka przemawiała z powagą, ciotka Ruth zawsze uważała to za bezczelność.

— To już szczyt wszystkiego, Emilio. Zawsze wiedziałam, że jesteś przebiegła, ale nie przypuszczałam, że możesz być aż tak przebiegła.

— Nic podobnego, ciociu — odparła niecierpliwie Emilka. — Postąpiłabym niemądrze próbując ukryć fakt, o którym mówi całe Shrewsbury. Nie pojmuję, jak mogła ciocia o tym nie słyszeć.

— Wiedziałaś, że nigdzie nie wychodzę ze względu na mój bronchit. O, przejrzałam cię na wylot, Emilio. Mnie nie oszukasz.

— Nie próbowałam cioci oszukiwać. Myślałam, że ciocia wie... to wszystko. Myślałam, że ciocia nie chce o tym rozmawiać, ponieważ jest ciocia przeciwna koncertowi. To prawda, ciociu Ruth. Jaka jest różnica między scenką a sztuką?

— Ogromna — odparowała ciotka Ruth. — Sztuki są grzeszne.

— Ale ta sztuka jest króciutka — zaproponowała Emilka z rozpaczą, a potem nagle roześmiała się, bo jej słowa zabrzmiały równie groteskowo jak usprawiedliwienie pielęgniarki z „Odoczynku majtka”. Jej poczucie humoru objawiło się w nieodpowiedniej chwili; śmiech rozzłościł ciotkę Ruth.

— Krótka czy długa, ty w niej nie weźmiesz udziału. Emilka znowu otworzyła szeroko oczy i lekko zbladła.

— Ciociu Ruth... ja *muszę*... przecież inaczej sztuka przepadnie.

— Lepiej, żeby przepadła sztuka niż ludzka dusza — rzuciła ciotka.

Emilka nie odważyła się uśmiechnąć. Sprawa stała się zbyt poważna.

— Niech ciocia nie będzie taka... taka oburzona — miała na końcu języka

„niesprawiedliwa”. — Przykro mi, że ciocia nie pochwała sztuk... nie wystąpię już w

żadnej... ale chyba ciocia rozumie, że dzisiaj *muszę* to zrobić.

— Och, moja droga Emilio, nie sądzę, abyś była aż tak niezastąpiona.

Ciotka Ruth zachowywała się doprawdy irytująco. Jakże niemiło może brzmieć słowo „droga”! Mimo to Emilka nie traciła cierpliwości.

— Dzisiaj naprawdę jestem... Niech ciocia zrozumie, oni nie znajdą zastępstwa w ostatniej chwili. Panna Aylmer nigdy mi nie wybaczy.

— Czy bardziej ci *zależy* na przebaczeniu panny Aylmer niż Boga? — zapytała ciotka Ruth z miną osoby zajmującej nieprzejednane stanowisko.

— Owszem... niż twojego Boga — mruknęła Emilka, tracąc cierpliwość pod wpływem tak niedorzecznych pytań.

— Czy nie darzysz swych przodków żadnym szacunkiem? — brzmiało następne wielce trafne pytanie ciotki. — Gdyby wiedzieli, że ich potomkini gra w sztuce, przewróciliby się w grobach!

Emilka obdarzyła ciotkę Ruth próbką murrayowskiego spojrzenia.

— To byłaby dla nich znakomita gimnastyka. Mam zamiar wziąć udział w dzisiejszym przedstawieniu, ciociu Ruth.

Emilka mówiła spokojnie, rzucając ciotce z góry młodzieńcze, stanowcze spojrzenie.

Ciotkę Ruth ogarnęło przykre uczucie bezradności. Drzwi pokoju Emilki nie dawały się zamknąć na klucz, a nie mogła jej zatrzymać siłą.

— Jeżeli tam pójdziesz, możesz już nie wracać — oświadczyła blada z gniewu. — W tym domu zamyka się drzwi o dziewiątej.

— Jeżeli nie wrócę dziś wieczorem, nie wrócę nigdy. — Emilka była zbyt rozgniewana niedorzecznym zachowaniem ciotki Ruth, by zważać na konsekwencje. — Jeżeli mnie ciocia nie wpuści, wracam do Księżycowego Nowiu. Oni wiedzą o wszystkim... nawet ciotka

Elżbieta zgodziła się, żebym wystąpiła w tej sztuce.

Zgarnęła płaszcz i wcisnęła na głowę kapelusik z czerwonym piórkiem, który podarowała jej na Gwiazdkę żona wuja Oliwera. W Księżycowym Nowiu nie pochwalano gustów ciotki Ady, ale kapelusz był bardzo twarzowy i ogromnie podobał się Emilce. Ciotka Ruth nagle zdała sobie sprawę z tego, że Emilka wygląda w nim dziwnie dojrzałe i dorośle.

Spostrzeżenie to jednak nie zmiękczyło na razie jej serca. Emilia wyszła... Emilia ośmieliła się okazać upór i nieposłuszeństwo... przebiegła, podstępna Emilia musiała dostać nauczkę.

O godzinie dziewiątej uparta, obrażona ciotka Ruth zaryglowała wszystkie drzwi i poszła spać.

Sztuka odniosła wielki sukces. Nawet studenci Akademii byli co do tego zgodni i nie szczędzili oklasków. Emilka odegrała swoją rolę z ogniem i energią, rozgrzana sprzeczką z ciotką Ruth, zapominając o flanelowej halce i budząc niemałe zdumienie panny Errol, która przedtem krytykowała w niej zbyt chłód i rezerwę, podczas gdy rola wymagała większej swobody. Po przedstawieniu Emilka wysłuchiwała licznych komplementów. Nawet Ewelina Blake odezwała się łaskawie:

— Doprawdy, moja droga, jesteś wspaniała... gwiazda sceny, poetka, pisarka... Jaką jeszcze niespodziankę masz w zanadru?

„Protekcjonalne, niezdolne stworzenie” — pomyślała Emilka i powiedziała głośno:

— Dziękuję bardzo!

Później nastąpił radosny, tryumfalny powrót do domu w towarzystwie Teda, wesołe „dobranoc” przy furtce — i okazało się, że drzwi są zaryglowane.

Gniew Emilki, który podczas przedstawienia ustąpił miejsca energii i ambicji, rozgorzał teraz na nowo i przesłonił wszystko. Takie traktowanie było nie do przyjęcia. Zniosła wiele od ciotki Ruth — a to była przysłowiowa ostatnia kropla. Nie można godzić się na wszystko,

nawet dla zdobycia wykształcenia. Należy zachować jakąś godność i szacunek dla siebie.

Emilka mogła zrobić trzy rzeczy. Mogła zacząć stukać staromodną, mosiężną kołatką, dopóki ciotka Ruth nie zesłaby na dół i nie wpuściła jej, jak to się już raz zdarzyło — a potem tygodniami wysłuchiwać pretensji. Mogła pobiec do Ilzy — dziewczęta na pewno jeszcze nie śpią — co również kiedyś już się zdarzyło i czego niewątpliwie spodziewała się po niej ciotka Ruth; a potem Maria Carswell opowie o tym Ewelinie Blake, która będzie śmiać się złośliwie i rozniesie to po całej szkole. Emilka nie miała zamiaru robić żadnej z dwóch wymienionych rzeczy; od chwili gdy zastała drzwi zamknięte, wiedziała dokładnie, jak postąpi. Pójdzie do Księżycowego Nowiu i tam zostanie! Miesiące tłumionej irytacji, wciąż podsycanej kąśliwymi uwagami ciotki Ruth, odezwały się w niej teraz ogniem buntu. Emilka zdecydowanym krokiem przeszła przez furtkę, zatrzasnęła ją za sobą bez godności Murrayów, lecz z całą pasją Starrów i wyruszyła w siedmiomilową, nocną podróż.

Wyruszyłaby, nawet gdyby droga była trzykrotnie dłuższa.

Jej gniew był tak wielki i dojmujący, że droga nie wydawała się wcale długa; Emilka nie czuła także chłodu kwietniowej nocy, choć miała na sobie tylko lekki płaszcz.

Śniegi już stopniały, lecz pusta droga była zmarznięta i twarda — zupełnie nieodpowiednia dla cienkich pantofelków, które podarował Emilce na Gwiazdkę kuzyn Jim. Pomyślała ze śmiechem, który się Emilce wydał ponury i sarkastyczny, że mimo wszystko dobrze się stało, iż ciotka Ruth uparła się przy kaszmirowych pończochach i flanelowej halce.

Noc była księżycowa, lecz niebo przesłaniały kłębiaste, szare chmury, a surowy, zimny krajobraz rozpościerał się wokół niegościnnie w bladym świetle. Gwałtowne, jęśliwe podmuchy wiatru omiatały go co chwila. Emilka czuła głęboką, dramatyczną satysfakcję, że taka noc harmonizuje z jej burzliwym, tragicznym nastrojem.

Nigdy nie wróci do ciotki Ruth — to rzecz pewna. Bez względu na to, co powie ciotka

Elżbieta — a niewątpliwie będzie miała wiele do powiedzenia — bez względu na to, co orzekną wszyscy. Jeżeli ciotka Elżbieta nie pozwoli jej zamieszkać gdzie indziej, zrezygnuje ze szkoły. Wiedziała, że wywoła wielką burzę w Księżycowym Nowiu. Nieważne. W jej obecnym stanie ducha burze wydawały się czymś pożądanym. Najwyższy czas, aby nadeszła jakaś burza. Nie będzie więcej znosiła upokorzeń — ani dnia dłużej! Ciotka Ruth przebrała miarkę. Niebezpiecznie jest doprowadzać do rozpaczyny córkę Starra.

„Skończyłam na zawsze z Ruth Dutton” — przysięgła Emilka, odczuwając wielką satysfakcję z powodu pominięcia „ciotki”.

W miarę jak zbliżała się do domu chmury rzedyły i gdy skręciła w alejkę wiodącą do Księżycowego Nowiu, surowe piękno trzech topól na tle rozświetlonego nieba sprawiło, że aż się zachłusnęła. O, jakież to cudowne! Przez chwilę nie myślała o swojej krzywdzie i ciotce Ruth. Potem jednak gorycz ponownie zalała jej duszę. Nawet urok Trzech Księżniczek nie zdołał zniweczyć tej goryczy.

W kuchennym oknie Księżycowego Nowiu paliło się światło, a wysokie, białe brzozy w zagajniku Dumnego Jana odbijały je z widmowym poblaskiem. Emilka zastanawiała się, kto z mieszkańców Księżycowego Nowiu nie śpi o tej porze. Spodziewała się zastać dom pogrążony w ciemności; zamierzała wśliznąć się frontowymi drzwiami i przemknąć do swojego ukochanego pokoiku, a wyjaśnień udzielić rano. Ciotka Elżbieta zawsze z całym ceremoniałem ryglowała na noc kuchenne drzwi przed położeniem się do łóżka, lecz drzwi frontowe nigdy nie były zamykane na klucz. Włóczędzy i włamywacze z pewnością nie mogli być tak źle wychowani, by wejść do Księżycowego Nowiu frontowymi drzwiami.

Emilka przecięła ogród i zajrzała przez okno do kuchni. Przy stole siedział kuzyn Jim, samotnie, jedynie w towarzystwie dwóch świec. Na stole stał kamionkowy garnek i w chwili kiedy Emilka zaglądała przez okno, kuzyn Jim z roztargnieniem sięgnął do niego i wyjął

pękatego pączka. Oczy kuzyna utkwione były w okazałym połciu wołowiny zwisającym z sufitu, a jego wargi poruszały się bezgłośnie. Kuzyn Jim bez wątpienia układał wiersz, choć pozostawało zagadką, dlaczego czynił to o tak późnej porze.

Emilka ukradkiem obeszła dom, cicho otworzyła kuchenne drzwi i weszła do środka.

Nieszczęsny kuzyn Jim ze zdumienia usiłował przełknąć pół pączka i zaniemówił na kilka sekund. Czy to Emilka, czy jakaś zjawka? Emilka w granatowym płaszczu i czarującym kapelusiku z czerwonym piórkiem... Emilka z rozwianymi, czarnymi włosami i tragicznym spojrzeniem... Emilka w podartych pantofelkach... Emilka w takim stanie tutaj, w Księżycowym Nowiu, kiedy powinna smacznie spać na swym dziewczęcym pościaniu w Shrewsbury?

Kuzyn Jim ujął zimne dłonie, które wyciągnęły się ku niemu.

— Emilko, dziecko drogie, co się stało?

— Cóż, nie owijając w bawełnę... odeszłam od ciotki Ruth i już do niej nie wrócę.

Jim milczał przez dłuższą chwilę. Ale to nie znaczy, że siedział beczynn timer. Najpierw przeszedł na palcach przez kuchnię i zamknął drzwi do salonu. Potem spokojnie dołożył drew do kuchennego pieca, przysunął doń krzesło, posadził w nim Emilkę i ułożył jej zziębnięte stopy blisko paleniska. Następnie zapalił jeszcze dwie świece i postawił je na kominku. Wreszcie usiadł w swoim krześle i oparł ręce na kolanach.

— A teraz opowiedz mi o wszystkim.

Emilka, wciąż pełna buntu i urazy, opowiedziała dość obszernie o tym, co się wydarzyło.

Gdy kuzyn Jim pojął, co naprawdę zaszło, zaczął powoli kręcić głową i czynił to tak długo i z taką powagą, że Emilka powzięła niemiłe podejrzenie, iż nie jest wcale skrzywdzoną, dramatyczną postacią, lecz raczej małym głuptaskiem. Im dłużej kuzyn Jim kręcił głową, tym mniej bohaterski stawał się jej wyczyn. Kiedy zakończyła opowieść buntowniczym i

stanowczym stwierdzeniem: „Tak czy inaczej, nie wrócę do ciotki Ruth”, kuzyn Jim kiwnął głową po raz ostatni i przysunął Emilce garnek.

— Zjedz pączka, kociątko.

Emilka zawahała się. Bardzo lubiła pączki, a od kolacji minęło wiele godzin. Ale pączki nie pasowały do jej buntowniczego i niespokojnego nastroju. Zdecydowanie mu nie sprzyjały.

To niejasne wrażenie sprawiło, że Emilka odmówiła poczęstunku. Kuzyn Jim wziął pączka.

— A więc nie wracasz do Shrewsbury?

— Nie do ciotki Ruth — odparła Emilka.

— Na jedno wychodzi — stwierdził kuzyn Jim.

Emilka wiedziała, że to prawda. Wiedziała, że ciotka Elżbieta nie pozwoli jej mieszkać gdzie indziej.

— I przyszedłeś do domu z tak daleka, taką drogą — kuzyn Jim potrząsnął głową. — Cóż, masz odwagę. Dużą odwagę — dodał w zamyśleniu między kęsami.

— Czy masz mi to za złe? — zapytała porywczo Emilka, czując, że potrząśnięcia głowy kuzyna Jima zachwiały jej wewnętrznym przekonaniem.

— Nieee... zaryglowanie drzwi było podłością... w stylu Ruth Dutton.

— I rozumiesz... prawda?... że nie mogę tam wrócić po tej zniewadze?

Kuzyn Jim z namysłem odgryzł kawałek pączka.

— Myślę, że żadna z twoich babek nie zrezygnowałaby tak łatwo z wykształcenia — powiedział. — W każdym razie żadna ze strony Murrayów — dodał po chwili namysłu, uświadomiwszy sobie najwyraźniej, że zbyt mało wie o Starrach, by się na nich powoływać.

Emilka siedziała nieruchomo. Jakby powiedział Ted językiem graczy w krykieta, kuzyn Jim wbił jej gola za pierwszym uderzeniem.

Poczuła natychmiast, że gdy kuzyn Jim za podszeptem jakiegoś diabolicznego natchnienia

wciąża do rozmowy babki, to wszystko stawało się jasne, należało tylko ustalić warunki kapitulacji. Emilka ujrzała je wszystkie wokół siebie — drogie, zmarłe damy z Księżycowego Nowiu — Marię Shipley, Elżbietę Burnley i inne, łagodne, stanowcze, powściągliwe, spoglądające z pogardliwą litością na nią — niemądrą, porywczą prawnuczkę. Kuzyn Jim przypuszczał chyba, że słabość jest dziedzictwem Starrów. Wcale nie... ona mu pokaże! Naprawdę oczekiwała od kuzyna Jima większego współczucia. Wiedziała, że ciotka Elżbieta ją potępi i nawet ciotka Laura będzie patrzyła ze zdumieniem i rozczarowaniem. Liczyła jednak na to, że kuzyn Jim opowie się po jej stronie. Zawsze tak było.

— Moje babki nie miały do czynienia z ciotką Ruth! — rzuciła gniewnie.

— Ale miały do czynienia z twoimi dziadkami. — Kuzyn Jim uważał to stwierdzenie za decydujące, a każdy, kto znał Archibalda i Hugona Murrayów, przyznałby mu słuszność.

— Kuzynie, czy myślisz, że powinnam wrócić do ciotki Ruth, wysłuchać jej uwag i uznać sprawę za niebyłą?

— A co ty o tym myślisz? — spytał kuzyn Jim. — No, weź pączka, kociątko.

Tym razem Emilka sięgnęła po pączka. Należała się jej jakaś pociecha. Nie można jednak wytrwać w dramatycznej pozie jedząc pączki. Sami spróbujcie.

Ze szczytów tragizmu Emilka zeszła w dolinę rozdrażnienia.

— Przez ostatnie dwa miesiące ciotka Ruth zachowywała się obrzydliwie... nie mogła nigdzie wychodzić z powodu bronchitu. Nie wiesz, co to znaczy.

— O, wiem... wiem. Ruth Dutton nikomu nie umiała życia. Czy cieplej ci w stopy, Emilko?

— Nienawidzę jej! — wykrzyknęła Emilka, wciąż szukając dla siebie usprawiedliwienia.

— To straszne żyć pod jednym dachem z kimś, kogo nienawidzisz...

— To trucizna — przyznał kuzyn Jim.

— A to nie moja wina. Próbowałam ją polubić... zadowolić. Zawsze robi mi wymówki...

Każdemu mojemu słowu i uczynkowi przypisuje niskie pobudki... Nawet jeśli nic nie mówię i nie robię. Ciągłe wraca do tego, że usiadłam w rogu ławki i że nie otrzymałam wyróżnienia w szkole. Zawsze czyni obraźliwe aluzje do moich rodziców. I zawsze wybacza mi coś, czego nie zrobiłam... lub coś, co nie potrzebuje wybaczenia.

— To bardzo denerwujące — przyznał kuzyn Jim.

— Właśnie, denerwujące! Wiem, że jeżeli wrócę, powie: „Tym razem ci daruję, ale uważaj na przyszłość”. I będzie prychała... Och, nie ma nieznośniejszego dźwięku niż prychanie ciotki Ruth!

— Słyszałaś kiedyś tępy nóż tnący grubą tkaninę? — mruknął kuzyn Jim.

Emilka zignorowała pytanie i parła naprzód.

— Nie mogę przecież nigdy nie mieć racji, ale ciotka Ruth tak właśnie uważa... i mówi, że musi „mieć wzgląd na mnie”. Poi mnie tranem i nie pozwala wychodzić wieczorami, bo „suchotnicy nie powinni opuszczać domu po ósmej”. Jeśli jej jest zimno, ja muszę wkładać halkę. Ciągłe zadaje nieprzyjemne pytania i nie chce uwierzyć moim wyjaśnieniom. Wierzy i zawsze będzie wierzyć w to, że zachowałam w tajemnicy wiadomość o przedstawieniu, ponieważ jestem przebiegła. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Przecież w zeszłym tygodniu pisał o tym „Czas” w Shrewsbury. Ciotka Ruth regularnie czyta tę gazetę. Całymi dniami czyniła mi wymówki, kiedy znalazła wypracowanie, które podpisałam „Emilianna”. Szydliła: „Może lepiej poprzestawiaj wszystkie litery swojego imienia!”

— Cóż, czy nie postąpiłaś trochę niemądrze, kociątko?

— O, przypuszczam, że moje babki postąpiłyby inaczej! Ale ciotka Ruth nie musi tego tak wałkować. To właśnie jest okropne... gdyby tylko zechciała wypowiedzieć się raz na jakiś temat i skończyć z nim. Na przykład, na mojej białej halce znalazła się plamka rdzy i ciotka

Ruth rozwodziła się nad nią tygodniami. Postanowiła dowiedzieć się, kiedy i w jaki sposób poplamiłam halkę rdzą... a ja nie miałam zielonego pojęcia. Doprawdy, kuzynie, po trzech tygodniach czułam, że zacznę krzyczeć, jeśli jeszcze raz o tym usłyszę.

— Każdy czułby to samo — rzekł kuzyn Jim do półcia wołowiny.

— Och, każda z tych rzeczy jest jak ukłucie szpilki. Wiem o tym... Pewnie myślisz, że jestem głupia... ale...

— Nie, nie. Sto ukłuć szpilką jest gorsze niż złamana noga. Lepiej byłoby raz dostać po głowie i mieć spokój.

— No właśnie... nic, tylko ciągłe ukłucia. Nie wpuszcza do domu Ilzy... ani Teda, ani Perry'ego... tylko tego głupiego Andrzeja. Mam go powyżej uszu. Nie pozwoliła mi iść na zabawę pierwszoklasistów. Był kulig, kolacja w Brązowym Imbryku i tańce... Wszyscy poszli prócz mnie... To było wydarzenie zimy. Jeżeli idę na spacer o zachodzie słońca do Wyniosłej Krainy, ona wyczuwa w tym coś złowieszczonego... Sama nigdy nie zdradza ochoty na takie spacer, czemu więc ja miałabym mieć ochotę? Twierdzi, że mam zbyt wysokie mniemanie o sobie. To nieprawda... Jak myślisz, kuzynie?

— Nie — odparł z namysłem kuzyn Jim. — Wysokie... lecz niezbyt wysokie.

— Twierdzi, że przestawiam jej rzeczy... Kiedy wyjrzę przez okno, natychmiast przybiega i poprawia zasłony. I bez przerwy pyta: „dlaczego, dlaczego, dlaczego”... bez przerwy, kuzynie.

— Na pewno czujesz się znacznie lepiej, kiedy wyrzuciłaś to z siebie — podsumował kuzyn Jim. — Jeszcze pączka?

Emilka westchnęła, poddała się i postawiwszy stopy na podłodze przysunęła się do stołu. Garnek z pączkami stał między nią a kuzynem Jimem. Była bardzo głodna.

— Czy Ruth karmi cię należycie? — zapytał kuzyn Jim z niepokojem.

— O, tak. Ciotka Ruth podtrzymuje przynajmniej jedną z tradycji Księżycowego Nowiu.

Jedzenie u niej jest dobre. Ale nie ma przekąsek.

— A ty zawsze lubiałaś przegryźć coś smacznego przed snem, prawda? Ale przecież zabrałaś całe pudełko przysmaków ostatnim razem.

— Ciotka Ruth je skonfiskowała. To znaczy, zamknęła je w spiżarni i wydzielała po trochu po posiłkach. Te pączki są pyszne. Jedzenie o tak niezwykłej porze ma w sobie coś podniecającego i niedozwolonego, prawda? Jak to się stało, kuzynie, że nie jesteś w łóżku?

— Krowa zachorowała. Pomyślałem, że posiedzę trochę i zajrzę do niej.

— Miałam szczęście. O, odzyskałam zdrowe zmysły, kuzynie. Myślisz, oczywiście, że popełniłam głupstwo?

— Każdy popełnia jakieś głupstwa — odparł kuzyn Jim.

— No cóż, wrócę i przełknę gorzką pigułkę bez szemrania.

— Połóż się na sofie i zdrzemnij. Zaprzęgnę siwą kobyłkę i odwiozę cię, jak tylko się rozjaśni.

— Nie, to nie ma sensu. Z kilku powodów. Po pierwsze, drogi są zbyt grzaskie. Po drugie, ciotka Elżbieta usłyszałaby nas z całą pewnością i dowiedziałaby się o wszystkim, a tego nie chcę. Głupstwo, które popełniłam, będzie naszą mroczną i głęboką tajemnicą, kuzynie Jimie.

— No to jak chcesz wrócić do Shrewsbury?

— Pieszko.

— Pieszko? Do Shrewsbury? O tej porze nocy?

— A czy właśnie stamtąd nie przyszłam? Mogę przejść tę drogę ponownie i to wcale nie będzie gorsze niż obijanie się po tym okropnym trakcie w bryczce ciągniętej przez siwą kobyłę. Oczywiście włożę inne buty, a nie te lekkie pantofelki. W burzliwym stanie ducha zniszczyłam twój gwiazdkowy podarek. Mam tu w szafie parę starych butów. Wezmę je... a

do tego mój stary płaszcz. O świcie będę już w Shrewsbury. Pójdę zaraz, jak tylko skończymy te pączki. Spalaszujmy wszystko, kuzynie.

Kuzyn Jim uległ namowom. W końcu Emilka była młoda i zdrowa, noc pogodna, a im mniej Elżbieta wiedziała o pewnych rzeczach, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Westchnąwszy z ulgą, że sprawa tak się zakończyła — a obawiał się, iż Emilka tym razem uparła się na dobre! — kuzyn Jim sięgnął po pączka.

— Jak tam z pisaniem? — zagadnął.

— Dużo ostatnio pisałam... choć rano mój pokój jest bardzo zimny, ale tak to Kocham... marzę o tym, że kiedyś napiszę coś wartościowego.

— Napiszesz. *Ciebie* nie zepchnięto do studni — powiedział kuzyn Jim.

Emilka pogładziła go po ręce. Nikt nie wiedział lepiej niż ona, co kuzyn Jim mógłby osiągnąć, gdyby nie został zepchnięty do studni.

Gdy skończyły się pączki, Emilka włożyła stare buty i płaszcz.

Płaszcz był już znoszony, lecz w starej, mrocznej kuchni, oświetlonej płomykami świec młodzieńczy księżyc rozpromieniał go jak gwiazda. Kuzyn Jim spojrzał na nią. Pomyślał, że jest piękną, utalentowaną, radosną istotą i że pewne rzeczy nie powinny się zdarzać.

— Wysoka i dumna... wysoka i dumna jak wszystkie nasze kobiety — mruknął w rozmarzeniu. — Z wyjątkiem Ruth Dutton — dodał. Emilka zaśmiała się i „zrobiła minę”.

— Ciotka Ruth nadmie się jak balon, kiedy będę z nią rozmawiać. To jej wystarczy do końca roku. Ale nie martw się, kuzynie Kochany, teraz przez dłuższy czas nie popełnię żadnego głupstwa. To oczyściło atmosferę. Ciotka Elżbieta pomyśli, że postąpiłaś okropnie zjadając cały gar pączków, łakomy kuzynie Jimie.

— Czy potrzebujesz nowego zeszytu?

— Jeszcze nie. Ten, który dałaś mi ostatnim razem, jest zapisany dopiero w połowie.

Zeszyty wystarczają mi na dłużej, kiedy nie piszę opowiadań. O, jaka szkoda, że nie mogę ich pisać, kuzynie!

— Przyjdzie na to czas... przyjdzie na to czas — odparł pocieszająco kuzyn Jim. —

Poczekaj trochę... tylko poczekaj. Jeśli nie gonimy za czymś, to czasem to coś samo nas

dogania. „Dom buduje się mądrością, a umacnia się go roztropnością. I dzięki rozsądkowi

napełnia się spichlerze wszelkimi cennymi i upragnionymi dobrami”. Cennymi i

upragnionymi dobrami, Emilko. Księga Przypowieści, rozdział dwudziesty czwarty, werset

trzeci i czwarty.

Odprowadził Emilkę do furtki i zaryglował drzwi. Zgasił wszystkie świece prócz jednej.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym — zadowolony, że Elżbieta go nie słyszy — rzekł

z zapalem:

— Ruth Dutton może sobie iść do... do... do... — tu odwaga zawiodła kuzyna Jima —

...do nieba!

Emilka wyruszyła w drogę powrotną do Shrewsbury w czystym blasku księżyca.

Spodziewała się, że czeka ją uciążliwa i ponura podróż, bez bodźca, jaki stanowiły gniew i

bunt. Droga okazała się jednak czymś pięknym — a Emilka należała do „wiecznych

niewolników piękna”, którzy wedle słów pieśni „są panami świata”. Była zmęczona, lecz

zmęczenie przejawiało się w pewnym uniesieniu ducha i wyobraźni, czego często

doświadczała, gdy czuła znużenie. Jej myśl była szybka i żywa. Odbyła cykl błyskotliwych,

wyimaginowanych rozmów i wymyśliła tak wiele dwuwierszy, że aż się sobie dziwiła.

Dobrze było czuć się znowu młodą, rześką i pełną życia. Była sama, lecz nie osamotniona.

Idąc nadawała nocy dramatyczne cechy. W owej nocy był dziki, nieokiełznany urok, który

przemawiał do dzikich, nieokiełzanych strun, głęboko ukrytych w naturze Emilki — do tej

struny, która pragnie grać, tak jak zechce, bez żadnych nakazów — i która tkwi w Cyganie i

poecie, geniuszu i błaznie.

Wysokie jodły, uwolnione od śnieżnego brzemienia, swobodnie, gwałtownie i radośnie potrząsały ramionami nad polami zalanymi księżycową poświatą. Czy istniało coś piękniejszego niż cienie szarych, bezlistnych klonów? Domy, które mijala, były pełne intrygujących tajemnic. Lubiła myśleć o ludziach, którzy w nich spali i śnili o tym, czego odmawiała im jawa; o dziecięcych rączkach, złożonych w drzemce... o sercach, które być może czuwały smutno i bezsennie... o samotnych ramionach, wyciągniętych w nocnej pustce... gdy tymczasem ona, Emilka, przemykała obok niczym cienista zjawa w głębokiej nocy.

Łatwo było również myśleć, że tuż obok czai się coś innego... coś, co nie jest śmiertelne ani ludzkie. Emilka zawsze żyła na granicy krainy czarów i teraz przekroczyła tę granicę. Królowa Wiatru pogwizdywała niesamowicie wśród trzcin na mokradłach... Emilka była pewna, że w świerkowym zagajniku słyszy drogi jej sercu, demoniczny chichot sowy... coś przemknęło przez drogę — może królik, a może Szary Karzełek. Drzewa przybrały na poły przyjemne, na poły przerażające kształty, które znikaly za dnia. Uschłe zeszłoroczne osty pod płotami wyglądały jak grupki goblinów; stara pożółkła brzoza przypominała leśnego satyra, a wszędzie wokół rozlegało się echo kroków dawnych bogów. Sękate pniaki na wzgórzu były podobne do świty bożka Pana, grającego na piszczałce wśród światła i cieni i wiodącego gromadę roześmianych faunów.

— Człowiek tak wiele traci, gdy staje się niedowiarkiem — powiedziała Emilka, a po chwili pomyślała, że jest to dość błyskotliwa uwaga i pożałowała, że nie ma przy sobie zeszytu od Jima, aby ją zapisać.

Tak więc, z duszą obmytą z goryczy w powietrznej, wiosennej nocnej kąpieli, czując od stóp do głów gwałtowne, przedziwne,

słodkie dreszcze duchowego ożywienia, Emilka przybyła do domu ciotki Ruth w chwili, gdy zamglone, purpurowe wzgórza po wschodniej stronie zatoki zaczęły rysować się wyraźnie na tle jaśniejącego nieba. Spodziewała się zastać drzwi nadal zamknięte, ale gałka dała się przekręcić i Emilka weszła do środka.

Ciotka Ruth była już na nogach i rozpalala ogień pod kuchnią.

W drodze z Księżycowego Nowiu Emilka rozważała wiele możliwych sposobów powiedzenia tego, co chciała powiedzieć — ale w końcu nie skorzystała z żadnego z nich. W ostatniej chwili coś ją podkusiło i zanim ciotka Ruth zdążyła przemówić, Emilka odezwała się do niej:

— Ciociu Ruth, wróciłam, aby powiedzieć, że cioci daruję, ale niech ciocia uważa na przyszłość.

Prawdę mówiąc, pani Ruth Dutton doznała wielkiej ulgi na widok Emilki. Obawiała się reakcji Elżbiety i Laury — rodzinne kłótnie Murrayów bywały bardzo przykre — a także bała się trochę o samą Emilkę, jeżeli istotnie poszła do Księżycowego Nowiu w tych cienkich pantofelkach i lekkim płaszczku. Ruth Dutton nie była żadną diabolicą, jedynie głupią, upartą kwoką, która usiłuje wychować skowronka. Istotnie obawiała się, że Emilka może się przeziębnić i zapaść na suchoty. Gdyby zaś Emilka nieodwołalnie postanowiła nie wracać do Shrewsbury, ludzie „zaczęliby gadać”, a Ruth Dutton nienawidziła „gadania”, którego przedmiotem byłaby ona sama lub jej postępowanie. Zważywszy to wszystko, postanowiła zignorować zuchwałe słowa Emilki.

— Czy spędziłaś tę noc na ulicy? — spytała ponuro.

— Och, nie, skądże! Poszłam do Księżycowego Nowiu, odbyłam pogawędkę z kuzynem Jimem, przekąsiłam coś niecoś... i wróciłam.

— Czy widziała cię Elżbieta albo Laura?

— Nie. Spały.

Pani Dutton uznała, że tym lepiej.

— Cóż — zaczęła zimno — okazałaś wielką niewdzięczność, Emilio. Tym razem ci daruję, ale... — tu urwała raptownie. Czy nie zostało to już raz powiedziane tego ranka?

Zanim zdążyła wymyślić coś innego, Emilka zniknęła na górze. Pani Ruth Dutton została w kuchni z niemiłym wrażeniem, że nie odniosła w tej potyczce należnego zwycięstwa.

XI

BLASKI I CIENIE

Shrewsbury,

28 kwietnia 19...

Ostatnią sobotę i niedzielę spędziłam w Księżycowym Nowiu i wróciłam dziś rano. Jest to zatem czarny poniedziałek i tęsknię za domem. W poniedziałki ciotka Ruth zawsze bywa jeszcze *trudniejsza* do zniesienia — albo wydaje się taka w porównaniu z ciotką Laurą i ciotką Elżbietą. Kuzyn Jim nie był w tym tygodniu tak miły jak zazwyczaj. Popadał w swoje dziwaczne nastroje i był nieco zrzędlivy, a to z dwóch powodów: po pierwsze, jego jabłunki usychają, gdyż w zimie podgryzły je myszy; po drugie, nie udało mu się namówić ciotki Elżbiety na wypróbowanie nowych wirówek do mleka, których wszyscy teraz używają. Gdy o mnie chodzi, jestem w skrytości ducha z tego zadowolona. Nie chciałabym, aby nasza piękna, stara mleczarnia i lśniące, brązowe konwie na mleko zostały wyparte przez jakieś nowości. Nie potrafię sobie wyobrazić Księżycowego Nowiu bez mleczarni.

Gdy tylko udawało mi się oderwać kuzyna Jima od jego zmartwień, przeglądaliśmy katalog ogrodnicy Carltona i dyskutowaliśmy, co z niego wybrać za te dwa dolary, które zawdzięczam śmiechowi sowy. Planowaliśmy dziesiątki rozmaitych rabatów i bawiliśmy się przy tym nie za dwa, lecz za setki dolarów. W końcu zdecydowaliśmy się na długą, wąską grządkę pełną astrów: lawendowe pośrodku, wokół nich białe, pas blad różowych, a w rogach kępki ciemnofioletowych, jak strażnicy na flankach. Jestem pewna, że będą wyglądały pięknie, i patrząc we wrześniu na ich przepych pomyślę sobie: „To zrodziło się z mojej głowy!”

Uczyniłam kolejny krok na Alpejskiej Ścieżce. W zeszłym tygodniu „Pismo dla Pań” zamieściło mój wiersz „Królowa Wiatru” i otrzymałam za to dwie subskrypcje „Pisma”.

Żadnych pieniędzy... ale to przyjdzie z czasem. *Muszę* jak najprędzej zarobić tyle, by móc

zwrócić ciotce Ruth co do centa wszystko, co na mnie wydała. Wtedy przestanie mi wytykać, ile ją kosztuję. Prawie nie ma dnia, by o tym nie napomknęła. „Nie, pani Beatty, chyba nie będę mogła w tym roku ofiarować na misje takiej sumy jak przedtem... mam teraz więcej wydatków, rozumie pani”... „Och, nie, panie Morrison, pańskie nowe towary są przepiękne, ale tej wiosny nie stać mnie na jedwabną suknię”... „Ta kanapa naprawdę wymaga nowego obicia... stare jest już okropnie wytarte... ale nie ma o tym mowy w tym roku ani w następnym”. I tak bez przerwy. Ale moja dusza nie jest własnością ciotki Ruth. „Czas” wychodzący w Shrewsbury przedrukował „Śmiech sowy” — z „jękiem łowcy” i tak dalej. Podobno Ewelina Blake twierdzi, że nie wierzy, iż to ja go napisałam. Jest *pewna*, że parę lat temu czytała gdzieś coś bardzo podobnego. ‘ Droga Ewelina!

Ciotka Elżbieta nie powiedziała ani słowa na ten temat, ale dowiedziałam się od kuzyna Jima, że wycięła wiersz i włożyła go do Biblii, którą trzyma przy łóżku. Kiedy ją powiadomiłam, że dostanę za to nasiona wartości dwóch dolarów, odparła, że zapewne, gdy wyślę zamówienie, okaże się, iż firma zbankrutowała!

Pomyślałam, że wyślę to krótkie opowiadanie o dziecku, które podobało się panu Carpenterowi, do „Złotych godzin”. Żałuję, że nie mogę przepisać go na maszynie, ale skoro to niemożliwe, postaram się przepisać je ręcznie bardzo starannie. Ciekawe, czy się *odważę*. Za opowiadania na pewno płacą.

Dean wkrótce wraca do domu. Z jaką radością go zobaczę! Ciekawe, czy uzna, że bardzo się zmieniłam. Z pewnością urosłam. Ciocia Laura mówi, że wkrótce będę musiała nosić długie suknie i czesać się do góry, ale ciotka Elżbieta uważa, że dla piętnastolatki to jeszcze za wcześnie. Powiada, że dzisiejsze piętnastoletnie dziewczęta nie są tak dojrzałe jak za jej czasów. Wiem, że ciotka Elżbieta obawia się, iż jeśli pozwoli mi dorosnąć, ucieknę z domu „jak Julia”. Mnie jednak nie jest spieszno do dorosłości. Milej trwać w zawieszaniu — jak

teraz. Jeżeli chcę zachowywać się dziecinnie, mogę to robić i nikt mnie z tego powodu nie zawstydza; a jeśli mam ochotę być dojrzała, mogę powołać się na dodatkowe centymetry wzrostu.

Dzisiejszy wieczór jest łagodny i dżdżysty. Wierzby na mokradłach wypuściły bazie, a niektóre młode brzozy w Wyniosłej Krainie okryły swe nagie gałązki przejrzystym, fioletowym welonem. Chyba napiszę wiersz „Wizja wiosny”.

5 maja 19...

W szkole nastąpił istny wybuch wiosennej poezji. W majowym numerze „Pióra” wydrukowano wiersz Eweliny „Kwiaty”. Bardzo słabe rymy.

I Perry! On także uległ wiosennemu impulsowi, jak to nazywa pan Carpenter, i napisał koszmarny utwór pod tytułem „Stary rolnik obsiewa swe pole”. Wysłał go do „Pióra”, które wydrukowało wiersz w rubryce „Na wesoło”. Perry jest z tego bardzo dumny i nie pojmuję, że zrobił z siebie głupca. Ilza zbladła z wściekłości, gdy przeczytała ten wiersz, i nie odzywa się do Perry’ego. Mówi, że nie warto się z nim zadawać. Ilza jest dla niego o wiele za surowa. Kiedy jednak przeczytałam ten utwór, a zwłaszcza zwrotkę:

Orąłem, bronowałem, siałem...

Zrobiłem, co trzeba.

Teraz plon rośnie z zapalem,

Niech go wspiera Bóg z nieba.

— sama miałam ochotę go zamordować. Perry zupełnie nie pojmuję, co jest złego w jego wierszu.

— Przecież się rymuje, prawda?

— Owszem, rymuje się!

Ilza gniewała się ostatnio na Perry’ego także dlatego, że przychodził do szkoły w płaszczu

z jednym tylko guzikiem. Sama nie mogłam tego znieść, więc po wyjściu z klasy szepnęłam Perry'emu,

żeby spotkał się ze mną o zachodzie słońca przy Paprociowej Sadzawce. Wyśliznęłam się z domu z igłą, nićmi i guzikami i przyszyłam mu je. Nie rozumiał, dlaczego nie można było zaczekać do piątku, aż to zrobi ciotka Tomaszowa.

— Dlaczego sam ich nie przyszyłeś, Perry? — zapytałam.

— Nie mam za co kupić guzików — odparł — ale to nieważne, kiedyś będę miał złote guziki, jeśli tylko zechcę.

Ciotka Ruth zauważyła mnie wychodzącą z domu z nićmi, nożyczkami itp., i oczywiście natychmiast chciała wiedzieć co, gdzie i dlaczego. Opowiedziałam jej o wszystkim, a ona oświadczyła:

— Byłoby lepiej, gdybyś pozostawiła przyszywanie guzików Perry'ego Millera jego przyjaciołom.

— Jego najlepszą przyjaciółką jestem ja — odparłam.

— Nie pojmuję, skąd u ciebie te gminne gusta — stwierdziła ciotka Ruth.

7 maja 19...

Dzisiaj po południu, po lekcjach, Ted zabrał mnie i Ilżę łodzią na drugą stronę zatoki.

Chciałyśmy nazrywać pierwiosnków w iglastym lasku nad Zieloną Rzeką. Zebrałyśmy pełne kosze i w trójkę spędziłyśmy cudowną godzinę spacerując wśród przyjaznego szumu młodych drzewek. Mogę powtórzyć o pierwiosnkach to, co ktoś powiedział o truskawkach: „Bóg mógł stworzyć coś słodsze, lecz tego nie uczynił”.

Kiedy wyruszyliśmy w drogę powrotną, zatokę spowiała gęsta, biała mgła. Ted kierował się jednak gwiazdami pociągów, więc trafiliśmy bez kłopotu i było to dla mnie wspaniałe przeżycie. Wydawało się, że dryfujemy po białym, niezmaconym morzu. Słyszać było tylko

cichy szmer fal na mieliźnie, daleki zew otwartego morza i plusk wiosł w srebrzystej wodzie. Byliśmy sami w zamglonym świecie bezkresnego morza. Od czasu do czasu nagły prąd zimnego powietrza unosił na chwilę mglistą zasłonę i wyłaniały się spoza niej widmowe, niewyraźne zarysy wybrzeża. A potem znowu otaczała nas nieprzenikniona biel. Było tak, jakbyśmy szukali obcego, czarodziejskiego brzegu, który nieustannie oddalał się od nas. Poczułam prawdziwy żal, kiedy przybiliśmy do przystani, lecz gdy dotarłam do domu, zastałam ciotkę Ruth bardzo rozstrojoną z powodu mgły.

— Wiedziałam, że nie powinnam ci pozwolić wychodzić — powiedziała.

— Przecież nic mi nie groziło, ciociu — zaprotestowałam. — Spójrz na te śliczne pierwiosnki.

Ciotka Ruth nie spojrzała na pierwiosnki.

— Nie groziło... w tej gęstej mgle! A gdybyście zabłądzili? Gdyby zerwał się wiatr, zanim przybiliście do brzegu?

— Jak można zabłądzić w tej malej zatoce? — spytałam. — Mgła była cudowna... cudowna. Zdawało się, że wypływamy poza granice tej planety, wprost w otchłanie kosmosu. Mówiłam to w uniesieniu i chyba wyglądałam dość dziko z kroplami mgły na włosach, bo ciotka Ruth odezwała się zimno i z politowaniem:

— Szkoda, że jesteś taka pobudliwa, Emilio.

Takie przejawy lodowatego politowania są bardzo irytujące, odparłam więc lekkomyślnie:

— Ale niech ciocia pomyśli, ile zabawy człowiek traci, jeśli nie jest pobudliwy. Nie ma nic cudowniejszego nad taniec wokół płonącego ogniska. Cóż z tego, że zostaną zeń tylko popioły?

— Kiedy będziesz w moim wieku — rzekła ciotka Ruth — nabierzesz rozsądku na tyle, by nie popadać w zachwyty nad białymi mgłami.

Wydaje się niemożliwe, że kiedyś zestarzeję się i umrę. Wiem, oczywiście, co mnie czeka, ale nie wierzę. Nic nie odpowiedziałam ciotce Ruth, obrała zatem inną taktykę.

— Przyglądałam się Ilzie, kiedy przechodziła. Czy ta dziewczyna w ogóle nosi halki, Emilio?

— „Strojna jest w jedwab i purpurę” — mruknęłam, cytując Biblię, po prostu dlatego, że te słowa w jakiś sposób mnie urzekają. Trudno sobie wyobrazić doskonalszy i prostszy opis wspaniale odzianej kobiety. Nie wydaje mi się, aby ciotka Ruth rozpoznała cytat; pomyślała po prostu, że jestem przemądrzała.

— Jeśli chcesz powiedzieć, że nosi purpurową jedwabną halkę, Emilio, powiedz, to zwyczajnym językiem. Jedwabne halki, też coś.

Gdybym to ja miała z nią do czynienia, pokazałabym jej jedwabne halki!

— Kiedyś i ja będę je nosiła — oznajmiłam.

— O, czyżby, moja panno? A czy mogę zapytać, za co je kupisz?

— Mam przed sobą przyszłość — stwierdziłam z dumą, jakiej nie powstydziliby się żaden z Murrayów.

Ciotka Ruth prychnęła.

Wypełniłam mój pokój pierwsosnkami i nawet lord Byron sprawia teraz wrażenie, jakby miał nadzieję odzyskać zdrowie.

13 maja 19...

Podjęłam decyzję i wysłałam opowiadanie „Inna sprawa” do „Złotych godzin”. Drżałam wrzucając je do skrzynki przy księgarni. Och, gdyby tak zostało przyjęte!

Perry znowu rozbawił całą szkołę. Oznajmił na lekcji, że Francja *eksportuje modę*. Ilza podeszła później do Perry’ego i powiedziała: „Ty *miernoto*”. Teraz nie odzywa się do niego.

Ewelina wciąż przemawia do mnie słodko i uszczypliwie i śmieje się. Mogłabym jej

jeszcze wybaczyć uszczypliwości, ale nie ten śmiech.

15 maja 19...

Wczoraj mieliśmy wieczorek pierwszoklasistów. Zawsze odbywa się w maju. Kiedy weszliśmy do auli, okazało się, że nie możemy zapalić gazowych lamp. Nie wiedzieliśmy, co się stało, ale podejrzewaliśmy drugą klasę. (Dzisiaj odkryliśmy, że odcięli gaz w piwnicy i zamknęli drzwi na klucz.) Z początku nie wiedzieliśmy, co robić; a potem przypomniałam sobie, że w zeszłym tygodniu ciotka Elżbieta przywiozła dla mnie duże pudło świec. Pobiełam po nie do domu — ciotki Ruth nie było — i rozstawiliśmy je po całej sali. Nasz wieczorek odbył się więc mimo wszystko i wypadł świetnie. Wyszukiwanie prowizorycznych świeczników było dobrą zabawą na początek, a światło świec okazało się o wiele bardziej przyjazne i inspirujące niż gazowe lampy. Wydawało się, że wszyscy mówią z większym polotem. Każdy miał wygłosić przemówienie na wybrany, dowolny temat. Najlepiej przemawiał Perry. Przygotował sobie mowę o historii Kanady — bardzo rzeczową i według mnie nudną — ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i zaczął mówić o świecach — bez przygotowania, rozwijając temat w miarę mówienia. Opowiadał o świecach, które widywał w rozmaitych krajach, gdy jako mały chłopiec pływał z ojcem na statku. Była to mowa tak dowcipna i zajmująca, że słuchaliśmy oczarowani; i myślę, że uczniowie zapomną mu tę francuską modę i starego rolnika, który powierzał swój plon Bogu. Ciotka Ruth nie odkryła jeszcze zniknięcia świec, bo pudło nie jest zupełnie puste. Jutro, kiedy pojedę do Księżycowego Nowiu, poproszę ciocię Laurę o drugie pudełko — wiem, że mi je da — i przywiozę je ciotce Ruth.

22 maja 19...

W dzisiejszej poczcie znalazłam ohydną, długą, wypchaną kopertę, zaadresowaną do mnie. „Złote godziny” odesłały moje opowiadanie. Dołączona do niego kartka głosiła:

Z żywym zainteresowaniem przeczytaliśmy Pani opowiadanie i zawiadamiamy z żalem, że nie możemy przyjąć go do druku w obecnej chwili.

Na początku próbowałam czerpać pociechę z faktu, że przeczytali moje opowiadanie „z żywym zainteresowaniem”. Później jednak uświadomiłam sobie, że był to gotowy druczek, a zatem dołączają go do *wszystkich* odrzuconych rękopisów.

Najgorsze, że ciotka Ruth zobaczyła kopertę, zanim wróciłam ze szkoły, i otworzyła ją. To upokarzające, że dowiedziała się o mojej porażce.

— Mam nadzieję, że to cię przekona, byś nie marnowała znaczków na takie głupstwa, Emilio. Skąd ci przyszło do głowy, że potrafisz napisać opowiadanie nadające się do druku?

— Wydrukowano mi dwa wiersze! — zawołałam. Ciotka Ruth prychnęła.

— Och, *wiersze*. Muszą czymś wypełniać puste miejsca.

Może i tak. Czuję się bardzo przygnębiona, kiedy wlokłam się do pokoju z moim nieszczęsnym opowiadaniem. Byłam skłonna „zadowolić się małym kącikiem”. Można by mnie zmieścić w naparstku.

Moje opowiadanie jest postrzępione i pachnie tytoniem. Mam ochotę je spalić.

Nie, *nie* zrobię tego! Przepiszę je ponownie i spróbuję wysłać gdzie indziej. W końcu mi się powiedzie!

Przeglądając ostatnie strony pamiętnika mam wrażenie, że zaczynam obywać się bez kursywy. Ale czasami jest niezbędna.

Księżycowy Nów,

Perlista Woda

24 maja 19...

„I oto zima minęła, deszcze padać przestały, kwiaty porastają ziemię, nadszedł czas ptasich śpiewów”.

Siedzę na parapecie otwartego okna w moim ukochanym pokoju. Cudownie jest móc wracać tutaj co pewien czas. Niebo nad zagajnikiem Dumnego Jana ma łagodną, żółtawą barwę, a w miejscu gdzie żółć przechodzi w jeszcze bledszą zieleń, widać jedną, bardzo białą gwiazdkę. W oddali na południu, „w rejonach o łagodnej i spokojnej aurze”, unoszą się wielkie chmury, niczym pałace z różowego marmuru. Nad ogrodzeniem pochylają się gałęzie wiśniowego drzewka, pełne pąków przypominających kremowe gąsienice. Wszystko jest tak przepiękne — „oko nie może nasycić się patrzeniem ani ucho słuchaniem”.

Czasami myślę, że nie warto nawet próbować niczego pisać, skoro wszystko zostało już tak dobrze wyrażone w Biblii. Choćby ten werset, który przytoczyłam, sprawia, że czuję się jak karzeł w obecności olbrzyma. Zaledwie dziewięć prostych słów — lecz nawet na dziewięciu stronicach nie można by lepiej wyrazić uczuć, których doznajemy wiosną. Dzisiaj po południu zasialiśmy z kuzynem Jimem nasze astry. Nasiona przysłano bardzo szybko. Najwyraźniej firma jeszcze nie zbankrutowała. Ale ciotka Elżbieta uważa, że na pewno są ze starych zapasów i nic z nich nie wyrośnie.

Dean wrócił do domu. Wczoraj wieczorem przyszedł zobaczyć się ze mną — drogi, stary Dean. Wcale się nie zmienił. Jego zielone oczy są równie zielone jak dawniej, usta równie miłe, a twarz równie interesująca. Ujął moje dłonie i przyjrzał mi się z przejęciem.

— Zmieniłaś się, Gwiazdko — powiedział. — Jeszcze bardziej przypominasz wiosnę. Ale nie rośnij już więcej — dodał. — Nie chcę, żebyś spoglądała na mnie z góry.

Ja także tego nie chcę. Za nic nie chciałabym być wyższa od Deana. To byłoby zupełnie niewłaściwe.

Ted jest przeszło dwa centymetry wyższy ode mnie. Dean mówi, że jego rysunki bardzo się poprawiły w ciągu ostatniego roku. Pani Kent nadal mnie nienawidzi. Spotkałam ją dzisiaj, kiedy wyszłam na samotną przechadzkę o wiosennym zmierzchu. Nie przystanęła

nawet ani nie odezwała się do mnie, tylko przemknęła obok jak cień. Mijając mnie rzuciła krótkie spojrzenie, a jej oczy pełne były nienawiści. Wydaje mi się, że z roku na rok staje się coraz bardziej nieszczęśliwa.

Podczas spaceru przeszłam obok Rozczarowanego Domu, żeby powiedzieć mu „dobry wieczór”. Zawsze tak bardzo mi go żal — ten dom nigdy nie ożył, nie spełnił swego przeznaczenia. Jego ślepe okna zdają się spoglądać tęsknie ku czemuś, czego nie mogą odnaleźć. Nigdy w letnim zmierzchu ani w mrokach zimy nie błysnęło przez nie domowe światło. A jednak czuję, że domek ten ma swoje marzenie, które kiedyś się spełni.

Chciałabym być jego właścicielką.

Snuałam się dzisiaj po wszystkich ulubionych miejscach — obeszałam zagajnik Dumnego Jana, Altankę Emilki, stary sad, cmentarz nad stawem, Dzisiejszą Drogę... Kocham tę dróżkę. Jest moją bliską przyjaciółką.

Myślę, że „snucie się” jest pięknym określeniem — może nie samo w sobie, jak niektóre słowa, lecz dlatego, że tak doskonale wyraża swoje znaczenie. Nawet ktoś, kto nie słyszał wcześniej tego słowa, od razu wie, co ono oznacza — „*snucie się*” może oznaczać *jedynie* snucie się.

Odkrywanie pięknych i ciekawych słów sprawia mi wiele radości. Napotykam nowe, urzekające słowo, popadam w uniesienie niczym zbieracz klejnotów i nie zaznam spokoju, dopóki nie oprawię go w zdanie.

29 maja 19...

Dzisiaj wieczorem ciotka Ruth wróciła do domu z miną nie wróżącą nic dobrego.

— Emilio, co oznacza ta historia, którą powtarza całe Shrewsbury: że widziano cię wczoraj na Queen Street w objęciach mężczyzny, którego całowałaś?

W jednej chwili wiedziałam, o czym mowa. Miałam ochotę tupać... śmiać się... rwać

włosy z głowy. Cała ta sprawa była tak niedorzeczna i śmiechu warta. Musiałam jednak zachować powagę i wyjaśnić wszystko ciotce Ruth.

Oto owa mroczna, bezbożna opowieść.

Wczoraj o zmierzchu „snułyśmy się” z Ilzą po ulicy Królewskiej. Tuż obok starego domu Taylorów natknęłyśmy się na jakiegoś mężczyznę. Nie znam go i zapewne nigdy nie poznam. Nie wiem, czy był wysoki czy niski, stary czy młody, przystojny czy brzydki, czarny czy biały, czy był żydem czy chrześcijaninem, człowiekiem wolnym czy niewolnikiem. *Wiem* tylko jedno: był nie ogolony!

Nadchodził szybkim krokiem. A później w mgnieniu oka zdarzyło się coś, czego opis zajmie kilka sekund. Odsunęłam się, żeby go przepuścić — on uczynił krok w tym samym kierunku — rzuciłam się w przeciwną stronę — on także — potem wydało mi się, że dostrzegam wolną drogę i ruszyłam raptownie naprzód — on uczynił to samo — i w rezultacie zderzyłam się z nim z całym impetem. Czując, że zderzenie jest nieuniknione, wyciągnął ramiona, a ja wpadłam w nie — on zaś bezwiednie objął mnie na krótką chwilę, zaskoczony tym natarciem. Mój nos trafił wprost w jego podbródek.

— Ja... ja... bardzo panią przepraszam — wyjąkał ów nieszczęśnik, odskoczył ode mnie jak oparzony i czmychnął za róg ulicy.

Ilza skręcała się ze śmiechu. Powiedziała, że w życiu nie widziała niczego równie zabawnego. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że obydwójce stanęliśmy jak wryci, przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem z szaleńczym impetem padliśmy sobie w ramiona.

Nos bolał mnie przez dłuższą chwilę. Ilza powiedziała mi, że zauważyła pannę Taylor zerkającą przez okno. Oczywiście ta stara plotkarka rozgłosiła całą historię we własnej interpretacji. Wy tłumaczyłam to wszystko ciotce Ruth, która potraktowała moje słowa z

niedowierzaniem i sprawiała wrażenie, jakby uważała tę moją opowieść za bardzo mętną.

— To *doprawdy* dziwne, że nie potrafisz przejść obok mężczyzny nie obejmując go, choć chodnik jest szeroki na dwanaście kroków — stwierdziła.

— Niech ciocia posłucha — powiedziałam. — Wiem, że zdaniem cioci jestem przebiegła, skryta, niemądra i niewdzięczna. Ale ciocia wie przecież, że moja matka wywodziła się z Murrayów. Czy ciocia myśli, że dziewczyna, choćby tylko *spokrewniona* z Murrayami, mogłaby obejmować przyjaciela publicznie, na ulicy?

— Och, istotnie nie sądziłam, że posunęłabyś się do takiego bezwstydu — przyznała ciotka Ruth. — Ale panna Taylor twierdziła, że sama to *widziała*. Wszyscy słyszeli. Nie lubię, kiedy obmawia się kogoś z mojej rodziny. To by się nie zdarzyło, gdybyś wbrew moim radom nie wyszła z Ilzą Burnley. Uważaj na przyszłość.

— To nic nie pomoże — odparłam. — Takie wypadki są nam z góry sądzone.

3 czerwca 19...

Wyniosła Kraina jest przepiękna. Mogę znowu chodzić nad Paprociową Sádzawkę i pisać.

Ciotka Ruth odnosi się do tego z dużą dozą podejrzliwości. Nie zapomniała, że raz

„spotkałam się tam z Perrym”. Sádzawka wygląda teraz uroczo, okolona młodymi

paprociami. Zaglądam do niej i wyobrażam sobie, że to owa legendarna sadzawka, w której

można dojrzeć przyszłość. Wyobrażam sobie, jak zbliżam się do niej na palcach o północy,

przy pełni księżyca, wrzucam coś cennego, a potem spoglądam nieśmiało w jej toń.

Co *zechciałaby* mi pokazać? Przebytą w chwale Alpejską Ścieżkę? A może klęskę?

Nie, nigdy klęskę!

9 czerwca 19...

W zeszłym tygodniu były urodziny ciotki Ruth. Podarowałam jej serwetkę, którą sama

wyhaftowałam. Podziękowała mi dość chłodno i wydawało się, że nie przywiązuje do tego

żadnej wagi.

Dzisiaj wieczorem siedziałam na parapecie wykuszowego okna w jadalni, korzystając przy odrabianiu algebry z resztek dziennego światła. Drzwi do salonu były otwarte i ciotka Ruth rozmawiała tam z panią Ince. Myślałam, że wiedzą o mojej obecności, ale teraz przypuszczam, że skrywały mnie zasłony. Niespodziewanie usłyszałam swoje imię. Ciotka Ruth pokazywała pani Ince moją serwetkę — i to z pewną dumą.

— Dostałam ją na urodziny od mojej siostrzenicy Emilii. Proszę spojrzeć, jaka to piękna robota. Ona bardzo sprawnie posługuje się igłą.

Czy to mogła być ciotka Ruth? Skamieniałam ze zdumienia i trwałam w bezruchu.

— Ma zdolności nie tylko do igły — powiedziała pani Ince.

— Słyszałam, że dyrektor Hardy spodziewa się, iż Emilka uzyska pierwszą lokatę w końcowych egzaminach.

— Jej matka, a moja siostra Julia, była bardzo zdolna — oświadczyła ciotka Ruth.

— I do tego jest niebrzydka — dodała pani Ince.

— Jej ojciec, Douglas Starr, był wybitnie przystojnym mężczyzną — oświadczyła ciotka Ruth.

Później obydwie wyszły z salonu. Choć raz podsłuchiвачka usłyszała coś dobrego o sobie! I to od ciotki Ruth!

17 czerwca 19...

Moja „świeca nocami nie gaśnie” — a przynajmniej do późnych godzin. Ciotka Ruth pozwala mi siedzieć dłużej z racji egzaminów. Perry doprowadził pana Traversa do furii pisząc pod pracą z algebry: „Mateusz, 7,5”. Kiedy pan Travers zajrzał do Biblii, przeczytał w niej: „Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzysz jasno, żeby usunąć drzazgę z oka twego brata”. Pan Travers znany jest z tego, że tylko udaje, że wie bardzo dużo

o matematyce. Ogromnie się rozszłościł i odrzucił pracę Perry'ego, by „ukarać go za bezczelność”. Jak się okazało, biedny Perry popełnił omyłkę. *Chciał* napisać: „Mateusz, 5,7”, czyli: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”. Poszedł do pana Traversa, żeby się wytłumaczyć, ale pan Travers nie chciał go wysłuchać. Wówczas Ilza złapała byka za rogi: to znaczy, poszła do dyrektora Hardy'ego, opowiedziała mu o wszystkim i nakłoniła go, by porozmawiał z panem Traversem. W końcu Perry zdał egzamin, ale ostrzeżono go, żeby w przyszłości nie igrał z cytataми z Pisma Świętego.

28 czerwca 19...

Koniec szkoły. Zdobyłam wyróżnienie. Był to ciekawy rok, pełen śmiechu, nauki i *złośliwości*. Teraz wracam do kochanego Księżycowego Nowiu i czekają mnie wspaniałe miesiące szczęścia i swobody.

Zamierzam pisać podczas wakacji „Księgę Ogrodu”. Pomysł ten od pewnego czasu kiełkował w moim umyśle, a ponieważ nie wolno mi pisać opowiadań, będę rozgrzewała rękę cyklem esejów o ogrodzie kuzyna Jima. Do każdego eseju dołączę wiersz. Będzie to dla mnie dobre ćwiczenie i sprawi przyjemność kuzynowi Jimowi.

XII

POD ZNAKIEM STOГУ SIANA

— Dlaczego chcesz robić coś takiego? — zapytała ciotka Ruth, prychnając, jak to miała w zwyczaju. Do każdej uwagi ciotki Ruth można bez wahania dołączyć prychnięcie, nawet jeśli pomija się je w niniejszej biografii.

— Żeby wzbogacić moją chudą sakiewkę o kilka dolarów — odparła Emilka.

Wakacje dobiegły końca; Księga Ogrodu została napisana i odczytana w odcinkach, w lipcu i sierpniu, kuzynowi Jimowi ku jego wielkiej radości. Nadszedł wrzesień, a wraz z nim szkoła i nauka, Wyniosła Kraina i ciotka Ruth. Emilka, drugoklasistka, która nosiła teraz nieco dłuższe spódnice i warkocz upięty tak wysoko, że można było niemal powiedzieć, iż czesze się „do góry”, wróciła do Shrewsbury i właśnie powiedziała ciotce Ruth, co zamierza robić w soboty przez całą jesień.

Redaktor „Czasu” planował wydanie specjalnego, ilustrowanego numeru pisma, a Emilka miała zamiar zbierać zgłoszenia subskrypcji nawet w najodleglejszych okolicznych zakątkach. Wymusiła niechętną zgodę ciotki Elżbiety, która owej zgody nie wyraziłaby z pewnością, gdyby opłacała wszystkie szkolne wydatki Emilki. Ale wuj Wallace łożył na książki i chesne w szkole i od czasu do czasu napomynał Elżbiecie, jaki jest wspaniały i szczodry. Elżbieta w skrytości ducha nie przepadała za bratem i raziły ją pozy, jakie towarzyszyły owej skromnej pomocy udzielanej Emilce. Kiedy więc Emilka oświadczyła, że bez trudu zarobi jesienią co najmniej połowę sumy stanowiącej równowartość książek na cały rok, Elżbieta uległa. Wallace byłby obrażony, gdyby ona, Elżbieta, upierała się przy opłacaniu wydatków, które on zechciał wziąć na siebie, lecz nie mógł zabronić Emilce zarabiania na część opłat szkolnych. Zawsze głosił, że dziewczęta powinny być samowystarczalne i zarabiać na własne utrzymanie.

Ciotka Ruth nie mogła zakazać tego, na co wyraziła zgodę Elżbieta, lecz nie pochwaliała

pomysłu.

— Jak to, będziesz sama wędrowała po wsiach?

— Nie sama, lecz z Ilzą — odparła Emilka. Ciotka Ruth nie uznała tego za wielką pociechę.

— Zaczynamy w czwartek — oznajmiła Emilka. — W piątek nie będzie lekcji, bo umarł ojciec dyrektora Hardy'ego i kończymy naukę w czwartek o trzeciej. Po południu będziemy zbierały zapisy przy Zachodniej Drodze.

— Czy będziecie obozowały przy drodze, jeśli mogę zapytać?

— Och, skądże. Przenocujemy u ciotki Ilzy w Wiltney. W piątek wrócimy na Zachodnią Drogę, dojdziemy do końca i zatrzymamy się na noc u krewnych Marii Carswell w St.Clair. W sobotę wrócimy do domu Nadrzeczną Drogą.

— To zupełny absurd — skonstatowała ciotka Ruth. — Nikt z Murrayów nie wyprawiał niczego podobnego. Dziwię się Elżbiecie. To po prostu nieprzyzwoite, żeby dwie tak młode panny wędrowały samotnie przez trzy dni.

— A co, zdaniem cioci, może się nam przytrafić? — spytała Emilka.

— Bardzo wiele — odparła z powagą ciotka Ruth.

Miała słuszność. Wiele mogło się im przytrafić — i zresztą przytrafiło się — podczas tej wycieczki; lecz w czwartek po południu Emilka i Ilza wyruszyły w drogę pełne zapału — dwie niepoprawne uczennice, które we wszystkim doszukiwały się zabawnych stron i postanowiły dobrze się bawić. Zwłaszcza Emilka czuła się podniesiona na duchu. Tego dnia otrzymała znowu ciekawą kopertę z adresem zwrotnym pewnego trzeciorzędowego czasopisma, oferującego jej trzyletnią subskrypcję za wiersz „Noc w ogrodzie”, który zamykał „Księgę Ogrodu” i został uznany przez kuzyna Jima i samą Emilkę za perłę owego zbioru. Emilka zostawiła „Księgę” zamkniętą w szafce w swoim pokoju, zamierzała jednak rozesłać jesienią

wiersze zawarte w niej różnym czasopiśmie. To była dobra wróżba, że pierwszy wysłany wiersz został tak szybko przyjęty.

— Cóż, wyruszyliśmy w drogę — powiedziała — a „za wzgórzem czeka dal”... Jakaż to urzekająca stara fraza! Za tymi wzgórzami wszystko może się zdarzyć.

— Mam nadzieję, że zgromadzimy wiele materiału do esejów — stwierdziła rzeczowo Ilza.

Dyrektor Hardy zapowiedział drugoklasistom, że jesienią będą musieli napisać kilka esejów. Emilka z Ilzą postanowiły, że co najmniej jeden będzie oparty na doświadczeniach ze zbierania subskrypcji, a każda opíše je z własnego punktu widzenia. W ten sposób będą mogły upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

— Proponuję, abyśmy dzisiaj przeszły Zachodnią Drogę i jej odgałęzienia aż do Potoku Myśliwego — powiedziała Emilka. — Powinnyśmy dotrzeć tam przed zachodem słońca. Potem możemy skorzystać z cygańskiego szlaku przez las Malvern. Wyjdziemy całkiem blisko Wiltney. Zajmie nam to pół godziny, a okrężna droga zajęłaby godzinę. Co za piękne popołudnie!

Istotnie było piękne — tylko we wrześniu zdarzają się takie popołudnia, gdy lato ukradkiem wraca na jeden dzień, rozmarzone i pełne uroku. Wokoło rozpościerały się pola uprawne, zalane słonecznym blaskiem; surowe piękno północnych jodeł dodawało czarowi drodze, którą kroczyły dziewczęta; pod płotami kwitły na — włocie, a wierzbówki tliły się niczym płomienie ofiarne przy bocznych drogach wśród wzgórz. Dziewczęta jednak przekonały się niebawem, że zbieranie zamówień to nie tylko zabawa, choć z pewnością — jak stwierdziła Ilza — mogły znacznie pogłębić znajomość ludzkiej natury, przydatną przy pisaniu esejów.

Pewien stary człowiek mówił „hmm” po każdej uwadze Emilki. Na koniec, zapytany o

subskrypcję, odparł: „Nie”.

— Cieszę się, że tym razem nie powiedział pan „hmm” — rzuciła Emilka. — To zaczynało być monotonne.

Staruszek spojrział na nią i zachichotał.

— Czy aby nie jest panienka spokrewniona z tymi dumnymi Murrayami? Za młodu pracowałem na farmie, którą zwali Księżycowym Nowiem, i była tam jedna panna...

Elżbieta, tak ją wołali... która patrzyła na człowieka z góry, całkiem jak panienka.

— Moja matka pochodziła z Murrayów.

— Tak też myślałem... Widać po panience tę rasę. Ano, daję dwa dolary i możecie mnie wpisać na listę. Wolałbym zobaczyć ten specjalny numer, zanim go zamówię. Nie lubię kupować kota w worku. Ale warto wydać dwa dolary, żeby zobaczyć dumną Murrayównę proszącą starego Billa Scotta o subskrypcję.

— Dlaczego nie zabiłaś go wzrokiem? — spytała Ilza, gdy odchodziły.

Emilka kroczyła wściekła z wysoko uniesioną głową, a jej oczy miały błyskawice.

— Mam zbierać zamówienia, a nie powiększać grono wdów. Nie oczekiwałam, że będzie to żeglowanie po spokojnych wodach.

Inny mężczyzna nie przestawał zrzedzić w trakcie wyjaśnień Emilki, a później, kiedy była przekonana, że już nic z tego, złożył pięć zamówień.

— On chyba lubi zaskakiwać ludzi — powiedziała Emilka do Ilzy, gdy szły ścieżką. — Woli nawet miłe zaskoczenie niż żadne.

Kolejny klient miotał soczyste przekleństwa — „tak sobie, bez żadnych konkretów”, jak stwierdziła Ilza; inny już miał złożyć zamówienie, lecz tu wtrąciła się żona.

— Nie robiłabym tego na twoim miejscu, ojciec. Redaktor tego pisma to ateusz.

— A to bezwstydnik — skonstatował „ojciec” i schował pieniądze na powrót do portfela.

— Pyszne! — mruknęła Emilka, gdy znalazła się poza zasięgiem ich słuchu. — Muszę to zanotować w zeszycie od Jima.

Z reguły kobiety odnosiły się do nich z większą uprzejmością, lecz mężczyźni składali więcej zamówień. W istocie jedyną kobietą, która podpisała subskrypcję, była pewna starsza dama. Emilka podbiła jej serce słuchając ze współczuciem przydługiej opowieści o urodzie i zaletach nieżyjącego jej kota Tomasza — choć należy wyznać, że szepnęła na stronie do Ilzy: — To by się nadawało do gazet w Charlottetown. Najgorszy Był jednak pewien mężczyzna, który wygłosił obelżywą tyradę, ponieważ jego poglądy polityczne były odmienne od wyrażanych w „Czasie” i uznał, że dziewczęta są za to odpowiedzialne. Kiedy zamilkł dla nabrania tchu, Emilka wstała.

— Niech pan kopnie psa, to poczuje się pan lepiej — powiedziała spokojnie i wymaszerowała z pokoju. Ilza była pobladła z gniewu.

— Czy dałabyś wiarę, że ludzie mogą być tacy wstrętni? — wybuchnęła. — Krzyczeć na nas, jakbyśmy to my były odpowiedzialne za politykę „Czasu”! Cóż... tematem mojego eseju będzie „Ludzka natura z punktu widzenia zbieraczki zamówień”. Opiszę tego człowieka, dodając to, co chciałam mu powiedzieć, a nie powiedziałam!

Emilka roześmiała się odzyskując równowagę.

— Ty możesz to zrobić. Mnie nie wolno się zemścić w ten sposób, bo jestem związana obietnicą daną ciotce Elżbiecie. Muszę trzymać się faktów. Nie myśl już o tym gburze. Mimo wszystko zebrałyśmy dość dużo zamówień... A tam rośnie kępa białych brzoź, wśród których z pewnością mieszka driada. Tamta chmura nad jodłami wygląda jak nikły, złotawy duch.

— Niemniej jednak chętnie wbiłabym kołek w serce tego starego wampira — orzekła Ilza.

Ale w następnym domu przyjęto je miło i zaproszono na kolację. Zanim słońce zaszło, miały już sporo zamówień i zgromadziły dość rozmaitych żartów oraz powiedzonek, by

bawić się przez wiele miesięcy na samo wspomnienie tego popołudnia. Postanowiły na dzisiaj zakończyć pracę. Nie dotarły wprawdzie do Potoku Myśliwego, lecz Emilka uznała, że mogą wyruszyć na skrót z miejsca, w którym się znalazły. Las Malvern nie był zbyt rozległy i obojętnie, w którym miejscu z niego wyjdą, zobaczą Wiltney po północnej stronie.

Przeszły przez płot, przemierzyły pastwisko upstrzone astrami i zanurzyły się w lesie, poprzecinanym dziesiątkami ścieżek. Świat pozostał z tyłu, a dziewczęta znalazły się w królestwie dzikiego piękna. Droga przez las wydawała się Emilce o wiele za krótka, choć dla zmęczonej Ilzy, która wcześniej zraniła stopę o kamyk, była wyjątkowo długa. Emilce podobało się wszystko: widok lśniącej, złocistej głowy Ilzy na tle szarzielonych pni, pod drugimi, rozkołysanymi gałęziami; ciche, rozmarzone trele sennych ptaków; wędrujący, rozszepcany, przedwieczorny wietrzyk w koronach drzew; niesłychanie delikatna woń leśnych kwiatów i poszycia; młode paprocie muskające kostki Ilzy; smukła, biała, zwodnicza istota, która mignęła im przelotnie za zakrętem ścieżki — czy była to brzoza czy nimfa leśna? Tak czy inaczej, obudziła w Emilce owo nagłe doznanie pełne przejmującego zachwyty, które nazywała „promykiem” — bezcenne doznanie, którego ulotne, nie zapowiedziane nadejście warte było kilku zwykłych żywotów. Emilka wędrowała przez las rozmyślając nie o samej drodze, lecz ojej pięknie — i w roztargnieniu podążając za utykającą Ilzą. Las przerzedził się wreszcie i dziewczęta wyszły na otwartą przestrzeń. Przed sobą miały dziką łączkę, a dalej, w dogasających promieniach słońca, rozpościerała się długa, głęboka dolina, ogołocona i pusta. Znajdujące się tam gospodarstwa nie sprawiały wrażenia zasobnych ani przytulnych.

— Ależ... gdzie my jesteśmy? — spytała bezmyślnie Ilza. — Nigdzie nie widzę Wiltney.

Emilka, raptownie wyrwana z rozmarzenia, usiłowała odzyskać orientację. Jedyнным widocznym drogowskazem była wysoka wieża na wzgórzu odległym o dziesięć mil.

— Widać stąd wieżę katolickiego kościoła w Indiańskiej Głowie — odparła tępo. — A

tam, niżej, biegnie Mozolna Droga. Musiałyśmy skrócić w złym kierunku, Ilzo... i

wyszłyśmy po wschodniej stronie lasu zamiast po północnej.

— A więc jesteśmy o pięć mil od Wiltney — stwierdziła z rozpaczą Ilza. — Nie jestem w stanie iść tak daleko... a nie możemy wracać lasem, bo za kwadrans robi się zupełnie ciemno. Co mamy począć?

— Pogodzić się z tym, że zabłądziłyśmy, i wycisnąć z tego wszystko, co piękne — odpowiedziała chłodno Emilka.

— Och, to jasne, że zabłądziłyśmy, bez dwóch zdań — jęknęła Ilza, wspinając się ostatkiem sił na pochyły płot i siadając na nim — ale nie rozumiem, co tu może być pięknego. Nie możemy tutaj spędzić nocy. Pozostaje nam tylko jedno: zejść niżej i poprosić o nocleg w którejś z tych chałup. Nie podoba mi się ten pomysł. Jeżeli to rzeczywiście Mozolna Droga, mieszkają tu sami biedacy... i *brudasy*. Ciotka Net opowiadała niesamowite historie o tej okolicy.

— Czemu nie miałybyśmy przenocować tutaj? — spytała Emilka. Ilza spojrzała na nią niepewna, czy przyjaciółka mówi poważnie.

Przekonała się, że tak.

— A gdzie będziemy spały? Na płocie?

— W stogu siana, o tam — wskazała Emilka. — Jest nie dokończony, zwyczajem tutejszych gospodarzy. Ma płaski wierzchołek i stoi przy nim drabina... Siano jest suche i czyste, noc ciepła jak w lecie, nie ma komarów o tej porze roku... Możemy przykryć się płaszczami dla osłony przed rosą. Czemu nie?

Ilza spojrzała na stóg stojący na skraju łączki i zaśmiała się przyzwalająco.

— Co na to powie ciotka Ruth?

— Nie musi o niczym wiedzieć. Choć raz będę rozmyślnie przebiegła. A poza tym zawsze

pragnęłam spędzić noc pod gołym niebem. Było to jedno z moich sekretnych marzeń, które uważałam za nieosiągalne z powodu stałego nadzoru ciotek. A teraz bogowie zsyłają mi ten dar. Doprawdy, takie szczęście wydaje się wręcz niesamowite.

— A jeśli zacznie padać deszcz? — spytała Ilza, która mimo to uznała pomysł za wielce kuszący.

— Nie będzie... nie widać żadnych chmur z wyjątkiem tych puchatych, białoróżowych obłoków nad Indiańską Głową. Widok takich obłoków zawsze budzi we mnie pragnienie, by wzbić się w górę na orlich skrzydłach i zanurkować w sam środek chmur.

Bez trudu wspięły się na niewysoki stóg i z westchnieniem zadowolenia zagłębiły się w sianie, czując większe zmęczenie, niż im się wydawało. Stóg składał się z wonnych, dzikich traw porastających łączkę i pachniał niewypowiedzianie kusząco, jak żadna z roślin uprawnych. Dziewczęta miały nad sobą jedynie różowawą przestrzeń nieba usianą pierwszymi gwiazdami i zamglone korony drzew okalających łączkę. Na tle bladożółtego zachodu przemykały ciemne kształty nietoperzy i jaskółek... mchy i paprocie rosnące za płotem pod drzewami wydzielały subtelną woń... a osiki, które skupiły się w kąci, powtarzały sobie srebrzystym szeptem leśne plotki. Dziewczęta zaśmiały się z czystą, bezkresną radością. Nieoczekiwanie uległy pradawnemu urokowi, a biała magia nieba i ciemna magia lasu rzuciły na nie ostateczny, potężny czar.

— To jest tak cudowne, że wydaje się nierzeczywiste — szepnęła Emilka. — Takie piękno aż boli. Boję się mówić głośno, żeby nie zniknęło. Czy to dzisiaj zirytował nas ten okropny starzec i jego wstrętne polityka, Ilzo? Przecież on nie istnieje... przynajmniej w tym świecie. Słyszę ciche, cichutkie kroki Królowej Wiatru na wzgórzu. Zawsze będzie dla mnie osobą. Kiedy nadchodzi z północy, jest starą jędzą... kiedy ze wschodu, samotną poszukiwaczką... z zachodu przybywa jako roześmiana dziewczyna... a z południa, jak dzisiaj, jako mała, szara

wrózka.

— Skąd ci się biorą takie myśli? — zapytała Ilza. ,

To pytanie z jakiegoś niewyjaśnionego powodu drażniło zawsze Emilkę.

— Nie wiem... Po prostu *przychodzą* — odparła dość szorstko. Ilzie nie spodobał się jej ton.

— Na miłość boską, Emilko, nie bądź takim dziwadłem! — wykrzyknęła.

Cudowny świat Emilki zadrżał i zafalował na chwilę jak odbicie w zmaconej wodzie. A potem...

— Nie kłóćmy się tutaj — poprosiła. — Jedna z nas może zepchnąć drugą ze stogu.

Ilza wybuchnęła śmiechem. Nikt nie jest w stanie śmiać się szczerze i jednocześnie wytrwać w gniewie. A zatem żadna sprzeczka nie zepsuła im nocy pod gwiazdami. Szeptaly do siebie, zwierając się z dziewczęcych tajemnic, marzeń i lęków. Mówiły nawet o zamążpójściu — kiedyś, w przyszłości. Nie powinny były o tym rozmawiać, oczywiście, ale rozmawiały. Okazało się, że Ilza podchodzi do swych matrymonialnych szans z niejakim pesymizmem.

— Chłopcy lubią mnie jako koleżankę, ale nie wierzę, aby ktoś kiedyś naprawdę zakochał się we mnie.

— Bzdura — pocieszyła ją Emilka. — Dziewięciu na dziesięciu mężczyzn zakocha się w tobie.

— Ale ja będę chciała tylko tego dziesiątego — upierała się ponuro Ilza.

Później paplały o wszystkim. W końcu zawarły poważną umowę, że ta, która umrze pierwsza, odwiedzi drugą, jeśli tylko będzie to możliwe. Ileż zawarto już podobnych umów! Czy dotrzymano choćby jednej?

Potem Ilza poczuła się senna i niebawem usnęła. Emilka jednak nie chciała spać. Ta noc

wydawała się zbyt cenna, by ją przepaść. Pragnęła chłonąć radość, jaką jej dawała, i rozmyślać o tysiącu różnych rzeczy.

Emilka zawsze wspominała ową noc spędzoną pod gwiazdami jako swoisty przełom w życiu. Wszystko wydawało się przemawiać do niej. Noc napełniła ją swym pięknem, które będzie musiała przekazać światu. Pragnęła ukuć jakieś magiczne słowo, które byłoby w stanie to wyrazić.

Wszedł okrągły księżyc. Czyżby na tle jego tarczy przemknęła na miotle czarownica w spiczastym kapeluszu? Nie, to tylko nietoperz i rozkołysany czubek świerku rosnącego przy płocie. Emilka natychmiast ułożyła o tym wiersz, a linijki bez wysiłku przepływały przez jej świadomość. Jedna strona jej natury najbardziej lubiła pisać prozę, druga zaś poezję. Tej nocy doszła do głosu druga strona i myśli Emilki same układały się w rymy. Wielka pulsująca gwiazda zawisała nisko na niebie nad Indiańską Głową. Wpatrzona w nią Emilka przypominała sobie, jak to kiedyś Ted fantazjował na temat swego poprzedniego życia w sercu gwiazdy. Myśl ta zawładnęła jej wyobraźnią i Emilka zaczęła marzyć o życiu na jakiejś szczęśliwej planecie krążącej wokół potężnego, dalekiego słońca. A potem na północy pojawiły się światła — smugi bladego ognia na niebie — świetliste włócznie empirejskich wojsk — mglistych, nieuchwytnych zastępów, które cofały się i nacierały. Emilka leżała i wpatrywała się w nie z zachwytem. Jej dusza obmyła się do czysta w tej przepysznej kąpieli. Była wysoką kapłanką piękna, oddającą cześć swej bogini — i wiedziała, że bogini uśmiecha się do niej.

Cieszyła się, że Ilza usnęła. Każde towarzystwo, nawet osoby najbliższej i najdroższej, byłoby teraz niepożądane. Pragnęła być sama z sobą, nie potrzebowała miłości, przyjaźni ani żadnych ludzkich uczuć w tym błogostanie. Takie chwile w życiu zdarzają się rzadko, ale zawsze są niewyrażalnie piękne — jak gdyby doczesność stała się na sekundę

nieskończonością, jak gdyby to, co ludzkie, wzniosło się na krótką chwilę ku wyżynom boskości, jak gdyby znikła wszelka brzydota, pozostawiając jedynie nieskażone piękno. Och, piękno... Emilka zadrżała z czystego uniesienia. Kochała piękno... Przepęłniało dzisiaj jej istotę jak nigdy dotąd. Bała się poruszyć, a nawet odetchnąć, żeby nie przerwać tego strumienia piękna, który ją przenikał. Życie wydawało się cudownym instrumentem, wygrywającym boskie melodie.

„O Boże, spraw, abym była tego godna... spraw, abym była godna” — modliła się Emilka. Czy kiedykolwiek stanie się godna takiego przesłania? Czy ośmieli się podjąć próbę przeniesienia choć części piękna tej „boskiej rozmowy” do powszedniego świata brudnych targowisk i zgiełkliwych ulic? Musi spróbować, nie może zatrzymać tego tylko dla siebie. Czy świat wysłucha... zrozumie... odczuje? Tylko wówczas, gdy będzie wierna i odda to, co jej powierzono, nie zważając na nagany ani pochwały. Wysoka kapłanka piękna — tak, nie będzie służyć w żadnej innej świątyni!

Usnęła pogrążona w zachwycie i śniła, że jest Safoną rzucającą się do morza z leukadyjskiej skały. Obudziła się pod stogiem siana, widząc nad sobą wystraszoną twarz Ilzy. Na szczęście spadła razem ze sporą częścią stogu, dzięki czemu mogła powiedzieć ostrożnie: — Chyba jednak jestem cała!

XIII

SCHRONIENIE

Dla kogoś, kto usnął zasłuchany w boskie hymny, przebudzenie po haniebnym upadku ze stogu siana stanowi przykry kontrast. Ale przynajmniej dziewczęta mogły dzięki temu zobaczyć wschód słońca nad Indiańską Głową, który wart był poświęcenia kilku godzin niechlubnego odpoczynku.

— W dodatku mogłabym nigdy się nie dowiedzieć, jak urocza może być pajęczyna pokryta kroplami rosy — powiedziała Emilka. — Spójrz tylko... jest tam, zawieszona między dwiema wysokimi, pierzastymi trawami.

— Napisz o niej wiersz — zadrwiła Ilza, którą przeżyty niepokój wprowadził w chwilowy gniew.

— Jak twoja noga?

— W porządku. Ale moje włosy nasiąkły wilgocią.

— Moje także. Będziemy niosły kapelusze w rękę, póki słońce nie osuszy nam głów. To nawet dobrze, że wyruszymy w drogę tak wcześnie. Będziemy mogły powrócić na łono cywilizacji i pokazać się ludziom o bezpiecznej porze. Tyle, że musimy posilić się wyłącznie sucharami, które mam w torbie. Nie ma co rozglądać się za śniadaniem, skoro nie możemy w wiarygodny sposób wytłumaczyć, gdzie spędziłyśmy noc. Ilzo, przysięgnij, że nikomu nie powiesz o naszej eskapadzie. Była piękna... i pozostanie piękna, dopóki wiemy o niej tylko my dwie. Przypomnij sobie, co się działo, kiedy opowiedziałaś o kąpieli przy księżycu.

— Ludzie mają takie parszywe myśli — burknęła Ilza, zsuwając się ze stogu.

— Och, spójrz na Indiańską Głowę! W tej chwili mogłabym zostać czcicielką słońca.

Indiańska Głowa płonęła przepyszny ogniem. Odległe wzgórza okryły się piękną purpurą na tle jaśniejszego nieba. Nawet ogołocona i brzydka Mozolna Droga uległa przemianie i lśniła srebrzystą mgiełką. Pola i lasy wyglądały prześlicznie w nikłym, perłowym poblasku.

— O świecie świat na kilka chwil odzyskuje młodość — szepnęła Emilka.

A potem wyjęła z torby zeszyt i zapisała to zdanie!

Ich doświadczenia tego dnia były zwykłymi doświadczeniami zbieraczy zamówień.

Niektórzy ludzie nieuprzejmie odmawiali; inni uprzejmie podpisywali subskrypcję; jeszcze inni odmawiali w tak miły sposób, że pozostawiali po sobie przyjemne wrażenie; a byli i tacy, którzy składali zamówienie, lecz czynili to tak niechętnie, że Emilka wolałaby, aby odmówili.

Przedpołudnie upłynęło jednak miło, zwłaszcza że w pewnym gościnnym domu przy

Zachodniej Drodze poczęstowano dziewczęta doskonałym obiadem, który wypełnił bolesną pustkę pozostałą po kilku sucharach i nocy spędzonej na stogu siana.

— Czyście przypadkiem nie napotkały po drodze zabłąkanego dzieciaka? — zapytał w pewnej chwili gospodarz.

— Nie. Czy zginęło jakieś dziecko?

— Mały Allan Bradshaw, syn Willa Bradshawa z Malvern Point. Nie ma go od wtorku.

Wyszedł rano z domu, podśpiewując sobie, i od tego czasu ślad po nim zaginął.

Emilka z Ilzą popatrzyły po sobie wstrząśnięte.

— Ile ma lat?

— Ledwie siedem... jedyne dziecko. Powiadają, że jego biedna mama odchodzi od zmysłów. Wszyscy mężczyźni z Malvern Point szukają go od dwóch dni i nie znaleźli... jak kamień w wodę.

— Co mogło się z nim stać? — spytała Emilka pobladła ze zgrozy.

— Nie wiadomo. Niektórzy myślą, że spadł ze skały do morza... to zaledwie ćwierć mili od domu, a on często tam przesiadywał i patrzył na łodzie. Ale nikt go nie widział tamtego ranka przy skale ani na moście. Na zachód od farmy Bradshawów ciągną się mokradła, pełne błota i jeziorek. Ludzie sądzą, że pewnie tam zawędrował, zabłądził i nie przeżył. Wtorkowa

noc była okrutnie zimna. Jego mama uważa, że on tam jest... i moim zdaniem ma rację.

Gdyby był gdzieś indziej, toby go znaleźli. Przeczesał całą okolicę.

Historia ta dręczyła Emilkę przez cały dzień, kładąc się cieniem na jej drodze. Podobne sprawy zawsze przejmowały ją aż do bólu. Nie mogła znieść myśli o nieszczęsnej matce z Malvern Point. A chłopczyk... gdzie on mógł być? Gdzie był minionej nocy, gdy ona leżała chłonąc w uniesieniu chwile dzikiej radości i swobody? Ta noc nie była zimna, lecz noc środowa, owszem. Emilka zadrżała na wspomnienie wtorkowej nocy, podczas której aż do świtu szalała gwałtowna jesienna wichura z gradobiciem i ulewnym deszczem. Czy biedne, zagubione dziecko nie miało gdzie się schronić?

— Och, nie mogę tego znieść! — jęknęła.

— To straszne — przyznała Ilza, która także pobladła — ale nic nie możemy zrobić. Nie ma co o tym myśleć. O! — tu nieoczekiwanie tupnęła nogą — ojciec miał chyba słuszość nie wierząc w Boga. Coś tak ohydne jak to... czy mogłoby się zdarzyć, gdyby istniał Bóg... a przynajmniej przyzwoity Bóg?

— Bóg nie miał z tym nic wspólnego — odparła Emilka. — Wiesz, że Potęga, która stworzyła tę naszą ostatnią noc, nie mogła zesłać takiej potworności.

— Ale jej nie zapobiegła — rzuciła Ilza, której cierpienie było tak dotkliwe, że musiała oskarżyć cały wszechświat.

— Mały Allan Bradshaw odnajdzie się jeszcze... musi się odnaleźć! — wykrzyknęła Emilka.

— Nie znajdą go żywego! — buntowała się Ilza. — Nie, nie mów mi o Bogu. I przestań już gadać o tej sprawie. Muszę o niej zapomnieć, bo inaczej zwariuję.

Kolejnym tupnięciem Ilza wybiła sobie z głowy całą historię, a Emilka usiłowała zrobić to samo. Nie do końca jej się powiodło, ale zdołała z wysiłkiem skupić się na sprawach

bieżących, choć na dzień jej świadomości czaiła się groza. Tylko raz zupełnie o niej zapomniała — kiedy znalazły się za zakrętem drogi prowadzącej do Malvern i ujrzały nad zatoczką niewielki domek, za którym wznosił się trawiasty pagórek. Na jego zboczu rosły pojedyncze młode jodły o pięknych kształtach, podobne do smukłych, zielonych piramid. W pobliżu nie widać było innych domów. Wszędzie wokół roztaczał się uroczy widok jesiennej samotni, z szarą, wartką, krętą rzeczką i wysepkami czerwieni wśród świerków.

— Ten dom należy do mnie — oznajmiła Emilka. Ilza szeroko otworzyła oczy.

— Do ciebie?

— Tak. Oczywiście nie posiadam go na własność. Ale czy nie zdarzyło ci się widzieć domów, o których wiedziałaś, że należą do ciebie, bez względu na to, kto jest właścicielem? Nie, Ilzie nie zdarzyło się nic podobnego. Nie miała pojęcia, o czym Emilka mówi.

— Wiem, kto jest właścicielem tego domu — powiedziała. — Pan Scobie z Kingsport.

Zbudował go jako domek letni. Ciotka Net wspominała o tym, gdy była w Wiltney ostatnim razem. Został ukończony przed paroma tygodniami. To ładny domek, ale dla mnie za mały. Chciałabym mieć duży dom... nie lubię ciasnoty i tłoku, zwłaszcza latem.

— Duże domy rzadko miewają osobowość — odezwała się Emilka w zamyśleniu. — Ale ma ją prawie każdy mały domek. Ten jest jej pełen. Wszystkie jego linie i kąty są wymowne, a okna po prostu prześliczne... zwłaszcza to małe okienko pod samym okapem, nad frontowymi drzwiami. Jestem pewna, że uśmiecha się do mnie. Spójrz, lśni w słońcu jak klejnot w oprawie ciemnych gontów. Ten domek nas pozdrawia. Drogi, przyjazny domku, kocham cię... i rozumiem. Jakby powiedział Stary Kelly: „Niech żadna łza nie popłynie pod twym dachem”. Ludzie, którzy tu zamieszkają, muszą być mili, inaczej nie wymyśliliby cię. Gdybym tu mieszkała, kochany, stawałabym wieczorem w oknie od zachodniej strony, by pomachać temu, kto będzie wracał do domu. To okno właśnie po to jest... by ująć w ramy

miłość i powitanie.

— Kiedy skończysz tę przemowę, lepiej się pospieszmy — ostrzegła Ilza. — Nadchodzi burza. Popatrz na te chmury... i mewy. Mewy nigdy nie przylatują aż tutaj, chyba że zanoszą się na burzę. Lada chwila zacznie padać. Dzisiaj nie będziemy nocowały w stogu siana, moja przyjaciółko.

Emilka z ociąganiem odeszła od domu, rzucając nań długie, rozkochane spojrzenie. Był taki uroczy ze swoimi facjatkami, ciemnobrązowymi gontami i zaciszną atmosferą wspólnych żartów i sekretów. Emilka oglądała się kilkakrotnie, kiedy wchodziły na stromy pagórek, i westchnęła głęboko, gdy dom wreszcie znikł z pola widzenia.

— Tak mi przykro go porzucać, Ilzo. Mam przedziwne uczucie, że mnie wzywa... że powinnam tam wrócić.

— Nie bądź głupia — zniecierpliwiła się Ilza. — Patrz, zaczyna padać! Gdybyś nie gapiała się tak długo na swoją świętą chatkę, byłybyśmy już na głównej drodze, blisko jakiegoś schronienia. Ale ziąb!

— Zapowiada się okropna noc — rzekła cicho Emilka. — Och, Ilzo, gdzie jest ten nieszczęsny zaginiony chłopczyk? Chciałabym wiedzieć, czy go odnaleziono.

— Przestań! — przerwała gwałtownie Ilza. — Ani słowa na ten temat! To straszne... potworne... ale co możemy zrobić?

— Nic. To właśnie jest najgorsze. Wydaje mi się niesprawiedliwością, że my chodzimy i zbieramy zamówienia, kiedy nie znaleziono tego dziecka.

Dotarli już do głównej drogi. Reszta popołudnia nie była przyjemna. Świat pomiędzy przelotnymi, nagłymi opadami deszczu był zimny i wilgotny, a zawodzący wiatr zrywał się złowieszczymi podmuchami pod ołowianym niebem. Dokądkolwiek zawitały, przypominano im o zaginionym dziecku. W domach pozostały jedynie kobiety, one podpisywały lub

odmawiały subskrypcji. Wszyscy mężczyźni szukali chłopca.

— Choć to już teraz nie ma sensu — powiedziała pośepnie pewna kobieta — bo mogą odnaleźć tylko jego zwłoki. Na pewno nie przeżył tylu dni. Aż nie mogę jeść ani gotować, jak pomyślę o jego biednej matce. Powiadają, że prawie oszalała... i wcale się jej nie dziwię.

— Podobno stara Małgorzata McIntyre przyjmuje to całkiem spokojnie — odezwała się starsza kobieta, która łątała kołdrę pod oknem. — Myślałam, że i ona będzie w rozpacz. Wydawało się, że naprawdę lubi małego Allana.

— Och, Małgorzata McIntyre nie przejmuje się niczym już od pięciu lat... kiedy to jej syn Neil zamarzył na śmierć w Klondike. Jej uczucia zamarzły razem z nim... bo od tego czasu jest trochę zwariowana. Ona nie będzie się martwiła, tylko z uśmiechem powie wam, że kiedyś sprawiła lanie królowi.

Obydwie kobiety wybuchnęły śmiechem. Emilka dzięki pisarskiemu wężowi wyczuła natychmiast, że tkwi w tym ciekawy materiał, lecz choć rada byłaby go wytropić, Ilza ponaglała ją do wyjścia.

— Musimy iść, Emilko, bo nie dotrzemy do St.Clair przed nocą. Wkrótce zrozumiemy, że im się to nie uda. O zachodzie słońca znajdowały się o trzy mile od St.Clair, a wieczór zapowiadał się burzliwy.

— Nie dotrzemy do St.Clair, to pewne — stwierdziła Ilza. — Znosi się na to, że nie przestanie padać, a za kwadrans zapadnie noc czarna jak milion czarnych kotów. Chodźmy lepiej do tamtego domu i poprośmy o nocleg. Wygląda przytulnie i szacownie, choć stoi nieco na odludziu.

Dom wskazany przez Ilzę był stary, miał bielone ściany i szary dach. Znajdował się na zboczu wzgórza, pośród jasnozielonych pól, porośniętych koniczyną. Wiodła doń kręta, teraz podmokła czerwona droga. Od zatoki odgradzał go gęsty, świerkowy zagajnik, a dalej

niewielkie wgłębienie odsłaniało trójkąt mglistego, białogrzywego, szarego morza. Pobliską dolinę, którą płynął potok, porastały młode świerki, ciemnozielone w deszczu. Wisiały nad nią ciężkie, szare chmury. Na jedną czarodziejską chwilę przedarło się przez nie zachodzące słońce. Łąki na wzgórzu rozblęskły niewiarygodną, żywą zielenią. Trójkąt morza zalśnił fioletem. Ściany starego domu połyskiwały jak stary marmur na tle szmaragdowego wzgórza, okolonego atramentowoczarnym niebem.

— Och — zachłysnęła się Emilka — nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego!

Gwałtownie sięgnęła do torby i pochwyciła zeszyt od Jima. Oparła go o słupek, polizała krnąbrny ołówek i zaczęła gorączkowo pisać. Ilza przysiadła na kamieniu pod ogrodzeniem i czekała z ostentacyjną cierpliwością. Wiedziała, że jeśli na twarzy Emilki pojawia się pewien wyraz, nie da się jej nigdzie zawlec, dopóki sama nie będzie gotowa iść dalej. Słońce zniknęło i znowu zaczął padać deszcz. W końcu Emilka z westchnieniem zadowolenia schowała zeszyt do torby.

— Musiałam to uchwycić, Ilzo.

— Nie mogłaś zaczekać, aż znajdziemy się pod dachem, i napisać z pamięci? — burknęła Ilza, dźwigając się z kamienia.

— Nie... bo wówczas straciłoby pewien smak, a teraz ujęłam wszystko... w najważniejszych słowach. Chodź... ścigajmy się, która pierwsza dobiegnie do domu. Och, czujesz zapach tego wiatru? Słony, morski wiatr to rzecz jedyna w swoim rodzaju... porywisty, słony, morski wiatr. Mimo wszystko w burzy jest coś zachwycającego. A coś we mnie... głęboko... pragnie wyrwać się na jej spotkanie... zmierzyć się z nią.

— Niekiedy czuję to samo... ale nie dzisiaj — powiedziała Ilza.

— Jestem zmęczona... i to małe biedactwo...

— Och! — uczucie tryumfu i uniesienia opuściło Emilkę. — Och, Ilzo... zapomniałam o

tym na chwilę... Jak mogłam! Gdzie on może być?

— Nie żyje — odparła Ilza szorstko. — Lepiej tak myśleć, niż wyobrażać sobie żywego... w taką noc. Chodź, musimy wejść do domu. Burza się wzmacza... To już nie przelotny deszczyk.

Chuda kobieta przystrojona w biały fartuch, tak wykrochmalony, że można byłoby go postawić, otworzyła im drzwi i zaprosiła do środka.

— O tak, możecie tu zostać — rzekła dość gościnnie — jeśli tylko wybaczycie nam lekkie zamieszanie. Mają tu zmartwienie.

— Och... tak mi przykro — wyjąkała Emilka. — Nie chcemy przeszkadzać... Pójdziemy gdzie indziej.

— Nie przeszkadzacie nam, jeśli my wam nie przeszkadzamy. Jest tutaj wolny pokój. Rozgośćcie się. Nie możecie iść dalej przy tej pogodzie... Tu w pobliżu nie ma innych domów. Radzę wam zostać. Przyniosę coś do jedzenia. Nie mieszkam tutaj, jestem sąsiadką i przysłałam trochę pomocy. Nazywam się Hollinger, Julia Hollinger. Pani Bradshaw nie jest w stanie nawet ruszyć palcem... Możecie słyszały o jej synku?

— Czy to tutaj... i co... nie odnaleziono go?

— Nie... i nigdy go nie znajdą. Nic jej nie mówię — szybkie spojrzenie przez ramię w stronę korytarza — ale moim zdaniem trafił na lotne piaski tuż nad zatoką. Tak myślę.

Wejdźcie, połóżcie tu wasze rzeczy. Chyba nie macie nic przeciwko jedzeniu w kuchni? W pokoju jest zimno, nie wstawiono tam jeszcze pieca. Trzeba tu będzie posprzątać przed pogrzebem. Ale pogrzeb może się nie odbyć, jeśli małego wciągnęły lotne piaski. Bez ciała nie ma pogrzebu, nieprawdaż?

Wszystko to brzmiało makabrycznie. Emilka i Ilza chętnie poszłyby do innego domu, ale na zewnątrz burza rozszalała się na dobre, a odmieniony świat zalała ciemność, która zdawała

się napływać znad morza. Dziewczęta zdjęły przemoczone płaszcze i kapelusze i ruszyły za panią Hollinger do kuchni — staroświeckiej i schludnej, sprawiającej pogodne wrażenie w świetle lamp i poblasku płomieni.

— Siądźcie bliżej pieca. Dołożę do ognia. Nie zwracajcie uwagi na dziadka Bradshawa...

Dziadku, te dwie młode damy pragną zostać tu na noc.

Dziadek utkwiał w nich kamienne spojrzenie małych, zamglonych, niebieskich oczu i nie odezwał się ani słowem.

— Nie zważajcie na niego — powiedziała scenicznym szeptem — ma ponad dziewięćdziesiąt lat i nigdy nie był zbyt rozmowny. Klara... pani Bradshaw... jest tam — ruch głowy w stronę drzwi, które prowadziły chyba do małej sypialni. — Jest przy niej brat... doktor McIntyre z Charolettetown. Posłaliśmy wczoraj po niego. On jeden potrafi ją uspokoić. Chodziła tam i na powrót przez cały dzień, aż namówiliśmy ją wreszcie, żeby się położyła. Jej mąż szuka małego Allana.

— Dziecko *nie może* zginąć w dziewiętnastym wieku — odezwał się niespodziewanie dziadek Bradshaw z jakąś niesamowitą pewnością w głosie.

— Dobrze, dobrze, dziadku, niech się dziadek nie denerwuje. A poza tym mamy już wiek dwudziesty... On nadal żyje przeszłością. Jego pamięć zatrzymała się przed kilkoma laty. Jak się nazywacie? Burnley? Starr? Z Perlistej Wody? A zatem musicie znać Murrayów...

Siostrzenica? O!

„O!” pani Julii Hollinger zabrzmiało dość wymownie. Zadając pytania krzątała się zwawo przy stole i stawiała na czystej ceracie talerze i półmiski. Teraz jednak uprzątnęła je, wyjęła obrus z szuflady w kredensie, z innej szuflady wydobyła srebrne sztuce i zdjęła z półki ozdobną solniczkę i pieprzniczkę.

— Proszę nie robić sobie kłopotu — poprosiła Emilka.

— Och, to żaden kłopot. Gdyby wszystko szło jak należy, pani Bradshaw podjęłaby was z radością. Jest bardzo życzliwa, biedactwo. Ciężko patrzeć na jej rozpacz. Widzicie, Allan był jej jedynym dzieckiem.

— Dziecko *nie może* zginąć w dziewiętnastym wieku, powiadam ci — powtórzył dziadek Bradshaw z naciskiem i pewnym zniecierpliwieniem.

— Nie, nie — odparła kojąco pani Hollinger — oczywiście, że nie, dziadku. Mały Allan odnajdzie się niebawem. Proszę, oto filiżanka gorącej herbaty. Niech dziadek wypije... To go zajmie na chwilę. Nigdy nie bywa kapryśny, ale teraz wszyscy są niespokojni... z wyjątkiem starej pani McIntyre. Jej nic nie poruszy. Może to i dobrze, choć wydaje mi się, że ta kobieta nie ma serca. No, ale ona nie jest całkiem normalna. Siadajcie, dziewczęta, częstujcie się. Słyszycie, jak leje? Mężczyźni przemokną do nitki. Na pewno nie będą dzisiaj długo szukali.... Will niebawem będzie w domu. Trochę się boję... Klara znowu zacznie rozpaczać, kiedy on wróci bez małego Allana. Wczoraj w nocy przeżyliśmy istne piekło z tą biedaczką.

— Dziecko *nie może* zginąć w *dziewiętnastym* wieku — powiedział dziadek Bradshaw i z oburzenia zakrztusił się herbatą.

— Ani w dwudziestym — pani Hollinger poklepała go po łopatce. — Niech dziadek lepiej idzie do łóżka. Widać, że dziadek jest zmęczony.

— *Nie* jestem zmęczony i pójdę do łóżka, kiedy zechcę, Julio Hollinger.

— Och, dobrze, już dobrze, dziadku. Niech się dziadek nie denerwuje. Chyba zaniosę Klarze filiżankę herbaty. Może teraz się napije. Od wtorku nic nie jadła ani nie piła. Pytam was, jak ta kobieta może to wytrzymać?

Emilka i Ilza zjadły kolację prawie wmuszając ją w siebie, podczas gdy dziadek Bradshaw przyglądał im się podejrzliwie, a zza drzwi dobiegały żalosne dźwięki.

— Noc taka zimna i mokra... gdzie on jest... mój mały synek? — jęknął kobiecy głos, w

którym zabrzmiała taka męka, że aż Emilka zadygotała, jak gdyby sama ją odczuła.

— Wkrótce go odnajdą, Klaro — powiedziała pani Hollinger rześkim, pełnym sztucznej wesołości tonem. — Bądź cierpliwa... prześpij się trochę. Już niedługo go odnajdą.

KOBIETA, KTÓRA SPRAWIŁA LANIE KRÓLOWI

Wilgotny świt nadszedł znad zatoki w ślad za przycichłą burzą i wkradł się szarymi smugami do niewielkiego gościnnego pokoju w bielonym domku na wzgórzu. Emilka obudziła się nagle z niespokojnego snu, w którym szukała — i odnalazła — zaginionego chłopczyka. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, gdzie go odnalazła. Ilza nadal spała na brzegu łóżka, a jej bladozłote, jedwabiste loki rozsypały się na poduszce. Emilka, której umysł tkwił wciąż w splątanej pajęczynie snu, rozejrzała się po pokoju i pomyślała, że chyba jeszcze śni.

Przy stoliku nakrytym białym, koronkowym obrusem siedziała kobieta — wysoka, postawna staruszka w nieskazitelnie białym wdowim czepku na gęstych, siwych włosach — podobne czepki nosiły nadal w początkach wieku stare szkockie góralki. Miała na sobie suknię ze śliwkowego drogietu i szeroki, biały fartuch, a przy tym łącie królewską minę. Jej piersi otulał schludny, niebieski szal. Twarz miała dziwnie białą i pooraną zmarszczkami, lecz Emilka, która potrafiła dostrzec w człowieku jego najistotniejsze cechy, zauważyła od razu siłę i żywotność widoczną w każdym rysie. Zauważyła także, że piękne, jasnobłękitne oczy miały taki wyraz, jakby ich właścicielka przeżyła coś strasznego i bolesnego. Musiała to być pani McIntyre, o której wspominała pani Hollinger. Jeżeli tak, to pani McIntyre była zaiste wielce dostojną osobą.

Pani McIntyre siedziała z rękoma splecionymi na podolku, utkwiwszy w Emilce nieruchome spojrzenie, w którym czaiło się coś, co trudno byłoby nazwać, w każdym razie coś osobliwego. Emilka przypominała sobie, że pani McIntyre była podobno „niezupełnie normalna”. Z lekkim niepokojem zaczęła zastanawiać się, co ma zrobić. Czy powinna odezwać się pierwsza? Pani McIntyre wybawiła ją z kłopotu.

— Masz za przodków szkockich górali? — spytała zdumiewająco dźwięcznym, mocnym głosem z zachwycającym, szkockim akcentem.

— Tak — odparła Emilka.

— I jesteś prezbiterianką?

— Tak.

— To dwie najprzyzwoitsze rzeczy na świecie — zauważyła z zadowoleniem pani McIntyre. — Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz? Emilia Starr? Bardzo ładne nazwisko. Powiem ci moje: nazywam się Małgorzata McIntyre. I nie jestem byle kim. Jestem kobietą, która sprawiła lanie królowi.

W Emilce, zupełnie już rozbudzonej, ponownie drgnęło pisarskie przecucie. W tej samej chwili Ilza, wyrwana ze snu, wydała cichy okrzyk zaskoczenia. Pani McIntyre uniosła głowę iście królewskim ruchem.

— Nie bój się, moja droga. Nie zrobię ci nic złego, choć sprawiłam lanie królowi. Tak o mnie mówią, kiedy wchodzę do kościoła. „Oto kobieta, która sprawiła lanie królowi”.

— Chyba powinnyśmy już wstać — odezwała się niepewnie Emilka.

— Nie wstajesz, póki nie opowiem ci mojej historii — oznajmiła stanowczo pani McIntyre. — Jak tylko cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, że ci ją opowiem. Nie jesteś zbyt rumiana i nie można powiedzieć, żebyś była ładna, o nie. Ale masz małe ręce i uszy jak u elfa, tak myślę. Ta druga jest bardzo miłą dziewczyną, będzie dobrą żoną dla przystojnego mężczyzny, jest niegłupia, o tak... ale ty masz w sobie coś i tobie opowiem moją historię.

— Niech opowie! — szepnęła Ilza. — Umieram z ciekawości, jak to się stało, że król dostał lanie.

Emilka, która wiedziała, że nie pozostaje im nic innego, tylko leżeć i słuchać pani McIntyre, skinęła głową.

— Nie rozumiesz dawnej mowy? To znaczy gaelickiego?

Oczarowana Emilka pokręciła głową.

— Szkoda, bo moja historia nie brzmi tak dobrze po angielsku, o nie. Powiesz, że stara kobieta zmyśla, ale mylisz się, bo moja historia jest prawdziwa, o tak. Sprawiałam lanie królowi. Wtedy nie był jeszcze królem, rzecz jasna, tylko małym księciem i nie miał dziewięciu lat... tak samo, jak mój mały Alec. Ale muszę zacząć od początku, bo inaczej nie zrozumiesz. To było dawno, dawno temu, zanim opuściliśmy Stary Kraj. Mój mąż nazywał się Alistair McIntyre i był pasterzem przy zamku Balmoral. Alistair był bardzo przystojny i żyliśmy szczęśliwie. Nie żebyśmy się nic a nic nie kłócili... o nie, to by było nudne. Ale kiedyśmy się godzili, kochaliśmy się jeszcze bardziej. I ja też byłam urodziwa. Dopiero potem zrobiłam się gruba, ale wtedy byłam szczupła i piękna... o tak, mówię szczerą prawdę, choć widzę, że śmiejesz się w kulak. Jak dożyjesz osiemdziesiątki, zrozumiesz, co to znaczy.

Może pamiętasz, że królowa Wiktoria i książę Albert przyjeżdżali każdego lata do Balmoral razem z dziećmi i zabierali tylko tyle służby, ile koniecznie potrzeba, bo nie życzyli sobie zgiełku i wrzawy, tylko chcieli odpocząć w ciszy i spokoju jak zwyczajni ludzie. W niedzielę chodzili czasami do tamtejszego kościoła posłuchać kazań pastora Donalda McPhersona. Pastor McPherson był bardzo uduchowiony i nie lubił, kiedy ludzie wchodzili podczas modlitwy. Przerzywał wtedy i mówił: „O Boże, przyjdzie nam czekać, aż Duży Jim Szkot zajmie swoje miejsce”... o tak. Słyszałam na drugi dzień, jak królowa śmieje się z tego... z Dużego Jima Szkota, a nie z pastora, rzecz jasna.

Kiedy potrzebowali dodatkowej pomocy w zamku, posyłali po mnie i Janet Jardine. Mąż Janet był strzelcem w królewskich dobrach. Zawsze mówiła do mnie: „Dzień dobry, pani McIntyre”, kiedyśmy się spotykały, a ja mówiłam „Dzień dobry, Janet”, żeby wykazać wyższość McIntyre’ów nad Jardine’ami. Ale była poczciwym stworzeniem, kiedy nie

zapominała, gdzie jest jej miejsce, i panowała między nami zgoda.

Byłam z królową w bardzo dobrych stosunkach, o tak. Nie wywyższała się ani trochę.

Bywało, że przesiadywała u mnie, piła herbatę i rozmawiała ze mną o swoich dzieciach. Nie była zbyt urodziwa, o nie, ale miała bardzo ładne ręce. O księciu Albercie powiadali, że jest bardzo przystojny, ale dla mnie mój Alistair był przystojniejszy. No, ale byli wspaniałymi ludźmi, a mali książęta i księżniczki co dzień bawili się z moimi dziećmi. Królowa wiedziała, że są w dobrym towarzystwie, i nie martwiła się tak jak ja, bo księżę Bertie był zuchwałym chłopakiem, o tak, i sprytnym na dodatek... i cały czas się bałam, że on i mój Alec wpadną w jakieś tarapaty. Co dzień bawili się razem i ciągle kłócili. I nie zawsze Alec był temu winien. Ale to on obrywał, biedaczysko. Ktoś musiał zostać skarcony, a przecież nie mogłam karcić księcia, moja droga.

Miałam wielkie zmartwienie, bo za domem między drzewami płynęła rzeczka. Była głęboka i bardzo wartka, i gdyby wpadł do niej jakiś dzieciak, toby niezawodnie utonął.

Ciągle powtarzałam księciu Bertiemu i mojemu synowi, żeby się do niej nie zbliżali. Ale oni chodzili tam czasami, a ja karałam za to Aleca, choć mówił, że to nie on chciał, tylko księżę Bertie powiadał mu: „No chodź, to nic złego, nie bądź tchórzem”; no i Alec szedł za nim, bo myślał, że musi słuchać księcia i prócz tego nie chciał być tchórzem, on, McIntyre. Tak się zamartwiałam, że nie spałam po nocach. A potem, moja droga, przyszedł dzień, że księżę Bertie wpadł prosto do wody i Alec próbował go wyciągnąć, no i oczywiście sam wpadł za nim. I byliby się utopili obydwaj, gdybym nie usłyszała krzyków... Akurat wracałam z zamku, zaniosiłam królowej trochę maślanki. O tak, prędko połapałam się, o co chodzi, i biegiem do rzeczki. Zaraz ich wyłowiłam, bardzo wystraszonych i ociekających wodą. Coś trzeba zrobić, pomyślałam sobie, a miałam już dość karcenia biednego Aleca i naprawdę, moja droga, byłam bardzo, bardzo zła. Nie myślałam o królach, książętach, tylko o dwóch

bardzo niegrzecznych chłopcach. Zawsze byłam popędliwa, o tak. No i przełożyłam sobie księcia Bertiego przez kolano i złożyłam mu skórę jak należy, w miejscu, które dobry Bóg przeznaczył do tego celu, tak u książąt, jak i u zwykłych dzieci. Dostał lanie pierwszy, bo przecież był księciem. A potem wzięłam się za Aleca i obydwaj ryczeli chórem, bo naprawdę byłam zła i przyłożyłam się do roboty należycie, jak nakazuje Pismo Święte.

Wreszcie księżę Bertie poszedł do domu, bardzo, bardzo rozzłoszczony, a ja ochłonęłam i trochę się wystraszyłam. No, bo nie wiedziałam przecież, co na to powie królowa, i nie uśmiechała mi się myśl o tryumfie Janet Jardine nade mną. Ale królowa była rozsądną kobietą i powiedziała mi na drugi dzień, że dobrze zrobiłam, a księżę Albert uśmiechał się i mówił żartem coś o nieżałowaniu rąk. Księżę Bertie był mi już zawsze posłuszny, o tak, i nie chodził nad rzeczkę, a przy tym nie mógł wygodnie usiąść przez długi czas. Co do mojego Alistaira, to myślałam, że będzie się na mnie bardzo gniewał... ale nigdy nie wiadomo, co mężczyźnie może przyjść do głowy, o nie... bo i on śmiał się z tego i powiedział, że pewnego dnia będę się chwaliła, jak to sprawiłam lanie królowi. To było dawno temu, ale ja nigdy tego nie zapomnę. Królowa umarła przed dwoma laty i księżę Bertie został w końcu królem.

Kiedyśmy wyjeżdżali z Alistairem do Kanady, królowa podarowała mi jedwabną halkę. To była bardzo piękna halka w szkocką kratkę. Nigdy jej nie nosiłam, ale raz będę ją miała na sobie... w trumnie. Trzymam ją w skrzyni w moim pokoju i wszyscy wiedzą, co z nią zrobić.

Szkoda, że Janet Jardine nie wie, że mam być pochowana w halce od królowej Wiktorii, ale ona już dawno nie żyje. Dobrze było z niej stworzenie, choć nie nazywała się McIntyre.

Pani McIntyre umilkła, splatając ręce. Opowiedziała swoją historię i była zadowolona.

Emilka słuchała zachłannie, a gdy pani McIntyre skończyła, zapytała:

— Czy pozwoli mi pani spisać tę opowieść i wydać ją drukiem? Staruszka pochyliła się ku niej. Biała, pomarszczona twarz zaróżowiła się lekko, głęboko osadzone oczy zabłysły.

— Chcesz powiedzieć, że to będzie wydrukowane w gazecie?

— Tak.

Pani McIntyre drżącymi dłońmi poprawiła szal na piersiach.

— To dziwne, jak czasami spełniają się nasze życzenia. Szkoda, że ci głupcy, co powiadają, że nie ma Boga, nie słyszą tego. Zapiszesz moją historię, ubierzesz w piękne słowa...

— Nie, nie — wtrąciła pospiesznie Emilka. — Tego nie zrobię. Być może będę musiała wprowadzić kilka zmian, nakreślić tło, ale całą resztę opiszę pani słowami. Nie mogłabym wyrazić tego lepiej.

Przez chwilę pani McIntyre spoglądała z powątpiewaniem, ale w końcu skinęła głową, zadowolona.

— Jestem tylko prostą, niewykształconą kobietą i nie dobieram słów jak należy, ale może ty wiesz lepiej. Słuchałaś mnie bardzo miło i nie gniewaj się, że tak długo opowiadałam tę starą historię. Teraz sobie pójdę i będziecie mogli wstać.

— Czy znaleziono chłopca? — spytała z napięciem Ilza.

— O nie. I nieprędko znajdą. Słyszałam w nocy zawodzenie Klary. Jest córką mojego syna Angusa. Ożenił się z panną Willson, a Willsonowie zawsze o wszystko robią harmider. Ta biedaczka martwi się teraz, że nie była dobra dla małego, ale ona zawsze go rozpieszczała, tego psotnika. Nie przydam się jej na nic, nie mam szóstego zmysłu. Tak sobie myślę, że ty go masz, o tak.

— Nie... nie — zaprotestowała pospiesznie Emilka. Nie mogła jednak wyrzucić z pamięci pewnego zdarzenia, które miało miejsce przed laty w Księżycowym Nowiu, a o którym jakoś nie lubiła myśleć.

Stara pani McIntyre z namysłem skinęła głową i wygładziła swój biały fartuch.

— Nie masz co zaprzeczać, moja droga, bo to wielki dar. Miała go moja kuzynka w czwartej linii, Helena, o tak, miała go. Ale oni nie znajdą małego Allana, o nie. Klara za bardzo go kochała. To niedobrze kochać kogoś za bardzo. Bóg jest zazdrosnym Bogiem, o tak. Małgorzata McIntyre wie to najlepiej. Miałam sześciu synów, pięknych chłopców, a najmłodszy był Neil. Mierzył sobie prawie metr dziewięćdziesiąt bez butów, nikt nie mógł się z nim równać. A jaki był wesoły, śmiał się bez przerwy, o tak, a mówił, jakby miodem smarował. Pojechał do Klondike i jednej nocy zamarzył na śmierć, o tak. Umierał, kiedy ja modliłam się za niego. Od tego czasu nie modlę się więcej. Klara teraz to zrozumiała...

Mówi, że Bóg nie słucha. To bardzo dziwna rzecz być kobietą, moje drogie, i tak kochać na próżno. Mały Allan był bardzo ładnym chłopcem. Miał krągłą, opaloną twarzyczkę i duże niebieskie oczy. Szkoda, że go nie znaleźli, ale i mojego Neila nie odszukano na czas, o nie. Zostawiłam Klarę w spokoju, nie drażnię jej pocieszaniem. Zawsze zostawiałam ludzi w spokoju, prócz tego razu, kiedy sprawiłam lanie królowi.

Julia Hollinger za to maści wszystko bezrozumną gadaniną. Głupia kobieta. Porzuciła męża, bo nie chciał się pozbyć ulubionego psa. Myślę, że dobrze zrobił, wybierając psa. Ale ja nigdy nie kłócę się z Julią, bo potrafię sobie dobrze radzić z głupotą. Lubi wszystkich pouczać, a mnie to nie przeszkadza, bo i tak nie zważam na jej rady.; Teraz was pożegnam, moje drogie. Bardzo się cieszę, że was poznałam, i życzę wam, aby zmartwienie nigdy nie zagościło w waszych progach. Nie zapomnę, żeście mnie tak uprzejmie wysłuchały, o nie. Teraz nic nie znaczą dla nikogo... ale kiedyś sprawiłam lanie królowi.

„TO BYĆ NIE MOŻE”

Kiedy pani McIntyre zamknęła za sobą drzwi, dziewczęta wstały i ubrały się z pewnym ociąganiem. Emilka czuła niesmak na myśl o dniu, który ją czekał. Posmak romantycznej przygody, który towarzyszył im na początku, znikł teraz, a zbieranie zamówień na subskrypcję stało się przykrym zajęciem. Fizycznie były bardziej zmęczone niż przypuszczały.

— Wydaje się, że minął rok, odkąd opuściłyśmy Shrewsbury — mruknęła Ilza wciągając pończochy.

Emilka jeszcze silniej odczuwała upływ czasu. Bezsenna, zachwycająca noc pod gołym niebem była dla niej całym rokiem duchowego dojrzewania. Ostatnia noc także była bezsenna, lecz w inny sposób — i Emilka obudziła się z krótkiego snu z osobliwym, niemiłym wrażeniem, że odbyła zawiłą i pełną przeszkód wędrówkę. Opowieść starej pani McIntyre przyćmiła na chwilę owo wrażenie, lecz teraz, gdy Emilka szcotokowała włosy, powróciło znowu.

— Wydaje mi się, że wędrowałam dokądś... godzinami — powiedziała. — We śnie odnalazłam małego Allana, ale nie wiem gdzie. To okropne obudzić się ze świadomością, że wiedziałam jeszcze przed chwilą... i zapomniałam.

— Ja spałam jak zabita — ziewnęła Ilza. — Nic mi się nie śniło. Chciałabym jak najszybciej opuścić ten dom i to miejsce, Emilko. Czuję się koszmarne... jak gdyby coś przerażającego przygniatało mnie do ziemi i nie pozwalało uciec. Gdybym przynajmniej mogła coś zrobić... w czymś pomóc. Skoro jednak nie mogę, mam ochotę uciec.

Zapomniałam o wszystkim, kiedy ta stara dama opowiadała swoją historię... bez serca kobieta! Ani trochę się nie martwiła o małego Allana.

— Chyba już dawno przestała martwić się czymkolwiek — powiedziała Emilka w zamyśleniu. — Dlatego właśnie ludzie mówią, że nie jest zupełnie normalna. Ktoś, kto niczym się nie martwi, nie może być normalny... jak na przykład kuzyn Jim. Ale to wspaniała historia. Wykorzystam ją w pierwszym eseju, a potem spróbuję dać do druku. Na pewno będzie to świetny szkic dla czasopisma, jeśli tylko zdołam uchwycić urok i żywość obrazów. Chyba powinnam zanotować od razu niektóre wyrażenia, zanim zapomnę.

— Do diabła z twoimi notatkami! — burknęła Ilza. — Zejdźmy na dół, zjedzmy śniadanie, jeśli to konieczne, i wynośmy się stąd.

Ale Emilka, która dała się ponieść pisarskiemu żywiołowi, nie myślała w tej chwili o niczym innym.

— Gdzie jest mój zeszyt? — spytała niecierpliwie. — Nie ma go w torbie, a na pewno był tam wczoraj. Chyba nie zostawiłam go przy bramie?

— Czy przypadkiem nie leży na stole? — rzuciła Ilza. Emilka spojrzała bezwiednie w tamtą stronę.

— To niemożliwe... ależ... skąd się tam wziął? Wiem, że nie wyjmowałam go wczoraj z torby.

— Musiałaś wyjąć — stwierdziła obojętnie Ilza.

Emilka podeszła do stołu ze zdziwioną miną. Zeszyt od Jima leżał na nim, otwarty, a obok niego ołówek. Coś przykuło uwagę Emilki. Pochyliła się nad stołem.

— Może byś się pospieszyła z czesaniem — ponagliła po chwili Ilza. — Jestem gotowa... Na miłość boską, oderwij się wreszcie od tej swojej świętej księgi i skończ toaletę!

Emilka odwróciła się, trzymając zeszyt. Była bardzo blada, a jej oczy pociemniały z lęku i zaskoczenia.

— Ilzo, spójrz na to — powiedziała drżącym głosem.

Ilza podeszła bliżej i zerknęła na otwarty zeszyt, który podsuwała jej Emilka. Widniał w nim zdumiewająco dobrze wykonany ołówkowy szkic domku nad rzeką, który tak się podobał Emilce poprzedniego dnia. Okienko nad frontowymi drzwiami oznaczone było krzyżykiem, a na marginesie biegł napis:

Allan Bradshaw jest tutaj.

— Co to znaczy? — zachłysnęła się Ilza. — Kto to narysował?

— Nie wiem — wyjąkała Emilka. — Ale... to moje pismo.

Ilza spojrzała na nią i cofnęła się o krok.

— Musiałaś narysować to we śnie — powiedziała oszołomiona.

— Nie umiem rysować — odparła Emilka.

— Kto inny mógł to zrobić? Przecież nie pani McIntyre... wiesz sama. Emilko, nigdy nie słyszałam o czymś równie dziwnym. Czy myślisz... czy myślisz, że on tam jest?

— Niemożliwe! Ten dom jest na pewno zamknięty... nikt w nim teraz nie pracuje. A ponadto przeszukano całą okolicę... Chłopiec z pewnością wyjrzałby przez okno. Pamiętasz, że nie było zasłonięte okiennicami? Byłby wołał, zobaczyliby go... usłyszeli. Przypuszczam, że narysowałam to we śnie, choć nie pojmuję, jakim sposobem... Może dlatego, że tak wiele myślałam o małym Allanie. To przedziwne... boję się.

— Musisz to pokazać Bradshawom — stwierdziła Ilza.

— Chyba tak... ale z wielką niechęcią. Może ich to natchnąć nową, złudną nadzieją.

Przecież to niemożliwe, żeby było inaczej. Nie ośmielę się jednak nie pokazać im tego. Ty to zrób, ja nie mogę. Jestem wytrącona z równowagi... przerażona jak dziecko. Mam ochotę usiąść i płakać. Jeżeli on tam jest... od wtorku... na pewno umarł z wycieńczenia.

— To przynajmniej chociaż się dowiedzą... pokażę im, oczywiście. Jeżeli okaże się, że...

Emilko, jesteś niesamowitym stworzeniem.

— Nie mów tak... nie mogę tego znieść — poprosiła rozdygotana Emilka.

W kuchni nie zastały nikogo, ale po chwili wszedł młody mężczyzna — zapewne doktor McIntyre, o którym wspominała pani Hollinger. Miał miłą, inteligentną twarz i bystre oczy przesłonięte okularami, lecz wyglądał na bardzo zmęczonego i zasmuconego.

— Dzień dobry — powiedział. — Mam nadzieję, że panie odpoczęły i że nikt im nie przeszkadzał. Jesteśmy tu wszyscy bardzo przygnębieni.

— Nie znaleziono chłopca? — zagadnęła Ilza. Doktor McIntyre potrząsnął głową.

— Nie. Zaprzestano już poszukiwań. On na pewno nie żyje... po takich nocach jak wtorkowa i ta ostatnia. Bagna nie oddają zmarłych, a sądzę, że on nie może być nigdzie indziej. Moja biedna siostra jest załamana. Przykro mi, że wizyta pań przypadła w tak niewesołych okolicznościach, ale mam nadzieję, że pani Hollinger zadbała o wszystko. Babka McIntyre byłaby urażona, gdyby paniom czegoś zabrakło. Niegdyś słynęła z gościnności. Zapewne panie jej nie spotkały. Rzadko pokazuje się gościom.

— Och, spotkałyśmy ją — powiedziała z roztargnieniem Emilka.

— Weszła rano do pokoju i opowiedziała nam o laniu, które sprawiła królowi.

Doktor McIntyre zaśmiał się cicho.

— A zatem spotkał panie zaszczyt. Nie każdemu babka opowiada tę historię. Jest czymś w rodzaju Sindbada Żeglarza i rozpoznaje wybranych słuchaczy. Jest trochę dziwna. Kilka lat temu jej ukochany syn, a mój wuj, Neil, zginął w Klondike w smutnych okolicznościach. Był w Zaginionym Patroli. Babka nigdy nie przyszła do siebie po tym wstrząsie. Od tego czasu jakby umarły w niej wszystkie uczucia. Obca jest jej miłość, nienawiść, lęk, nadzieja... żyje przeszłością i odczuwa jedynie dumę, ponieważ kiedyś sprawiła lanie królowi. Ale chyba przeszkadzam paniom w śniadaniu. Już nadchodzi pani Hollinger i zaraz mnie zbeszta.

— Chwileczkę, doktorze McIntyre — odezwała się pospiesznie Ilza.

— Ja... pan... my... chcę panu coś pokazać.

Doktor Mcintyre z zaciekawieniem pochylił głowę nad zeszytem.

— Co to takiego? Nie rozumiem.

— My również. Emilka narysowała to we śnie.

— We śnie? — powtórzył osłupiały doktor Mcintyre.

— Tak, z pewnością. Nikt inny nie mógł tego zrobić... chyba że babka pana potrafi rysować.

— Skądże! I nigdy nie widziała tego domu... to chatka Sobiego niedaleko mostu w Malvern, prawda?

— Tak. Widziałyśmy ją wczoraj.

— Ale to niemożliwe, żeby Allan tam był. Od miesiąca dom jest zamknięty na cztery spusty, stolarze skończyli robotę w sierpniu.

— Och, wiem o tym... — zająknęła się Emilka. — Tyle myślałam o Allanie przed snem. Przypuszczam, że to mi się przyśniło i zupełnie tego nie rozumiem. Ale musiałyśmy panu pokazać ten rysunek.

— Ależ oczywiście. Nic nie powiem Willowi i Klarze. Pójdę po Roba Masona, który mieszka za wzgórzem, i razem przeszukamy ten dom. Byłoby dziwne, gdyby... Ale nie, to niemożliwe. Nie wiem, jak można się tam dostać. Dom jest zamknięty, a okna zasłonięte okiennicami.

— Oprócz jednego. Tego nad frontowymi drzwiami.

— No tak, ale to jest okienko garderoby na końcu korytarza. Oglądałem wewnątrz tego domu w sierpniu, kiedy pracowali tam malarze. Drzwi garderoby zamykają się na zatrzask i chyba dlatego to okno nie ma okiennicy. Przypominam sobie, że jest umieszczone wysoko, tuż pod sufitem. Cóż, skoczę po Roba i sprawdzimy to. Nie możemy niczego lekceważyć.

Emilka i Ilza z trudem przełknęły śniadanie, zadowolone, że pani Hollinger zostawiła je same, rzuciwszy jedynie kilka uwag, kiedy wychodziła.

— To była okropna noc, ale już nie pada. Nie zmrużyłam oka. Biedna Klara też nie spała, ale jest trochę spokojniejsza... rozpacz ją zmogła. Boję się o nią. Jej babka nigdy nie przyszła do siebie po śmierci syna. Kiedy Klara dowiedziała się, że zaprzestali poszukiwań, krzyknęła tylko raz, a potem położyła się na łóżku twarzą do ściany... i cały czas tak leży, ani drgnie. Cóż, świat musi kręcić się dalej. Poczęstujcie się grzankami. I lepiej nie wychodźcie, póki wiatr nie osuszy trochę tego błota.

— Nie wyjdę stąd, dopóki się nie dowiemy — szepnęła niepewnie Ilza.

Emilka skinęła głową. Nie mogła jeść i gdyby ciotka Elżbieta lub ciotka Ruth ujrzały ją w tej chwili, kazałyby jej natychmiast iść do łóżka i nie wstawać i miałyby słuszność. Emilka znajdowała się na granicy wytrzymałości. Godzina, jaka upłynęła od wyjścia doktora Mcintyre, przeciągała się w nieskończoność. Wtem usłyszały głośny okrzyk pani Hollinger, która myła skopki na mleko za kuchennymi drzwiami. Po chwili wpadła do kuchni, a za nią doktor Mcintyre, który biegł aż od mostu w Malvern i zabrakło mu już tchu.

— Klara musi dowiedzieć się pierwsza — wysapał. — To jej prawo. Zniknął w pokoju obok. Pani Hollinger opadła na krzesło, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

— Znaleźli go... znaleźli małego Allana... na podłodze garderoby w domu Scobiego!

— Czy... żyje? — wyjąkała Emilka.

— Tak, choć mało brakowało... Nie może mówić... ale doktor powiada, że wyzdrowieje pod dobrą opieką. Zanieśli go do najbliższego domu. Tylko tyle doktor zdążył mi powiedzieć. Z sypialni dobiegł dziki okrzyk radości. Klara Bradshaw z rozwianymi włosami i pobladłymi wargami, lecz jednocześnie z błyskiem uniesienia w oczach, przemknęła przez kuchnię i pobiegła pędem w stronę wzgórza. Pani Hollinger złapała płaszcz i podążyła za nią.

Doktor McIntyre osunął się na krzesło.

— Nie mogłem jej zatrzymać, a nie mam siły biec z powrotem. Ale radość nie zabija.

Zatrzymywanie jej byłoby okrucieństwem, nawet gdybym był w stanie.

— Jak się czuje mały Allan? — zapytała Ilza.

— Wydobrzeje. Naturalnie, biedny dzieciak był zupełnie wycieńczony. Nie dożyłby jutra.

Zanieśliśmy go do domu doktora Mathe — sona i zostawiliśmy pod jego opieką. Dopiero jutro będzie można przewieźć go do domu.

— Czy domyśla się pan, skąd on się tam wziął?

— Oczywiście nie mógł nam tego wyjaśnić, ale chyba wiem, jak to się stało. Okienko piwnicy musiało być uchylone. Wydaje mi się, że Allan kręcił się koło domu, jak to chłopcy często robią, i zauważył nie domknięte okno. Zapewne wszedł przez nie, przymknął je za sobą i zaczął zwiedzać dom. Drzwi garderoby zatrzasnęły się za nim, zamek zaskoczył i chłopiec znalazł się w pułapce. Okno było za wysoko, nie mógł go dosięgnąć, żeby zwrócić uwagę przechodzących. Biała ściana jest cała porysowana i poplamiona, co wskazuje, że bezskutecznie usiłował dostać się do okna. Na pewno wołał, ale nikt nie znalazł się na tyle blisko, by go usłyszeć. Wiecie, że dom stoi w niewielkiej kotlinie i nie ma tam żadnych zarośli, w których dziecko mogłoby się schować, toteż szukający nie zwrócili na to miejsce baczniejszej uwagi. Dopiero wczoraj przeszukano brzeg rzeki, bo nikt nie przypuszczał, że chłopiec mógł sam zapuścić się tak daleko, a wczoraj nie miał już sił, by wzywać pomocy.

— Tak się cieszę, że... że go znaleziono — powiedziała Ilza, starając się ukryć łzy ulgi.

Dziadek Bradshaw niespodziewanie wsunął głowę przez drzwi.

— Mówiłem, że dziecko nie może zginąć w dziewiętnastym wieku — zachichotał.

— A jednak chłopiec zginął — rzekł doktor McIntyre — i na pewno nie odnalazłby się, gdyby nie ta młoda dama. To wprost niezwykle.

— Emilka jest... medium — wtrąciła Ilza, przytaczając słowa pana Carpentera.

— Medium... hmm... to bardzo dziwne... bardzo. Nie będę udawał, że cokolwiek rozumiem. Babka powiedziałaaby, oczywiście, że to szósty zmysł. Ona mocno wierzy w takie rzeczy, jak wszyscy szkoccy górale.

— O, to z pewnością nieprawda! — zaprzeczyła Emilka. — Nie ma szóstego zmysłu. Po prostu coś mi się przyśniło, wstałam i... ale przecież nie umiem rysować.

— A zatem coś użyło pani jako narzędzia — stwierdził doktor.

— Mimo wszystko ten szósty zmysł, o którym mówi babka, jest wyjaśnieniem równie dobrym jak każde inne, kiedy przychodzi człowiekowi wierzyć w rzecz niewiarygodną.

— Wolałabym o tym nie mówić — Emilka zadrżała. — Bardzo się cieszę, że Allan się odnalazł... Ale proszę, niech pan nie wspomina nikomu o mnie. Niech ludzie myślą, że po prostu wpadł pan na pomysł, aby przeszukać ten dom. Ja... nie zniósłabym, gdyby mówiono o tym w całej okolicy.

Kiedy opuściły biały domek na wzgórzu, słońce przedarło się przez chmury i wzniecało roztańczone ogniki w falach zatoki. Krajobraz był pełen dzikiego piękna, które zawsze objawia się po burzy, a Zachodnia Droga wiła się wśród wzgórz i dolin, wilgotna, czerwonawa i urokliwa. Lecz Emilka odwróciła się w inną stronę.

— Pójdę nią innym razem — powiedziała. — Nie mogę dzisiaj zbierać zamówień.

Kochana przyjaciółko, chodźmy do Malvern i wsiądźmy do ранego pociągu do Shrewsbury.

— Ten twój sen był okropnie zabawny — odezwała się Ilza.

— W jakiś sposób się ciebie boję, Emilko...

— O, nie bój się mnie — rzekła Emilka błagalnie. — To był tylko zbieg okoliczności. Tyle myślałam o tym dziecku... A wczoraj zwróciłam uwagę na dom...

— Pamiętasz, jak odkryłaś, co się stało z moją matką? — spytała cicho Ilza. — Masz jakąś

moc, której inni nie posiadają.

— Może wyrosnę z tego — powiedziała Emilka z rozpaczą. — Mam nadzieję, że tak... nie chcę tej mocy... Ty nie wiesz, Ilzo, jak ja się czuję. Dla mnie to coś okropnego. Jakbym była napiętnowana w jakiś niesamowity sposób. Nie czuję się człowiekiem. Kiedy doktor McIntyre powiedział, że coś użyło mnie jako narzędzia, cała zdrętwiałam. Wydaje mi się, że gdy spałam, jakiś inny umysł wkradł się w moje ciało i narysował ten dom.

— Ale pismo było twoje — zauważyła Ilza.

— Och, nie chcę o tym mówić ani nawet myśleć. Chcę zapomnieć. Nigdy już nie wspominaj mi o tym, Ilzo.

XVI

ZAPISKI

Shrewsbury.

3 października 19...

Zakończyłam zbieranie zamówień w naszej uroczej okolicy, mam już listę subskrybentów i zarobiłam tyle, że mogę zapłacić za prawie wszystkie podręczniki, których będę potrzebowała w drugiej klasie. Ciotka Ruth nie prychnęła, kiedy jej o tym powiedziałam. Uważam, że jest to fakt godny odnotowania.

Dzisiaj „Merton” odesłał moje opowiadanie pod tytułem „Klepsydra”. Dołączono jednak do niego kopertę z tekstem napisanym na maszynie, a nie na druczku. Odmowa napisana na maszynie wydaje się nieco mniej obraźliwa.

Przeczytaliście Pani opowiadanie z zainteresowaniem, lecz stwierdzamy z żalem, że obecnie nie możemy przyjąć go do druku.

Jeżeli naprawdę przeczytali „z zainteresowaniem”, jest to pewna pociecha. Ale może tylko próbowali osłodzić pigułkę?

Ilza i ja dowiedziałyśmy się niedawno, że w stowarzyszeniu „Czaszka i Sowa” jest dziewięć wolnych miejsc i wpisano nas na listę kandydatów. Zgodziłyśmy się. Przynależność do tego stowarzyszenia jest bardzo ceniona w szkole.

Rok szkolny rozpoczął się na dobre i zapowiada się bardzo ciekawie. Pan Hardy ma z nami zajęcia i uważam, że jest najlepszym nauczycielem, jakiego miałam po panu Carpenterze.

Zainteresował go mój esej o kobiecie, która sprawiła lanie królowi. Dał mu najwyższą ocenę i omówił szczegółowo na lekcji. Ewelina Blake jest naturalnie przekonana, że odpisałam go skądś, i zapewnia, że już to kiedyś czytała. Ewelina czesze się w tym roku zgodnie z nową modą à la madame Pompadour i moim zdaniem jest jej nie do twarzy. Ale, prawdę mówiąc, w Ewelinie podobają mi się wyłącznie jej plecy.

Podobno rodzina Martinów jest na mnie wściekła. W zeszłym tygodniu Sally Martin brała ślub w tutejszym kościele anglikańskim i poproszono mnie, bym napisała o tym notatkę dla „Czasu”. Poszłam, oczywiście, choć *nie cierpię* pisać o ślubach. Mam ochotę opowiedzieć mnóstwo rzeczy, których *nie należy* mówić. Ale ślub Sally był ładny i ona sama wyglądała ładnie, więc posłałam dość miłe sprawozdanie, w którym opisałam szczegółowo przepiękny bukiet panny młodej, złożony „z róż i orchidei” — jeszcze żadna panna młoda w Shrewsbury nie miała orchidei w ślubnym bukiecie. Napisałam to wyraźnie i nie mam pojęcia, dlaczego drukarz „Czasu” zamienił „orchidee” na „sardynki”. Oczywiście każdy, kto ma choć trochę rozsądku, poznałby od razu, że jest to błąd drukarski. Ale Martinowie powzięli niedorzeczne podejrzenie, że sardynki to był mój głupi żart, ponieważ ktoś im doniósł, jakobym powiedziała kiedyś, że mam dość konwencjonalnych notatek o ślubach i chciałabym choć raz napisać coś niezwykłego. Istotnie, *powiedziałam* tak — ale w dążeniu do oryginalności nie posunęłabym się do stwierdzenia, że panna młoda wystąpiła z bukietem sardynek! Niemniej jednak Martinowie są o tym przekonani, a Stella Martin nie zaprosiła mnie na przyjęcie. Ciotka Ruth powiada, że wcale jej to nie dziwi, a ciotka Elżbieta ostrzegała, że powinnam bardziej uważać. *Ja?* Niebiosa, dajcie mi cierpliwość!

5 października 19...

Pani Bradshaw odwiedziła mnie dziś wieczorem. Na szczęście ciotki Ruth nie było w domu — mówię „na szczęście”, ponieważ nie chciałabym, aby ciotka Ruth dowiedziała się o moim śnie i udziale w odszukaniu małego Allana Bradshawa. Może to i „przebiegłość”, jakby powiedziała ciotka, ale tak czy inaczej nie zniósłabym jej prychnania, domysłów i roztrząsania tego zdarzenia.

Pani Bradshaw przyszła, żeby mi podziękować. Byłam zakłopotana, bo cóż ja w końcu miałam z tym wspólnego. Nie chcę o tym mówić ani nawet myśleć. Pani Bradshaw

powiedziała, że mały Allan jest już zdrowy, choć dopiero po tygodniu mógł usiąść. Była bardzo blada i przejęta.

— Byłby umarł, gdyby nie pani, panno Starr... a wówczas i ja bym umarła. Nie mogłabym żyć dalej, nie wiedząc... Och, nigdy nie zapomnę tych strasznych dni. Musiałam przyjść, żeby spróbować wyrazić moją wdzięczność... Tamtego ranka, kiedy wróciłam do domu, już pani nie zastałam... Byłam chyba bardzo niegościnna...

Tu przerwała i rozplakała się — ja również — i tak beczałyśmy obydwie. Jestem bardzo szczęśliwa i wdzięczna, że Allan się odnalazł, ale nie chcę myśleć, w jakich okolicznościach to nastąpiło.

Księżycowy Nów

7 października 19...

Odbyłam dzisiaj po południu przemiły spacer po cmentarzu nad stawem. Można by pomyśleć, że niezbyt to wesołe miejsce na przedwieczorne przechadzki. Ale Zawsze lubiłam wędrować wśród tych grobów na zboczu pagórka w łagodne, melancholijne, jesienne wieczory. Lubię odczytywać nazwiska i wiek na nagrobkach i rozmyślać, ile miłości, nienawiści, nadziei i lęku spoczywa tu pogrzebane. To wcale nie jest smutne — jest piękne. Wszędzie wokół rozpościerają się czerwone, zaorane pola i oszronione, porośnięte paprociami skraje lasów — wszystko, co znam i Kocham, a im jestem starsza, tym większa staje się moja miłość. Ilekroć przyjeżdżam do Księżycowego Nowiu, rzeczy te są mi coraz droższe, jak gdyby były częścią mnie samej. Kocham *rzeczy* równie mocno jak ludzi. Wydaje mi się, że ciotka Elżbieta czuje to samo. Dlatego właśnie nie życzy sobie żadnych zmian w Księżycowym Nowiu. Coraz lepiej ją rozumiem. I myślę, że ona teraz mnie lubi. Na początku byłam dla niej tylko obowiązkiem, lecz obecnie jestem czymś więcej.

Pozostałam na cmentarzu, dopóki matowozłoty zmierzch nie zamienił go w połyskliwe,

widmowe miejsce. Później zjawił się Ted i poszliśmy razem przez pola ku Jutrzejszej Drodze. Stała się już naprawdę Dzisiejszą Droga, gdyż drzewa są w tej chwili wyższe od nas, ale nadal nazywamy ją Jutrzejszą Droga — po części z przyzwyczajenia, a po części dlatego, że tak często rozmawiamy tam o naszym jutrze i nadziejach. Ted jest jedyną osobą, z którą lubię rozmawiać o mojej przyszłości i ambicjach. Nie mówię o nich nikomu innemu. Perry wyśmiewa się z moich literackich aspiracji. Kiedy wspominam o pisaniu książek, mówi: „Jaki z tego pożytek?” A jeśli ktoś sam nie dostrzega dla siebie żadnego „pożytku”, wyjaśnienia stają się bezcelowe. Nie mogę nawet rozmawiać o tym z Deanem, odkąd pewnego wieczoru rzekł z goryczą: „Nie chcę słuchać o twojej przyszłości, skoro nie może to być moja przyszłość”. Sądzę, że Dean niechętnie myśli o tym, że stanę się dorosła — *sądzę*, że jest trochę po prietowsku zazdrosny i nie chce dzielić się *czymkolwiek*, zwłaszcza przyjaźnią z nikim innym — ani ze światem. Czuję, że jestem zdana na własne siły. Ostatnio mam wrażenie, że moje ambicje pisarskie przestały Deana obchodzić. A nawet, że podśmiewa się z nich. Pan Carpenter, na przykład, był zachwycony „Kobietą, która sprawiła lanie królowi” i powiedział, że jest świetna; ale Dean, przeczytawszy esej, uśmiechnął się i stwierdził: „Jest to bardzo dobre wypracowanie szkolne, ale...” — i znowu się uśmiechnął. Nie podobał mi się ten uśmiech. Było w nim „zbyt wiele Priesty”, jak powiedziałyby ciotka Elżbieta. Bardzo mnie to przygnębiło. Miałam wrażenie, że uśmiech Deana mówi: „Potrafisz pisać dość zabawnie, moja droga, układasz zgrabne zdania, ale nie byłbym wobec ciebie w porządku, gdybym pozwolił ci myśleć, że stworzysz coś wybitnego”. Jeśli to prawda — a zapewne tak, bo Dean jest przecież taki mądry i tyle wie — to nigdy nie napiszę niczego wartościowego. Nie będę nawet *próbowała*... *nie chcę* być tylko „zręczną wierszokletką”.

Ale z Tedem jest łatwiej.

Dzisiaj Ted nie posiadał się z radości — i ja także — kiedy opowiedział mi, co się stało.

Dwa z jego obrazów zostały pokazane we wrześniu na wystawie w Charlottetown i pan Lewes z Montrealu zaoferował mu za nie sto dolarów. Dzięki temu Ted będzie mógł opłacić stancję za całą zimę i odciążyć nieco od wydatków panią Kent. *Ona* jednak nie była zadowolona. Powiedziała: „Ach, teraz już myślisz, że uniezależniłeś się ode mnie” — i zaczęła płakać. Tedowi zrobiło się bardzo przykro, bo nic podobnego nie przyszło mu do głowy. Biedna pani Kent! Na pewno czuje się bardzo samotna. Między nią a światem istnieje jakaś dziwna zaporą. Dawno już nie byłam we Wrotyczowym Łanie. Poszłyśmy tam raz w lecie z ciotką Laurą, która dowiedziała się o chorobie pani Kent. Pani Kent zdołała wstać z łóżka i rozmawiała z ciotką Laurą, lecz do mnie nie odzywała się wcale, rzucała jedynie rozgnione spojrzenia. Ale gdy wstałyśmy, przemówiła nagle:

— Jesteś bardzo wysoka. Wkrótce staniesz się kobietą i odbierzesz innej kobiecie syna.

W drodze do domu ciotka Laura stwierdziła, że pani Kent zawsze była dziwna, a teraz to się jeszcze pogłębiło.

— Niektórzy ludzie myślą, że jest niezrównoważona umysłowo — powiedziała.

— Nie wydaje mi się, aby jej umysł był nie w porządku. Ona ma chorą duszę — odparłam.

— To okropne, co mówisz, kochana Emilko — powiedziała ciotka Laura.

Nie rozumiem, dlaczego. Skoro ciało i umysł mogą być chore, to czy z duszą nie jest podobnie? Bywają chwile, kiedy jestem najzupełniej pewna, że dusza pani Kent została niegdyś straszliwie zraniona i ta rana nigdy się nie zabiźniła. Żałuję, że ona tak mnie nienawidzi. Nienawiść matki Teda sprawia mi ból. Nie wiem, dlaczego. Przecież Dean jest dla mnie także drogim przyjacielem, a jednak nie obchodziłaby mnie wcale nienawiść nawet całego klanu Priestów.

10 października 19...

Ilza i siedmioro innych kandydatów zostało przyjętych do „Czaszki i Sowy”. Mnie nie

przyjęto, bo otrzymałam jedną czarną gałkę. Dowiedziałyśmy się o tym w poniedziałek.

Wiem, oczywiście, że to Ewelina Blake wrzuciła czarną gałkę. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Ilza była wściekła. Podarła zawiadomienie na strzepy i odesłała je wraz ze zjadliwą krytyką całego stowarzyszenia i jego działalności.

Spotkałam dzisiaj w szatni Ewelinę, która zapewniała, że głosowała za przyjęciem nas obydwu.

— A czy ktoś twierdził, że nie? — spytałam tonem, którego nie powstydziałaby się sama ciotka Elżbieta.

— Owszem... Ilza — odparła z irytacją Ewelina. — Zachowała się wobec mnie bardzo obraźliwie. Czy chcesz wiedzieć, kogo ja o to posądzam?

Spojrzałam jej prosto w oczy.

— To zbyt cenne. *Wiem*, kto wrzucił czarną gałkę — stwierdziłam i wyszłam z szatni.

Większość Czaszek i Sów jest wściekła. Zwłaszcza Czaszki. Słyszałam, iż jedna czy dwie Sowy twierdzą, że dobrze to robi dumnej Murrayównie. I naturalnie kilka osób z drugiej i trzeciej klasy, które nie znalazły się w wybranej dziewiątce, okazuje nadmierne rozradowanie lub obrzydliwe współczucie.

Ciotka Ruth dowiedziała się o wszystkim dzisiaj i natychmiast zaczęła wypytywać, *dlaczego* dostałam czarną gałkę.

Księżycowy Nów

5 listopada 19...

Spędziłam dzisiaj popołudnie z ciotką Laurą, która uczyła mnie sztuki marynowania warzyw, należącej do tradycji Księżycowego Nowiu. Wstawiłyśmy do spiżarni nasze marynaty, a ciotka Elżbieta, która przyszła je obejrzeć, stwierdziła, że moje słoiki nie różnią się niczym od wyrobów ciotki Laury.

Wieczór był zachwycający. Spędziłam w ogrodzie cudowne chwile. Było bardzo pięknie i czułam niezwykle czar pogodnego listopadowego zmierzchu. Spadło trochę śniegu, ale zawierucha trwała bardzo krótko. Świat jest teraz lekko ośnieżony, a powietrze czyste i wibrujące. Prawie wszystkie kwiaty, w tym także moje wspaniałe astry, które wyglądały tak bajecznie jesienią, zmarniały już dwa miesiące temu — lecz rabatki są nadal okolone pasmami kwitnącej gorczycy. Wielki, czerwonawy księżyc wyłonił się właśnie zza drzew. Na zachodzie, za białymi wzgórzami porośniętymi z rzadka ciemnymi drzewami, widać złotoczerwone błyski. Śnieg zakrył cały ów głęboki i przedziwny smutek martwego, późnojesiennego krajobrazu, a słaba księżycowa poświata przemieniła łąki i wzgórza Księżycowego Nowiu w krainę czarów. Dach starego domu pokrywała warstwa roziskrzonego śniegu. Rozświetlone okna lśniły jak klejnoty. Z kuchennego komina wydobywała się cienka smużka szarobłękitnego dymu. Kuzyn Jim palił w ogrodzie jesienne liście, które przyjemnie pachniały. Były tam również moje koty — ich ukradkowe ruchy i zwodnicze oczy doskonale pasowały do miejsca i pory. Zmierzch, słusznie zwany „kocią godziną”, jest jedyną porą, w której koty odsłaniają prawdziwe oblicze. Psotka jest smukła i lśniąca jak srebrzysty koci duch. Prym przypomina ciemnoszarego tygrysa, czającego się w mroku. Jest bardzo pewnym siebie kotem. Nie zniża się do byle kogo i nigdy nie mówi zbyt wiele. Ocierały się o moje stopy, odskakiwały i napadały na siebie — były częścią tej nocy i miejsca, dlatego wcale mi nie przeszkadzały. Przechadzałam się ścieżkami wokół zegara i altany, pełna uniesienia. Takie powietrze zawsze mnie upaja jak wino, święcie w to wierzę. Śmiałam się z tego, że było mi przykro, ponieważ nie zostałam przyjęta do grona Sów. Sów! Czułam się jak młoda orlica, szybująca ku słońcu. Świat rozpościerał się przede mną, mogłam nań patrzeć, uczyć się i rozkoszować jego istnieniem. Przyszłość i przeszłość należały do mnie. Miałam uczucie, jakbym od zawsze mieszkała w tym starym domu i dzieliła wszystkie

jego miłości i przeżycia. Czułam się tak, jakbym miała żyć wiecznie... wiecznie...

nieśmiertelność stała się dla mnie pewnikiem. Nie tylko wierzyłam w nią — ja ją czułam.

Dean odnalazł mnie w ogrodzie. Stał tuż obok, zanim zdałam sobie sprawę z jego obecności.

— Uśmiechasz się — rzekł. — Lubię patrzeć na kobietę, która uśmiecha się do siebie. Jej myśli są wówczas niewinne i przyjemne. Czy dzień ci sprzyjał, szlachetna damo?

— Owszem, a wieczór jest jego najpiękniejszym darem. Jestem dzisiaj taka szczęśliwa, Deanie... Raduje mnie to, że żyję. Czuję się tak, jakbym powoziła gwiazdnym zaprzęgiem. Pragnęłabym, aby taki nastrój trwał dłużej... Jestem dzisiaj tak pewna siebie i własnej przyszłości. Nie boję się niczego. Być może na ucztę życiowego powodzenia nie znajdę się wśród honorowych gości, ale przynajmniej zostanę zaproszona.

— Wyglądałaś jak wieszczka zaglądająca w przyszłość — powiedział Dean — kiedy tak stałaś w blasku księżyca, biała i uduchowiona. Twoja skóra przypomina płatek narcyza. Mogłabyś tulić do twarzy białą różę, co jest przywilejem tylko nielicznych kobiet. Nie jesteś w istocie piękną, Gwiazdko, ale patrząc na twoją twarz ludzie myślą o pięknych rzeczach, a to znacznie rzadszy dar niż uroda.

Lubię komplementy Deana. Nikt tak do mnie nie mówi. I lubię być nazywana kobietą.

— Bo stanę się próżna — powiedziałam.

— Nie przy twoim poczuciu humoru — odparł Dean. — Kobiety z poczuciem humoru nie bywają próżne. Nawet bardzo zła wróżka nie mogłaby obdarzyć dziecka dwiema takimi wadami.

— Czy uważasz poczucie humoru za wadę? — spytałam.

— Naturalnie. Kobieta z poczuciem humoru nigdy nie zdoła uciec przed bezlitosną prawdą o sobie samej. Nie może myśleć, że nikt jej nie rozumie. Nie może litować się nad sobą. Nie

może też bez oporów potępiać ludzi, którzy są inni niż ona. Nie, Emilko, los kobiety obdarzonej poczuciem humoru jest nie do pozazdroszczenia.

Nigdy nie patrzyłam na tę sprawę pod takim kątem. Usiedliśmy na kamiennej ławce i roztrząsaliśmy to szczegółowo. Tej zimy Dean nigdzie nie wyjeżdża. Cieszę się z tego, bo strasznie by mi go brakowało. Jeżeli nie gawędzę z Deanem przynajmniej raz na dwa tygodnie, życie traci dla mnie urok. Nasze rozmowy są tak *barwne*, a przy tym milczenie Deana bywa bardzo wymowne. Dzisiaj też był taki. Siedzieliśmy w sennym, cichym, ogarniętym mrokiem ogrodzie i *śluchaliśmy* nawzajem swoich myśli. Opowiadał mi o starych krainach i olśniewających targowiskach Wschodu. Pytał także o mnie, o naukę i o to, co robię. Lubię, kiedy mężczyzna pozwala mi od czasu do czasu wtrącić słowo na własny temat.

— Co ostatnio czytałaś? — zapytał.

— Dzisiaj po południu, kiedy skończyłyśmy z marynatami, przeczytałam kilka wierszy Elżbiety Browning. Wiesz, przerabiamy w tym roku jej utwory. Najbardziej podobał mi się „Brązowy różaniec”. Mam dla Onory więcej współczucia niż pani Browning.

— To oczywiste — stwierdził Dean. — Jesteś istotą bardzo uczuciową. Ty oddałabyś niebiosą w zamian za miłość, zupełnie jak Onora.

— Nie pokocham nikogo. Miłość czyni z nas niewolników — oświadczyłam.

W tej samej chwili zawstydziłam się tych słów, bo zrozumiałam, że to tylko wymądrzanie.

W istocie nie wierzę, aby miłość czyniła z ludzi niewolników, a już na pewno nie z Murrayów. Ale Dean potraktował to bardzo poważnie.

— Cóż, na tym świecie nie ma ludzi wolnych — powiedział. — Być może, mimo wszystko, miłość jest najlepszym rodzajem niewoli... lepszym niż nienawiść, lęk, konieczność, ambicja czy duma... A propos, jak sobie radzisz ze scenami miłosnymi w opowiadaniach?

— Zapomniałeś, że nie wolno mi teraz pisać opowiadań? Kiedy znowu będę mogła je pisać... Pamiętasz, obiecałeś mi kiedyś, że nauczysz mnie, jak mam nadać artystyczny wyraz miłości.

Powiedziałam to żartobliwym tonem, ale Dean wydał się nagle bardzo przejęty.

— Czy jesteś gotowa do nauki? — spytał pochylając się ku mnie.

Przez jedną szaloną chwilę myślałam, że zamierza mnie pocałować. Odsunęłam się, zarumieniona, i niespodziewanie pomyślałam o Tedzie. Nie mogłam znaleźć słów...

Podniosłam z ziemi Pryma, wtuliłam twarz w jego piękne futerko i słuchałam mruczenia. Na szczęście ciotka Elżbieta stanęła we frontowych drzwiach, pytając, czy włożyłam kalosze.

Nie włożyłam, więc wróciłam do domu, a Dean odszedł. Patrzyłam przez okno, jak idzie alejką lekko utykając. Wydawał się bardzo samotny i nagle zrobiło mi się go strasznie żal.

Kiedy jesteśmy razem, czuję się tak dobrze w jego towarzystwie, że zapominam, iż ma jeszcze inne życie. Ja wypełniam jedynie mały kącik. Reszta musi być okropnie pusta.

14 listopada 19...

Wybuchł skandal, a dotyczył Emilki z Księżycowego Nowiu oraz Ilzy z Perlistej Wody.

Odbyłam właśnie przykrą rozmowę z ciotką Ruth i muszę wszystko opisać, by oczyścić duszę z goryczy. Burza w szklance wody! Miałyśmy z Ilzą pecha.

W zeszły czwartek uczyłyśmy się historii literatury angielskiej. Pracowałyśmy rzetelnie przez cały wieczór i wyszłam od niej o dziewiątej. Ilza odprowadziła mnie do furtki. Noc była łagodna, ciemna i gwiazdzista. Ilza mieszka teraz na samym końcu ulicy Cardigan, a dalej droga skręca ku mostkowi nad strumykiem koło parku. W blasku gwiazd widziałyśmy mroczny zarys parku.

— Przejdźmy się, zanim wrócisz do domu — zaproponowała Ilza.

Poszłyśmy na spacer, choć, oczywiście, nie powinnam była nigdzie chodzić, tylko wrócić

do domu i iść spać, jak każdy grzeczny suchotnik. Ale zakończyłam właśnie jesienną kurację tranową — yych! — i pomyślałam, że mogę stawić czoło nocnemu powietrzu. Było cudownie. Znad zatoki dobiegał śpiew listopadowego wiatru, ale w parku było spokojnie i zacisznie. Zeszliśmy z głównej drogi i powędrowaliśmy wąską ścieżką między pachnącymi, iglastymi zaroślami. Jodły i sosny są zawsze przyjazne, lecz nie zwierzają się tajemniczo jak klony i topole: nigdy nie odsłaniają swoich sekretów, nie odkrywają bacznie strzeżonej wiedzy i dlatego są ciekawsze niż inne drzewa.

Zbocze wzgórza wypełniały miłe, czarodziejskie dźwięki i chłodne, ulotne zapachy nocy — woń żywicy i paproci. Wydawało się, że zawędrowaliśmy w samo serce ciszy. Noc jak matka otoczyła nas ramionami i przytuliła do siebie. Opowiadałyśmy sobie o wszystkim. Oczywiście nazajutrz żałowałam tego, choć Ilzie można ufać, bo nigdy niczego nie zdradza, nawet w złości. Ale odkrywanie całej duszy nie leży w tradycji Murrayów, nawet przed najbliższą przyjaciółką. To mrok i woń jodłowej żywicy wyczyniają z ludźmi takie rzeczy. Bawiłyśmy się przy tym wyśmienicie — Ilza potrafi człowieka rozweselić. W jej towarzystwie nie można się nudzić. Odbyłyśmy przepiękny spacer, a wychodząc z parku czułyśmy się sobie jeszcze bliższe i miałyśmy kolejne piękne wspomnienie. Przy moście spotkałyśmy Teda i Perry'ego, którzy zboczyli z Zachodniej Drogi. Wybrali się na przechadzkę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ilza i Perry nie są w tej chwili skłóceni, więc razem poszliśmy przez most, a potem każdy udał się w swoją stronę. Przed dziesiątą byłam już w łóżku. Ktoś nas jednak widział na moście. Na drugi dzień mówiła o tym cała szkoła, a potem całe miasto: Ilza i ja włóczyłyśmy się po parku do północy z Tedem Kentem i Perrym Millerem. Dlatego właśnie ciotka Ruth posadziła mnie dzisiaj na ławie oskarżonych. Opowiedziałam jej o wszystkim, ale nie uwierzyła, oczywiście.

— Wie ciocia przecież, że w czwartek byłam w domu za kwadrans dziesiąta —

powiedziałam.

— Istotnie, przypuszczam, że nieco przesadzono z porą — przyznała ciotka Ruth — ale te plotki musiały się skądś wziąć. Nie ma dymu bez ognia, Emilio. Jesteś taka sama jak twoja matka.

— Zostawmy matkę w spokoju, ona już nie żyje — ucięłam. — Chodzi o to, czy ciocia mi wierzy czy nie.

— Nie wierzę, aby było aż tak źle, jak słyszałam — odparła ciotka niechętnie. — Ale ludzie wzięli cię na języki. Można się było tego spodziewać, skoro przestajesz z Ilzą Burnley i takimi nicponiami jak Perry Miller. Słyszałam, jak odmówiłaś Andrzejowi, kiedy zapraszał cię w piątek na przechadzkę po parku. To byłoby zbyt szacowne dla ciebie.

— Właśnie — wtrąciłam. — Dlatego się nie zgodziłam. Kiedy coś jest zbyt szacowne, przestaje być zabawne.

— Impertynencja nie jest dowcipna, moja panno — stwierdziła ciotka Ruth.

Nie chciałam być impertynenczką, ale złości mnie to podsuwanie mi Andrzeja. Będę miała z nim kłopot. Dean uważa, że to bardzo śmieszne — wie równie dobrze jak ja, co się święci.

Zawsze mi dokucza z powodu rudowłosego młodzieńca, w skrócie: r. m.

— To prawie „rym” — rzekł pewnego razu.

— Ale nigdy poemat — odparłam.

Oczywiście, nieszczęsny, poczciwy Andrzej to wcielona proza. Lubiałabym go, gdyby cała rodzina Murrayów nie pchała mi go pod nos. Chcą, abym zaręczyła się bezpiecznie, zanim ucieknę, a kto mógłby być bezpieczniejszy niż Andrzej Murray?

Tak, nikt nie jest wolny, jak powiada Dean — prócz krótkich chwil, kiedy pojawia się promyk lub gdy dusza łączy się z wiecznością, jak podczas owej nocy w stogu siana. Przez resztę życia jesteśmy niewolnikami — tradycji, zwyczajów, ambicji, *krewnych*. Niekiedy, tak

jak dzisiaj, wydaje mi się, że te ostatnie więzy są najcięższe.

Księżycowy Nów,

3 grudnia 19...

Siedzę w moim ukochanym pokoiku, a dzięki pozwoleniu ciotki Elżbiety na kominku płonie ogień. Ogień jest zawsze cudowny, lecz w burzliwą noc wydaje się stokroć cudowniejszy. Obserwowałam burzę przez okno aż do zmroku. Śnieg, który pada ukośnymi smugami na tle ciemnych drzew, ma szczególny urok. Opisałam go w zeszycie od Jima. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej i teraz mój pokój przepelniają miękkie westchnienia śniegu wirującego w zagajniku Dumnego Jana. Jest to jeden z najpiękniejszych dźwięków na świecie. Niektóre dźwięki są tak doskonałe... doskonalsze niż wszystko, *co widzimy*. Na przykład mruczenie Pryma, który leży na moim dywaniku... trzaskanie ognia w kominku... popiskiwanie i drapanie myszy, odbywających zebranie za boazerią. Bardzo lubię być sama w pokoju. Lubię nawet myśleć, że myszy dobrze się bawią. A mój skromny dobytek dostarcza mi tyle przyjemności! Nikt inny nie dostrzega w nim tego znaczenia. Nigdy nie czułam się u ciotki Ruth jak u siebie, ale *tutaj* jest moje królestwo. Kocham czytać tutaj... marzyć, siedzieć przy oknie i zapisywać wierszem ulotne fantazje.

Dziś wieczorem czytałam jedną z książek ojca. Zawsze, gdy czytam jego książki, czuję, że jest blisko mnie — jak gdybym mogła go zobaczyć, kiedy się obejrzę. I jakże często czytam na marginesach notatki, które wydają mi się listami od niego. Książka, którą dzisiaj zaczęłam, jest wspaniała — ma wspaniały pomysł i fabułę, a także wspaniale wyraża motywy i namiętności. Czytając ją czułam się niegodna i mało warta, co zapewne dobrze mi zrobi. Pomyślałam sobie: „Ty nieszczęsne, żalosne stworzenie, czy wydawało ci się kiedykolwiek, że potrafisz pisać? Jeśli tak, odrzuć złudzenia na zawsze i przyjrzyj się własnej, niczym nie osłoniętej marności”. Ten stan ducha minie jednak z czasem — znowu uwierzę, że trochę

potrafię pisać i będę radośnie tworzyła szkice i wiersze, dopóki nie przyjdzie czas na coś lepszego. Za półtora roku wygaśnie moja umowa z ciotką Elżbietą i znowu będę mogła pisać opowiadania.

Tymczasem muszę uzbroić się w cierpliwość. Prawdę mówiąc, chwilami trochę mnie nuży powtarzanie sobie o „cierpliwości i wytrwałości”. Ciężko człowiekowi, kiedy nie zauważa od razu namacalnych skutków tych cennych zalet. Niekiedy mam ochotę biegać jak szalona i być tak niecierpliwa, jak tylko się da. Ale nie dzisiaj. Tego wieczoru jestem zadowolona jak kot leżący na dywaniku przed kominkiem. Mruczałabym, gdybym wiedziała, jak to się robi.

9 grudnia 19...

Dzisiaj był wieczór Andrzeja. Przyszedł elegancki i wytworny jak zwykle. Oczywiście lubię chłopców, którzy dbają o swój wygląd, lecz Andrzej posuwa się w tym zbyt daleko. Zawsze sprawia wrażenie, jakby był świeżo wykrochmalony i wyprasowany i bał się poruszyć lub roześmiać, żeby coś nie pękło. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wybuchnął serdecznym śmiechem. *Wiem*, że w dzieciństwie nigdy nie bawił się w piratów. Ale za to jest poczciwy, rozsądny i schludny, ma zawsze czyste paznokcie i dyrektor banku bardzo go ceni. No i lubi koty — na właściwym miejscu! Och, doprawdy nie zasługuję na takiego kuzyna!

5 stycznia 19...

Minęły Święta. Spędziłam dwa piękne tygodnie w starym, przysypanym śniegiem Księżycowym Nowiu. Tuż przed Bożym Narodzeniem przyjęto do druku pięć moich utworów. Sama się zastanawiam, dlaczego nie oszalałam z radości. Trzy z nich zostaną zamieszczone w czasopismach, które nie płacą za nadesłane materiały, tylko oferują subskrypcje. Ale za dwa pozostałe otrzymałam czeki: jeden na dwa dolary, za wiersz, a drugi na dziesięć dolarów za „Klepsydre”, którą nareszcie przyjęto — po raz pierwszy pojawi się w

druku moje opowiadanie. Ciotka Elżbieta przyjrzała się czekom z powątpiewaniem i zapytała:

— Czy myślisz, że w banku wypłacą ci za to pieniądze?

Nie bardzo mogła w to uwierzyć, nawet gdy kuzyn Jim pojechał do Shrewsbury i zrealizował чеки.

Pieniądze te pójdą, oczywiście, na moje szkolne wydatki w Shrewsbury. Bawiłam się jednak znakomicie, planując, na co bym je wydała, gdybym mogła sama decydować.

Perry należy do szkolnej grupy dyskusyjnej, która zmierzy się podczas debaty ze studentami Akademii Królewskiej. Przynależność do tej grupy to wielki zaszczyt. Debata odbywa się co roku, a od trzech lat zwyciężają studenci Akademii. Ilza zaproponowała, że pomoże Perry’emu w poprawieniu wymowy i teraz ma z nim mnóstwo kłopotów, zwłaszcza gdy próbuje nauczyć go, aby mówił „pomyślny”, a nie „pomyśny”. To bardzo ładnie z jej strony, bo ona go przecież nie lubi. Mam nadzieję, że Shrewsbury wygra w tym roku.

Na zajęciach z literatury angielskiej przerabiamy w tym semestrze „Idylle królewskie”.

Wiele rzeczy w nich mi się podoba, ale nie cierpię tennysonowskiego Artura. Gdybym była Ginewrą, wytargałabym go za uszy — lecz nie zdradzałabym go z Lancelotem, który jest równie odpychający, choć w inny sposób. A co do Gerainta, to na miejscu Enidy *ugryzłabym* go. Wszystkie te „cierpliwe Gryzeldy” w pełni zasłużyły na swój los. Pani Enido, gdybyś była Murrayówną z Księżycowego Nowiu, przywołałabyś męża do porządku, a on bardziej by cię za to szanował.

Przeczytałam dzisiaj pewne opowiadanie. Miało nieszczęśliwe zakończenie. Nie uspokoiłam się, dopóki nie wymyśliłam szczęśliwszego. *Moje* opowiadania będą zawsze kończyły się dobrze. Nie dbam o to, czy takie zakończenia będą „prawdziwe” czy nie. Będą takie, jakie *powinny* być, a to jest najlepsza prawda.

Gdy mowa o książkach, parę dni temu przeczytałam starą powieść należącą do ciotki Ruth:

„Dzieci opactwa”. Bohaterka mdlała w każdym rozdziale i wypłakiwała strumienie łez, gdy ktokolwiek na nią spojrzeł. Pomimo delikatnego zdrowia przeszła tak liczne próby i prześladowania, że żadna z urodziwych panien w naszych zdegenerowanych czasach nie wytrzymałaby nawet połowy z nich — choćby była najnowocześniejszą z nowoczesnych kobiet. Zaśmiewałam się nad tą książką tak, że aż zdumiałam tym ciotkę Ruth, która uważała to dzieło za bardzo smutne. Jest to jedyna powieść w domu ciotki Ruth. W młodości dostała ją od jednego z wielbicieli. Myśl, że ciotka Ruth kiedykolwiek miała wielbicieli, wydaje się nieprawdopodobna. Wuj Dutton nie jest dla mnie postacią rzeczywistą i nawet portret stojący na spowitych w krepę sztalugach w salonie nie przekonuje mnie o jego istnieniu.

21 stycznia 19...

W piątek wieczorem odbyła się debata uczniów naszej szkoły ze studentami Akademii. Chłopcy z Charlottetown zjawili się przekonani, że przybędą, zobaczą i zwyciężą — a tymczasem wrócili do domu jak przysłowiowe psy z podwiniętymi ogonami. Do zwycięstwa przyczyniła się przede wszystkim mowa Perry’ego. Był wspaniały. Nawet ciotka Ruth po raz pierwszy przyznała, że coś w nim jest. Po dyskusji podbiegł do mnie i Ilzy na korytarzu. — Czy nie spisałem się na medal, Emilko? — wykrzyknął. — Wiedziałem, że jest to we mnie, ale nie byłem pewien, czy zdołam to wyrazić. Kiedy wstałem po raz pierwszy, nie mogłem otworzyć ust... i nagle zauważyłem *ciebie*. Patrzyłaś na mnie, jakbyś chciała powiedzieć: „Możesz... *musisz*...”, i wtedy ruszyłem pełną parą. To ty zwyciężyłaś, Emilko! No i czyż nie były to przemile słowa w obecności Ilzy, która pracowała nad nim godzinami, poprawiała go i zamęczała się dla niego? A on nawet się do niej nie odezwał, tylko zaczął dziękować mnie, która nic nie zrobiłam poza tym, że siedziałam pełna zainteresowania.

— Jesteś niewdzięcznym barbarzyńcą, Perry — powiedziałam i odeszłam, zostawiając go

z otwartymi ustami. Ilza aż rozpląkała się ze złości. Od tej pory nie odzywa się do niego, a ten osioł nie rozumie, dlaczego.

— O co jej znowu chodzi? Przecież podziękowałem jej za cały trud po ostatnich ćwiczeniach — mówi.

Nie da się ukryć, że Piecykowa Rura ma swoje ograniczenia.

2 lutego 19...

Wczoraj wieczorem pani Rogers zaprosiła ciotkę Ruth i mnie na kolację razem ze swoją siostrą i szwagrem, państwem Herbert. Ciotka Ruth wpięła we włosy odświętne szpilki w kształcie muszelek, włożyła brązową aksamitną sukienkę, którą okropnie czuć naftaliną, i przypięła dużą owalną broszkę z włosami wuja Duttona. Ja włożyłam popielatoróżową sukienkę i naszyjnik księżniczki Meny — i poszłam drżąc z podniecenia, gdyż pan Herbert jest członkiem rządu i bywał na dworach królewskich. Ma potężną głowę, srebrne włosy i oczy, które od tak dawna zaglądały w ludzkie umysły, że wywierają niesamowite wrażenie, jakby potrafiły przejrzeć duszę na wskroś i odczytać pobudki, do których człowiek nie przyznaje się nawet sam przed sobą. Jego twarz jest niezmiernie interesująca i pełna wyrazu. Wypisane są na niej wszystkie doświadczenia jego bujnego, wspaniałego życia. Widać na pierwszy rzut oka, że jest urodzonym przywódcą. Pani Rogers posadziła mnie obok niego przy kolacji. Bałam się odezwać... bałam się, że powiem coś głupiego, popełnię jakąś niewybaczalną gafę. Siedziałam więc jak mysz pod miotłą i słuchałam z zachwytem. Dzisiaj pani Rogers powiedziała mi, że po naszym wyjściu pan Herbert stwierdził:

— Z tą małą Starrówną z Księżycowego Nowiu można rozmawiać jak z żadną inną panią w jej wieku.

A więc nawet wielcy mężowie stanu... ale dość, nie chcę być podła.

A on *rzeczywiście* był wspaniały: mądry, dowcipny, pełen humoru. Czułam się tak, jakbym

piła wyśmienite, krzepiące, duchowe wino. Zapomniałam nawet o naftalinie ciotki Ruth. Jakie to niezwykle poznać takiego człowieka i popatrzeć jego mądrymi oczyma na fascynującą grę, jaką jest tworzenie mocarstwa!

Perry poszedł dzisiaj na stację, by przyjrzeć się panu Herbertowi. Twierdzi, że kiedyś stanie się równie wielkim człowiekiem. Ale niestety... Perry może zejść daleko, wspiąć się wysoko — wierzę w to. Lecz będzie najwyżej dobrym politykiem, nigdy mężem stanu. Kiedy powiedziałam to Ilzie, skoczyła na mnie:

— Nie cierpię Perry’ego Millera — parsknęła — ale jeszcze bardziej nie cierpię snobizmu.

A ty jesteś snobką, Emilko Starr. Wydaje ci się, że Perry nie może zostać wielkim człowiekiem tylko dlatego, że pochodzi z Piecykowej Rury. Gdyby był jednym ze świętych Murrayów, uważałabyś, że posiada nieograniczone możliwości!

Uznałam, że Ilza jest niesprawiedliwa, i wysoko uniosłam głowę.

— Mimo wszystko — odparłam — między Księżycowym Nowiem a Piecykową *Rurą* jest pewna różnica.

XVII

SKUTKI PEWNEGO POCAŁUNKU

O pół do jedenastej w nocy Emilka skonstatowała z westchnieniem, że powinna iść do łóżka. Wróciła z przyjęcia u Alicji Kennedy o pół do dziesiątej i poprosiła ciotkę Ruth, aby pozwoliła jej pouczyć się jeszcze godzinę. Ciotka zgodziła się, acz niechętnie i podejrzliwie, sama zaś poszła spać, wygłaszając na odchodnym ostrzeżenie dotyczące świec i zapalek.

Emilka uczyła się pilnie przez czterdzieści pięć minut, a przez pozostały kwadrans pisała wiersz. Nie skończyła go, choć bardzo tego pragnęła, lecz stanowczym ruchem odłożyła na bok teczkę z papierami.

W tej samej chwili przypomniała sobie, że zostawiła w jadalni torbę razem z zeszytem od Jima. To było niedopuszczalne. Ciotka Ruth wstaje pierwsza, a zatem na pewno przetrząśnie torbę, znajdzie zeszyt i przeczyta zapiski. A były wśród nich rzeczy, których ciotka nie powinna zobaczyć. Emilka musiała zatem zejść ukradkiem na dół i zabrać torbę.

Otworzyła drzwi i na palcach zeszła po schodach, niepokojąc się przy każdym skrzypnięciu. Ciotka Ruth, która spała w dużej sypialni po drugiej stronie korytarza, musiała usłyszeć to skrzypienie! Obudziłoby umarłego. Nie obudziło jednak ciotki i Emilka dotarła do jadalni. Odszukała torbę i już miała wracać do siebie, gdy nagle jej spojrzenie padło na półkę nad kominkiem. Stała tam oparta o zegar koperta zaadresowana do niej, która widocznie nadeszła z popołudniową pocztą — przyjemna cienka koperta z adresem czasopisma w rogu.

Emilka postawiła świecę na stole, otworzyła list i znalazła w nim zawiadomienie o przyjęciu wiersza oraz czek na trzy dolary. Takie listy — zwłaszcza z czekami — były nadal rzadkością w życiu Emilki i zawsze wprawiały ją w lekkie oszołomienie. Zapomniała o ciotce Ruth i o tym, że dochodzi już jedenasta; stała pogrążona w transie, odczytując wciąż na nowo krótki list od redaktora — krótki, lecz jakże słodko brzmiący! „Pani czarujący wiersz...”,

„pragnęlibyśmy zobaczyć inne Pani utwory...” — o tak, *powinni* je zobaczyć.

Emilka wzdrygnęła się nagle. Czy ktoś pukał do drzwi? Nie... to przy oknie. Kto? Co? Po chwili spostrzegła, że na bocznej werandzie stoi Perry i szczyrzy do niej zęby przez szybę okna.

Wciąż pełna uniesienia skoczyła w stronę okna i otworzyła je bez zastanowienia.

Wiedziała, skąd wraca Perry, i umierała z ciekawości, jak mu poszło. Został zaproszony na kolację do wytwornego domu dyrektora Hardy’ego przy ulicy Królewskiej. Uważano to za wielki zaszczyt, który przypadał w udziale tylko nielicznym uczniom. Perry zawdzięczał zaproszenie swemu błyskotliwemu przemówieniu podczas międzyszkolnej debaty. Pan Hardy słuchał go wówczas i uznał, że ten chłopiec ma przed sobą przyszłość.

Perry nie posiadał się z dumy i przechwalał zaproszeniem przed Emilką i Tedem — ale nie przed Ilzą, która nie wybaczyła mu jeszcze nietaktu popełnionego po debacie. Emilka była uradowana, ale ostrzegła Perry’ego, że będzie musiał uważać w domu dyrektora. Miała pewne wątpliwości co do jego manier, choć sam Perry nie miał żadnych. Oświadczył wyniośle, że da sobie radę.

Teraz wspiął się na parapet, a Emilka przysiadła na sofie, pamiętając, że ma to zająć najwyżej minutę.

— Przechodziłem tędy i zobaczyłem światło w oknie — powiedział Perry. — Pomyślałem sobie, że rzucę okiem, czy to przypadkiem nie ty. Chciałem ci od razu opowiedzieć o wszystkim. Miałaś rację, Emilko. R-a-c-j-ę! Nie chciałbym drugi raz przeżyć takiego wieczoru, nawet za sto dolarów.

— Jak ci poszło? — zapytała z niepokojem Emilka. Czowała się poniekąd odpowiedzialna za maniery Perry’ego. W końcu nabył ich w Księżycowym Nowiu.

Perry uśmiechnął się szeroko.

— To rozdzierająca historia. Straciłem nieco dobrego mniemania o sobie. Pewnie powiesz, że tym lepiej dla mnie.

— Zawsze byłeś zarozumiały — odparła chłodno Emilka. Perry wzruszył ramionami.

— No cóż, opowiem ci wszystko, tylko nie powtarzaj tego Ilzie ani Tedowi. Nie chcę, żeby się ze mnie śmiali. Przyszedłem na ulicę Królewską — punktualnie. Pamiętałem, co mi mówiłaś o butach, krawacie, paznokciach i chusteczce do nosa, i wyglądałem porządnie. Kiedy stanąłem przed drzwiami, zaczęły się kłopoty. Dom był taki okazały, że poczułem się nieswojo, ale nie bałem się... jeszcze nie... tylko czułem, że wystarczy byle co, a podskoczę... jak kot, którego ktoś obcy próbuje pogłaskać. Nacisnąłem dzwonek. Zaciął się oczywiście i dzwonił jak oszalały, bez przerwy. Słyszałem, jak rozlega się w całym hallu, i pomyślałem sobie: „No tak, teraz dojdą do wniosku, że nie umiem się zachować i będę dzwonił dopóty, dopóki ktoś mi nie otworzy”. To mnie zdenerwowało. A jeszcze bardziej zdenerwował mnie widok pokojówki. Nie wiedziałem, czy powinienem podać jej rękę czy nie.

— Och, Perry!

— No, nie zrobiłem tego. Nigdy przedtem nie byłem w domu, gdzie są takie pokojówki... wystrojone, w czepeczku i frymuśnym fartuszk. Poczuję się niewart nawet centa.

— Ale czy podałeś jej rękę?

— Nie.

Emilka odetchnęła z ulgą.

— Przytrzymała drzwi, a ja wszedłem... wszedłem i stanąłem w hallu. Nie wiedziałem, co mam robić dalej. Chyba zapuściłbym korzenie, gdyby nie wyszedł do mnie sam pan Hardy. To on podał mi rękę i pokazał, gdzie mam powiesić płaszcz i kapelusz, a potem zaprowadził mnie do salonu, żeby przedstawić żonie. Podłoga była śliska jak lód i kiedy stanąłem na

dywaniku za drzwiami salonu, wypchnął mi się spod nóg i runąłem jak długi prosto przed panią Hardy. Gdybym leżał na plecach, a nie na brzuchu, byłby ze mnie całkiem niezły wschodni dywan, no nie?

Emilka nie potrafiła się śmiać.

— Och, Perry!

— Jak rany, Emilko, to nie była moja wina. Żadna etykieta na świecie nie mogła temu zapobiec. Oczywiście czułem się głupio, ale wstałem ze śmiechem. Nikt inny się nie śmiał. Wszyscy zachowali się bardzo przyzwoicie. Pani Hardy przełknęła to gładko i wyraziła nadzieję, że nie zrobiłem sobie krzywdy, a pan Hardy powiedział, że on sam pośliznął się niejedną raz, odkąd zmienili dobre stare dywany na te małe chodniczki i położyli świeżą klepkę. Bałem się poruszyć, więc usiadłem na najbliższym krześle. Okazało się, że leży na nim piesek... pekińczyk pani Hardy. Och, nie zabiłem go. Najadłem się więcej strachu niż on. Zanim dotarłem do innego krzesła, pot ściekał mi po twarzy strumieniami. Wtedy właśnie nadeszli inni goście i mogłem wziąć się w garść, bo przez chwilę nikt na mnie nie patrzył. Odkryłem, że mam z dziesięć par rąk i nóg. Moje buty były wielkie i ordynarne. A potem zdałem sobie sprawę, że trzymam ręce w kieszeniach i pogwizduję.

Emilka otworzyła usta, ale zdławiła kolejne „Och, Perry!”. Czy warto było cokolwiek mówić?

— Wiedziałem, że to niewłaściwe, więc przestałem gwizdać, wyjąłem ręce z kieszeni i zacząłem obgryzać paznokcie. W końcu podłożyłem ręce pod siebie, a nogi schowałem pod krzesłem. Siedziałem tak, dopóki nie podano kolacji... Siedziałem też, kiedy wtoczyła się jakaś gruba, starsza dama i wszyscy mężczyźni wstali. Ja nie wstałem... nie widziałem powodu... krzesła było pod dostatkiem. Ale potem przyszło mi do głowy, że pewnie wymaga tego etykieta i że też powinienem był wstać. Czy tak?

— Oczywiście — odparła ze znużeniem Emilka. — Nie pamiętasz, że Ilza ciągle cię besztala.

— Och, zapomniałem... Ilza bez przerwy o czymś głądziła. Ale człowiek uczy się na błędach. Słowo daję, że już będę pamiętał. Byli tam trzej czy czterej inni chłopcy, nowy nauczyciel francuskiego, paru bankierów i jakieś damy. Dotarłem do stołu nie przewracając się po drodze i usiadłem między panią Hardy a tą starszą panią, o której mówiłem. Spojrzałem na stół i wreszcie zrozumiałem, Emilko, co to jest strach. Słowo honoru, że wcześniej nie wiedziałem. To okropne uczucie. Miałem pietra jak nie wiem co. Przedtem uważałem, że proszone kolacje w Księżycowym Nowiu są strasznie wytworne, ale w życiu nie widziałem czegoś takiego jak ten stół. Wszystko oślepiająco błyszczało, a widelców, łyżek i innych rzeczy było tam tyle, że wystarczyłoby chyba dla całego miasta. W mojej serwetce był kawałek chleba, który oczywiście zaraz spadł na podłogę. Czulem, że twarz i szyja robią mi się całkiem czerwone. Przypuszczam, że nazywasz to rumienieniem się. Nie pamiętam, żebym się kiedyś rumienił. Nie wiedziałem, czy powinienem wstać i podnieść chleb czy nie. Potem pokojówka przyniosła mi nowy. Zacząłem jeść zupeł niewłaściwą łyżką, ale starałem się pamiętać, co twoja ciotka Laura mówiła o jedzeniu zupy. Na początku szło mi nieźle, ale potem zaciekawilo mnie czyjeś opowiadanie... i siorbnałem.

— Czy przechyliłeś talerz, żeby wybrać ostatnią łyżkę? — zapytała z rozpaczą Emilka.

— Nie, właśnie zamierzałem to zrobić, kiedy sobie przypominałem, że nie powinienem. A szkoda, bo zupa była pyszna, a ja byłem głodny. Poczciwa staruszka, siedząca obok mnie, zrobiła to. Poradziłem sobie dość dobrze z mięsem i jarzynami, tylko raz napakowałem na widelec całą furę mięsa i ziemniaków i kiedy go podnosiłem, zauważyłem, że przygląda mi się pani Hardy. Przypomniałem sobie, że nie należy tyle nabierać na widelec... drgnąłem, i wszystko spadło mi na serwetkę. Nie wiedziałem, czy wypada to zebrać i położyć z powrotem

na talerzu, więc zostawiłem wszystko tam, gdzie było. Pudding był nie najgorszy, tyle że jadłem go łyżką... tą od zupy... a wszyscy inni używali widelców. Ale smakował tak samo, a ja stałem się trochę nieuważny. W Księżycowym Nowiu zawsze jecie pudding łyżkami.

— Dlaczego nie przyglądałeś się, co robią inni, i nie naśladowałeś ich?

— Nerwy. Ale jedno ci powiem: mimo całego stylu, jedzenie wcale nie było lepsze niż w Księżycowym Nowiu... A nawet gorsze, mówiąc szczerze! Kuchnia twojej ciotki Elżbiety bije na głowę kuchnię Hardy'ch, a w dodatku dają za małe porcje! Po kolacji wróciliśmy do salonu... oni nazywają go bawialnią... i tam poszło mi całkiem nieźle. Przewróciłem tylko biblioteczkę, a poza tym nie zrobiłem nic niewłaściwego.

— Perry!

— Stała bardzo niepewnie. Oparłem się o nią rozmawiając z panem Hardym i chyba okazałem się za ciężki, bo ten zatracony mebel nagle runął. Ustawiając go na miejscu i zbierając książki rozluźniłem się trochę i potem nie byłem już taki spięty. Nieźle dawałem sobie radę, tylko czasami wrywały mi się gwarowe powiedzenia. Naprawdę chciałem zastosować się do twoich rad i mówić poprawnie. Raz owa starsza, gruba dama przyznała mi rację... rozsądna kobieta, choć z potrójnym podbródkiem... i tak mi pochlebiło, że stanęła po mojej stronie, że w podnieceniu palnąłem: „O co zakład?”, zanim zdążyłem pomyśleć. I chyba trochę się przechwalałem. Czy ja za bardzo się chwalam, Emilko?

To pytanie przyszło Perry'emu do głowy po raz pierwszy.

— Owszem — odparła szczerze Emilka — a to jest bardzo źle widziane.

— Cóż, czułem się potem jakoś głupio. Muszę się chyba jeszcze dużo nauczyć... Kupię sobie podręcznik dobrych manier i nauczę się go na pamięć. Taki wieczór już mi się nie przydarzy. Ale na końcu było lepiej. Jim Hardy zabrał mnie do swojego pokoju i graliśmy w warcaby. Ograłem go do suchej nitki. Możesz mi wierzyć, że w warcabach nie można nic

zarzucić mojej etykietce. Pani Hardy powiedziała, że mowa, którą wygłosiłem podczas debaty, była najlepszą, jaką słyszała z ust chłopca w moim wieku. Chciała wiedzieć, co zamierzam robić w przyszłości. Jest wielką damą, choć taka nieduża, i zawsze wie, jak się zachować. Dlatego właśnie chcę ożenić się z tobą, Emilko, jak przyjdzie czas. Moja żona musi mieć poukładane w głowie.

— Nie mów głupstw, Perry — odparła wyniośle Emilka.

— To nie głupstwa — upierał się Perry. — Najwyższy czas, żebyśmy coś ustalili. Nie powinnaś kręcić na mnie nosem, mimo że jesteś Murrayówną. Kiedyś będę dobrą partią, nawet dla rodziny Murrayów. No, Emilko, wybaw mnie z niedoli.

Emilka wstała ze wzgardą. Jak wszystkie dziewczęta, miała swoje marzenia, wśród nich także różową wizję miłości, lecz nie było w niej miejsca dla Perry’ego Millera.

— Nie jestem Murrayówną... a poza tym idę już na górę. Dobranoc.

— Zaczekaj sekundę! — Perry wyszczerzył zęby. — Kiedy zegar wybije jedenastą, zamierzam cię pocałować.

Emilka ani przez chwilę nie wierzyła, że Perry może zrobić coś podobnego — co było niemądre z jej strony, bo Perry miał zwyczaj wprowadzania w czyn każdego swojego zamiaru. Z drugiej jednak strony nigdy nie bywał sentymentalny. Zlekceważyła zatem jego uwagę, lecz chciała jeszcze, zanim odejdzie, zadać mu jedno pytanie. Perry nie odpowiedział; zegar zaczął właśnie wybijać jedenastą i Perry, przeskoczywszy przez parapet, znalazł się w pokoju. Emilka zrozumiała poniewczasie, że mówił poważnie. Zdażyła jedynie odwrócić głowę i soczysty, energiczny całus Perry’ego — któremu obce były wszelkie subtelności — wylądował na jej uchu zamiast na policzku.

W tej samej chwili, zanim Emilka zdążyła wyrazić swoje oburzenie, wydarzyły się dwie rzeczy. Z werandy wdarł się podmuch wiatru i zgasił świeczkę, a jednocześnie otworzyły się

drzwi jadalni i stanęła w nich ciotka Ruth ze świecą w dłoni, przyodziana w różową flanelową koszulę nocną. Jej podświetlona od dołu, zacięta twarz, okolona aureolą papilotów, przedstawiała ponury widok.

W tym miejscu każdy sumienny bograf musi poczuć, że — jak mówi dobre stare powiedzenie — pióro nie odda sprawiedliwości tej scenie.

Fmilka i Perry skamienieli. Ciotka Ruth zresztą także. Spodziewała się, że zostanie Emilkę przy pisaniu, jak to się już zdarzyło w zeszłym miesiącu, kiedy Emilka odczuła poryw natchnienia idąc do łóżka i wymknęła się do ciepłej jadalni, by zanotować swoje myśli w zeszycie od Jima. Ale to! Muszę przyznać, że sytuacja nie wyglądała najlepiej. Doprawdy, trudno winić ciotkę Ruth za jej słuszne oburzenie.

Ciotka Ruth spojrzała na pechową parę.

— Co tutaj robisz? — zapytała Perry'ego. Wychowanek Piecykowej Rury popełnił błąd.

— Och, szukam kwadratowych jajek — odparł bezceremonialnie, a w jego oczach zabłyśły szelmowskie, swawolne ogniki.

„Bezczelność” Perry'ego — Jak to określiła ciotka Ruth i należy przyznać, że istotnie był bezczelny — jeszcze pogorszyła sprawę. Ciotka zwróciła się do Emilki.

— Może ty mi wyjaśnisz, jak to się stało, że jesteś tutaj o tej porze i całujesz się w ciemnościach z tym chłopakiem?

Emilka drgnęła jak smagnięta biczem, słysząc to szorstkie, wulgarne pytanie. Zapomniała o tym, jak dalece okoliczności usprawiedliwiały ciotkę Ruth. Zawładnął ją duch przekory.

Uniosła dumnie głowę.

— Na takie pytanie nie odpowiem, ciociu Ruth.

— Tak też myślałam.

Ciotka Ruth zaśmiała się bardzo nieprzyjemnie, a w jej śmiechu zabrzmiała cicha,

zgrzytliwa nuta tryumfu. Można by pomyśleć, że mimo całej złości coś ucieszyło ciotkę Ruth.

Cieszy nas, kiedy potwierdza się opinia, jaką zawsze mieliśmy na czyjś temat.

— Może jednak będziesz tak dobra i odpowiesz mi na kilka pytań. Jak ten chłopak tutaj wszedł?

— Oknem — rzucił lakonicznie Perry, widząc, że Emilka nie zamierza odpowiedzieć.

— Nie ciebie pytałam, mój panie. Wyjdź! — rozkazała ciotka Ruth, dramatycznym gestem wskazując okno.

— Nie ruszę się z tego pokoju, dopóki nie zobaczę, co pani zamierza zrobić z Emilka — rzekł z uporem Perry.

— Ja — podkreśliła ciotka Ruth z miną okrutnej obojętności — nie zamierzam nic zrobić z Emilka.

— Pani Dutton, niechże pani ma serce — poprosił przymilnie Perry. — To wszystko moja wina, daję słowo! Emilka nic nie zrobiła. Widzi pani, to było tak...

Ale Perry spóźnił się z wyjaśnieniem.

— Zadałam już pytanie mojej siostrzenicy, lecz ona odmówiła odpowiedzi. Nie mam zamiaru wysłuchiwać ciebie.

— Ale... — nie ustępował Perry.

— Lepiej już idź, Perry — odezwała się Emilka, a wyraz jej twarzy sygnalizował niebezpieczeństwo. Mówiła cicho, lecz nawet najbardziej murrayowski z Murrayów nie mógłby wydać wyraźniejszego rozkazu. Brzmiało w nim coś, czego Perry nie ośmielił się zlekceważyć. Potulnie wdrapał się na okno i zniknął w mroku. Ciotka Ruth zamknęła okno.

Następnie, ignorując Emilkę całkowicie, pomaszerowała na „górze”, majtając różową flanelą.

Emilka niewiele spała tej nocy — i przyznaję, że na to zasłużyła. Gdy gniew opadł,

poczuła ukłucie palącego wstydu. Zdała sobie sprawę, że postąpiła bardzo niemądrze

odmawiając odpowiedzi na pytanie ciotki Ruth. Ciotka miała prawo usłyszeć wyjaśnienia, skoro w jej domu wydarzyło się coś takiego — nawet jeśli zażądała ich w sposób tak paskudny i nieprzyjemny. Oczywiście nie uwierzyłyby w ani jedno słowo, lecz Emilka nie znalazłaby się wówczas w aż tak kłopotliwym położeniu.

Emilka była najzupełniej pewna, że zostanie w niełasce odesłana do Księżycowego Nowiu. Ciotka Ruth za nic nie zgodzi się trzymać takiej dziewczyny pod swoim dachem. Ciotka Elżbieta przyzna jej słusność, a ciotka Laura będzie załamana. Czy lojalność kuzyna Jima przetrwa tę próbę? Była to bardzo przykra perspektywa. Nic dziwnego, że Emilka nie mogła usnąć. Czowała się tak nieszczęśliwa, że każde uderzenie serca sprawiało jej ból. I powtarzam raz jeszcze z całą stanowczością, że zasłużyła na to. Nie mam nic na jej usprawiedliwienie.

XVIII

DOWÓD POŚREDNI

W sobotę przy śniadaniu ciotka Ruth zachowywała kamienne milczenie i uśmiechała się tylko okrutnie do siebie, smarując grzankę masłem. Było widać wyraźnie, że ciotka Ruth jest z siebie zadowolona — w przeciwieństwie do Emilki. Podsunęła siostrzenicy grzanki i marmoladę z zabójczą uprzejmością, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie zrezygnuję ani na jotę z odpowiednich manier. Musisz opuścić mój dom, ale sama będziesz sobie winna, jeśli odejdziesz bez śniadania”.

Po śniadaniu ciotka wyszła do miasta. Emilka domyślała się, że zamierza zatelefonować do doktora Burnleya, by przekazał wiadomość mieszkańcom Księżycowego Nowiu.

Spodziewała się, że po powrocie ciotka każe jej spakować walizkę. Ale ciotka milczała nadal.

Po południu przyjechał podwójnymi saniami kuzyn Jim. Ciotka Ruth wyszła i zamieniła z nim kilka słów. Potem wróciła do domu i wreszcie przerwała milczenie.

— Ubierz się — powiedziała. — Jedziemy do Księżycowego Nowiu.

Emilka usłuchała bez słowa. Usiadła z tyłu sań, a ciotka Ruth usadowiła się obok kuzyna Jima. Kuzyn Jim obejrzał się na Emilkę znad kołnierza swego futra i rzucił: „Witaj, kociątko” tonem odrobinę zbyt pocieszającym. Najwyraźniej uznał, że wydarzyło się coś poważnego, choć nie wiedział co.

Nie była to miła przejażdżka, mimo piękna owego perłowo — szarego, zimowego popołudnia. Równie niemiłe było powitanie w Księżycowym Nowiu. Ciotka Elżbieta miała minę surową, a ciotka Laura — przerażoną.

— Przywiozłam Emilię tutaj, Elżbieto — powiedziała ciotka Ruth — ponieważ uznałam, że nie poradzę sobie z nią sama. Ty i Laura musicie same osądzić jej postępowanie.

A zatem miał się odbyć sąd rodzinny z nią, Emilka, na ławie oskarżonych. Sąd... Czy

mogła liczyć na sprawiedliwość? Cóż, będzie o nią walczyła. Uniosła wysoko głowę, a jej twarz zaróżowiła się nieco.

Gdy zeszła na dół, zastała wszystkich w bawialni. Ciotka Elżbieta siedziała przy stole. Ciotka Laura na sofie, bliska płaczu. Ciotka Ruth stała przed kominkiem, spoglądając z irytacją na kuzyna Jima, który — zamiast udać się do stajni, jak powinien — przywiązał konia do ogrodzenia sadu i usiadł w kącie, postanowiwszy, jak przedtem Perry, zobaczyć, co się stanie z Emilka. Ruth była rozdrażniona. Życzyłaby sobie, aby Elżbieta nie nalegała na uczestnictwo Jima w rodzinnych naradach za każdym razem, kiedy wyrażał na to chęć. To doprawdy niedorzeczne, by przypuszczać, że ten człowiek o umyśle dziecka może mieć tu coś do powiedzenia.

Emilka nie usiadła. Stała przy oknie, a jej ciemna głowa na tle szkarłatnej zasłony wyglądała łagodnie i czysto, jak sosna na tle wiosennego zachodu słońca. Na zewnątrz, nad białym zastygłym światem, zapadał chłodny marcowy zmierzch. Pola za ogrodem i wysokimi topolami wydawały się opustoszałe i posępne, a w oddali biegła krwistoczerwona smuga zachodu. Emilkę przeszył dreszcz.

— Cóż — odezwał się kuzyn Jim — zaczynajmy wreszcie. Emilka na pewno chciałaby zjeść kolację.

— Kiedy będziesz wiedział o niej to co ja, przyznasz, że potrzebuje nie tylko kolacji — rzuciła zgryźliwie pani Dutton.

— Wiem o Emilce tyle, ile trzeba — odparł kuzyn Jim.

— Jimie Murrayu, jesteś osłem — oświadczyła ze złością ciotka Ruth.

— No cóż, jestem twoim kuzynem — zgodził się uprzejmie kuzyn Jim.

— Jim, siedź cicho! — rozkazała majestatycznie ciotka Elżbieta.

— Ruth, powiedz, co masz do powiedzenia.

Ciotka Ruth opowiedziała całą historię. Trzymała się faktów, lecz sposób, w jaki je przedstawiała, sprawiał, że wydawały się gorsze, niż były w istocie. Opowiedziana przez nią historia wyglądała bardzo brzydko i Emilka aż drżała słuchając. Twarz ciotki Elżbiety stawała się coraz chłodniejsza i surowsza, ciotka Laura rozplakała się, a kuzyn Jim zaczął pogwizdywać.

— Całował ją w szyję — zakończyła ciotka Ruth. Z jej tonu wynikało, że wszelkie pocałunki są naganne, lecz całowanie w szyję jest tysiącrotnie bardziej skandaliczne i haniebne.

— Nie w szyję, tylko w ucho — mruknęła Emilka z nagłym, łobuzerskim uśmiechem, którego nie zdołała w porę powściągnąć. Pomimo zakłopotania i lęku czuła, że *Coś* stoi z boku i *bawi się* tą sceną, jej dramatyzmem, jej komizmem. Było to jednak nader niefortunne wystąpienie. Sprawilo, że wydawała się płocha i bezwstydna.

— A zatem pytam was — ciotka Ruth wyciągnęła pulchne ręce — czy można wymagać ode mnie, bym zatrzymała taką dziewczynę pod swoim dachem?

— Nie, nie sędzę — odparła powoli Elżbieta.

Ciotka Laura zaczęła gwałtownie szlochać. Kuzyn Jim z hałasem przesunął krzesło.

Emilka odwróciła się od okna i stanęła przed nimi.

— Chciałabym wyjaśnić, co się stało, ciociu Elżbieto.

— Myślę, że usłyszeliśmy już dosyć — rzekła lodowato ciotka Elżbieta, a jej ton był tym zimniejszy, że ogarnęło ją gorzkie rozczarowanie. Ostatnio coraz bardziej lubiła Emilkę i była z niej dumna na swój powściągliwy, skryty, murrayowski sposób. Odkrycie, że Emilka zdolna jest do takiego postępowania, było dla niej bolesnym ciosem. Ból uczynił ją jeszcze bardziej bezlitosną.

— Nie, ciociu Elżbieto, to nie wystarczy — powiedziała cicho Emilka. — Jestem zbyt

dorośla, żeby mnie tak traktować. *Musisz* mnie wysłuchać.

Jej twarz przybrała murrayowski wyraz, tak dobrze znany Elżbiecie. Ciotka zawahała się.

— Miałaś sposobność wyjaśnić wszystko wczoraj w nocy — burknęła ciotka Ruth — ale nie chciałaś.

— Bo zraniło mnie i rozgniewało to, że ciocia myśli o mnie najgorsze rzeczy — odparła Emilka. — A prócz tego wiedziałam, że ciocia mi nie uwierzy.

— Uwierzyłabym, gdybyś powiedziała prawdę — rzekła ciotka Ruth. — Nie chciałaś nic mówić, bo nie potrafiłaś naprędce wymyślić żadnej wymówki. Teraz, jak przypuszczam, zdążyłaś już coś wykombinować.

— Czy Emilka kiedykolwiek ci skłamała? — zapytał kuzyn Jim. Pani Dutton już otwierała usta, żeby powiedzieć: „tak”, ale zaraz je zamknęła. A jeśli Jim zażąda konkretnego przykładu? Była pewna, że Emilka wielokrotnie zmyślała, ale czy mogła tego dowieść?

— Czy skłamała? — powtórzył nieznośny Jim.

— Nie życzę sobie, żebyś mnie przesłuchiwał — ciotka Ruth odwróciła się do niego plecami. — Elżbieto, zawsze ci mówiłam, że ta dziewczyna jest skryta i przebiegła, czyż nie?

— Owszem — przyznała nieszczęsna Elżbieta, czując pewną wdzięczność, że na to pytanie może odpowiedzieć bez wahania. Ruth niewątpliwie mówiła jej o tym niezliczoną ilość razy.

— I czy to nie dowodzi, że miałam słuszność?

— Obawiam się, że... tak — Elżbieta Murray przeżywała teraz gorzką chwilę.

— A zatem to ty powinnaś podjąć decyzję w tej sprawie — orzekła z tryumfem Ruth.

— Chwileczkę — wtrącił stanowczo kuzyn Jim. — Nie dałyście Emilce nawet cienia szansy obrony. To nieuczciwe. Pozwólcie jej mówić przez dziesięć minut i nie przerywajcie.

— To będzie sprawiedliwe — Elżbieta podjęła decyzję. Tliła się w niej szalona,

nierozsądna nadzieja, że mimo wszystko Emilka zdoła oczyścić się z zarzutów.

— Och... dobrze — pani Dutton zgodziła się niechętnie i opadła na stare krzesło

Archibalda Murraya.

— A teraz, Emilko, powiedz nam, jak to było naprawdę — odezwał się kuzyn Jim.

— Ależ to niesłychane! — wybuchnęła ciotka Ruth. — Czy chcesz powiedzieć, że to, co ja mówiłam, jest nieprawdą?

Kuzyn Jim uniósł rękę.

— Już dobrze, dobrze, powiedziałaś swoje. Teraz ty, kociątko. Emilka opowiedziała wszystko od początku do końca. Mówiła przekonywająco. Przynajmniej troje słuchaczy uwierzyło jej i wielki ciężar spadł im z serca. Nawet ciotka Ruth wiedziała w głębi duszy, że Emilka mówi prawdę, ale nie była skłonna tego przyznać.

— Doprawdy, bardzo pomysłowa historyjka — rzekła drwiąco. Kuzyn Jim wstał i podszedł do pani Dutton. Pochylił się nad nią i przysunął blisko różową, okoloną siwiejącymi kędziorami twarz z rzadką bródką i dziecięcymi, brązowymi oczyma.

— Ruth Murray — przemówił — czy pamiętasz, co mówiono przed czterdziestu laty o tobie i Fredzie Blair? Pamiętasz?

Ciotka Ruth odsunęła się wraz z krzesłem. Kuzyn Jim postąpił krok naprzód.

— Czy pamiętasz, że znalazłaś się wtedy w jeszcze gorszych tarapatach? Czy nie tak było?

Nieszczęsna ciotka Ruth cofnęła się ponownie. Jim nacierał dalej.

— Czy pamiętasz, jaka byłaś wściekła, że nikt ci nie wierzy? Ale twój ojciec uwierzył... zaufał swojej krwi. Czy tak było?

Ciotka Ruth dotarła już z krzesłem do ściany i musiała się poddać.

— Tak... pamiętam — odparła krótko.

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamki. Emilka spoglądała na nią z

zaciekawieniem. Czyżby ciotka Ruth zaczynała się rumienić? Istotnie, Ruth Dutton przeżyła za młodu kilka przykrych miesięcy. Jako osiemnastoletnia dziewczyna znalazła się w dość paskudnym położeniu. A była niewinna, najzupełniej niewinna. Padła ofiarą nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności. Ojciec uwierzył w jej wyjaśnienia, a rodzina stanęła po jej stronie. Inni jednak uwierzyli faktom — i wierzyli w nie przez lata. Być może nawet wierzyli do tej pory, jeśli jeszcze o tym myśleli. Ruth Dutton zadrżała na wspomnienie cierpień, jakich przysporzył jej ten skandal. Nie odważyła się już powątpiewać w opowieść Emilki, ale nie mogła ulec tak łatwo.

— Jimie — przemówiła ostro — czy zechciałbyś łaskawie odejść ode mnie i usiąść?

Przypuszczam, że Emilia mówi prawdę... szkoda, że dopiero teraz się zdecydowała. I jestem pewna, że ten osobnik zalecał się do niej.

— Nie. Prosił mnie tylko o rękę — odparła chłodno Emilka.

W pokoju rozległy się trzy westchnienia. Przemówić zdołała jedynie ciotka Ruth:

— A czy zamierzasz mu ją oddać, jeśli wolno spytać?

— Nie. Powtarzałam mu to kilkakrotnie.

— No cóż, cieszę się, że masz choć tyle rozsądku. Piecykowa Rura, doprawdy!

— Piecykowa Rura nie ma tu nic do rzeczy. Za dziesięć lat Perry Miller będzie kimś, kogo nawet Murrayowie przyjąliby z zachwytem. Ale tak się składa, że on nie jest w moim typie, to wszystko.

Czy to mogła być Emilka — ta wysoka, młoda kobieta, która chłodno wyjaśnia, dlaczego odrzuciła oświadczyzny, i mówi o swoich „typach”? Elżbieta, Laura, nawet Ruth, spojrzały na nią, jakby widziały ją po raz pierwszy. W ich spojrzeniu pojawił się nowy odcień — szacunku. Wiedziały oczywiście, że Andrzej zamierza... zamierza... krótko mówiąc, że Andrzej zamierza. Ale niewątpliwie muszą minąć lata, zanim Andrzej zapyta... no, po prostu

zapyta! A tymczasem uczynił to już inny wielbiciel, i w dodatku, „kilkakrotnie”. Macie pojęcie? W owej chwili, choć nie były tego świadome, przestały uważać Emilkę za dziecko. Przekroczyła granicę ich świata i odtąd musiały traktować ją jak równą sobie. Sądy rodzinne należały do przeszłości. Choć nie zauważyły tego, czuły to z pewnością, czego dowiodła następna uwaga ciotki Ruth. Odezwała się do Emilki niemal tak, jak mogłaby się zwrócić do Laury lub Elżbiety, gdyby nakazywał jej to obowiązek:

— Pomyśl tylko, Emilio, co by było, gdyby ktoś akurat przechodził i zauważył Perry’ego Millera przy oknie o tej porze?

— Tak, naturalnie, doskonale rozumiem punkt widzenia cioci. Pragnę tylko, żeby ciocia zrozumiała mój. Postąpiłam niemądrze otwierając okno i rozmawiając z Perrym, przyznaję. Po prostu nie pomyślałam... a potem tak mnie zaciękała jego opowieść o kolacji u pana Hardy’ego, że zapomniałam, która godzina.

— Perry Miller był na kolacji u pana Hardy’ego? — spytała ciotka Elżbieta. Doznała kolejnego wstrząsu. Świat Murrayów musiał dosłownie przewrócić się do góry nogami, skoro ktoś z Piecykowej Rury został zaproszony do domu przy ulicy Królewskiej. W tej samej chwili ciotka Ruth uświadomiła sobie ze zgrozą, że Perry Miller widział ją w różowej flanelowej koszuli nocnej. Przedtem nie miało to znaczenia — był tylko parobkiem w Księżycowym Nowiu. Teraz był już gościem państwa Hardy.

— Owszem, pan Hardy uważa, że jest błyskotliwym mówcą i ma przed sobą przyszłość — odparła Emilka.

— Cóż — burknęła ciotka Ruth — wolałabym, abys nocami nie wałęsała się po domu i nie pisała powieści. Gdybyś leżała w łóżku, jak powinnaś, to by się nie zdarzyło.

— Nie pisałam powieści! — zaprotestowała Emilka. — Nie napisałam ani słowa fikcji od czasu, kiedy dałam słowo cioci Elżbiecie. Nic wtedy nie pisałam. Mówiłam przecież, że

zeszłam tylko po zeszyt.

— Dlaczego nie mogłaś go tam zostawić do rana? — nie ustępowała ciotka Ruth.

— Dość już, dość! — wtrącił kuzyn Jim. — Nie zaczynajcie od nowa. Czas na kolację.

Ruszcie się, dziewczęta.

Elżbieta i Laura potulnie wyszły z pokoju, jak gdyby usłyszały rozkaz samego Archibalda Murraya. Ruth dołączyła do nich po chwili. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, ale w końcu uległa. Nie byłoby miło, gdyby taki skandal dotyczący Murrayów stał się powszechnie znany, co niewątpliwie miałyby miejsce, gdyby uznano Emilkę winną.

— Więc sprawa załatwiona — zwrócił się kuzyn Jim do Emilki, kiedy ciotka Ruth zamknęła za sobą drzwi.

Emilka odetchnęła głęboko. Cichy, pełen godności stary pokój wydał jej się nagle piękny i przyjazny.

— Tak, dzięki tobie — odparła i gorąco uściskała kuzyna. — A teraz skrzyucz mnie, kuzynie, skrzyucz mnie porządnie.

— Nie, nie... Ale czy nie byłoby rozsądniej nie otwierać tego okna, kociątko?

— Oczywiście. Tylko że rozsądek bywa czasami taką przyziemną cnotą... człowiek chciałby po prostu iść naprzód i... i ...

— Nie zważać na konsekwencje — podsunął kuzyn Jim.

— Coś w tym rodzaju — zaśmiała się Emilka. — Nie chcę skradać się przez życie w ciągłym lęku, że ktoś mnie obserwuje i nie mogę zrobić jednego odważnego kroku. Chcę „swobodnie machać ogonem i kroczyć własnymi ścieżkami”. Nic złego się nie stało, że otworzyłam okno i rozmawiałam z Perrym. Nawet to, że próbował mnie pocałować, nie było naprawdę niczym złym. Chciał mi tylko dokuczyć. Och, nienawidzę konwenansów. Jak powiedziałaś: nie zważajmy na konsekwencje.

— Jednak musimy, kociątko... w tym cały kłopot. To one mogą nie zważać na nas.

Wyobraź sobie... bo chyba możesz sobie wyobrazić... że jesteś dorosła, zamężna i masz córkę w takim wieku jak ty teraz. Schodzisz pewnej nocy na dół i zastajesz ją w takiej sytuacji, w jakiej ciotka Ruth zastała ciebie i Perry'ego. Czy to by ci się podobało? Czy byłabyś zadowolona? Powiedz szczerze.

Emilka przez chwilę wpatrywała się w ogień.

— Nie — odparła wreszcie. — Ale to co innego. Nie wiedziałabym, co się dzieje.

Kuzyn Jim zachichotał.

— No właśnie! Inni po prostu też nie wiedzą. Dlatego musimy uważać. O, jestem tylko głupim Jimem Murrayem, ale wiem, że musimy uważać na każdy swój krok. Kociątko, dostaniemy na kolację żeberka z rusztu.

Smakowita woń napłynęła z kuchni — domowy, miły zapach, który nie miał nic wspólnego z niejasnymi sytuacjami i rodzinnymi skandalami. Emilka raz jeszcze uścisnęła kuzyna Jima.

— Wolę jeść korzonki z kuzynem Jimem niż żeberka z ciotką Ruth — oświadczyła.

„NAPOWIETRZNE GŁOSY”

3 kwietnia 19...

Bywają takie chwile, kiedy skłonna jestem wierzyć w złą gwiazdę i pechowe dni. Inaczej jak mogłyby się przytrafiać ludziom dobrej woli rzeczy tak szatańskie? Zaledwie ciotka Ruth zmęczyła się wypominaniem mi owej nocy, kiedy to Perry pocałował mnie w jadalni, znalazłam się w kolejnych opałach.

Będę uczciwa. To nie dlatego, że upuściłam parasolkę, ani dlatego, że w zeszłą środę stłukłam kuchenne lustro w Księżycowym Nowiu. Wszystkiemu winna jest moja lekkomyślność.

Prezbiteriański kościół Św. Jana w Shrewsbury od Nowego Roku poszukuje pastora i kandydaci wygłaszają swoje kazania. Pan Towers z „Czasu” poprosił mnie, żebym pisała sprawozdania do gazety, kiedy nie wyjeżdżam do Perlistej Wody. Pierwsze kazanie było dobre i napisałam o nim z przyjemnością. Drugie było nieszkodliwe, zupełnie nieszkodliwe i napisałam o nim bez przykrości. Ale trzecie, z ostatniej niedzieli, było po prostu śmieszne. Powiedziałam o tym ciotce Ruth w drodze do domu, a ona spytała:

— Czy myślisz, że masz prawo krytykować kazania?

Uważam, że tak!

To kazanie było bardzo niespójne. Pan Wickham zaprzeczył sobie kilkanaście razy.

Mieszał metafory, przypisał świętemu Pawłowi słowa Szekspira, dopuścił się niemal wszystkich literackich grzechów, jakie można sobie wyobrazić, a w tym jednego zaiste niewybaczalnego: był»śmiertelnie nudny. Musiałam napisać sprawozdanie, co też uczyniłam. Ale musiałam także wyrzucić to z siebie. Był to czyn szalony, lecz zachwycający.

Wydobyłam wszelkie niespójności, pomyłki, słabe punkty i potknięcia. Sprawilo mi to

przyjemność. Zawarłam w tym tyle krytyki, satyry i diaboliczności, ile się tylko dało... O, przyznaję, że był to bardzo zjadliwy opis.

A potem przez pomyłkę wysłałam go do „Czasu”.

Pan Towers przekazał go maszynistce bez czytania. Zawsze okazywał wzruszające zaufanie moim tekstom i chyba utracił je na zawsze. Artykuł ukazał się następnego dnia.

Obudziłam się w niesławie.

Myślałam, że pan Towers będzie wściekły, ale okazało się, że jest tylko lekko zirytowany — i w głębi serca odrobinę rozbawiony. Oczywiście byłoby inaczej, gdyby pan Wickham był tutejszym pastorem. Skoro jednak nie jest, nikt nie przywiązuje wagi do niego i jego kazania, a pan Towers jest prezbiterianinem, więc wierni z kościoła Św. Jana nie mogą mu zarzucić, że chciał *ich* obrazić. Cały ciężar potępienia spada zatem na głowę nieszczęsnej Emilii B.

Wydaje się, że panuje powszechne przekonanie, iż chciałam się „popisać”. Ciotka Ruth jest wściekła, ciotka Elżbieta oburzona, ciotka Laura zasmucona, a kuzyn Jim zaniepokojony.

Krytykowanie kazań to rzecz skandaliczna. W tradycji Murrayów kazania pastorów, zwłaszcza prezbite — riańskich, są nietykalne. Ciotka Elżbieta oświadczyła zimno, że moje zarozumiałstwo i próżność doprowadzą mnie kiedyś do zguby. Jedynie pan Carpenter jest zadowolony. (Dean przebywa teraz w Nowym Jorku. Wiem, że jemu także by się to podobało.) Pan Carpenter mówi wszystkim, że moje „sprawozdanie” to najlepsza rzecz tego rodzaju, jaką czytał. Ale pana Carpentera podejrzewa się o herezję, więc jego rekomendacja w niczym mi nie pomoże.

Jestem przygnębiona z tego powodu. Moje błędy martwią mnie czasami bardziej niż moje grzechy. A jednak coś bezbożnego, gdzieś na dnie mego serca, śmieje się z tego wszystkiego.

Każde słowo mojego „sprawozdania” było zgodne z prawdą. A co więcej — właściwe. *Ja* nie pomyliłam metafor.

Teraz muszę zmazać ten występpek!

20 kwietnia 19...

„Obudź się, północny wicherze, i przybądź na południe. Ponieś w dal wonie mojego ogrodu”.

Tak śpiewałam, krocząc dziś wieczorem po Wyniosłej Krainie, tyle że zamieniłam „ogród” na „las”. Wiosna jest tuż — tuż i z radości zapominam o wszystkim.

Świt był szary i dżdżysty, ale po południu wyszło słońce, a wieczorem poczułam lekki, kwietniowy przymrozek, który sprawił tylko, że ziemia nie była grząska. Miałam wrażenie, że w taką noc można spotkać na odludziu pradawnych bogów. Ale wśród jodeł napotkałam tylko jakieś skradające się stwory, które *mogły* być chochlikami, o ile nie były zwykłymi cieniami.

(Zastanawiam się, dlaczego *chochlik* jest słowem tak uroczym, a *chochla* tak

przyziemnym? I dlaczego słowo *cienisty* nasuwa tak piękne skojarzenia, natomiast słowo *zacieniony* brzmi tak nieładnie?)

Wspinając się na wzgórze słyszałam najrozmaitsze czarodziejskie dźwięki, a każdy z nich budził we mnie żywą, choć ulotną radość. Wspinaczka na szczyt wzgórza zawsze przynosi satysfakcję. A ja kocham to wzgórze. Stałam na jego szczycie, a piękno wieczoru przepływało przeze mnie jak muzyka. Jakże Królowa Wiatru śpiewała wśród brzoź... jak pogwizdywała w strzępiastych koronach drzew na tle nieba! Nad zatoką zawisł jeden z trzynastu tegorocznych srebrnych księżyców w nowiu. Stałam tak, rozmyślając o wielu, wielu pięknych rzeczach: o dzikich, swobodnych potokach płynących przez pola w świetle kwietniowych gwiazd, o falującym, szarym atlasie mórz, o uroku wiązu w świetle księżyca, o korzeniach wibrujących pod ziemią, o śmiechu sów w ciemności, o spienionej pianie na długim, piaszczystym wybrzeżu, o nowiu księżyca zachodzącego za ciemne wzgórze, o szarości burzowych chmur nad zatoką.

Miałam przy duszy zaledwie siedemdziesiąt pięć centów, ale raję nie kupuje się za pieniądze.

Potem usiadłam na starym głązie i próbowałam przelać owe chwile ulotnego szczęścia w wiersz. Chyba dość dobrze uchwyciłam ich kształt — lecz nie ducha. Duch mi się wymknął. Było już zupełnie ciemno, gdy wracałam do domu, i moja Wyniosła Kraina wydawała się odmieniona. Wyglądała niesamowicie... niemal złowrogo. Puściłabym się pędem, gdybym się odważyła. Drzewa, moi starzy i dobrze znani przyjaciele, stały się obce i dalekie. Dźwięki, które słyszałam, nie były już wesołymi, towarzyskimi odgłosami dnia ani przyjaznymi, czarodziejskimi odgłosami zmierzchu. Były ukradkowe i niesamowite, jak gdyby w leśnym poszyciu zrodziło się nagle coś niemal wrogiego... a przynajmniej coś skrytego i nieznanego. Wyobraziłam sobie, że słyszę skradające się kroki... że jakieś dziwne oczy obserwują mnie z zarośli. Gdy wyszłam na otwartą przestrzeń i przeskoczyłam przez ogrodzenie na tylne podwórko domu ciotki Ruth, miałam uczucie, że umknęłam z fascynującego, lecz niezbyt przytulnego miejsca, którym zawładnęły pogańskie moce i rozhulani satyrowie. Nie sądzę, aby ciemny las był w pełni chrześcijańskim miejscem. Wre w nim ukryte życie, które nie ośmiela się ukazać w blasku słońca, lecz nocą obejmuje las w posiadanie.

— Nie powinnaś wychodzić z tym kaszlem w taką wilgoć — powiedziała ciotka Ruth.

Ale to nie wilgoć wyrządziła' mi krzywdę — bo *czułam się* skrzywdzona. To ów cichy, fascynujący szept czegoś bezbożnego. Budził we mnie lęk, a jednak pokochałam go. Piękno, które zachwyciło mnie na wzgórzu, nieoczekiwanie utraciło smak. Usiadłam w pokoju i napisałam drugi wiersz. Poczulałam wówczas, że wypędziłam coś z duszy, a Emilka — w — Zwierciadle przestała mi się wydawać kimś obcym.

Ciotka Ruth przyniosła mi właśnie kubek gorącego mleka z pieprzem tureckim jako

lekarstwo na kaszel. Postawiła to na stole... muszę to wypić... a raj i pogańska kraina wydają mi się teraz bardzo niemądre i nierzeczywiste!

25 maja 19...

W piątek Dean wrócił z Nowego Jorku i wieczorem spacerowaliśmy, rozmawiając, po ogrodzie w Księżycowym Nowiu. Zapadał przedziwny, niesamowity zmierzch po dżdżystym dniu. Miałam na sobie lekką sukienkę i Dean, zbliżając się do mnie, powiedział:

— Gdy cię ujrzałem, wydało mi się, że widzę białą, dziką wiśnię... taką jak ta — i wskazał drzewko jaśniejące w mroku koło zagajnika j Dumnego Jana.

To porównanie było tak piękne, że chociaż może niezbyt trafne, wprawiło mnie w dobre samopoczucie. Wspaniale było mieć: drogiego, starego Deana z powrotem. Spędziliśmy przemiły wieczór, zerwaliśmy duży bukiet bratków kuzyna Jima i patrzyliśmy na potężne, fioletowo — szare masy chmur na wschodzie, podczas gdy na zachodzie niebo było przejrzyste i usiane gwiazdami.

— Przy tobie gwiazdy są bardziej gwiazdziste, a bratki barwniejsze — rzekł Dean.

Na odchodnym wręczył mi płaską paczuszkę, którą trzymał pod pachą.

— Przywiozłem ci to, żeby zrównoważyć lorda Byrona — powiedział.

Była to oprawiona w ramy kopia „Portretu Giovanny Degli Albizzi, żony Lorenza Tornabuoni Ghirlanjo”, damy z epoki quattrocenta. Zabrałam ją do Shrewsbury i powiesiłam w pokoju. Bardzo lubię patrzeć na lady Giovannę — smukłą, młodą piękność o lśniących, bladozłocistych lokach, subtelnym, wytwornym profilu (czy malarz jej pochlebił?), białej szyi i jasnym, niezmaconym czole, owianym nieokreśloną aurą świętości, nieuchwytności i przeznaczenia... gdyż lady Giovanna umarła młodo.

A jej aksamitne, haftowane rękawy z nacięciami i bufami są przepięknie skrojone i doskonale podkreślają ramiona. Lady Giovanna musiała mieć dobrą krawcową i pomimo

całej świętości sprawia wrażenie, że jest tego w pełni świadoma. Zawsze żałuję, że nie może odwrócić głowy i ukazać mi całej twarzy.

Ciotka Ruth uważa, że lady Giovanna wygląda dziwnie i najwyraźniej ma wątpliwości, czy to stosowne trzymać ją w jednym pokoju z litografią obsypanej klejnotami królowej Aleksandry.

Sama w to wątpię.

10 czerwca 19...

Uczę się teraz tylko nad sadzawką w Wyniosłej Krainie, wśród cudownych, wysokich, smukłych drzew. Jestem leśną kapłanką... Drzewa budzą we mnie coś więcej niż miłość — uwielbienie.

Drzewa, w odróżnieniu od większości ludzi, zawsze zyskują przy bliższym poznaniu.

Niezależnie od tego, jak bardzo się je lubi na początku, z czasem lubi się je jeszcze bardziej, a najbardziej wówczas, gdy zna się je od lat i przeżywa z nimi wszystkie pory roku. Wiem o drzewach Wyniosłej Krainy sto miłych rzeczy, których nie wiedziałam dwa lata temu.

Drzewa różnią się od siebie tak samo jak ludzie. Nie ma dwóch identycznych świerków.

Każdy ma jakiś sęk, wygięcie, narośl lub gałązkę, które odróżniają go od towarzyszy.

Niektóre drzewa są towarzyskie, lubią rosnać blisko siebie, splecione gałęziami, zupełnie jak

Ilza i ja, gdy obejmujemy się ramionami, wiecznie szepcząc sobie jakieś tajemnice. Są także

drzewa rosące grupkami, po cztery czy pięć, przypominające klan Murrayów; i są

samotnicy, którzy wybrali odosobnienie i rozmawiają wyłącznie z podniebnym wiatrem.

Często właśnie oni są najbardziej warci bliższego poznania. Czuje się, że pozyskanie ich

zaufania jest większym tryumfem niż w przypadku innych, towarzyskich drzew. Dzisiaj

niespodziewanie zobaczyłam wielką, pulsującą gwiazdę, spoczywającą na samym czubku

potężnej jodły, która rośnie samotnie po wschodniej stronie — i miałam wrażenie, że oto

spotykają się dwaj władcy; wrażenie, które pozostanie mi na długo i doda czaru wszystkiemu — nawet szkolnym obowiązkom, myciu naczyń i sobotnim porządkom u ciotki Ruth.

25 czerwca 19...

Zdawaliśmy dzisiaj egzamin z historii — z epoki Tudorów. Uważam ją za fascynującą, ale najbardziej ciekawi mnie to, czego *nie ma* w podręcznikach. Ich autorzy nie piszą — *nie mogą* napisać — tego, co człowiek naprawdę chciałby wiedzieć. O czym myślała Jane Seymour, gdy leżała bezsennie w ciemności? O zamordowanej Annie czy o bladej, porzuconej Katarzynie? A może tylko o kroju swej nowej j krezy? Czy pomyślała kiedykolwiek, że zbyt drogo zapłaciła za koronę, czy była zadowolona z obrotu spraw? I czy była szczęśliwa przez tych kilka godzin po narodzinach synka, czy może ujrzała; widmowy pochod wzywający ją, by doń dołączyła? Czy lady Jane Grey była „Janka” dla przyjaciół i czy *kiedykolwiek* wpadła w złość? Co naprawdę myślała o Szekspirze jego żona? I czy choć jeden mężczyzna *szczerze* kochał królową Elżbietę? Zawsze zadaję sobie podobne pytania, studiując ten korowód królów, królowych, geniuszy i marionetek przedstawiony w szkolnym podręczniku jako „Epoka Tudorów”.

7 lipca 19...

Dwa lata nauki w szkole średniej dobiegły końca. Wyniki moich egzaminów zadowolili nawet ciotkę Ruth. Krótko mówiąc, uzyskałam pierwszą lokatę. To mnie cieszy. Zaczynam jednak pojmować, co miał na myśli Dean, mówiąc, że prawdziwe wykształcenie zdobywa się samemu. Mimo wszystko w ciągu tych dwóch lat najwięcej nauczyły mnie wędrowki po Wyniosłej Krainie, noc w stogu siana, lady Giovanna, stara kobieta, która sprawiła lanie królowi, wysiłki, aby opisywać wyłącznie *fakty* i tym podobne rzeczy. Nawet odmowy druku moich wierszy i niechęć do Eweliny Blake nauczyły mnie czegoś. A gdy mowa o Ewelinie, nie zdała egzaminów i musi powtarzać trzecią klasę. Jest mi naprawdę przykro z tego

powodu.

Brzmi to tak, jakbym była dobroduszną, wybaczącą istotą. Wyznam zatem szczerze:

przykro mi, że jej się nie powiodło, bo gdyby zdała, nie byłoby jej w szkole w przyszłym roku.

20 lipca 19...

Obydwie z Ilzą codziennie chodzimy się kąpać. Ciotka Laura zawsze czujnie sprawdza, czy wzięłyśmy kostiumy. Zastanawiam się, czy nie dotarły do niej jakieś pogłoski o naszej księżycowej kąpieli w samych halkach.

Na razie kąpiemy się wyłącznie popołudniami. Później z rozkoszą rozsiadamy się na nagrzanym, złocistym piasku, a za naszymi plecami rozpościerają się aż po zatokę mgliste wydmy. Przed sobą mamy leniwe, błękitne morze, upstrzone żaglami, które magiczny blask słońca przemienia w srebro. Och, życie jest dobre... dobre... dobre! Nawet pomimo trzech odmów, które dostałam dzisiaj. Nadejdzie dzień, w którym ci sami redaktorzy będą prosili o moje utwory! Tymczasem ciotka Laura uczy mnie, jak należy piec pewien smakowity i skomplikowany tort czekoladowy według przepisu, który przed trzydziestu laty przysłała jej przyjaciółka z Wirginii. Nie zna go nikt w Perlistej Wodzie i musiałam uroczyście obiecać ciotce Laurze, że nikomu nie zdradzę tego sekretu.

Właściwa nazwa tortu brzmi: „Szatańskie ciasto”, ale ciotka Elżbieta nie pozwala jej używać.

2 sierpnia 19...

Odwiedziłam dzisiaj pana Carpentera. Powalił go atak reumatyzmu i widać już, że się starzeje. W tym roku bywał bardzo humorzas — ty w szkole i nawet wpłynęły petycje o odwołanie go, lecz mimo to pozostał. Większość mieszkańców Perlistej Wody ma dość rozsądku, by zauważyć, że pomimo swoich humorów pan Carpenter jest nauczycielem

jedynym na tysiąc.

— Uczenie głupców nie sprzyja łagodności — burczał, kiedy zarząd szkoły powiadomił go o skargach na jego surowość.

Być może z powodu reumatyzmu pan Carpenter dość zgryźliwie odniósł się do wierszy, które przyniosłam mu do oceny. Kiedy przeczytał ten napisany na wzgórzu w kwietniową noc, oddał mi go niedbałym gestem, ze słowami: „Ot, taki sobie, miły bibelocik”.

A ja myślałam, że wyraziłam choć w części urok tamtego wieczoru! Widocznie nie udało mi się to wcale. Następnie wręczyłam panu Carpenterowi wiersz, który napisałam po powrocie do domu. Przeczytał go dwukrotnie, po czym z rozmysłem podarł na strzępy.

— Ależ... dlaczego? — spytałam z pewną irytacją. — W tym wierszu nie było nic złego, proszę pana.

— W formie nie — odparł. — Każdą linijkę z osobna można by czytać w szkółce niedzielnej. Ale *treść*... Na miłość boską, w jakim ty byłaś nastroju, kiedy to pisałaś?

— W nastroju Złotego Wieku — powiedziałam.

— Nie... to musiały być czasy o wiele dawniejsze. Ten wiersz był na wskroś pogański, dziewczyno, choć nie wydaje mi się, żebyś zdawała sobie z tego sprawę. Z literackiego punktu widzenia był z pewnością wart tysiąca twoich ładnych liryków. Niemniej jednak właśnie w tym kryje się niebezpieczeństwo. Trzymaj się lepiej naszego wieku. Jesteś jego częścią i możesz nad nim zapanować bez obaw, że on zapanuje nad tobą. Emilko, w tym wierszu brzmiała szatańska nuta. Takie rzeczy każą mi wierzyć, że poeci są *natchnieni*... przez duchy z jakiegoś innego świata. Czy nie czułaś się *opętana*, gdy to pisałaś?

— Tak — przyznałam, przypominając sobie tamtą chwilę. Poczułam się nawet zadowolona, że pan Carpenter podarł wiersz.

Sama nigdy bym się na to nie zdobyła. Zniszczyłam wiele moich wierszy, które po

pewnym czasie wydały mi się kiepskie, ale ten do nich nie należał — zawsze przywoływał na nowo dziwny czar i grozę tamtej wędrowki. Pan Carpenter miał jednak słuszość — czuję to. Zbeształ mnie także, gdy wspomniałam, że czytałam wiersze pani Hemans. Ciotka Laura ma jeden tomik, bardzo dla niej cenny, oprawny w spłowiały błękit i złoto, z dedykacją od wielbiciela. W czasach ciocinej młodości dawało się ukochanej na urodziny tomik poezji. To, co pan Carpenter mówił o pani Hemans, nie nadaje się do odnotowania w pamiętniku młodej damy. Przypuszczam, że ma wiele racji, ale mimo wszystko *podobają* mi się niektóre wiersze. Tu i ówdzie pojawia się wers lub strofa, których urok powraca do mnie przez wiele dni. Jeden z wersów brzmi: „Powiódł Alaryk zbrojne swe zastępy”... choć nie potrafię wyjaśnić, *dlaczego* mi się podoba. Nigdy nie da się wyjaśnić przyczyny oczarowania. I jest jeszcze następująca zwrotka:

Pośród dźwięków morza, pośród dźwięków nocy

Kłęczy Klotylda, w modłach dłonie splata,

W kaplicy, grobie możnych tego świata,

Na starym prowansalskim brzegu.

Nie jest to wielka poezja, ale kryje się w niej coś magicznego... zwłaszcza w ostatniej linijce, jak mi się wydaje. Zawsze, gdy to czytam, mam uczucie, że *jestem* Klotylda, klęczącą „na starym prowansalskim brzegu”, pod powiewającymi sztandarami dawnych wojsk.

Pan Carpenter szydził z mojego „upodobania do ckliwej tandety” i doradził, żebym poczytała sobie książki o Elsie! Ale gdy wychodziłam, powiedział mi pierwszy komplement, który od niego usłyszałam:

— Podoba mi się twoja niebieska sukienka. I umiesz ją nosić. To dobrze. Nie potrafię ścierpieć widoku źle ubranej kobiety. To mnie aż boli... i musi boleć samego Pana Boga. Nie znoszę bezguścia i jestem pewien, że On również. Cóż, skoro umiesz dobrze się ubrać, to nie

ma znaczenia, że podoba ci się pani Hemans.

W drodze do domu spotkałam Starego Kelly'ego, który dał mi torbę cukierków i kazał „pозdrowić *onego*”.

15 sierpnia 19...

Jest to wspaniały rok dla orlików. Pełno ich w starym sadzie — w odcieniach przepysznej bieli i fioletu, czarodziejskiego błękitu i rozmarzonego różu. Rosną na' pół dziko, dlatego mają urok niedostępny ogrodowym kwiatom. A ich nazwa *orliki* brzmi bardzo poetycznie. O ile piękniejsze są zwyczajne nazwy kwiatów niż te okropne łacińskie, które kwiaciarze umieszczają w katalogach! Naparstnica, firletka, barwinek, lwia paszcza, bławatek, przytulia, czarnuszka, żeniszek, ziele świętojańskie... Och, kocham je wszystkie.

1w rzeźnia 19...

Dzisiaj miały miejsce dwa wydarzenia. Jednym z nich był list, który ciotka Elżbieta dostała od ciotki Nancy. Ciotka Nancy zapomniała o moim istnieniu od owej wizyty w Księżym Stawie przed czterema laty. Żyje nadal, ma lat dziewięćdziesiąt cztery i wszystko wskazuje na to, że jest pełna werwy. W jej liście znalazło się kilka sarkastycznych uwag dotyczących zarówno mnie, jak i ciotki Elżbiety, lecz na końcu zaproponowała, że opłaci cały mój przyszły rok w Shrewsbury, łącznie ze stancją u ciotki Ruth.

Cieszę się z tego. Mimo całego sarkazmu ciotki Nancy nie przeszkadza mi fakt, że będę jej coś zawdzięczała. Ona nigdy mnie nie strofowała ani nie pouczała, ani też nie robiła dla mnie niczego „z obowiązku”. „Do diabła z obowiązkiem — napisała. — Robię to na złość Priestom, a także dlatego, że Wallace zanadto obnosi się ze swoją pomocą w kształceniu Emilki. Zapewne ty także uważasz, że postąpiłaś niezwykle dzielnie. Powiedz Emilce, żeby wracała do Shrewsbury i zdobywała wiedzę, ale niech ją ukrywa, a odsłania kostki”. Ciotka Elżbieta była bardzo zgorzonna i nie pokazała mi tego listu, lecz dowiedziałam się o

wszystkim od kuzyna Jima.

Drugim wydarzeniem było oświadczenie ciotki Elżbiety, że skoro ciotka Nancy będzie łożyła na moje wydatki, ona, Elżbieta, czuje, że powinna zwolnić mnie z obietnicy dotyczącej pisania opowiadań. Powiadomiła mnie, że mogę odtąd robić, co uznam za stosowne.

— Nie pochwałam jednak pisania rzeczy zmyślonych — rzekła z powagą. — Mam nadzieję, że przynajmniej nie zaniedbasz nauki.

O nie, droga ciociu Elżbieto, nie zaniedbam. Ale czuję się jak oswobodzony więzień. Palce mnie świerzbią, by pochwycić pióro, a myśli aż kipią od rozmaitych fabuł. Tyle mam fascynujących, wymarzonych postaci do opisanego! Och, gdyby tylko między *ujrzeniem* czegoś a przelaniem na papier nie istniała tak głęboka przepaść!

— Elżbieta zastanawiała się, czy nie pozwolić ci pisać już od zimy, gdy dostałaś ten czek za opowiadanie — poufnym tonem zdradził mi kuzyn Jim. — Ale nie mogła się na to zdobyć, dopóki list ciotki Nancy nie dostarczył jej pretekstu. Pieniądz wiele znaczy dla Murrayów, Emilko. Czy potrzebujesz więcej jankeskich znaczków?

Pani Kent umożliwi Tedowi naukę jeszcze przez rok. Nie wiadomo, co będzie dalej.

Wracamy do szkoły, a ja jestem taka szczęśliwa, że mam ochotę zapisać to kursywą.

10 września 19...

W tym roku wybrano mnie przewodniczącą trzeciej klasy. A Czaszki i Sowy powiadomiły mnie listownie, że zostałam przyjęta do czcigodnego stowarzyszenia bez konieczności ubiegania się o członkostwo.

Ewelina Blake, nawiasem mówiąc, leży w tej chwili z zapaleniem migdałków.

Przyjęłam funkcję przewodniczącej, ale do stowarzyszenia napisałam list, w którym z niezwykłą uprzejmością zrzekłam się członkostwa.

Po tej czarnej gałce w zeszłym roku, doprawdy!

7 października 19...

Dzisiaj w klasie zapanowało wielkie podniecenie po tym, co ogłosił dyrektor Hardy. Wuj Kathleen Darcy, który jest profesorem u McGilla, przyjechał tu z cyklem wykładów i wpadł na pomysł wyznaczenia nagrody za najlepszy wiersz napisany przez ucznia szkoły średniej w Shrewsbury. Nagrodą są dzieła historyczne Parkmana. Wiersze należy składać do pierwszego listopada i mają być „nie krótsze niż dwadzieścia linijek, a nie dłuższe niż sześćdziesiąt”. Brzmi to tak, jakby podstawowym wymogiem było mierzenie ich miarką. Wieczorem przewertowałam wszystkie zeszyty od Jima i postanowiłam wysłać wiersz „Dziki winogrona”. Jest to mój drugi co do jakości wiersz. Pierwszym jest „Pieśń za sześć pensów”, ale ma tylko piętnaście linijek, a dopisanie dalszych tylko go zepsułoby. Myślę, że mogłabym trochę poprawić „Dziki winogrona”. Są w nim dwa czy trzy słowa, które zawsze budziły moje wątpliwości. Nie wyrażają w pełni tego, co chcę powiedzieć, ale nie potrafię znaleźć innych. Szkoda, że nie można ukuwać nowych słów, jak to robiłam dawno temu w listach do ojca, kiedy wymyślałam słowa w miarę potrzeby. Ale ojciec zrozumiałby je, gdyby mógł przeczytać moje listy, a obawiam się, że nie da się powiedzieć tego samego o sędziach konkursu.

„Dziki winogrona” powinny zdobyć nagrodę. Nie przemawia przede mną pycha, próżność ani zadufanie. Po prostu *wiem*. Gdyby wyznaczono nagrodę w dziedzinie matematyki, musiałyby przypaść Kath Darcy. Za urodę otrzymałaby ją Hazel Ellis, za postępy w nauce — Perry, za recytację — Ilza, za rysunki — Ted. Ale w dziedzinie poezji — tylko E.B.Starr!

Przerabialiśmy w tym roku Keatsa i Tennysona. Lubię Tennysona, choć złości mnie czasami. Jest piękny — nie *zbyt* piękny, jak Keats — Artysta Doskonały. Nigdy jednak nie pozwala nam zapominać, że jest artystą — świadomość ta towarzyszy nam przez cały czas —

nigdy nie dał się ponieść rwącemu nurtowi burzliwych uczuć. Nie — on płynie spokojnie pośród wygładzonych brzegów i wypielęgnowanych ogrodów. A choćby się nawet bardzo kochało ogród, nikt nie chciałby być w nim zamknięty *na zawsze* — czasami człowiek pragnie powędrować przez dziką puszcę. W każdym razie pragnie tego Emilka Byrd Starr — ku utrapieniu krewnych.

U Keatsa *jest* zbyt wiele piękna. Gdy czytam jego poezję, robi mi się duszno od różanej woni i tęsknię za świeżym, mroźnym powietrzem i surowością górskich szczytów. Lecz... och, niektóre jego strofy...

Magiczne okna w pianie niebezpiecznych

Mórz, w utraconych baśniowych krainach...

Kiedy to czytam, ogarnia mnie niemal rozpacz! *Po co* próbować czegoś, co zostało już dokonane raz na zawsze?

Znalazłam jednak inne, inspirujące fragmenty, które zapisałam na ostatniej stronie zeszytu.

Nigdy nie będzie ukoronowany

Nieśmiertelnością ten, komu lęk wzbrania

Podążyć śladem napowietrznych głosów.

O, to prawda... Musimy iść za naszymi „napowietrzными głosami”, iść za nimi — wbrew zniechęceniu, wątpliwościom, załamaniom — aż do naszego Miasta Spełnienia, gdziekolwiek się znajduje.

Otrzymałam dzisiaj pocztą cztery odmowy, które chrapliwie kraczą mi o porażce.

Napowietrzne głosy niemal cichną w tym zgiełku. Ale usłyszę je znowu. I pójdę za nimi — nie dam się zniechęcić. Przed laty złożyłam „przysięgę” — kilka dni temu znalazłam ją w sekretarzyku zapisaną na kartce — że „wejdę na alpejski szczyt i wyryję swe imię na zwoju sławy”.

Nie zaniecham wspinaczki!

20 października 19...

Przedwczoraj w nocy przeczytałam na nowo moje „Kroniki starego ogrodu”. Sądzę, że mogłabym je znacznie ulepszyć, teraz, gdy ciotka Elżbieta zniosła zakaz. Chciałam, żeby przeczytał je pan Carpenter, ale on powiedział:

— Na Boga, dziewczyno, nie jestem w stanie przebrnąć przez tyle stron. Widzę coraz gorzej. Co to takiego?... Książka? Mała, książki możesz zacząć pisać za dziesięć lat.

— Muszę nabrać wprawy — odparłam z oburzeniem.

— Och, wprawiaj się, wprawiaj, ale nie każ mi oceniać wyników. Jestem już za stary... naprawdę, moja mała. Mogę od czasu do czasu zerknąć na krótkie, bardzo krótkie opowiadanie, ale oszczędź staremu czortowi czytania książek.

Mogłabym zapytać o zdanie Deana. On jednak wyśmiewa ostatnio moje ambicje... bardzo ostrożnie i życzliwie, lecz *robi* to. A Ted z kolei uważa wszystko, co piszę za doskonałe, więc zupełnie nie nadaje się na krytyka. Zastanawiam się, czy... czy jakiś wydawca przyjąłby „Kroniki”? Czytałam podobne książki, które z pewnością nie były o *wiele* lepsze.

11 listopada 19...

Dzisiejszy wieczór spędziłam na „okrawaniu” powieści dla pana Towersa. Kiedy pan Towers wyjechał w sierpniu na wakacje, jego zastępca, pan Grady, zaczął drukować w „Czasie” powieść w odcinkach, zatytułowaną „Krwawiące serce”. Zamiast wziąć coś od Stowarzyszenia Prasowego, jak to zawsze czyni pan Towers, pan Grady po prostu kupił w księgarni wydanie jakiejś sensacyjnej i sentymentalnej powieści angielskiej i zaczął ją drukować. Jest bardzo długa i dotychczas ukazała się zaledwie połowa. Pan Towers zorientował się, że w ten sposób powieść musiałaby wychodzić przez całą zimę, więc kazał mi wziąć ją i wyciąć „wszystko, co zbędne”. Spełniłam jego polecenie bez litości i

„wycięłam” większość pocałunków i uścisków, dwie trzecie zalotów oraz wszystkie opisy, dzięki czemu z całej powieści pozostała jedna czwarta. Teraz mogę tylko prosić niebiosa, by ulitowały się nad duszą zecera, który musi to złożyć w obecnym, jakże okaleczonym kształcie.

Minęły lato i jesień. Wydaje mi się, że mijają szybciej niż kiedyś. Nawłocie na skraju Wyniosłej Krainy stały się białe, a o poranku szron okrywa ziemię srebrzystym szalem. Wieczne wiatry, które „złowieszczą świszczą w dolinach”, są rozczarowanymi poszukiwaczami, ścigającymi rzeczy kochane i utracone, wzywającymi na próżno elfy i wróżki. Albowiem czarodziejskie istoty, jeśli nie umknęły wszystkie na południe, z pewnością śpią głębokim snem w pniach jodeł lub wśród korzeni paproci.

Codziennie oglądamy ciemnoczerwone zachody słońca, których zgaszona purpura płonie nad zatoką, a pierwsza gwiazda przypomina zbawioną duszę, spoglądającą ze współczuciem w otchłań pełną] grzeszników, oczyszczanych ze zmazy ziemskiej pielgrzymki.

Czy odważyłabym się pokazać powyższe zdanie panu Carpenterowi? *Nie*. A zatem coś musi z nim być bardzo nie w porządku.

Wiem, o co chodzi, teraz, gdy patrzę na nie z chłodnym zastanowieniem. Jest to po prostu „wymyślne pisanie”. A jednak tak j właśnie się czułam stojąc na wzgórzu za Wyniosłą Krainą i spoglądając na zatokę. I nieważne, co ten stary pamiętnik sobie pomyśli.

2 grudnia 19...

Ogłoszono dzisiaj wyniki konkursu poetyckiego. Zwyciężyła Ewelina Blake wierszem zatytułowanym „Legenda Abegweit”. Nie mam nic więcej do powiedzenia. A poza tym ciotka Ruth powiedziała już wszystko!

15 grudnia 19...

Nagrodzony wiersz Eweliny został wydrukowany w najnowszym „Czasie” wraz z

fotografią i notką biograficzną. Dzieła Parkmana wystawiono w witrynie księgarni.

„Legenda Abegweit” jest istotnie całkiem dobrym wierszem. Napisana w stylu balladowym, ma poprawny rytm i rymy, czego nie dałoby się powiedzieć o innych wierszach Eweliny, które czytałam.

Ewelina Blake powtarzała o każdym moim wydrukowanym utworze, że na pewno skądś go przepisałam. Bardzo bym nie chciała jej naśladować — ale *wiem*, że ona nie napisała tego wiersza. To nie są *jej* środki wyrazu. Równie dobrze mogłaby skopiować pismo dyrektora Hardy’ego i twierdzić, że to jej własne. Czarne, zamaszyste litery pana Hardy’ego tak się mają do afektowanej kaligrafii Eweliny, jak ten wiersz do *jej* wierszy.

Prócz tego, choć „Legenda Abegweit” jest niezła, *nie* jest tak dobra jak „Dzikię winogrona”.

Nie zamierzam nikomu o tym mówić, zwierzam się wyłącznie pamiętnikowi. Bo to *prawda*.

20 grudnia 19...

Pokazałam panu Carpenterowi „Legendę Abegweit” i „Dzikię winogrona”. Gdy je przeczytał, zapytał mnie:

— Kto to oceniał? Powiedziałam mu.

— Pozdrów ich ode mnie i powiedz, że są osłami.

To mnie pocieszyło. Nie powiem sędziemu ani nikomu innemu, że jest osłem. Ale raduje mnie sama świadomość.

Co najdziwniejsze, ciotka Elżbieta zapragnęła zobaczyć „Dzikię winogrona”, a przeczytawszy wiersz, stwierdziła:

— Nie znam się na poezji, rzecz jasna, ale wydaje mi się, że twój wiersz jest utworem *wyższej klasy*.

4 stycznia 19...

Spędziłam Boże Narodzenie u wuja Oliwera. Nie podobało mi się tam. Było zbyt dużo zgiełku. Gdyby zaprosili mnie kilka lat wcześniej, zapewne czułabym się inaczej. Musiałam jeść, choć nie byłam głodna; grać w parchesi, kiedy nie miałam na to ochoty; rozmawiać, gdy pragnęłam milczeć. Ani przez chwilę nie mogłam być sama. W dodatku Andrzej staje się coraz bardziej uciążliwy. A ciotka Ada była irytująco życzliwa i macierzyńska. Przez cały czas czułam się jak kot, którego ktoś trzyma na kolanach wbrew jego woli i mocno, choć łagodnie głaszcze. Musiałam spać w pokoju z Jen, kuzynką w moim wieku, która w głębi serca uważa, że nie jestem warta Andrzeja, ale stara się w imię Boże robić dobrą minę do złej gry. Jen jest miłą, rozsądną dziewczyną i żyjemy w półprzyjaźni. Sama ukułam to słowo. Jesteśmy więcej niż znajomymi, ale nie przyjaciółkami. Na zawsze pozostaniemy w półprzyjaźni, nic więcej. Nie mówimy tym samym językiem.

Kiedy wróciłam do kochanego Księżycowego Nowiu, poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi i rozkoszowałam się samotnością.

Zajęcia w szkole rozpoczęły się wczoraj. Dzisiaj w księgarni przeżyłam chwilę cichej wesołości. Pani Rodney i pani Elder przeglądały książki i pani Rodney odezwała się niespodziewanie:

— To „Krwawiące serce” w „Czasie” jest najdziwniejszą powieścią, jaką w życiu czytałam. Ciągnęła się tygodniami, rozdział po rozdziale, nic z tego nie wynikało, a potem w ośmiu końcowych rozdziałach szast-prast i po wszystkim. Nic nie rozumiem.

Mogłam jej wyjaśnić tę zagadkę, lecz nie zrobiłam tego.

XX

W STARYM DOMU JANA

Kiedy pewne poważne nowojorskie czasopismo przyjęło i opublikowało „Kobietę, która sprawiła lanie królowi”, w Perlistej Wodzie i Shrewsbury wybuchła sensacja, zwłaszcza że szeptano sobie, iż Emilka otrzymała za to opowiadanie aż czterdzieści dolarów. Po raz pierwszy rodzina zaczęła traktować poważnie jej manię pisarską, a ciotka Ruth zaniechała odtąd wszelkich wzmianek o marnowaniu czasu. Pomyślna wiadomość nadeszła w chwili, gdy Emilka zaczynała już tracić nadzieję. Przez całą jesień i zimę dostawała same zwroty, jeśli nie liczyć dwóch pism, których redaktorzy najwyraźniej uważali, że już sam druk jest nagrodą i że literatura powinna być niezależna od przyziemnych względów finansowych. Początkowo Emilka czuła się okropnie, kiedy wiersze lub opowiadania pisane w takiej udręce wracały do niej z lodowatą odmową lub kilkoma słowami wyrażającymi zdawkowe uznanie — „przykro nam, ale...”, te notki, jak je Emilka nazywała, były bardziej przez nią zniechęczone niż gotowe drukowane odpowiedzi. Nie mogła powstrzymać łez rozczarowania. Po pewnym czasie przywykła jednak do tego i nie przejmowała się już tak bardzo. Rzucała redaktorskiej notce murrayowskie spojrzenie i powtarzała: „Zwycięzę”. Nigdy w to *naprawdę* nie wątpiła. Gdzieś w głębi duszy coś szeptało jej, że chwila zwycięstwa nadejdzie. I choć po każdej odmowie wzdrygała się jak pod uderzeniem bicia, siadała jednak później i... pisała następne opowiadanie. Wewnętrzny głos przycichł jednak po tak licznych niepowodzeniach. Przyjęcie „Kobiety, która sprawiła lanie królowi” zmieniło go na powrót w radosny, dźwięczny hymn. Czek był bardzo ważny, ale więcej znaczyło dostanie się na łamy tego czasopisma. Emilka czuła, że stanęła na pewnym gruncie. Pan Carpenter chichotał nad opowiadaniem i uznał je za „doskonałe”.

— To, co w nim najlepsze, należy do pani McIntyre — powiedziała z żalem Emilka. —

Nie mogę nazwać go moim.

— Dałaś mu oprawę... a twoje dodatki idealnie harmonizują z resztą. Ponadto nie wygładziłaś nadmiernie jej opowieści... co dowodzi dużego artyzmu. Czy nie kusiło cię, żeby to zrobić?

— Owszem. W wielu miejscach wydawało mi się, że mogłabym to ulepszyć.

— Ale nie próbowałaś... i dlatego jest to twoje opowiadanie — stwierdził pan Carpenter i pozostawił Emilce rozszyfrowanie tych słów.

Emilka wydała trzydzieści pięć dolarów w sposób tak rozsądny, że nawet ciotka Ruth nie mogła jej nic zarzucić. Ale za pozostałych pięć kupiła dzieła zebrane Parkmana. Było to znacznie ładniejsze wydanie niż konkursowa nagroda — którą ofiarodawca wybrał z katalogu wysyłkowego — i Emilka była z niego bardziej dumna niż z jakiegokolwiek nagrody. Mimo wszystko lepiej kupować takie rzeczy za własne, zarobione pieniądze. Ma tego Parkmana do dziś dnia — nieco już spłowiałego i postrzępionego, lecz droższego jej sercu niż wszystkie inne książki. Przez kilka tygodni była bardzo szczęśliwa i pełna otuchy. Murrayowie byli z niej dumni, dyrektor Hardy złożył jej gratulacje, a znana miejscowa deklamatorka odczytała opowiadanie na koncercie z Charlottetown. Najcudowniejszą rzeczą był jednak list od czytelnika z dalekiego Meksyku, opisujący, z jak wielką przyjemnością przeczytał „Kobietę, która sprawiła lanie królowi”. Emilka po pewnym czasie знаła ten list na pamięć i wkładała go na noc pod poduszkę. Chyba z żadnymi miłosnymi wyznaniem nie obchodzono się czulej. A później, niczym burzowa chmura, pojawiła się afera ze starym Domem Jana, która przesłoniła błękitne niebo.

Pewnego piątkowego wieczoru w Balladowym Stawie odbył się koncert z „poczęstunkiem”, na który zaproszono Ilzę jako recytatorkę. Doktor Burnley zawiózł Ilzę, Emilkę, Perry’ego i Teda swoimi dużymi saniami i odbyli wesołą, ośmiomilową przejażdżkę

po miękkim, świeżo spadłym śniegu. W połowie koncertu wywołano nagle doktora Burnleya, ponieważ ktoś z Balladowego Stawu ciężko zachorował. Doktor powiedział Tedowi, że ma odwiedzić towarzystwo do domu. Nie robił z tego żadnych ceregieli. W Shrewsbury czy Charlottetown istniały być może jakieś niemądre nakazy odnośnie przyzwoitek, ale nie obowiązywały one w Perlistej Wodzie ani w Balladowym Stawie. Ted i Perry byli przyzwoitymi chłopcami, Emilka pochodziła z Murrayów, a Ilza nie była głupia. Doktor z pewnością przeprowadziłby taką analizę, gdyby mu to przyszło do głowy.

Po koncercie wyruszyli w drogę powrotną. Padał gęsty śnieg, a wiatr wzmógł się gwałtownie, lecz pierwsze trzy mile drogi wiodły pod osłoną lasu i jechało się dość przyjemnie. Szeregi okrytych śniegiem drzew miały w sobie dzikie, niesamowite piękno, gdy tak stały w bladej poświacie księżyca wyłaniającego się spoza burzowych chmur. Dzwonki u sań wyśmiewały się z wycia podniebnych wichrów. Ted bez trudu radził sobie z końmi doktora. Chwilami Emilka podejrzewała, że Ted trzyma lejce tylko jedną ręką. Zastanawiała się, czy zauważył, że tego wieczoru po raz pierwszy uczesała się naprawdę „do góry” — jej czerwony kapelusik skrywał miękki, hebanowy kok, zwany „węzłem Psyche”. Pomyślała znowu, że w nawałnicy jest coś wręcz zachwycającego.

Gdy jednak wyjechali z lasu, zaczęły się kłopoty. Śnieżycza zaatakowała ich w całą furia. Biała droga wiła się wśród pól, zakręcając i omijając miedze i świerkowe zagajniki — „waż mógłby na niej kark skręcić”, jak to określił Perry. Zasy śniegu niemal zatarły trakt, a konie zapadały się po kolana. Nie ujechali nawet mili, gdy Perry gwizdnął ze zgrozą.

— Na pewno nie dotrzemy dzisiaj do Perlistej Wody, Ted.

— Musimy dokądś dojechać! — zawołał Ted. — Nie możemy zatrzymać się tutaj. Tu nie ma żadnych domów, musimy zawrócić na letni gościniec obok wzgórza Shawa. Przykryjcie się płaszczami, dziewczęta. Emilko, usiądź lepiej z tyłu, przy Ilzie, a Perry obok mnie.

Dokonano zamiany. Śnieżycą nie wydawała się już Emilce tak zachwycająca. Perry i Ted byli bardzo zaniepokojeni. Wiedzieli, że konie nie zajdą daleko w tym śniegu — letni gościniec będzie z pewnością zasypany, a wśród wysokich, niegościnnych wzgórz dzielących Balladowy Staw od Perlistej Wody panował przejmujący ziąb.

— Jeśli uda nam się dotrzeć do Malcolma Shawa, wszystko będzie w porządku — mruknął Perry.

— To za daleko. U Shawa śnieg pewnie zasypał już płoty — odparł Ted. — Popatrz, oto stary Dom Jana. Jak myślisz, czy nie moglibyśmy się w nim zatrzymać?

— Tam jest zimno jak w psiarni — rzucił Perry. — Dziewczyny zamarzną. Musimy dotrzeć do Malcolma.

Gdy konie dobrnęły do letniego gościńca, chłopcy natychmiast przekonali się, że nie ma mowy o dalszej jeździe. Zaspy wznosiły się na wysokość płotu. Drogę zagraadzały powalone słupy telegraficzne i olbrzymie drzewo.

— Nie pozostaje nam nic innego, tylko zawrócić do starego Domu Jana — powiedział Perry. — Nie możemy błąkać się po polach w tej śnieżycy i szukać drogi do Malcolma Shawa. Utkniemy i zamarzniemy na śmierć.

Ted zawrócił konie. Śnieg gęstniał. Zaspy pogłębiały się z każdą chwilą. Droga znikła całkowicie i gdyby Dom Jana znajdował się dalej, nie trafiliby do niego. Na szczęście znajdował się blisko i po przebyciu ostatnich zasp, przez które chłopcy przedzierali się pieszo, prowadząc konie, dotarli do okalającego dom młodego, świerkowego lasu, gdzie panował względny spokój.

Stary Dom Jana był już stary przed czterdziestu laty, kiedy wprowadził się do niego Jan Shaw ze świeżo poślubioną żoną. Zawsze było to urocze miejsce, oddalone od drogi i osłonięte świerkowym laskiem. Jan Shaw mieszkał tu przez pięć lat, a po śmierci żony

sprzedał dom bratu Malcolmowi i wyjechał na zachód. Malcolm uprawiał pola i utrzymywał w dobrym stanie szopę, ale dom stał pusty, jeśli nie liczyć kilku zimowych tygodni, kiedy to synowie Malcolma zatrzymywali się w nim podczas ścinania drewna na opał. Nie był nawet zaryglowany. W Balladowym Stawie nie było włóczęgów ani włamywaczy. Nasi rozbitkowie bez trudu weszli do środka przez zawałony ganek i odetchnęli z ulgą, znalazłszy osłonę przed wyjąłym wichrem i gęsto padającym śniegiem.

— Przynajmniej nie zamarzniemy — powiedział Perry. — Zaprowadzimy z Tedem konie do szopy, a po powrocie zobaczymy, jak można się tu rozgościć. Mam zapałki. Zawsze potrafię dać sobie radę.

Perry nigdy nie marnował okazji do przechwałek. Płomyk zapałki oświetlił parę na pół wypalonych świec w pękatych cynowych lichtarzach, popękany i zardzewiały, lecz nadający się do użytku piecyk „kozę”, trzy krzesła, ławę, sofę i stół.

— Chyba wszystko w porządku, no nie? — zapytał Perry.

— Będą się o nas strasznie martwili w domu — powiedziała Emilka, strzepując śnieg z płaszcza.

— Przez jedną noc nie umrą od tego — skonstatował Perry. — Jutro dostaniemy się jakoś do domu.

— W każdym razie mamy przygodę — zaśmiała się Emilka. — Cieszymy się nią, na ile możemy.

Ilza milczała, co było u niej niezwykłym objawem. Emilka zauważyła, że przyjaciółka jest bardzo blada, i uświadomiła sobie, że Ilza zachowuje się nienaturalnie cicho, odkąd wyszli z koncertu.

— Dobrze się czujesz, Ilzo? — spytała z niepokojem.

— Źle — odparła Ilza z upiornym uśmiechem. — Zbiera mi się na wymioty — dodała

dobitnie, choć nieelegancko.

— Och, Ilzo...

— Nie denerwuj się tak — burknęła niecierpliwie Ilza. — Nie mam zapalenia płuc ani ataku ślepej kiszki. Po prostu jest mi niedobrze. Chyba ten placek, który zjadłam po koncercie, był za ciężki. Żołądek mi się przewraca. Auu...

— Połóż się na sofie — nalegała Emilka. — Może poczujesz się lepiej. Drżąca, bezradna Ilza opadła na sofę. Chory żołądek nie jest dolegliwością romantyczną ani śmiertelną, lecz niewątpliwie na pewien czas pozbawia ofiarę radości życia.

Chłopcy znaleźli za piecykiem skrzynię z drewnem i rozpalili ogień. Perry obszedł domek ze świecą. W pokoiku za kuchnią stało staroświeckie drewniane łóżko ze słomianym siennikiem. Inny pokój — niegdyś salon Almiry Shaw — był pełen słomy. Na górze zalegała pustka i kurz. Dopiero w małej spiżarni Perry dokonał pewnego odkrycia.

— Tu jest puszką wieprzowiny i fasoli! — oznajmił. — I jeszcze pudełko sucharów.

Będziemy mieli śniadanie. Zostawili to pewnie chłopcy Shawa. A to co?

Perry wydobyl niewielką butelkę, odkorkował i powąchał uroczyście.

— Whisky, na moją grzeszną duszę! Niewiele, ale wystarczy. Masz tu lekarstwo, Ilzo.

Zażyj trochę z gorącą wodą, a twój żołądek migiem się uspokoi.

— Nienawidzę smaku whisky — jęknęła Ilza. — Ojciec nigdy jej nie stosuje... Nie wierzy w jej skuteczność.

— Ciotka Tomaszowa wierzy — orzekł Perry, jak gdyby to wyjaśniało sprawę. — To pewne lekarstwo. Spróbuj, a zobaczysz.

— Ale nie ma wody — zaprotestowała Ilza.

— Więc musisz wypić czystą whisky. W butelce jest jej nie więcej niż dwie łyżki. Pij. Jeśli cię nawet nie wyleczy, to na pewno nie zabije.

Nieszczęsna Ilza czuła się tak podle, że zażyłaby wszystko prócz trucizny, jeśli istniała jakakolwiek szansa, że jej to pomoże. Zwlokła się z sofy, usiadła na krześle przy ogniu i przełknęła alkohol. Była to dobra, mocna whisky — Malcolm Shaw mógłby was o tym zapewnić. I chyba w butelce było więcej niż dwie łyżki, choć Perry upierał się, że nie. Przez kilka minut Ilza siedziała skulona na krześle, po czym wstała i niepewnie położyła dłoń na ramieniu Emilki.

— Gorzej się czujesz? — spytała Emilka niespokojnie.

— Jestem... jestem pijana — wymamrotała Ilza. — Na litość boską, pomóż mi dojść do sofy. Nogi się pode mną uginają. Jak się nazywał ten Szkot z Malvern, który powiedział, że nigdy się nie upija, ale whisky zawsze wchodzi mu w kolana? Mnie poszła także do głowy. Wszystko mi wiruje przed oczyma.

Perry i Ted skoczyli na pomoc i doprowadzili chwiejącą się Ilzę bezpiecznie do sofy.

— Co możemy zrobić? — spytała błagalnie Emilka.

— Już zrobiliście zbyt wiele — odparła Ilza z nienaturalną powagą. Zamknęła oczy i przestała odpowiadać na wszelkie pytania. W końcu doszli do wniosku, że najlepiej będzie zostawić ją w spokoju.

— Odeśpi — powiedział Perry — i chyba pomoże jej to na żołądek.

Emilka nie mogła się zdobyć na równie filozoficzne podejście. Dopiero pół godziny później, gdy równy oddech Ilzy upewnił ją, że przyjaciółka usnęła, Emilka mogła na nowo cieszyć się „przygodą”. Wiatr szumiał wokół starego domu i łomotał okiennicami, jak gdyby w złości, że ofiary wymknęły mu się z rąk. Przyjemnie było siedzieć przy piecyku i słuchać dzikiej pieśni pokonanej nawałnicy... miło było myśleć o dawnym życiu tego małego domku, w czasach, gdy był pełen miłości i śmiechu... rozmawiać o „kapuście i królach” z Perrym i Tedem w słabym blasku świec... i milczeć wpatrując się w ogień, który rzucał zwodnicze

błyski na mlecznobiałe czoło Emilki i zapalał iskiarki w jej wyrazistych, ciemnych oczach. W pewnej chwili, uniósłszy niespodziewanie głowę, Emilka zauważyła dziwne spojrzenie Teda. Ich oczy spotkały się zaledwie na sekundę, lecz odtąd Emilka przestała należeć wyłącznie do siebie. Zastanawiała się, oszołomiona, co się właściwie stało. Skąd wzięła się ta fala niewyobrażalnej słodyczy, która obmyła jej ciało i duszę? Zadrżała z lęku. Wydawało się, że nadchodzi jakaś niezwykła zmiana. Z tego kłębowiska wyłoniła się jedna wyraźna myśl: że pragnęłaby tak siedzieć z Tedem przy ogniu co wieczór, przez całe życie — i wówczas mogłaby sobie kpić z wszelkich burz! Nie odważyła się spojrzeć na Teda ponownie, ale jego bliskość wprawiała ją w rozkoszne drżenie; wyczuwała tuż obok jego wysoką, postawną, chłopięcą sylwetkę, lśniące czarne włosy i świetliste, ciemnoniebieskie oczy. Wiedziała zawsze, że lubi Teda bardziej niż jakąkolwiek inną istotę płci męskiej, ale to było czymś odmiennym niż zwykła sympatia — to poczucie, że należy do niego, które zaistniało w owej znaczącej wymianie spojrzeń. Nieoczekiwanie zrozumiała, dlaczego zawsze odrzucała zaloty kolegów ze szkoły.

Czar, który tak gwałtownie nią zawładnął, wydał jej się nie do zniesienia. Musiała go przełamać. Zerwała się i podbiegła do okna. Cichy szept śnieżnych płatków osiadających na błękitnobiałej, oszronionej szybie, zdawał się szydzić z jej zakłopotania. Trzy duże stogi siana koło obory, zasypane śniegiem i ledwo widoczne, zbywały jej niejasne położenie wzruszeniem ramion. Poblask ognia odbity w szybie migotał niczym szydercze ognisko chochlików, rozpalone pod jodłami. Dalej ciągnęły się lasy, jak niezgłębione przestrzenie białej nawałnicy. Przez chwilę Emilka żałowała, że nie może się tam znaleźć — byłaby wolna od owego nieznośnego uczucia błogości, które spętało ją w sposób tak niespodziewany i niewytłumaczalny; ją, która nienawidziła wszelkich pęt.

„Czyżbym zakochała się w Tedzie? — pomyślała. — Nie chcę... nie chcę!”

Perry, zupełnie nieświadom tego, co zaszło między Emilką a Tedem, przeciągnął się i ziewnął.

— Lepiej się prześpijmy... świece już dogasają. To siano nada się chyba na legowisko, Ted. Przenieśmy część na tamto łóżko, żeby dziewczynom było wygodnie. Położymy na nim jedną z tych zwierzęcych skór i będzie całkiem niezłe. Na pewno przyśni nam się coś niezwykłego... Zwłaszcza Ilzie. Ciekawe, czy już wytrzeźwiała?

— Mam kieszeń pełną snów na sprzedaż — odezwał się dziwnym tonem Ted, z nagłą, niewytłumaczalną wesołością w głosie i ruchach. — Czego wam brak? Czego wam brak? Mam sny o powodzeniu, sny o przygodzie, sny o morzu, sny o lasach... Wszelkie możliwe sny po umiarkowanych cenach, łącznie z paroma unikalnymi koszmarkami. Ile mi dacie za sen?

Emilka odwróciła się i na chwilę utkwiała w nim spojrzenie, zapominając o dreszczach i czarach, o wszystkim prócz tego, że pragnie mieć tu swój zeszyt od Jima. Zupełnie jakby pytanie: „Ile mi dacie za sen?”, było magiczną formułą, otwierającą drzwi zamkniętej komnaty w jej umyśle, zobaczyła nagle olśniewający pomysł literacki — widziała nawet tytuł: „Sprzedawca snów”. Przez resztę nocy nie myślała o niczym innym.

Chłopcy położyli się na słomie, a Emilka postanowiła zostawić śpiącą Ilzę na sofie, gdzie chyba było jej wygodnie, i wdrapała się na łóżko w małym pokoiku. Ale nie miała zamiaru usypiać. Nie czuła senności. Nigdy w życiu nie była mniej śpiąca. Zapomniała, że się zakochała w Tedzie; zapomniała o wszystkim, prócz swego cudownego pomysłu. Rozwijała go w ciemnościach, rozdział po rozdziale, strona po stronie. Postaci ożyły, śmiały się, rozmawiały, działały, radowały się i cierpiały — widziała je na tle śnieżycy. Policzki Emilki płonęły, serce biło mocno, drżała od stóp do głów w twórczym porywie, ogarnięta radością tryskającą niczym fontanna z głębi jej jestestwa, niezależną od wszelkich rzeczy doczesnych.

Ilza upiła się zapomnianą whisky Malcolma Shawa, lecz Emilkę odurzyło nieśmiertelne wino.

GĘŚCIEJSZA NIŻ WODA

Emilka usnęła dopiero nad ranem. Gdy nawałnica ucichła i krajobraz wokół starego Domu Jana nabrał widmowego wyglądu w bladej księżycowej poświacie, Emilka zapadła wreszcie w drzemkę z rozkosznym poczuciem spełnienia — skończyła bowiem układanie swej opowieści. Teraz pozostawało tylko zanotować szkic w zeszycie od Jima. Nie zazna spokoju, dopóki nie zobaczy tego czarno na białym. Na razie nie będzie próbowała napisać całej książki... o, muszą dopiero minąć lata. Musi poczekać, aż czas i doświadczenie uczynią z jej pióra narzędzie zdolne oddać sprawiedliwość temu pomysłowi — gdyż inną rzeczą jest nocny, ekstatyczny pościg za ideą, inną zaś przelanie jej na papier w sposób, który choć w jednej dziesiątej odda jej pierwotny urok i znaczenie.

Obudziła ją Ilza, która przysiadła na łóżku blada i nieswoja, chociaż bursztynowe oczy pełne były nieposkromionej wesołości.

— No, odespałam hulankę, Emilko Starr. Brzuch mi już nie dokucza. Whisky Malcolma naprawdę pomogła, choć wydaje mi się, że lekarstwo było gorsze niż choroba. Przypuszczam, że zastanawiałaś się, dlaczego wczoraj nic nie mówiłam.

— Myślałam, że jesteś zbyt pijana, żeby mówić cokolwiek — wyznała szczerze Emilka.

Ilza zachichotała.

— Byłam zbyt pijana, żeby nie mówić. Kiedy położyłam się na tej sofie, Emilko, przestało mi się kręcić w głowie i zapragnęłam gadać... o, jak bardzo! Chciało mi się wygadać najgłupsze rzeczy, opowiadać wszystko, co wiem i co myślę. Miałam jednak dość zdrowego rozsądku, by uświadomić sobie, że tego mi nie wolno, bo zbłąźnię się na zawsze... i czułam, że jeśli powiem choć jedno słowo, będzie to jak odkorkowanie butelki... Wszystko się wyleje. Więc trzymałam buzię na kłódkę. Dreszcz mnie przeszywa na samą myśl, co mogłam

powiedzieć... i to przy Perrym. Twoja mała Ilza ma dość hulanek na całe życie. Od dzisiaj jestem innym człowiekiem.

— Jednego tylko nie rozumiem — powiedziała Emilka. — Jak taka niewielka dawka czegokolwiek mogła ci tak zakręcić w głowie?

— Och, wiesz przecież, że moja matka była z domu Mitchell. Wiadomo, że Mitchellowie mają bardzo słabe głowy. To ich rodzinna wada. Cóż, wstawaj teraz, moja piękna i ukochana. Chłopcy rozniecają ogień i Perry powiada, że możemy liczyć na solidny posiłek z wieprzowiny, fasoli i sucharów. Jestem taka głodna, że zjadłabym nawet puszki.

Szperając w spiżarni w poszukiwaniu soli, Emilka dokonała wielkiego odkrycia. Na górnej półce, w głębi, leżała sterta zakurzonych, starych książek, pochodzących zapewne z czasów Almiry i Jana Shawów — stare, zbutwiałe dzienniki, kalendarze, księgi rachunkowe. Emilka strąciła je niechcący na podłogę i zbierając zauważyła, że jest tam także stary album z wycinkami. Wysunęła się zeń luźna kartka. Spojrzenie Emilki padło na tytuł widniejącego na niej wiersza. Podniosła kartkę, oddychając szybko. „Legenda Abegweit” — nagrodzony wiersz Eweliny Blake! Był tutaj, w poźółkłym albumie sprzed dwudziestu lat — słowo w słowo, tyle że Ewelina wycięła dwie strofy, by skrócić go do wymaganej objętości.

„Dwie najlepsze strofy! — pomyślała Emilka z pogardą. — Cała Ewelina! Nie ma za grosz smaku literackiego”.

Emilka odłożyła książki na półkę, lecz kartkę schowała do kieszeni. Z roztargnieniem zjadła śniadanie. Tymczasem odmiatano już drogi. Perry i Ted znaleźli łopatę i niebawem dotarli do traktu. Po długiej, monotonnej jeździe wszyscy czworo znaleźli się w domu.

Mieszkańcy Księżycowego Nowiu niepokoiли się o ich los i z lekką zgrozą powitali wiadomość, że nasza czwórka musiała zatrzymać się na noc w starym Domu Jana.

— Mogliście zamarznąć na śmierć — powiedziała surowo Elżbieta.

— Nie mieliśmy wyboru. Gdyby nie to, zamarzlibyśmy w jakiejś zaspie — odparła Emilka i więcej nie mówiono o tej sprawie. Skoro bezpiecznie dotarli do domu i nikt nawet się nie przeziębził, o czym tu mówić? Tak patrzono na to w Księżycowym Nowiu.

Inaczej było w Shrewsbury, choć nie od razu dało się to zauważyć. Już w poniedziałek historia obiegła całe miasto — Ilza opowiedziała ją w szkole, barwnie i żywo opisując swoje pijaństwo wśród wybuchów śmiechu koleżanek i kolegów. Emilka, która po raz pierwszy odwiedziła wieczorem Ewelinę Blake, zastała ją w wybornym humorze.

— Czy nie możesz powstrzymać Ilzy, moja droga?

— Przed czym?

— Opowiada wszystkim, jak to się upiła w piątek... tej nocy, którą spędziłyście z Tedem Kentem i Perrym Millerem w starym domu w Balladowym Stawie — odparła gładko Ewelina.

Emilka oblała się nagłym rumieńcem. W głosie Eweliny było coś takiego, że niewinne zdarzenie nabrało od razu złowieszczej wymowy. Czy Ewelina rozmyślnie chciała ją obrazić?

— Nie rozumiem, dlaczego nie miałyby o tym opowiadać — zauważyła Emilka zimno. — To było bardzo zabawne.

— Ale wiesz, co powiedzą ludzie — ciągnęła łagodnie Ewelina.

— To wygląda dość... niefortunnie. Oczywiście zaskoczyła was śnieżycą... jak przypuszczam... lecz Ilza tylko pogarsza sprawę. Jest taka niedyskretna... Czy nie masz na nią żadnego wpływu, Emilko?

— Nie przyszłam tutaj, aby o tym dyskutować — ucięła Emilka.

— Chcę ci pokazać, co znalazłam w starym Domu Jana.

I pokazała kartkę wyjętą z albumu. Ewelina przez chwilę wpatrywała się w nią bezmyślnie, a potem jej twarz pokryły dziwne, czerwonawe cętki. Odruchowo sięgnęła po kartkę, lecz

Emilka szybko cofnęła rękę. Popatrzyły sobie w oczy. Emilka poczuła, że rachunki między nimi zostały wreszcie wyrównane.

Czekała, aż Ewelina przemówi. I rzeczywiście przemówiła po chwili ponurym tonem:

— Co zamierzasz z tym zrobić?

— Jeszcze nie wiem — odparła Emilka.

Podługne, brązowe, zdradliwe oczy Eweliny przesunęły się po twarzy Emilki z przebiegłym, badawczym wyrazem.

— Przypuszczam, że chcesz to pokazać panu Hardy’emu i ośmieszyć mnie przed całą szkołą?

— Cóż, chyba na to zasłużyłaś, nie sądzisz? — rzuciła beznamiętnie Emilka.

— Ja... chciałam zdobyć tę nagrodę, bo ojciec obiecał mi za to wycieczkę do Vancouver przyszłego lata — szepnęła Ewelina, załamując się nagle. — Tak... tak strasznie chciałam pojechać. Och, Emilko, nie wydaj mnie... Ojciec będzie wściekły! Oddam ci Parkmana...

Zrobię, co zechcesz, tylko...

Ewelina zaczęła płakać. Nie był to przyjemny widok.

— Nie chcę twojego Parkmana — powiedziała wzgardliwie Emilka. — Musisz jednak zrobić pewną rzecz. Przyznasz się ciotce Ruth, że to ty narysowałaś mi wtedy wąsy, a nie Ilza.

Ewelina otarła łzy i przełknęła ślinę.

— To był tylko żart — załkała.

— Ale twoje późniejsze kłamstwa już nie były żartem — odparła surowo Emilka.

— Jesteś tak... tak okrutnie bezpardonowa — Ewelina poszukała na swej chusteczce suchego miejsca. — To był żart. Wróciłam z księgarni i po prostu zrobiłam to. Naprawdę myślałam, że spojrzysz w lustro, kiedy wstaniesz. N—nie przypuszczałam, że t—tak wejdiesz

do klasy. I nie wiedziałam, że twoja ciotka potraktuje to tak poważnie. Oczywiście, że jej powiem, jeżeli... jeżeli ty...

— Napisz to na kartce i podpisz się — zażądała bez skrupułów Emilka. Ewelina usłuchała.

— Oddaj mi to — poprosiła następnie, wyciągając rękę po kartkę z albumu.

— O nie, to zatrzymam — odparła Emilka.

— Jaką mogę mieć gwarancję, że pewnego dnia... mimo wszystko... nie rozgłosisz tego?

— prychnęła Ewelina.

— Masz słowo córki Starra — powiedziała wyniośle Emilka.

Wyszła od Eweliny z uśmiechem. W końcu zwyciężyła w tym długim pojedynku. I

trzymała w ręku coś, co nareszcie oczyści Ilzę w oczach ciotki Ruth.

Ciotka długo prychała nad oświadczeniem Eweliny, po czym zaczęła wypytywać, w jaki sposób Emilka je uzyskała. Nie otrzymała od Emilki zadowolającej odpowiedzi, lecz wiedząc, że Allan Burnley ma do niej żal za to, jak traktuje jego córkę, była w skrytości ducha uradowana z nadarzającego się pretekstu, by to naprawić.

— Dobrze zatem. Powiedziałam przecież, że jeśli dostarczysz mi konkretnego dowodu niewinności Ilzy, będzie mogła tu przychodzić. Uczyniłaś to, więc i ja dotrzymam słowa.

Jestem kobietą sprawiedliwą — podsumowała ciotka Ruth, która w owej chwili była prawdopodobnie najbardziej niesprawiedliwą kobietą pod słońcem.

Jak dotąd, wszystko pięknie. Ale jeśli Ewelina pragnęła zemsty, mogła się nią rozkoszować w pełni przez następne trzy tygodnie nie kiwnąwszy nawet palcem i nie wymówiwszy słowa. Całe Shrewsbury wrzało od plotek na temat nocy w Domu Jana — insynuacji, przekręceń, rzeczy wyssanych z palca. Na podwieczorku u Janki Thompson Emilkę spotkały takie afronty, że wróciła do domu blada z upokorzenia. Ilza była wściekła.

— Nie przeszkadzałoby mi to, gdybym upiła się na wesoło i dobrze bawiła — rzekła

tupiąc nogą. — Ale nie byłam na tyle pijana, by czuć się radośnie, tylko na tyle, by mnie to ogłupiło. Chwilami czuję, Emilko, że byłoby pysznie, gdybym stała się kotem, a stare damy ze Shrewsbury myszami. Ale nie przestawajmy się uśmiechać. One mnie naprawdę nic a nic nie obchodzą. To wszystko wkrótce ucichnie. Będziemy walczyć.

— Nie można walczyć z pomówieniami — odparła gorzko Emilka. Ilza nie dbała o to, lecz Emilka gryzła się okropnie. Murrayowska duma została dotkliwie zraniona. Z biegiem czasu rana doskwierała coraz mocniej. W miejscowym brukowcu, zamieszczającym „pikantne” zdarzenia z całego wybrzeża, ukazał się złośliwy artykuł na temat nocy wielkiej śnieżycy. Nikt się nie przyznawał, że go czytał, ale prawie wszyscy wiedzieli, co w nim było — z wyjątkiem ciotki Ruth, która nie dotknęłaby tej gazety nawet szczypcami. Nie wymieniono żadnych nazwisk, lecz każdy wiedział, o kogo chodzi — zjadliwe aluzje były aż nazbyt czytelne. Emilka myślała, że umrze ze wstydu. Najgorzej, że było to tak wulgarne i brzydkie i uczyniło ową piękną noc radości, objawienia i rozkosznego tworzenia w starym Domu Jana równie wulgarną i brzydką. Emilce wydawało się, że będzie to jedno z jej najpiękniejszych wspomnień. A tu — coś takiego!

Ted i Perry nie posiadali się z gniewu i płonęli żądzą mordy. Ale kogo mieli mordować? Emilka ostrzegła ich, żeby nic nie robili ani nie mówili, bo tylko pogorszą sprawę. Sytuacja i tak była zła po ukazaniu się artykułu. Florence Black nie zaprosiła Emilki na tańce, które stanowiły towarzyskie wydarzenie zimowego sezonu. Nie zaproszono jej także na łyżwy do Hattie Denoon. Kilka matron ze Shrewsbury przestało zauważać ją na ulicy. Inne odnosiły się do niej z wyniosłą, lodowatą uprzejmością. Niektórzy miejscowi młodzieńcy zaczęli przejawiać osobliwą poufałość w spojrzeniach i zachowaniu. Jeden z nich, zupełnie Emilce nieznany, zagadnął ją na pocztce pewnego wieczoru. Emilka odwróciła się i tylko spojrzała na niego. Choć zgnębiona i upokorzona, była mimo wszystko wnuczką Archibalda Murraya.

Nieszczęsny młodzian przyszedł do siebie dopiero trzy ulice dalej. Nigdy nie zapomniał, jak potrafią spoglądać oczy Emilki Byrd Starr, gdy jest rozgniewana. ‘

Jednak nawet murrayowskie spojrzenie, choć potrafiło zmiążyć jednego zuchwalca, nie było w stanie ukreślić łąba skandalicznym plotkom. Emilka miała wręcz chorobliwe przekonanie, że wszyscy w nie wierzą. Doniesiono jej, iż panna Percy, bibliotekarka, powiedziała, że uśmiech Emilki Starr nigdy nie wzbudzał jej zaufania — zawsze uważała, że jest zbyt wyzywający i uwodzicielski. Emilka poczuła, że — podobnie jak nieszczęsny król Henryk — nigdy już się nie uśmiechnie. Ludzie przypomnieli sobie, że stara Nancy Priest była przed siedemdziesięciu laty bardzo rozbrykanym stworzeniem... i czyż sama pani Dutton nie wywołała skandalu w młodości? Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jej matka uciekła z domu, czyż nie? A matka Ilzy? Oczywiście zabiła się wpadając do starej studni, ale kto wie, co by zrobiła, gdyby żyła? I była jeszcze ta dawna historia z kąpielą *au naturel* w Perlistej Wodzie. Krótko mówiąc, takich kostek jak u Emilki nie znajdzie się u żadnej przyzwoitej panny. Po prostu ich nie miewają.

Nawet nieszkodliwy i niepotrzebny Andrzej zaprzestał piątkowych odwiedzin. To dotknęło Emilkę. Uważała go za nudziarza i wzdrygała się na myśl o piątkowych wieczorach. Miała zamiar pozbyć się Andrzeja przy pierwszej sposobności. Ale to, że przestał przychodzić z własnej inicjatywy, miało zupełnie inny wydźwięk. Na samą myśl o tym Emilka zaciskała pięści.

Doszły ją także przykre pogłoski, jakoby dyrektor Hardy powiedział, że powinna zrzec się funkcji przewodniczącej. Emilka uniosła wysoko głowę. Zrzec się? Przyznać się do winy i ponieść porażkę? Przenigdy!

— Chętnie roztrzaskałabym mu łeb — oświadczyła Ilza. — Emilko Starr, przestań się zamartwiać. Przecież to nieważne, co myśli paru zgrzybiałych osłów. Niech bogowie piekieł

mają ich w opiece. Za miesiąc będą już gadali o czym innym i zapomną o nas.

— Aleja nie zapomnę — rzekła z pasją Emilka. — Będę pamiętała to upokorzenie do końca życia. I wiesz, Ilzo, pani Tolliver napisała do mnie, żebym zrezygnowała ze stoiska na wencie dobroczynnej w kościele Św. Jana.

— Emilko Starr... to niemożliwe!

— Możliwe. Och, naturalnie skorzystała z wymówki, że chciałaby oddać je kuzynce z Nowego Jorku, która przyjeżdża w odwiedziny... aleja i tak wiem swoje. I spójrz, w nagłówku mamy „Droga Panno Starr”, choć jeszcze kilka tygodni temu byłam „Najdroższą Emilką”. Wszyscy w kościele będą wiedzieli, dlaczego musiałam ustąpić. A prosiła ciotkę Ruth niemal na klęczkach, żeby mi pozwoliła wziąć udział w wencie. Ciotka nie chciała się zgodzić.

— Co twoja ciotka na to powie?

— Och, Ilzo, to właśnie jest najgorsze. Będzie musiała dowiedzieć się o wszystkim. Na razie o niczym nie ma pojęcia, bo leży chora na ischias. Żyję w ciągłym strachu, co będzie, kiedy się dowie. Wiem, że zachowa się paskudnie. Zaczyna już wstawać z łóżka, więc na pewno wkrótce i tak o tym usłyszy. A ja nie mam odwagi stawić jej czoła, Ilzo. Och, to istny koszmar!

— Ludzie w tym miasteczku mają takie podłe, złośliwe, ciasne, kurze mózdzki — powiedziała Ilza i od razu poczuła się lepiej. Emilka nie potrafiła jednak ukoić znękanego ducha paroma przymiotnikami. Nie mogła nawet przelać swej udręki na papier, co przyniosłoby jej ulgę. Nie robiła teraz żadnych notatek w zeszycie od Jima, nie prowadziła pamiętnika, nie pisała wierszy ani opowiadań. Promyk przestał się pojawiać — i zapewne już się nie pojawi. Nie powrócą cudowne, czarowne chwile twórczego uniesienia, których nie dzieliła z nikim. Życie stało się nędzne i szare, pozbawione barw i blasku. Nic nie wydawało

się już piękne — nawet złocisto—białe, odludne pola Księżycowego Nowiu, do którego jeździła na soboty i niedziele. Emilka tęskniła za domem, gdzie nikt o niej źle nie myślał. Żadne plotki ze Shrewsbury nie dotarły do Księżycowego Nowiu, lecz nieświadomość jego mieszkańców była dla Emilki udręką. Wkrótce się dowiedzą — i fakt, że ktoś z Murrayów, choćby niewinny, stał się obiektem skandalu, zrani ich i zasmuci. Kto wie, co sobie pomyślą o niefortunnej przygodzie Ilzy z whisky Malcolma? Emilka niemal z ulgą wracała do Shrewsbury.

W każdej wypowiedzi dyrektora Hardy’ego dopatrywała się obraźliwych aluzji; wyczuwała ukryte obelgi w słowach i spojrzeniach koleżanek i kolegów. Jedyne Ewelina Blake przybierała pozy przyjaciółki i obrończyni, co było nie do zniesienia. Emilka nie wiedziała, czy za postawą Eweliny kryje się strach czy złośliwość — wiedziała tylko, że jej udawana przyjaźń i lojalność, i gorąca wiara w obliczu przeważających dowodów winy jest gorszą zniewagą niż wszelkie plotki. Ewelina zapewniała wszystkich wokół, że nie wierzy w ani jeden zarzut przeciwko „biednej, drogiej Emilce”. Biedna, droga Emilka chętnie wepchnęłaby Ewelinę do wody i przyglądała się, jak tonie — a przynajmniej tak jej się wydawało.

Tymczasem ciotka Ruth, którą ischias unieruchomił w domu na kilka tygodni i stała się przez to tak zrzędliva, że żaden przyjaciel ani wróg nie ośmielił się nawet napomknąć o plotkach na temat jej siostrzenicy, zaczęła dostrzegać pewne rzeczy. Ischias minął i mogła skupić uwagę na otoczeniu. Uświadomiła sobie, że Emilka od wielu dni nie ma apetytu, i zaczęła podejrzewać, że siostrzenica niewiele sypia. Powziąwszy to podejrzenie, ciotka Ruth wkroczyła do akcji. W jej domu nie tolerowało się ukrytych zmartwień.

— Emilio, chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje — rzekła pewnego sobotniego popołudnia, kiedy Emilka, blada i osowiała, z fioletowymi cieniami pod oczyma, znowu prawie nie tknęła

obiadu.

Emilka zarumieniła się lekko. Wybiła godzina, której tak bardzo się obawiała. Musi teraz powiedzieć ciotce Ruth wszystko. Czowała, że nie ma dość odwagi, by znieść czekające ją przesłuchanie — ani dość energii, by stawić czoło dociekaniom ciotki. Doskonale wiedziała, co będzie dalej: zgroza na wieść o noclegu w Domu Jana — jak gdyby można było coś na to poradzić; rozdrażnienie z powodu plotek — jak gdyby to Emilka była za nie odpowiedzialna; zapewnienia, że zawsze spodziewała się czegoś podobnego, a potem — nieznośne tygodnie pełne wypominania i aluzji. Na samą myśl o tym wszystkim Emilka odczuła coś w rodzaju duchowych mdłości. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

— Co takiego zrobiłaś? — nie ustępowała ciotka Ruth.

Emilka zacisnęła zęby. To było nie do wytrzymania, ale musiała to znieść. Nie dało się uniknąć opowiedzenia tej historii i pozostało tylko przebrnąć przez nią jak najszybciej.

— Nie zrobiłam nic złego, ciociu Ruth. Po prostu zaszło pewne nieporozumienie.

Ciotka Ruth prychnęła, lecz wysłuchała opowieści Emilki bez przerywania. Emilka opowiedziała o wszystkim najkrócej jak potrafiła, czując się przy tym jak przestępczyni na ławie oskarżonych, podczas gdy ciotka Ruth była jednocześnie sędzią, ławą przysięgłych i prokuratorem. Kiedy Emilka skończyła, siedziała przez chwilę w milczeniu, czekając na którąś z typowych ciotczyńskich uwag.

— O co oni właściwie robią cały ten szum? — spytała ciotka Ruth. Emilka zaniemówiła i wytrzeszczyła oczy.

— Oni... myślą... i mówią rozmaite okropności — wyjąkała. — Widzi ciocia, tu w Shrewsbury nikt nie zdaje sobie sprawy, co to była za śnieżyca. W dodatku każdy ubarwiał tę historię po swojemu. W końcu rozniosło się po mieście, że wszyscy byliśmy pijani.

— Jedno mnie irytuje — podjęła ciotka Ruth — a mianowicie to, że opowiadałyście w

Shrewsbury, co wam się przydarzyło. Dlaczego nie zachowałyście tego dla siebie?

— To byłoby przebiegłe — odparła Emilka, którą nagle podkusił jakiś zły duch. Teraz, gdy już opowiedziała ciotce o wszystkim, poczuła taką ulgę, że prawie chciało jej się śmiać.

— Przebiegłe! To byłoby rozsądne! — parsknęła ciotka Ruth. — Ale Ilza, oczywiście, nie potrafi trzymać języka za zębami. Tyle razy ci powtarzałam, Emilio, że głupi przyjaciel jest dziesięć razy niebezpieczniejszy niż wróg. O co ty się tak zamartwiasz? Sumienie masz czyste. A te plotki niedługo przycichną.

— Dyrektor Hardy uważa, że powinnam zrzec się funkcji przewodniczącej klasy — powiedziała Emilka.

— Jim Hardy! Przecież jego ojciec był parobkiem u mego dziadka, i to przez parę lat — oświadczyła ciotka Ruth z niewysłowioną pogardą. — Czy Jim Hardy wyobraża sobie, że *moja* siostrzenica mogłaby zachować się niewłaściwie?

Emilka była zupełnie zbита z tropu. Pomyślała, że chyba śni. Czy ta niezwykła kobieta była naprawdę ciotką Ruth? To nie mogła być ciotka! Emilka zetknęła się w tej chwili z jedną ze sprzeczności ludzkiej natury. Dowiedziała się, że można walczyć z krewnymi, nie lubić ich, nawet nienawidzić — ale mimo wszystko istnieje wspólna więź. W jakiś sposób wasze nerwy i ścięgna są ze sobą splecione. Krew zawsze jest gęściejsza niż woda. W wypadku ataku z zewnątrz — to wystarczy. Ciotka Ruth miała przynajmniej jedną zaletę Murrayów: lojalność wobec klanu.

— Nie martw się Jimem Hardym — powiedziała ciotka. — Już ja z nim pogadam. Oduczę ludzi plotkowania o Murrayach.

— Pani Tolliver poprosiła, żebym odstąpiła jej kuzynce stoisko na wencie dobroczynnej — wtrąciła Emilka. — Wie ciocia, co to oznacza.

— Polly Tolliver jest głupią parweniuszką — odrzuciła ciotka Ruth.

— Kościół Św. Jana nie jest już tym samym miejscem, odkąd Nat Tolliver ożenił się ze swoją stenografką. Dziesięć lat temu biegała boso po bocznych uliczkach Charlottetown. Nawet koty nie chciały się z nią zadawać. A teraz robi królewskie miny i próbuje rządzić parafią. Zaraz ją poskromię. Przed paroma tygodniami była wdzięczna, że ktoś z Murrayów stanie przy jej stoisku. Dla niej był to wyższy szczebel drabiny społecznej. Polly Tolliver, doprawdy! Do czego zmierza ten świat?

Ciotka Ruth pozeglowała na górę, zostawiając oszołomioną Emilkę, która wpatrywała się w znikające widziadła. Później zeszła na dół, gotowa do wkroczenia na wojenną ścieżkę. Włożyła swój najlepszy kapelusz, czarną jedwabną suknię i nowy selskinowy płaszcz. Tak wystrojona udała się najpierw do posiadłości Tolliverów na wzgórzu. Spędziła tam pół godziny, zamknięta z panią Natową Tolliver. Ciotka Ruth była niską, kręłą kobietą i pomimo nowego kapelusza i płaszcza wydawała się zaniedbana i staroświecka. Pani Natowa zaś prezentowała szczyt mody i elegancji w swej paryskiej sukni, z lorgnon w dłoni i kunsztownie zaondulowanymi włosami — ondulacje zaczynały właśnie wchodzić w modę i pani Natowa była pierwszą kobietą w Shrewsbury, która czesała się w ten sposób. Mimo to nie ona wyszła zwycięsko z tego spotkania. Nikt nie wie, co zostało powiedziane podczas owej pamiętnej rozmowy. Pani Tolliver z pewnością nie pisnęła o tym ani słowa. Gdy jednak ciotka Ruth opuściła jej okazały dom, pani Tolliver opadła na poduszki kanapy wylewając łzy gniewu i upokorzenia i nie dbając zupełnie o suknię i fryzurę; ciotka Ruth natomiast niosła w mufce liścik do „Drogiej Emilki” z zawiadomieniem, że kuzynka pani Tolliver nie weźmie udziału w wencie, czy zatem „droga Emilka” będzie tak dobra i zaopiekuje się stoiskiem, tak jak to wcześniej planowały? Następna była rozmowa z dyrektorem Hardym — i znowu ciotka Ruth przybyła, zobaczyła, zwyciężyła. Pokojówka państwa Hardy podsłuchiwała i powtórzyła jedno zdanie, chociaż nikt nie wierzył, że ciotka Ruth naprawdę powiedziała do tego dostojnego

pana w okularach:

— Wiem, że jesteś głupcem, Jimie Hardy, ale na miłość boską, wyobraź sobie choć przez pięć minut, że nim nie jesteś!

Nie, to było niemożliwe. Pokojówka z pewnością zmyślała.

— Już nie będziesz miała przykrości, Emilko — oświadczyła ciotka Ruth wróciwszy do domu. — Polly i Jim dostali za swoje. Kiedy ludzie zobaczą cię na wencie, od razu zrozumieją, skąd wiatr wieje, i odpowiednio ustawią żagle. Niektóre osoby także usłyszą ode mnie coś niecoś przy sposobności. Ładne rzeczy, żeby przyzwoici chłopcy i dziewczęta nie mogli schronić się przed śmiercią na mrozie, bo zaraz zostaną oszkalowani! Nie myśl już o tym. Pamiętaj, że stoi za tobą rodzina.

Gdy ciotka zeszła na dół, Emilka zbliżyła się do lustra. Ustawiała je pod właściwym kątem i uśmiechnęła się do Emilki—w—Zwierciadle — uśmiechnęła się powoli, wyzywająco i uwodzicielsko.

„Ciekawe, gdzie położyłam zeszyt od Jima — pomyślała. — Muszę dodać parę uwag do szkicu charakterologicznego ciotki Ruth”.

„KOCHASZ MNIE, KOCHAJ MEGO PSA”

Kiedy zauważono w Shrewsbury, że pani Dutton stoi po stronie siostrzenicy, plotki rozprzestrzeniające się po mieście niczym pożar wygasły zdumiewająco szybko. Pani Dutton dawała na kościół Św. Jana więcej niż ktokolwiek inny — udzielanie kościołowi należytego wsparcia było częścią murrayowskiej tradycji. Pani Dutton pożyczala pieniądze połowie miejskich przedsiębiorców — miała weksel Nata Tollivera opiewający na sumę, która przyprawiała pana Tollivera o bezsenność. Pani Dutton dysponowała nader kłopotliwą wiedzą o wstydlivych sekretach rodzinnych i napomykała o nich bez żenady. A zatem nie należało psuć humoru pani Dutton — i jeśli ludziom wydawało się, że mogą obrażać jej siostrzenicę, ponieważ ciotka traktowała ją surowo, to im wcześniej naprawią swój błąd, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Emilka sprzedawała dziecięce ubranka, kocyki, buciki i czapeczki przy stoisku pani Tolliver podczas wielkiej wenty dobroczynnej i nakłaniała starszych panów do ich kupowania swym słynnym już teraz uśmiechem. Wszyscy byli dla niej mili i czuła się znowu szczęśliwa, choć niedawne przeżycia pozostawiły bliznę. Jeszcze po latach mieszkańcy Shrewsbury powiadali, że Emilka Starr nigdy im nie wybaczyła plotek, i dodawali, że tacy już są Murrayowie, nie wybaczą nikomu. Wybaczenie nie miało tu jednak nic do rzeczy. Emilka tyle wycierpiała, że odtąd nienawistny był jej sam widok osób związanych z tym cierpieniem. Tydzień później, gdy pani Tolliver poprosiła ją o nalewanie herbaty podczas przyjęcia na cześć kuzynki, Emilka uprzejmie odmówiła nie trując się szukaniem wymówki. W jej uniesionym podbródku, a może w niewzruszonym spojrzeniu, było coś, co dotkliwie uświadomiło pani Tolliver, że jest tylko Polly Riordan z Zaułku Riordanów i nie będzie nikim innym dla Murrayów z Księżycowego Nowiu.

Tymczasem Andrzej został przyjęty bardzo miło, gdy w piątkowy wieczór nieco nieśmiało przestąpił próg domu ciotki Ruth. Być może nie był pewien, co usłyszy, mimo iż należał do klanu. Emilka odniosła się do niego jednak całkiem łaskawie. Być może miała swoje powody. Zwracam uwagę po raz drugi, że piszę tylko biografię Emilki, a nie hymn na jej cześć. Jeżeli postanowiła odpłacić Andrzejowi w sposób, którego nie pochwalam, mogę jedynie wyrazić ubolewanie. Dla własnej satysfakcji napomknę jednak, że moim zdaniem Emilka posunęła się zbyt daleko, mówiąc Andrzejowi — kiedy powtórzył parę komplementów, które usłyszał od swego przełożonego — że jest po prostu wspaniały. Nie mogę jej usprawiedliwić twierdząc, że powiedziała to z ironią. Bynajmniej — wyrzekła do słodkim głosem, zerkając na Andrzeja i natychmiast spuszczać oczy, co sprawiło, że nawet jego spokojne serce zabiło mocniej.

Och,

Emilko, Emilko!

Ta wiosna była dla Emilki pomyślna. Przyjęto do druku kilka jej utworów, za które otrzymała czeki — i zaczynała uważać się za osobę o jakim takim doświadczeniu literackim. Rodzina traktowała teraz jej pisarską manię z pewną powagą. Czeki mówiły same za siebie. — Od Nowego Roku Emilka zarobiła piórem pięćdziesiąt dolarów — powiedziała ciotka Ruth do pani Drury. — Zaczynam myśleć, że to dziecko znalazło łatwy sposób zarabiania na życie.

Łatwy sposób! Emilka, która usłyszała te słowa przechodząc przez hali, uśmiechnęła się i westchnęła. Co wiedziała ciotka Ruth, co wiedział ktokolwiek o rozczarowaniach i klęskach tych, którzy dążą Alpejskimi Ścieżkami? Cóż mogła wiedzieć o rozpacz i udręce kogoś, kto widzi, lecz nie potrafi dosięgnąć? Co mogła wiedzieć o goryczy kogoś, kto wymyśla cudowną opowieść i przelewa ją na papier tylko po to, by w nagrodę za cały trud ujrzeć przed sobą nudny i bezbarwny rękopis? Co mogła wiedzieć o zaryglowanych drzwiach i niedostępnych

wydawniczych sanktuariach? O brutalnych odmowach i zdawkowych pochwałach? O zawiedzionych nadziejach, o godzinach dręczącego zwątpienia i niepewności?

Ciotka Ruth nie miała o tym wszystkim pojęcia, ale zaczęła wyrażać oburzenie, kiedy odsyłano rękopisy Emilki.

— To po prostu bezczelność — mówiła. — Nie posyłaj już temu redaktorowi ani linijki.

Pamiętaj, że pochodzisz z Murrayów!

— Obawiam się, że on o tym nie wie — odpowiadała Emilka z powagą.

— Czemu więc mu nie powiesz? — pytała ciotka.

W maju zapanowało w Shrewsbury podniecenie wywołane przyjazdem Janet Royal, która przybyła w rodzinne strony z Nowego Jorku wraz ze swymi wspaniałymi sukniami, olśniewającą reputacją i psem rasy chow–chow. Janet pochodziła ze Shrewsbury, lecz nie było jej tu przez dwadzieścia lat, odkąd „wyjechała do Stanów”. Była inteligentna, ambitna i powiodło jej się w życiu. Była redaktorem literackim dużego czasopisma kobiecego w Nowym Jorku i recenzentką znanej firmy wydawniczej. Na wieść o przyjeździe panny Royal Emilce zaparło dech. Och, gdyby mogła się z nią spotkać... porozmawiać... zadać jej setki pytań! Kiedy pan Towers niedbałym tonem poprosił Emilkę, aby przeprowadziła z panną Royal wywiad dla „Czasu”, zadrżała z przerażenia i zachwytu. Miała pretekst do odwiedzin. Ale czy potrafi... czy ma dość pewności siebie? Czy panna Royal nie uzna jej za nieznośnie zarozumiałą? Jak miała pytać pannę Royal o jej karierę lub opinię na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych? Chyba nigdy się nie odważy.

„Modlimy się przed tym samym ołtarzem, lecz ona jest wysoką kapłanką, a ja najpokorniejszą nowicjuską” — zanotowała Emilka w pamiętniku.

Następnie ułożyła czołobitny list do panny Royal z prośbą o spotkanie. Przepisywała go tuzin razy, a gdy wreszcie wysłała, nie mogła spać przez całą noc, ponieważ przyszło jej do

głowy, że powinna była napisać na zakończenie: „łączę wyrazy szacunku”, a nie: „łączę pozdrowienia”.

„Pozdrowienia” nasuwały myśl o zażyłości, która przecież nie istniała. Panna Royal z pewnością uzna ją za arogancką.

Ale panna Royal przesłała w odpowiedzi czarujący list — Emilka ma go do dziś dnia.

Ashburn, poniedziałek

Droga Panno Starr

Oczywiście, że może Pani mnie odwiedzić i pytać o wszystko, co Jimmy Towers chciałby wiedzieć (Boże go błogosław, przecież to on właśnie był moim pierwszym kawalerem!), a także o to, co Pani sama chciałaby wiedzieć. Myślę, że zawitałam tej wiosny na Wyspę Księcia Edwarda po części dlatego, że pragnęłam poznać autorkę „Kobiety, która sprawiła lanie królów”. Czytałam to opowiadanie zeszłej zimy w „Roche’s” i uważam, że jest urocze. Niech Pani przyjdzie i opowie mi o sobie i swoich ambicjach. Bo jest Pani ambitna, nieprawdaż? Sądzę także, że uda się Pani zrealizować swoje zamiary, i chciałabym Pani w tym dopomóc. Ma Pani coś, czego ja nigdy nie miałam — prawdziwe zdolności twórcze — lecz ja mam za to sporo doświadczenia i służę nim w odpowiedzi na wszelkie pytania. Mogę pomóc Pani uniknąć niektórych sidła i pułapek, a przy tym mam „wpływy” w pewnych sferach. Niech Pani przyjdzie do mnie w piątek „po szkole”, a utniemy sobie pogawędkę od serca.

Z siostrzanym pozdrowieniem

Janet Royal

Emilka drżała od stóp do głów czytając ten list. „Z siostrzanym pozdrowieniem” — o nieba! Uklękła przy oknie i utkwiała zachwycone spojrzenie w smukłych jodłach Wyniosłej Krainy i ro — sistych polach, porośniętych koniczyną. O, czy to możliwe, żeby kiedyś stała

się tak olśniewającą i zwycięską kobietą jak panna Royal? Dzięki temu listowi wydawało się to możliwe... każde piękne marzenie wydawało się możliwe do spełnienia. A w piątek — za cztery dni — odbędzie serdeczną rozmowę ze swą wysoką kapłanką.

Pani Angela Royal, która tego samego wieczoru odwiedziła ciotkę Ruth, nie uważała Janet Royal za wysoką kapłankę czy cudowną osobę. Ale cóż, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a pani Royal wychowywała kiedyś Janet.

— Nie powiem, żeby jej się źle powodziło — zwierzyła się ciotce Ruth. — Ma wysoką pensję. Ale jest starą panną, ot co, i czasami okropnie wydziwia.

Emilka, która siedziała na parapecie wykuszowego okna ucząc się łaciny, zapłonęła oburzeniem. To była niemal obraza majestatu!

— Wygląda bardzo dobrze — stwierdziła ciotka Ruth. — Janet zawsze była miłą dziewczyną.

— O tak, jest dość miła. Ale zawsze się bałam, że jest za mądra, żeby złapać męża, no i miałam słuszność. Do tego zachowuje się jak cudzoziemka. Zawsze spóźnia się na posiłki... a szum, jaki robi koło tego swojego psa, przyprawia mnie o mdłości. Nazywa go Czu-Czin. To on rządzi domem. Robi, co mu się żywnie podoba, i nikt nie może powiedzieć słowa. Moja biedna kotka żyje w ciągłym strachu. Janet jest przewrażliwiona na jego punkcie. Kiedy poskarżyłam się, że on sypia na mojej pluszowej kanapie, tak się zirytowała, że nie rozmawiała ze mną przez cały dzień. Tego u niej nie lubię. Gdy się obrazi, jest taka wyniosła i nieprzystępna. Obraża się o rzeczy, które dla innych byłyby bez znaczenia. A kiedy jest na kogoś obrażona, to jest obrażona na cały świat. Mam nadzieję, że nic jej nie rozżłości w piątek, Emilko. Jeśli będzie nie w humorze, wyładuje się na tobie. Ale muszę przyznać, że to nie zdarza się często i że obca jest jej małostkowość i zawziętość. Urobiłaby sobie ręce po łokcie, żeby pomóc przyjacielom.

Kiedy ciotka Ruth wyszła, żeby porozmawiać z chłopcem ze sklepu, pani Royal dodała pospiesznie:

— Ona bardzo się tobą interesuje. Lubi otaczać się ładnymi, młodymi dziewczętami...

mówi, że dzięki temu czuje się wciąż młoda. Uważa, że masz prawdziwy talent. Jeżeli cię polubi, to będzie dla ciebie duża szansa. Ale na litość boską, nie naraż się temu psu! Gdybyś go obraziła, Janet nie chciałaby mieć z tobą do czynienia, choćbyś nawet była samym Szekspirem.

W piątek rano Emilka obudziła się z przeczuciem, że będzie to jeden z najważniejszych dni w jej życiu — dzień oszałamiających możliwości. Miała straszny sen, w którym siedziała przed panną Royal jak zaklęta, zdolna wymówić jedno jedyne słowo: „Czu—czin”, które powtarzała jak papuga w odpowiedzi na każde pytanie panny Royal.

Ku zgrozie Emilki przez całe przedpołudnie lał deszcz, lecz około południa powróciła piękna pogoda, a wzgórza po drugiej stronie zatoki przyoblekły się w czarodziejski błękit.

Emilka pospieszyła po lekcjach do domu, blada i przejęta. Musiała odpowiednio przygotować się do tej wizyty. Ubierze się w nową suknię z granatowego jedwabiu — co do tego nie miała wątpliwości. Suknia była dość długa i Emilka wyglądała w niej prawie dorośle. Ale jak się uczesać? „Węzeł Psyche” wyglądał dystyngowanie, podkreślał jej profil i prezentował się korzystnie pod kapeluszem. Prócz tego, z odsłoniętym czołem mogła wyrzeć bardziej intelektualne wrażenie. Ale pani Royal powiedziała, że panna Royal lubi ładne dziewczęta.

Trzeba więc być ładną za wszelką cenę. Gęste, czarne włosy zostały upięte nisko nad czołem i zwieńczone nowym wiosennym kapeluszem, który Emilka odważyła się kupić za ostatni czek pomimo dezaprobaty ciotki Elżbiety i lapidarnej uwagi ciotki Ruth, że głupców pieniądze się nie trzymają. Teraz jednak Emilka była zadowolona ze swego zakupu. Nie mogłaby przecież pójść do panny Royal w zwykłym, czarnym, płaskim kapeluszu. Ten zaś był bardzo

twarzowy: kaskada fiołków spływała na faliste, czarne włosy Emilki, muskając mlecznobiałą szyję. Wyglądała uroczo: była schludna i wykwintna, „jak spod igły” — lubię to stare powiedzenie. Ciotka Ruth, wyczekująca w hallu, ujrzała ją na schodach i z niejakim wstrząsem uświadomiła sobie, że Emilka jest już młodą kobietą.

„Ma prezencję Murrayów” — pomyślała ciotka Ruth.

Z jej ust nie mogła wyjść większa pochwała, choć smukłą wytworność Emilka odziedziczyła po Starrach. Murrayowie byli godni i postawni, lecz sztywni.

Droga do Ashburn zajęła Emilce trochę czasu. Piękny, stary, biały dom stał z dala od ulicy, wśród potężnych drzew. Emilka wkroczyła na wysypaną żwirem ścieżkę, wzdłuż której kładły się misterne wiosenne cienie, niczym czcicielka jakiegoś bóstwa, zbliżająca się do jego świątyni. W połowie ścieżki siedział duży, puszysty, biały pies. Emilka zerknęła na niego z zaciekawieniem. Nigdy nie widziała psa chow–chow. Uznała, że Czu–czin jest ładny, lecz niezbyt czysty.

Najwyraźniej wytarzał się radośnie w jakiejś kałuży, gdyż jego pierś i łapy ociekały błotem. Emilka miała nadzieję, że ją zaakceptuje, lecz nie będzie się zanadto zbliżał.

Prawdopodobnie ją zaakceptował, ponieważ nagle wstał i ruszył za nią, machając przyjaźnie puszystym ogonem — a raczej ogonem, który byłby puszysty, gdyby nie był tak mokry i zabłocony. Stał wyczekująco koło Emilki, gdy dzwoniła do drzwi i kiedy się otworzyły, skoczył wesoło w stronę damy, która stała za nimi, omal jej nie przewracając.

Drzwi otworzyła panna Royal we własnej osobie. Emilka zauważyła od razu, że nie jest piękną, lecz odznacza się niewątpliwą dystynkcją, od korony złocistobrązowych włosów aż po atłasowe pantofelki. Miała na sobie przepiękną suknię z fiołkowego aksamitu, a na nosie pince–nez w szylkretowych oprawkach, jakich nie miał nikt w Shrewsbury.

Czu–czin z zachwytem przejechał mokrym jęzorem po jej twarzy i wbiegł do salonu pani

Royal. Piękna fioletowa suknia była teraz pokryta od kołnierza po talię śladami zabłoconych łap. Emilka pomyślała, że Czuczyn w pełni zasługuje na opinię, jaką wyraziła pani Royal, i stwierdziła w duchu, że gdyby był jej psem, nauczyłaby go lepszych manier. Panna Royal nie skarciła go jednak w żaden sposób — być może krytycyzm Emilki podsyciło spostrzeżenie, że panna Royal powitała ją z nieskazitelną uprzejmością, lecz bardzo zimno. Na podstawie jej listu Emilka spodziewała się nieco cieplejszego przyjęcia.

— Zechce pani wejść i usiąść? — rzuciła panna Royal. Wpuściła Emilkę do środka, wskazała jej wygodne krzesło, a sama usiadła na sztywnym i twardym. Emilka, która zawsze była wyczulona, a w tej chwili wręcz przeczulona, pomyślała, że ten wybór krzesła kryje w sobie coś złowieszczonego. Dlaczego panna Royal nie rozsiadła się wygodnie w dużym pluszowym fotelu? Siedziała teraz, wyniosła i dostojna, pozornie nie zwracając uwagi na swą okropnie poplamioną suknię. Czuczyn wskoczył na szeroką pluszową kanapę i usiadł, popatrując dziarsko to na pannę Royal, to na Emilkę, jakby bawiła go ta sytuacja. Było rzeczą aż nazbyt oczywistą, że — jak obawiała się pani Royal — coś „rozzłościło” pannę Royal. Serce Emilki zaciężało nagle jak ołów.

— Piękny... dzisiaj mamy dzień — wyjąkała. Wiedziała, że mówi coś bardzo głupiego, ale musiała się odezwać. Cisza była nie do zniesienia.

— Bardzo piękny — zgodziła się panna Royal, nie patrząc przy tym na Emilkę, lecz na Czuczina, który zamiatał mokrym ogonem piękną, jedwabną, koronkową poduszkę pani Royal. Emilka znenawidziła go. Była to dla niej pewna ulga, gdyż nie odważyła się jeszcze znenawidzić panny Royal. Pragnęła znaleźć się o tysiąc mil stąd. O, gdyby tylko nie miała na kolanach paczki rękopisów! Było wyraźnie widać, co to jest. Za nic nie odważy się pokazać pannie Royal choćby jednego. Czy ta obrażona cesarzowa mogła być autorką owego życzliwego, przyjaznego listu? Trudno było w to uwierzyć. To chyba koszmarny sen!

Marzenia Emilki pękły jak bańka mydlana. Czuła się pospolita, prostacka, niedouczona i zanedbana — i młoda! Och, jak przerażająco młoda!

Minęło parę chwil — niewiele, lecz Emilce wydawały się całymi godzinami. Zaszło jej w ustach, a mózg odmawiał posłuszeństwa. Nic nie przychodziło jej do głowy. Przemknęło jej tylko przez myśl straszliwe podejrzenie, że już po napisaniu listu do panny Royal dotarły plotki o nocy w starym Domu Jana i stąd wynikła zmiana w jej zachowaniu.

Nieszczęśliwa Emilka poprawiła się w krześle i rękopisy spadły na podłogę. Pochyliła się, by je podnieść. W tej samej chwili Czuczyn zeskoczył z kanapy. Zabłoconymi łapami zawadził o fiołki przy kapeluszu Emilki i zerwał je. Emilka porzuciła rękopisy i złapała kapelusz. Pies zaś porzucił fiołki i runął ku paczce. Pochwycił ją w zęby i dał susa do ogrodu przez otwarte weneckie okno.

„Och, zaczęłabym tupać, gdybym mogła” — pomyślała oburzona Emilka.

Ten diabelski pies porwał jej ostatnie, najlepsze opowiadanie i specjalnie wybrane wiersze. Bóg jeden wie, co z nimi zrobi. Zapewne nigdy więcej ich nie zobaczy. Ale przynajmniej nie musiała się wahać, czy pokazywać je pannie Royal.

Emilka nie dbała już o humory panny Royal. Nie pragnęła także wyrzucić na niej korzystnego wrażenia — na kobiecie, która pozwalała swemu psu na takie zachowanie i ani razu go nie skarciła! o nie, wydawała się nawet rozbawiona jego wyczynami. Emilka była pewna, że przez wyniosłą twarz panny Royal przemknął uśmiezek, gdy spojrzała na rozrzucone po podłodze fiołki.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie pewną opowieść o ojcu Dumnego Jana, który miał zwyczaj powtarzać żonie: „Kiedy ludziska zechcą ci dokuczyć, ty tylko wydymaj wargi, Bridget, wydymaj wargi”.

Emilka wydęła wargi.

— Bardzo swawolny pies — odezwała się sarkastycznie.

— Bardzo — przyznała spokojnie panna Royal.

— Nie sądzi pani, że przydałoby mu się trochę dyscypliny? — spytała Emilka.

— Nie, nie sądzę — odparła z namysłem panna Royal.

W tej chwili wrócił Czu–czin, obiegnął pokój w podskokach, strącił ogonem ze stolika szklany wazonik, obwąchał potłuczone szkło i ponownie wskoczył na kanapę, gdzie usiadł z wywieszonym ozorem, dysząc: „I co, dobry ze mnie pies?”

Emilka wyjęła notes i ołówek.

— Pan To wers przysłał mnie tutaj, żebym przeprowadziła z panią wywiad — powiedziała.

— Takie odniosłam wrażenie — rzuciła panna Royal, nie odrywając oczu od swego ulubieńca.

Emilka: — Czy byłaby pani łaskawa odpowiedzieć na kilka pytań?

Panna Royal z przesadną uprzejmością: — Będę zachwycona.

(Czu–czin, odetchnąwszy nieco, zeskakuje z kanapy i wybiega przez uchylone drzwi do jadalni.)

Emilka, zaglądając do notesu, rzuca na chybił trafił pierwsze pytanie: — Jaki będzie według pani wynik tegorocznych wyborów prezydenckich?

Panna Royal: — Nie zastanawiałam się nad tym.

(Emilka, zacisnąwszy usta zapisuje w notesie: „Nie zastanawiała się nad tym”. Czu–czin wraca z pieczonym kurczakiem w pysku i wybiega przez salon do ogrodu.)

Panna Royal: — Oto i moja kolacja!

Emilka, stawiając fajkę przy pierwszym pytaniu: — Czy istnieje prawdopodobieństwo, że Kongres Stanów Zjednoczonych odniesie się przychylnie do ostatnich propozycji współpracy, wysuniętych przez rząd kanadyjski?

Panna Royal: — Czyżby rząd kanadyjski złożył jakieś propozycje? Nic o nich nie wiem.

(Emilka pisze: „Nic o nich nie wie”. Panna Royal poprawia pince-nez.)

Emilka myśli: „Z takim nosem i podbródkiem będziesz na starość wyglądała jak czarownica”. *Zadaje pytanie:* — Czy podziela pani pogląd, że powieść historyczna to już przeżytek?

Panna Royal leniwie: — Kiedy wyjeżdżam na wakacje, zostawiam w domu swoje poglądy.

(Emilka zapisuje: „Zostawia w domu swoje poglądy, kiedy wyjeżdża na wakacje”.

Pragnęłaby gorąco opisać tę rozmowę po swojemu, wie jednak, że pan Towers nigdy by tego nie wydrukował. Pociesza się, że w domu czeka nowy zeszyt od Jima, i ze złośliwą uciechą wyobraża sobie sprawozdanie, które w nim napisze. Wraca Czu-czin. Emilka zastanawia się, czy mógł pożreć kurczaka w tak krótkim czasie. Czu-czin, najwyraźniej spragniony deseru, zrywa szydełkowy pokrowiec pani Royal, wpęła z nim pod fortepian i zaczyna go radośnie obgryzać.)’

Panna Royal żarliwie: — Drogi piesek!

Emilka z nagłym błyskiem natchnienia: — Co pani sądzi o psach rasy chow-chow?

Panna Royal: — To najcudowniejsze stworzenia na świecie.

Emilka do siebie: „A zatem przywiozła z sobą jeden pogląd”. *Do panny Royal:* — Ja nie jestem nimi zachwycona.

Panna Royal z lodowatym uśmiechem: — Jestem przekonana, że gdy mowa o psach, mamy zupełnie odmienne zdania.

Emilka myśli: „Żałuję, że nie ma tu Ilzy. Ona by cię zwymyślała!”.

(Próg przekracza duża, szara, kocia matrona. Czu-czin wyskakuje spod fortepianu, śmiga między nóżkami wysokiego kwietnika i goni uciekającą kotkę. Kwietnik przewraca się z hukiem, a piękna, królewska begonia pani Royal spada na podłogę wraz z rozsypaną ziemią i

szczętkami doniczki.)

Panna Royal obojętnie: — Biedna ciocia Angela! To jej złamie serce.

Emilka: — Ale to nie ma znaczenia, nieprawdaż?

Panna Royal łagodnie: — Och, nie, bynajmniej.

Emilka, zaglądając do notesu: — Czy dostrzega pani wiele zmian w Shrewsbury?

Panna Royal: — Widzę wiele zmian w ludziach. Młode pokolenie nie wywarło na mnie korzystnego wrażenia.

(Emilka zapisuje to zdanie. Czu-czin wraca z pościgu za kotką przez kolejne błotniste kałuże i podejmuje swój posiłek pod fortepianem.)

Emilka zamknęła notes i wstała. Nie zamierzała przedłużać tego spotkania nawet dla wszystkich panów Towersów pod słońcem. Wyglądała jak anioł, lecz jej myśli były straszne. I nienawidziła panny Royal — o, jakże jej nienawidziła!

— Dziękuję, to wszystko — przemówiła równie wyniośle jak panna Royal. — Przykro mi, że zajęłam pani tyle czasu. Do widzenia.

Skinęła lekko głową i wyszła do hallu. Panna Royal stanęła w drzwiach salonu.

— Czy nie zechciałaby pani zabrać swego psa, panno Starr? — spytała słodko.

Emilka zastygła z dłonią na gałce i spojrzała na pannę Royal.

— Słucham?

— Pytałam, czy nie zechciałaby pani zabrać swego psa.

— Mojego psa?

— Tak. Nie zjadł wprawdzie jeszcze pokrowca, ale może go pani sobie wziąć. Nie przyda się już na nic cioci Angeli.

— To... to... nie jest mój pies — zachłysnęła się Emilka.

— Nie pani pies? W takim razie czyj? — zapytała panna Royal.

— Myślałam, że... to pani... pani chow–chow — wykrztusiła Emilka.

XXIII

OTWARTE DRZWI

Panna Royal przez chwilę wpatrywała się w Emilkę. Potem złapała ją za rękę, zamknęła drzwi, wciągnęła ją do salonu i posadziła w fotelu. Następnie rzuciła się na zabłoconą sofę i wybuchnęła śmiechem — długim i niepohamowanym. Coraz to pochylała się naprzód, szturchając gwałtownym ruchem kolano Emilki, po czym odchyłała się w tył i śmiała się dalej. Emilka siedziała z niepewnym uśmiechem. Była zbyt udręczona, by oddać się wesołości jak panna Royal, lecz w jej umyśle kiełkował już szkic do zanotowania w zeszycie od Jima. Tymczasem biały pies, który zdążył rozszarpać pokrowiec na strzępy, ponownie wywęszył kotkę i rzucił się w pościg.

Panna Royal wyprostowała się wreszcie i otarła oczy.

— Och, to niesamowite, Emilio Byrd Starr... Po prostu niesamowite! Przypomnę sobie o tym, gdy skończę osiemdziesiąt lat, i będę się zaśmiewała. Która z nas to opíše, ty czy ja? I kto jest właścicielem tej bestii?

— Nie mam pojęcia — odparła spłoszona Emilka. — Nigdy przedtem go nie widziałam.

— Zamknijmy lepiej drzwi, zanim wróci. A teraz, moja droga, usiądź tu przy mnie... pod poduszką zostało czyste miejsce. Porozmawiamy sobie szczerze. O, byłam niegodziwa, kiedy usiłowałam zadawać mi pytania. Chciałam być niegodziwa. Dlaczego nie rzuciłaś czymś we mnie, moje biedactwo kochane?

— Zrobiłabym to z chęcią. Ale teraz myślę, że potraktowała mnie pani aż nazbyt łagodnie przy takim zachowaniu mojego psa.

Panna Royal ponownie zaczęła skrecać się ze śmiechu.

— Nie wiem, czy ci wybaczę, że wzięłaś to koszarne, białe, kosmate stworzenie za mojego wspaniałego, złocistorudego chow–chow. Zaprowadzę cię później do pokoju, żebyś go przeprosiła. Śpi na łóżku. Zamknęłam go, żeby ciocia Angela przestała zamartwiać się o

swoją kotkę. Czu–czin nie ma zamiaru jej skrzywdzić. Chce się tylko pobawić, a ta niemądra staruszka ucieka przed nim. Wiesz przecież, że pies nie może powstrzymać się od gonięcia kota. Jak mówi Kipling, nie byłby wtedy prawdziwym psem. Gdyby tylko ten biały demon ograniczył się do pościgu za kotem!

— Przykro mi z powodu begonii pani Royal — powiedziała z żalem Emilka.

— O tak, to wielka szkoda. Ciocia Angela miała ją od lat. Ale kupię jej nową. Kiedy zobaczyłam cię na ścieżce z tym psem, doszłam do wniosku, że jest twój. Włożyłam ulubioną suknię, bo wyglądałam w niej niemal pięknie, a chciałam ci się spodobać... i gdy to zwierzę powalało ją błotem, a ty nawet go nie skarciłaś, ogarnęła mnie zimna furia. Miewam takie napady, nic na to nie poradzę. To jedna z moich przywar. Ale szybko mi to przechodzi, o ile nie nastąpi nowe nieszczęście. A tutaj następowało jedno po drugim. Przysięgam sobie, że jeśli sama nie spróbujesz przywołać swego psa do porządku, ja nie powiem ani słowa na ten temat. A ty pewnie byłaś oburzona, że spokojnie pozwalam memu psu niszczyć twoje fiołki i pożerać rękopisy?

— Owszem.

— Przykro mi z powodu rękopisów. Może uda się je odszukać... Nie mógł ich przecież zjeść, choć zapewne podarł na strzępy.

— To nieważne. Mam w domu kopie.

— A twoje pytania! Byłaś pyszna, Emilko. Czy naprawdę zanotowałaś moje odpowiedzi?

— Słowo w słowo. Zamierzałam dać je do druku. Pan Towers przekazał mi listę pytań dla pani, ale nie miałam zamiaru zadawać ich tak bez ogródek. Chciałam je wpleść zręcznie w rozmowę. O, idzie pani Royal.

Pani Royal weszła z uśmiechem, który zniknął na widok begonii. Panna Royal jednak odezwała się pospiesznie:

— Najdroższa cioteczko, nie płacz i nie mdlej... przynajmniej dopóki nie powiesz mi, kto w okolicy jest właścicielem białego, kudłatego, absolutnie niewychowanego, diabelskiego psa?

— Lily Bates — odparła pani Royal z rozpaczą. — Czyżby znowu wypuściła to zwierzę? Ile ja się z nim namęczyłam przed twoim przyjazdem! To jeszcze szczeniak i nie potrafi się zachować. Powiedziałam jej, że jeśli jeszcze raz go tu przyłapię, to go otruję. Od tego czasu trzymała psa w domu. Ale teraz, jak widzę... och, moja biedna begonia!

— Cóż, ten pies przyszedł z Emilką. Myślałam, że należy do niej. Uprzejmość wobec gościa każe być uprzejmym dla jego psa... Czyż nie istnieje stare powiedzenie, które wyraża to zwięźlej? Gdy wszedł, uściskał mnie gorąco, o czym świadczy moja ukochana suknia. Zabłocił twoją kanapę, zdarł Emilce fiołki z kapelusza, przepędził twoją kotkę, zrzucił begonię, rozbił wazon, porwał kurczaka... o tak, zapłacz, ciociu Angelo, tak było... A ja zachowałam spokój i ani słowem nie uchybiłam grzeczności. Przysięgłabym, że moje maniery godne były samego Księżycowego Nowiu. Czy nie tak, Emilko?

— Po prostu odjęło ci mowę ze złości — stwierdziła posepnie pani Royal, przebierając palcami w szczątkach begonii.

Panna Royal zerknęła na Emilkę z ukosa.

Widzisz? Nie potrafię nabrać cioci Angeli. Zbyt dobrze mnie zna. Przyznaję, że nie byłam dzisiaj tak czarująca jak zazwyczaj. Ale, kochana cioteczko, kupię ci nowy wazon i nową begonię... pomyśl tylko, jak miło będzie ją pielęgnować. Oczekiwanie jest zawsze znacznie bardziej interesujące niż spełnienie.

— Już ja pogadam z Lily Bates — powiedziała pani Royal wychodząc po śmietniczkę.

— A teraz, kochanie, porozmawiajmy sobie od serca — oznajmiła panna Royal, sadowiąc się na kanapie obok Emilki.

To była panna Royal z listu. Emilka rozmawiała z nią bez skrępowania. Spędziły wesoło godzinę, a na koniec panna Royal uczyniła propozycję, od której Emilce zaparło dech.

— Chciałabym zabrać cię w lipcu do Nowego Jorku, Emilko. W redakcji „Pisma dla Pań” jest wolny etat... właściwie nic poważnego. Byłabyś kimś w rodzaju gońca, wykonującego nadprogramowe zlecenia, ale mogłabyś wspiąć się wyżej. I znalazłabyś się w samym sercu literackiego środowiska. Potrafisz pisać... wiem o tym, odkąd przeczytałam „Kobietę, która sprawiła lanie królowi”. Znam redaktora „Roche’s” i stąd dowiedziałam się, kim jesteś i gdzie mieszkasz. To była prawdziwa przyczyna mojego przyjazdu: chciałam się odnaleźć. Nie wolno ci marnować życia tutaj... to byłaby zbrodnia. Och, wiem naturalnie, że Księżycowy Nów jest kochanym, niezwykłym, prześlicznym miejscem, pełnym poezji i romantyzmu, wprost wymarzoną, by spędzić w nim dzieciństwo. Musisz jednak dorosnąć, rozwinąć się i być sobą. Musisz mieć bodziec, jakim jest obcowanie z wybitnymi umysłami. A to może ci dać jedynie wielkie miasto. Jedź ze mną. Jeśli się zdecydujesz, obiecuję ci, że za dziesięć lat nazwisko Emilii Byrd Starr będzie sławne we wszystkich czasopismach Ameryki.

Emilka siedziała tak oszołomiona i zakłopotana, że nie potrafiła zebrać myśli. Nawet w najśmielszych marzeniach o tym nie śniła. Czowała się tak, jakby panna Royal nieoczekiwanie wsunęła w jej dłoń klucz do świata marzeń, nadziei i wyobraźni. Za drzwiami znajdowało się wszystko, o czym marzyła: powodzenie i sława. A jednak... jednak w wirze uczuć zadrgała nagle przedziwna, ledwie odczuwalna uraza. Czyżby ukłuło Emilkę spokojne przypuszczenie panny Royal, że jeśli z nią nie pojedzie, jej nazwisko pozostanie na wieki nieznane? Czy starzy, dawno zmarli Murrayowie nie przewracali się w grobach na samą wzmiankę o tym, że ich potomkini nie da sobie rady bez pomocy i „wplywów” obcej osoby? A może zachowanie panny Royal było nieco zbyt protekcyjne? Tak czy inaczej, to coś powstrzymało Emilkę — nie padła pannie Royal do stóp.

— O, panno Royal, to byłoby cudowne — wyjąkała. — Bardzo chciałabym jechać z panią... lecz obawiam się, że ciotka Elżbieta nie wyrazi zgody. Powie, że jestem za młoda.

— Ile masz lat?

— Siedemnaście.

— Ja miałam osiemnaście, kiedy wyjechałam. Nie znałam nikogo w Nowym Jorku i miałam przy sobie tylko tyle pieniędzy, by móc się utrzymać przez trzy miesiące. A ty będziesz mieszkała ze mną.

Zaopiekuję się tobą nie gorzej niż sama ciotka Elżbieta. Powiedz jej, że będę cię strzegła jak źrenicy oka. Mam przemiłe, przytulne mieszkanie i będziemy w nim szczęśliwe jak królowe, razem z moim ukochanym i cudownym Czu-czinem. Zobaczysz, Emilko, że i ty pokochasz Czu-czina.

— Chyba wolałabym kota — oświadczyła stanowczo Emilka.

— Kota! O, nie możemy trzymać kota w mieszkaniu. Nie dałoby się go nauczyć moresu.

Musisz poświęcić swoje kotki na ołtarzu sztuki. Jestem przekonana, że spodoba ci się u mnie. Jestem bardzo życzliwa i przyjacielska, kochanie, jeśli zechcę... a przeważnie chcę... i nigdy nie tracę panowania nad sobą. Czasem bywam lodowata, jak ci już powiedziałam, ale szybko taję. Znoszę nieszczęścia innych ze spokojem. I nigdy nie mówię nikomu, że ma katar albo źle wygląda. Naprawdę, jestem wymarzoną współmieszkanką.

— Nie wątpię — przyznała Emilka z uśmiechem.

— Dotychczas nie spotkałam jeszcze dziewczyny, której oferowałabym mieszkanie — dodała panna Royal. — W tobie jest jakieś światło, Emilko. Rozjaśniasz szare miejsca i dodajesz im barwy. Zgódź się... jedź ze mną.

— Najpierw musi się na to zgodzić ciotka Elżbieta — odparła posępnie Emilka. — Jeśli pozwoli mi jechać, to... — urwała nagle.

— Pojedziesz — dokończyła wesoło panna Royal. — Ciotka Elżbieta ci nie zabroni.

Porozmawiam z nią. Pojadę z tobą w przyszły piątek do Księżycowego Nowiu. Musisz skorzystać z tej szansy.

— Nie wiem, jak mam pani dziękować, panno Royal, więc nie będę nawet próbowała.

Muszę już iść. Przemyślę to. Teraz jestem zbyt oszołomiona. Nie wie pani nawet, ile to dla mnie znaczy.

— Chyba wiem — powiedziała łagodnie panna Royal. — Też byłam kiedyś dziewczyną ze Shrewsbury, zamartwiającą się brakiem jakichkolwiek szans.

— Ale pani sama doszła do wszystkiego... i zwyciężyła — rzuciła tęsknie Emilka.

— Tak... lecz musiałam wyjechać, by to osiągnąć. Tutaj nie doszłabym do niczego. Na początku było bardzo ciężko. Wspinaczka zajęła mi całą młodość. Chcę ci oszczędzić pokonywania niektórych trudności i przeszkód. Ty zajdziesz dalej niż ja... Masz zdolności twórcze, a ja potrafię tylko budować gmachy z materiału, który stworzyli inni. Ale my, budowniczo, mamy swoje miejsce... przynajmniej wznosimy świątynie dla naszych bogów i bogiń. Jedź ze mną, dziewczyno droga, a zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

— Dziękuję... dziękuję pani! — Emilka zdołała tylko tyle powiedzieć. Wielkoduszna i pełna zrozumienia postawa panny Royal sprawiła, że w jej oczach wezbrały łzy wdzięczności. Nie zaznała w życiu zbyt wiele zrozumienia ani zachęty i była głęboko poruszona.

Wychodząc czuła, że musi przekręcić klucz i otworzyć magiczne drzwi, za którymi czekało całe piękno i urok życia — jeśli tylko ciotka Elżbieta pozwoli.

— Jeśli się nie zgodzi, nie zrobię tego — postanowiła Emilka.

W pół drogi do domu przystanęła nagle i wybuchnęła śmiechem. Panna Royal zapomniała w końcu pokazać jej Czuczina.

„Ale to nieważne — pomyślała — bo po pierwsze, nie sądzę, abym po dzisiejszym dniu

mogła zainteresować się rasą chow–chow, a po drugie, będę go widywała dość często, jeśli wyjadę z panną Royal do Nowego Jorku”.

XXIV

DOLINA WIZJI

Czy pojedzie z panną Royal do Nowego Jorku? Emilka musiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. A raczej — musiała na nie odpowiedzieć ciotka Elżbieta. Emilka czuła, że wszystko zależy od zgody ciotki Elżbiety. Nie żywiła nadziei, że ciotka ją wyrazi. Emilka mogła tęsknie spoglądać ku miłym, dalekim, zielonym pastwiskom ukazanym przez pannę Royal, lecz była pewna, że nigdy na nie nie wkroczy. Murrayowska duma — i uprzedzenie — będzie nieprzekraczalną barierą.

Emilka nie wspomniała ciotce Ruth o propozycji panny Royal. Ciotka Elżbieta musiała usłyszeć o niej pierwsza. Emilka utrzymywała tę wiadomość w tajemnicy aż do końca następnego tygodnia, kiedy to panna Royal przybyła do Księżycowego Nowiu — miła i pełna wdzięku, lecz ciut–ciut protekcyjna — i poprosiła ciotkę Elżbietę, by pozwoliła Emilce wyjechać.

Ciotka Elżbieta słuchała w milczeniu — Emilka wyczuła w nim dezaprobatę.

— Kobiety z rodu Murrayów nigdy nie musiały zarabiać na życie pracą — stwierdziła zimno.

— To niezupełnie to, co pani nazywa „pracą”, droga panno Murray — odparła panna Royal z uprzejmą cierpliwością, którą należy okazywać damom o przestarzałych poglądach.

— Tysiące kobiet na całym świecie prowadzi życie zawodowe.

— Przypuszczam, że czynią słusznie, jeśli pozostają niezamężne — rzekła ciotka Elżbieta.

Panna Royal oblała się lekkim rumieńcem. Wiedziała, że dla mieszkańców Perlistej Wody i Shrewsbury była tylko starą panną, a zatem osobą, której nie powiodło się w życiu — niezależnie od dochodów i pozycji, którą zdobyła w Nowym Jorku. Zachowała jednak spokój i spróbowała innej taktyki:

— Emilka posiada niezwykły talent literacki — powiedziała. — Myślę, że potrafi napisać

coś wybitnego, jeśli jej to umożliwimy. Trzeba dać jej szansę, panno Murray. Wie pani przecież, że tutaj nie ma żadnych możliwości.

— W zeszłym roku Emilka zarobiła piórem dziewięćdziesiąt dolarów — odrzekła ciotka Elżbieta.

„O nieba, dajcie mi cierpliwość!” — pomyślała panna Royal i powiedziała głośno:

— Tak, a za dziesięć lat może zarobi kilkaset... natomiast jeśli pojedzie ze mną, będzie zarabiała tysiące.

— Muszę to przemyśleć — oświadczyła ciotka Elżbieta. Emilka była zaskoczona, że ciotka zgodziła się przemyśleć sprawę. Oczekiwała kategorycznej odmowy.

— Namysli się — szepnęła panna Royal wychodząc. — Pojedziesz ze mną, kochana Emilko. Znam Murrayów. Zawsze potrafili docenić prawdziwą szansę. Ciocia wyrazi zgodę.

— Obawiam się, że nie — odparła posepnie Emilka.

Po wyjściu panny Royal ciotka Elżbieta spojrzała na Emilkę.

— Czy chcesz z nią jechać?

— Tak... chyba tak... jeśli mi pozwolisz — wyjąkała Emilka. Była bardzo blada, ale nie przymilała się i nie prosiła o nic. Nie miała żadnej nadziei... najmniejszej.

Ciotka Elżbieta zastanawiała się przez tydzień. Wezwała na pomoc Ruth, Wallace'a i Oliwera. Ruth odezwała się niepewnie:

— Chyba powinniśmy jej pozwolić. To wspaniała możliwość. Nie będzie przecież sama.

Na to nigdy bym się nie zgodziła. Janet jej dopilnuje.

— Jest za młoda... za młoda... — mruknął wuj Oliwer.

— Wydaje się, że to dobra sposobność — powiedział wuj Wallace. — Powiadają, że Janet Royal dużo zarabia.

Ciotka Elżbieta zwróciła się nawet do ciotki Nancy, która odpisała drżącą ręką: „A może

by tak Emilka sama podjęła decyzję?”

Ciotka Elżbieta złożyła list od ciotki Nancy i wezwała Emilkę do salonu.

— Możesz jechać z panną Royal, jeśli tego chcesz — oznajmiła. — Postąpiłabym niesłusznie, stając ci na drodze. Będziemy za tobą tęsknili. Wolelibyśmy mieć cię tutaj jeszcze przez parę lat. Nic nie wiem o Nowym Jorku. Słyszałam, że to grzeszne miasto. Ale ty zostałeś przyzwoicie wychowana. Pozostawiam decyzję tobie. Lauro, dlaczego płaczesz? Emilka sama miała ochotę się rozplakać. Ku swemu zdumieniu *nie* czuła zachwyty ani radości. Czym innym była tęsknota za ogrodzonymi pastwiskami, a czym innym świadomość, że można na nie wejść, kiedy się zechce.

Nie pobiegła natychmiast do swego pokoju, by napisać radosny list do panny Royal, przebywającej u przyjaciół w Charlottetown. Wyszła do ogrodu i pogrążyła się w rozmyślaniach, na których upłynęła jej sobota i niedziela. W Shrewsbury przez cały tydzień była milcząca i zamyślona, a ciotka Ruth obserwowała ją czujnie. Z niejasnych przyczyn nie podejmowała dyskusji na ten temat. Być może myślała o Andrzeju; albo, jak wszyscy Murrayowie, uznała, że decyzję należy pozostawić samej Emilce.

Emilka nie wiedziała, dlaczego od razu nie powiadomiła panny Royal. To oczywiste, że pojedzie. Czy odmowa nie byłaby przejawem niewiarygodnej głupoty? Drugi raz taka szansa już się nie powtórzy. Była to doprawdy wspaniała okazja — wszystko wydawało się takie proste, Alpejska Ścieżka zamieniła się w łagodny gościniec, a powodzenie można było osiągnąć w sposób pewny, olśniewający i szybki. Czemu więc musiała to sobie powtarzać i prosić o radę pana Carpentera? Pan Carpenter niewiele jej pomógł. Atak reumatyzmu źle wpłynął na jego nastrój.

— Tylko mi nie mów, że znowu przynosisz jakiś plon — jęknął.

— Nie, tym razem nie chcę panu pokazywać rękopisów — odparła Emilka z niepewnym

uśmiechem. — Przyszłam prosić pana o radę.

Opowiedziała mu o swoich wahaniach.

— To wspaniała sposobność — zakończyła.

— A jakże, wspaniała — burknął pan Carpenter. — Żeby nabrać jankeskich zwyczajów.

— Nie nabiorę jankeskich zwyczajów! — zaprotestowała z urazą Emilka. — Panna Royal mieszka w Nowym Jorku od dwudziestu lat, a nie stała się jankeską.

— Czyżby? Chyba źle mnie zrozumiałaś — odparł pan Carpenter.

— Nie miałem na myśli tych głupich dziewcząt, co to jadą pracować „do Stanów” i za pół roku wracają z akcentem, od którego cierpie skóra. Janet Royal nabrała jankeskich zwyczajów... jej wygląd, zachowanie, styl są przesiąknięte Stanami. Nie potępiam jej... nie ma w tym nic złego. Ale ona nie jest już Kanadyjką... A zawsze chciałem, żebyś ty pozostała prawdziwą Kanadyjką i uczyniła, co w twojej mocy, dla wzbogacenia literatury własnego kraju... żebyś zachowała swój kanadyjski charakter. Oczywiście, nie zrobisz na tym majątku.

— Tutaj nie mam żadnych szans — upierała się Emilka.

— Nie masz... podobnie jak to było na plebanii w Haworth — mruknął pan Carpenter gniewnie.

— Nie jestem Charlottą Brontö! — wybuchnęła Emilka. — Ona była genialna, a to wartość sama w sobie. Ja mam tylko talent, który potrzebuje wsparcia i... i... przewodnictwa.

— Jednym słowem, znajomości — podsumował pan Carpenter.

— A zatem uważa pan, że nie powinnam jechać? — spytała niespokojnie Emilka.

— Jedź, skoro tego pragniesz. Trzeba ugiąć kark, by szybko zyskać sławę. Ach, jedźże, jedź, powiadam. Jestem za stary, żeby się z tobą spierać. Odejdź w pokoju. Byłabyś głupia postępując inaczej... tylko że głupcy niekiedy osiągają swoje cele. Niewątpliwie czuwa nad nimi Opatrzność.

Emilka opuściła skromny domek pana Carpentera z pociemniałymi oczyma. Po drodze spotkała Starego Kelly'ego, który zatrzymał czerwony wóz zaprzężony w pulchną kobyłę i kiwnął przyzywająco.

— Mam dla ciebie miętówki, dziewczeczko droga. I co, czy nie czas już, żebyś... ehm, no wiesz... — tu Stary Kelly mrugnął porozumiewawczo.

— Och, ja zostanę starą panną, panie Kelly — uśmiechnęła się Emilka.

Stary Kelly potrząsnął głową i ujął lejce.

— E, nie ma mowy o czymś takim. Ty należysz do wybrańców Bożych... Tylko nie bierz sobie Priesta za męża, pamiętaj, dziewczeczko droga... żadnego Priesta.

— Panie Kelly — odezwała się nagle Emilka — otrzymałam właśnie wspaniałą propozycję, żeby wyjechać do Nowego Jorku i pracować dla pewnego pisma. Nie mogę się zdecydować. Co by mi pan radził?

Mówiąc to wyobraziła sobie, z jaką zgrozą ciotka Elżbieta patrzyłaby na Murrayównę zasięgającą rady Starego Jocka Kelly'ego. Sama była tym nieco zawstydzona.

Stary Kelly znowu potrząsnął głową.

— O czym myślą te tutejsze chłopaki? A co na to starsza pani?

— Ciotka Elżbieta mówi, że sama powinnam zdecydować.

— Ano, to myślę, że tak być powinno — rzekł Stary Kelly i odjechał bez słowa.

Najwyraźniej nie należało oczekiwać od niego żadnej rady.

„Po co mi rady? — myślała rozpaczliwie Emilka. — Co we mnie wstąpiło, że nie potrafię sama podjąć decyzji? Czemu nie powiem, że pojedę? Teraz nie wydaje mi się, żebym chciała jechać. Czuję tylko, że powinnam chcieć”.

Żałowała, że Deana nie ma w domu. Spędzał tę zimę w Los Angeles. A z Tedem jakoś nie mogła o tym mówić. Nic nie wynikło z owej cudownej chwili w starym Domu Jana — nic

prócz pewnej powściągliwości, która niemal popsua dawną przyjaźń. Pozornie byli takimi samymi przyjaciółmi jak dotychczas, ale czegoś między nimi zabrakło — a nic innego nie wypełniło pustki. Emilka nie chciała się przyznać sama przed sobą, że boi się zapytać Teda o zdanie. A jeśli powie, żeby jechała? To sprawiłoby jej nieznośny ból, ponieważ oznaczałoby, że Ted nie dba o to, czy ona wyjedzie, czy zostanie. Ale Emilka nie brała tego pod uwagę.

— Oczywiście, że pojedę — powiedziała głośno do siebie. Może w ten sposób rozstrzygnie sprawę. — Co bym tu robiła w przyszłym roku? Ciotka Elżbieta z pewnością nie pozwoli mi ruszyć się gdziekolwiek samej. Nie będzie Ilzy, Perry’ego... ani najprawdopodobniej Teda. Mówił, że powinien wyjechać i zarobić na dalsze studia. Muszę jechać.

Powiedziała to zapalczywie, jak gdyby przeciwstawiając się niewidzialnemu oponentowi. Kiedy o zmierzchu weszła do pustego domu, zaczęła krążyć po nim niespokojnie. Ileż uroku, godności i subtelności miały w sobie stare pokoje z ich świecami, staromodnymi krzesłami i plecionymi dywanikami! Jaki drogi i bliski był jej własny pokoik z tapetami w romby i aniołem stróżem, z pękatym, czarnym wazonem i śmieszną, ukośną szybką!

Czy mieszkanie panny Royal mogło być choć w połowie tak cudowne?

— Pojedę, oczywiście — powtórzyła Emilka, czując, że gdyby opuściła słowo „oczywiście”, sprawa byłaby załatwiona.

Wyszła do ogrodu zalanego odwieczną, spokojną księżycową poświatą i zaczęła przechadzać się ścieżkami. Z oddali dobiegł gwizd pociągu do Shrewsbury niczym zew kuszącego, dalekiego świata

— świata pełnego bogactwa, uroku, dramatyzmu. Emilka przystanęła obok omszałego zegara słonecznego i przebiegła oczyma motto wyryte na krawędzi: „Tak upływa Czas”. Czas upływał szybko i nieubłaganie, nawet w Księżycowym Nowiu, nie tkniętym przez pośpiech i

nowoczesność. Czy nie powinna dać się porwać prądowi? Lekki podmuch wiatru kołysał białymi liliami... Emilka niemal widziała swą starą przyjaciółkę, Królową Wiatru, pochylającą się i unoszącą ich woskowe podbródki. Czy Królowa Wiatru odnajdzie ją wśród zatłoczonych wielkowiejskich ulic? Czy można będzie tam pozostać kiplingowskim kotem? „Zastanawiam się, czy choć raz ujrzę promyk w Nowym Jorku” — pomyślała tęsknie Emilka.

Jaki piękny był ten stary ogród, który kuzyn Jim tak kochał! Jak piękny był cały Księżycowy Nów! Jego uroda miała sobie tylko właściwy, subtelny romantyzm. Ileż uroku kryło się w zakręcie ciemnoczerwonej, wilgotnej drogi w oddali... Trzy Księżniczki promieniały wyniosłym, uduchowionym czarem... sad był pełen magii, a jodłowy lasek intrygował demonicznością. Jakże mogła opuścić stary dom, który dał jej schronienie i miłość — nie mówcie mi, że domy nie potrafią kochać! — groby rodzinne nad stawem w Perlistej Wodzie, rozległe pola i nawiedzone lasy, wśród których snuła dziecięce marzenia? Poczwała nagle, że nie może ich opuścić — że od początku nie chciała wyjeżdżać. To dlatego miotała się rozpaczliwie, prosząc obcych ludzi o radę. Miała nadzieję, że powiedzą jej: „nie wyjeżdżaj”. Dlatego tak żałowała, że nie ma Deana — on z pewnością powiedziałby jej, że nie powinna jechać.

— Należę do Księżycowego Nowiu... Pozostanę między swoimi — rzekła głośno.

Nie miała żadnych wątpliwości — nie potrzebowała niczyjej pomocy, by podjąć taką decyzję. Ogarnęło ją głębokie, wewnętrzne zadowolenie, gdy wchodziła do starego domu, który przestał spoglądać na nią z wyrzutem. Zastała ciotkę Elżbietę, ciotkę Laurę i kuzyna Jima w kuchni oświetlonej magicznym blaskiem świec.

— Nie jadę do Nowego Jorku, ciociu Elżbieto — oznajmiła.

— Zostanę z wami w Księżycowym Nowiu.

Ciotka Laura wydała cichy okrzyk radości. Kuzyn Jim zawołał: „Hurra!”. Ciotka Elżbieta wykonała cały rząddek na drutach, zanim się odezwała. Wreszcie przemówiła:

— Tak by postąpił każdy z Murrayów.

W poniedziałek po południu Emilka udała się prosto do Ashburn. Panna Royal powitała ją ciepło.

— Mam nadzieję, że panna Murray okazała rozsądek i pozwoliła ci jechać ze mną, moja miła.

— Powiedziała, że mam sama zdecydować.

Panna Royal klasnęła w dłonie.

— No to świetnie! W takim razie sprawa załatwiona.

Emilka była blada, lecz oczy jej pociemniały z powagi i przejęcia.

— Tak... postanowiłam nie wyjeżdżać — oznajmiła. — Dziękuję pani z całego serca, panno Royal, ale nie mogę.

Panna Royal szeroko otworzyła oczy. Natychmiast zrozumiała, że wszelkie prośby i argumenty na nic się nie zdadzą, lecz mimo to zaczęła protestować.

— Emilko, to niemożliwe! Dlaczego nie możesz ze mną jechać?

— Nie mogę opuścić Księżycowego Nowiu... za bardzo go kocham... zbyt wiele dla mnie znaczy.

— Myślałam, że chcesz wyjechać — rzekła z wyrzutem panna Royal.

— Chciałam. Jakaś częśćka mnie nadal tego pragnie. Ale jest jeszcze inna częśćka, głęboko ukryta, która mi nie pozwala. Proszę nie myśleć, że jestem głupia i niewdzięczna.

— Ależ nie uważam cię za niewdzięczną — odparła bezradnie panna Royal — lecz myślę... tak, myślę, że postępujesz bardzo niemądrze. Odrzucasz możliwość zrobienia kariery. Czego ty możesz tutaj dokonać, dziecko? Nie masz pojęcia, ile przeszkód napotkasz

na drodze. Nie znajdziesz żadnego materiału... atmosfery... żadnych...

— Sama stworzę atmosferę — przerwała z werwą Emilka. Pomyślała, że punkt widzenia panny Royal jest taki sam, jak pani Sawyer, a jej sposób bycia równie protekcyjny. — A co do materiału... ludzie żyją tutaj tak jak wszędzie, cierpią, radują się, grzeszą i dążą do celu, podobnie jak w Nowym Jorku.

— Nic o tym nie wiesz — rzuciła panna Royal z rozdrażnieniem. — Tutaj nie uda ci się napisać niczego wartościowego... niczego wielkiego. Nie znajdziesz natchnienia... będziesz miała skrępowane ruchy... poważni wydawcy nie zechcą nawet przejrzeć twoich rękopisów, kiedy zobaczą adres z Wyspy Księcia Edwarda. Popelniasz literackie samobójstwo, Emilko. Zrozumiesz to w pewną bezsenłą noc o trzeciej nad ranem. O, przypuszczam, że po kilku latach zyskasz czytelników w szkółkach niedzielnych i wśród abonentów pism rolniczych. Ale czy ci to wystarczy? Wiesz, że nie. A ta małomiasteczkowa zawiść... Jeśli zrobisz coś, czego nie potrafią twoi dawni koledzy i koleżanki ze szkoły, nigdy ci tego nie wybaczą. I wszyscy będą myśleli, że sama jesteś bohaterką własnych utworów, zwłaszcza gdy uczynisz ją piękną i czarującą. Jeśli napiszesz historię miłosną, będą pewni, że sama ją przeżyłaś. Będziesz miała dość Perlistej Wody... poznasz na wylot każdego z jej mieszkańców... to będzie jak czytanie po raz dwudziesty tej samej książki. O, wiem na ten temat wszystko. „Żyłam przed twoim urodzeniem”, jak powiedziałam mając lat osiem do sześciolatniej koleżanki. Zniechęcisz się... godzina trzecia nad ranem pokona cię wreszcie... Pamiętaj, że następuje ona każdej nocy. W końcu dasz za wygraną, wyjdiesz za mąż za tego twojego kuzyna...

— Nigdy!

— No to za kogoś w tym rodzaju. „Ustabilizujesz się” i...

— Nie „ustabilizuję się” — przerwała stanowczo Emilka. — Nigdy w życiu... cóż za

nieprzyjemne słowo!

— ...i będziesz miała taki salon jak ciocia Angela — ciągnęła nieubłaganie panna Royal.

— Kominek pełen fotografii, sztalugi z portretem w szerokich ramach, album w czerwonych pluszowych okładkach, przykryty szydełkową serwetką, pikowaną kołdrę w gościnnym pokoju, ręcznie malowany parawan w hallu... a dla dopełnienia elegancji doniczka w asparagusem „ozdobi jadalniany stół”.

— Nie — odparła z powagą Emilka. — To nie leży w tradycji Murrayów.

— A zatem duchowy odpowiednik tego wszystkiego. O, wyobrażam sobie twoje życie w takim miejscu, Emilko, gdzie ludzie nie patrzą dalej niż na miłę od swego nosa.

— Ja patrzę dalej — Emilka uniosła podbródek. — Sięgam wzrokiem do gwiazd.

— Użyłam przenośni, moja droga.

— Ja również. Och, panno Royal, wiem, że życie tutaj bywa przytłaczające, ale przestworza należą do mnie, tak samo jak do wszystkich. Być może nie powiedzie mi się, jeśli zostanę, ale w takim razie nie powiodłoby mi się i w Nowym Jorku. W mojej duszy wyschłaby jakaś życiodajna fontanna, gdybym opuściła miejsce, które kocham. Wiem, że napotkam trudności i przeszkody, lecz przewyciężano już gorsze przeciwności. Opowiadała mi pani o Parkmanie... o tym, że latami mógł pisać tylko przez pięć minut na raz... że pisał książkę przez trzy lata, po sześć linijek dziennie. Będę sobie o tym przypominała, kiedy ogarnie mnie zniechęcenie. To mi pomoże przetrwać wszystkie bezsenne noce.

— Cóż — panna Royal rozłożyła ręce — poddaję się. Uważam, że popełniasz straszną omyłkę, Emilko... ale jeśli kiedyś dojdę do wniosku, że nie miałam racji, napiszę do ciebie. Jeśli zaś ty dojdiesz do podobnego wniosku na własny temat, napisz do mnie, a zawsze będę gotowa służyć ci pomocą. Nie powiem nawet: „A nie mówiłam?” Przysyłaj mi opowiadania nadające się do naszego czasopisma i pytaj mnie o radę, kiedy będziesz tego potrzebowała.

Jutro wracam do Nowego Jorku. Zaczekałabym do lipca, gdybyś jechała ze mną. Ponieważ nie jedziesz, wyruszam natychmiast. Nie znoszę tego miejsca. Ludzie myślą tu wyłącznie o tym, że nie potrafiłam złapać męża... Wszystkie dziewczęta prócz ciebie okazują mi obrzydliwy szacunek, a staruszkowie powtarzają, że jestem bardzo podobna do matki. Moja matka była brzydka. Pożegnajmy się i nie przeciągajmy tego.

— Panno Royal — zaczęła z przejęciem Emilka — pani rozumie, że doceniam pani życzliwość, prawda? Pani zrozumienie i zachęta znaczą... i zawsze będą znaczyć dla mnie więcej, niż pani może sobie wyobrazić.

Panna Royal ukradkiem musnęła oczy chusteczką i złożyła głęboki ukłon.

— Dzięki za dobre słowo, miła damo — rzekła z powagą. Potem zaśmiała się cicho, położyła Emilce dłonie na ramionach i ucałowała ją w policzek.

— Niechaj ci towarzyszą najlepsze życzenia, jakie kiedykolwiek pomyślano, wypowiedziano lub napisano — powiedziała. — Myślę, że byłoby... miło, gdyby jakieś miejsce znaczyło dla mnie tyle, ile dla ciebie znaczy Księżycowy Nów.

O trzeciej nad ranem bezsenna, lecz uszczęśliwiona Emilka przypomniała sobie, że ani razu nie widziała Czu-czina.

KWIETNIOWA MIŁOŚĆ

10 czerwca 19...

Wczoraj wieczorem Andrzej Oliwer Murray oświadczył się o rękę Emilii Byrd Starr.

Wyżej wymieniona Emilia Byrd Starr odmówiła.

Cieszę się, że mam to za sobą. Od pewnego czasu przeczuwałam, że coś takiego nastąpi.

Za każdą bytnością Andrzej usiłował sprowadzić rozmowę na jakiś poważny temat, lecz ja nie czułam się na siłach stawić mu czoła i wykręcałam się błahymi uwagami.

Wczoraj poszłam do Wyniosłej Krainy na jedną z ostatnich przechadzek. Wspięłam się na porośnięte jodłami wzgórze i z jego wierzchołka spoglądałam na spowite mgłą pola, srebrzące się w blasku księżyca. Cienie paproci i słodkich, dzikich traw na skraju lasu tańczyły niczym duchy. W dali, nad zatoką, biegła fioletowo–bursztynowa smuga zachodu. Za mną jednak rozpościerał się mrok — mrok pachnący jodłową żywicą, który był jak wonna komnata przeznaczona do snucia marzeń i wizji. Zawsze, gdy idę do Wyniosłej Krainy, pozostawiam za sobą królestwo dnia i rzeczy dobrze znanych, a wkraczam w królestwo cieni, tajemnicy i czarów, w którym wszystko może się zdarzyć... i ziścić. Potrafię tu *uwierzyć* we wszystko — w dawne mity i legendy, w driady, faunów i krasnoludki. Nadeszła jedna z cudownych chwil... zdawało mi się, że mój duch opuścił ciało i stał się *wolny*... Byłam pewna, że słyszę echo „zbląkanego słowa” z rozmowy bogów i zapragnęłam wyrazić to, co widziałam i czułam, w jakimś zupełnie nowym języku.

Wtedy nadszedł Andrzej, wymuskany, sztywny i nienaganny.

Fauny, wróżki, cudowne chwile, zbląkane słowa — wszystko pierzchnęło w mgnieniu oka.

Żaden nowy język nie był już potrzebny.

„Jaka szkoda, że nasze pokolenie nie nosi bokobrodów — powiedziałam do siebie. —

Pasowałyby do niego”.

Wiedziała, że Andrzej przyszedł powiedzieć mi coś szczególnego. Inaczej nie podążyłby za mną do Wyniosłej Krainy, lecz grzecznie zaczekał w salonie ciotki Ruth. Wiedziała, co się święci, i postanowiłam mieć to za sobą. Wyczekująca postawa ciotki Ruth i Księżycowego Nowiu przytłaczała mnie ostatnimi czasy. Przypuszczam, że wszyscy byli święcie przekonani, iż nie chcę jechać do Nowego Jorku, ponieważ nie mogę znieść myśli o rozłące z Andrzejem! Nie zamierzałam jednak wysłuchiwać jego oświadczyn w Wyniosłej Krainie przy blasku księżyca. Mogłabym dać się oczarować i powiedzieć „tak”. Gdy więc odezwał się:

„Przyjemnie tu... zostanmy jeszcze przez chwilę... w końcu nie ma nic ładniejszego niż natura”, odparłam łagodnie, acz stanowczo, że choć natura z pewnością czuje się wielce pochlebiona, dla osoby o skłonnościach do suchot jest tu zbyt wilgotno i muszę wracać do domu.

Wróciliśmy. Usiadłam naprzeciw Andrzeja i wbiłam spojrzenie w strzęp włóczki leżący na dywanie. Zapamiętam kształt i kolor tej włóczki do końca życia. Andrzej przeskakiwał nerwowo z tematu na temat, po czym zaczął czynić drobne aluzje: za dwa lata obejmie kierownicze stanowisko... Uważa, że ludzie powinni pobierać się młodo... i tak dalej. Bardzo się plątał. Przypuszczam, że mogłam ułatwić mu zadanie, lecz moje serce stwardniało na wspomnienie jego zachowania podczas tych strasznych tygodni, kiedy wybuchł skandal ze starym Domem Jana. Wreszcie wyrzucił z siebie:

— Emilko, pobierzmy się, gdy... gdy już... jak tylko będę mógł.

Czuł chyba, że powinien powiedzieć coś więcej, ale nie wiedział co, więc powtórzył, „jak tylko będę mógł”, i umilkł. Ja zaś nie zarumieniłam się ani trochę.

— Dlaczego mielibyśmy się pobrać? — spytałam.

Andrzej osłupiał. Najwyraźniej taka odpowiedź na oświadczyn była sprzeczna z

murrayowską tradycją.

— Jak to... dlaczego? Ponieważ... chcę tego — wyjąkał.

— Ale ja nie chcę — powiedziałam.

Andrzej przez chwilę wpatrywał się we mnie, usiłując ogarnąć umysłem zdumiewający fakt, że mu odmówiono.

— Dlaczego? — zapytał wreszcie, a jego ton i sposób mówienia do złudzenia przypominały ciotkę Ruth.

— Bo cię nie kocham — odparłam.

Andrzej oblał się rumieńcem. Na pewno pomyślał, że jestem nieprzyzwoita.

— Myślę, że... że... oni wszyscy byliby zadowoleni — bąknął.

— Ale ja nie — powtórzyłam tonem, którego nawet Andrzej nie mógł nie zrozumieć.

Był tak zaskoczony, że nie sądzę, by odczuwał cokolwiek prócz zdumienia — chyba nie był nawet rozczarowany. Nie wiedział, co robić i co mówić — *Murray* nie potrafi nalegać — więc wstał i wyszedł bez słowa. Myślałam, że trzasnął drzwiami, ale okazało się, że to tylko wiatr. Żałuję, że *nie* trzasnął. To by mi przywróciło szacunek dla siebie. Jest coś upokarzającego w tym, że mężczyzna, którego oświadczyły odrzucono, czuje w owej chwili wyłącznie zdumienie.

Nazajutrz rano ciotka Ruth, podejrzewając najwyraźniej, że coś poszło źle, skoro wizyta Andrzeja trwała tak krótko, spytała mnie prosto z mostu, co się stało. Ciotka raczej nie grzeszy subtelnnością. Odpowiedziałam jej, również bez ogródek.

— Jaką to wadę dostrzegłaś w Andrzeju? — zapytała lodowato.

— Żadnej... ale on jest mdły. Ma wszelkie zalety, brak mu tylko szczypty soli — odparłam, wysoko unosząc głowę.

— Mam nadzieję, że nie trafisz gorzej — rzekła złowieszczo ciotka Ruth, mając zapewne

na myśli Piecykową Rurę. Mogłam ją uspokoić, gdybym zechciała. W zeszłym tygodniu Perry powiedział mi, że wyjeżdża do Charlottetown na studia prawnicze i że pan Abel zatrudni go w swej kancelarii. To wspaniała szansa. Pan Abel wysłuchał jego przemówienia podczas międzyszkolnej debaty i od owej chwili miał go na oku, jak sędzę. Serdecznie powinszowałam Perry'emu. Byłam naprawdę uradowana.

— Opłaci moją stancję — dodał Perry — i może przy okazji upiekę własną pieczeń.

Muszę sam o siebie zadbać. Ciotka Tomaszowa w niczym mi nie pomoże. *Wiesz* dlaczego.

— Przykro mi, Perry — zaśmiałam się.

— Naprawdę mnie *nie chcesz*, Emilko? — spytał Perry. — Chciałbym to wreszcie ustalić.

— Już to ustaliliśmy — odparłam.

— Chyba zachowałem się jak osioł, gdy idzie o ciebie — burknął Perry.

— Owszem — pocieszyłam go ze śmiechem. Nigdy jakoś nie mogłam potraktować

Perry'ego poważniej niż Andrzeja. Mam wrażenie, że on tylko wyobraża sobie, iż jest we mnie zakochany.

— Nie będzie ci łatwo znaleźć mądrzejszego ode mnie — ostrzegł Perry. — Mam zamiar zająć wysoko.

— Nie wątpię — powiedziałam ciepło — i nikomu nie sprawi to większej radości niż twojej przyjaciółce Emilii B.

— Och, *przyjaźń* — nadąsał się Perry. — To nie przyjaciółkę chciałbym w tobie widzieć.

Ale zawsze słyszałem, że nie ma sensu namawiać Murrayówny do czegokolwiek. Jedno tylko chcę wiedzieć. Nic mi do tego, ale... czy zamierzasz wyjść za Andrzeja Murraya?

— Nic ci do tego... ale *nie* zamierzam — odparłam.

— Cóż — rzucił Perry na odchodnym — gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać. Ucieszę się, o ile do tego czasu sam nie zmienię zdania.

Zapisałam wszystko dokładnie, tak jak było. Ale... w zeszycie od Jima opisałam tę scenę inaczej — tak jak *powinna* była wyglądać. Widzę, że zaczynam przewyżczać pewne trudności z dialogami miłosnymi. W scenie, którą sobie wyobraziłam, obydwójce z Perrym wyrażaliśmy się przepięknie.

Sądzę, że Perry zniósł to nieco gorzej niż Andrzej i było mu przykro. Bardzo lubię Perry'ego jako przyjaciela i towarzysza. Szkoda, że musiałam go rozczarować, ale wiem, że szybko się z tym pogodzi.

A zatem w przyszłym roku zostanę sama w Perlistej Wodzie. Nie wiem, jak będę się czuła. Pewnie chwilami będzie mnie ogarniało zniechęcenie i być może o trzeciej nad ranem zacznę żałować, że nie wyjechałam z panną Royal. Zamierzam jednak oddać się poważnej, wytężonej pracy. Alpejska Ścieżka jest długa i stroma. Ale wierzę w siebie, że za zasłoną mam własny świat.

Księżycowy Nów,

21 czerwca 19...

Dzisiaj wieczorem, gdy tylko zjawiłam się w domu, wyczułam atmosferę zdecydowanej dezaprobaty i rozumiałam, że ciotka Elżbieta wie już o Andrzeju. Była zagniewana, ciocia Laurze było przykro, ale nikt nic nie mówił. O zmierzchu w ogrodzie odbyłam rozmowę z kuzynem Jimem. Jak się wydaje, Andrzej rzeczywiście był przygnębiony, kiedy przyszedł do siebie po pierwszym wstrząsie. Stracił apetyt, a ciotka Ada wypytuje z oburzeniem, czy spodziewam się poślubić księcia albo milionera, skoro *jej* syn nie jest dla mnie dość dobry. Juzyn Jim uważa, że miałam całkowitą słuszność. Ale kuzyn Jim uważałby tak samo, gdybym zamordowała Andrzeja i zakopała go w Wyniosłej Krainie. Bardzo miło mieć *jednego* takiego przyjaciela, lecz większa ich liczba nie wyszłaby nikomu na zdrowie.

22 czerwca 19...

Nie wiem, co jest gorsze: żeby oświadczył ci się ktoś, kogo *nie* lubisz, czy żeby *nie* oświadczył ci się ktoś, kogo *lubisz*. Obydwie sytuacje są dość przykre.

Doszłam do wniosku, że pewne rzeczy w starym Domu Jana tylko sobie wyobraziłam.

Obawiam się, że ciotka Ruth miała słuszość twierdząc, iż powinnam powściągnąć wyobraźnię. Dziś wieczorem błąkałam się po ogrodzie. Było zimno i brzydko, choć to przecież czerwiec, a ja czułam się osamotniona, zniechęcona i pozbawiona energii — być może dlatego, że odesłano mi dwa opowiadania, w których pokładałam wiele nadziei.

Nieoczekiwanie usłyszałam gwizdanie Teda w starym sadzie. Poszłam naturalnie. Zawsze tak jest ze mną: „O, zagwizdź, a przyjdę do ciebie, mój chłopcze”... choć wolałabym umrzeć niż wyznać to komukolwiek, poza moim pamiętnikiem. Wyraz twarzy Teda świadczył o pomyślnych wieściach.

I rzeczywiście. Pokazał mi list zaadresowany do „pana Fryderyka Kenta”. Nigdy nie pamiętam, że Ted ma na imię Fryderyk — dla mnie zawsze jest wyłącznie Tedem. Uzyskał stypendium w Szkole Rysunku w Montrealu — pięćset dolarów na dwa lata. Byłam równie przejęta, jak on, choć kryło się w tym przedziwne uczucie lęku, nadziei i wyczekiwania, tak ze sobą splątanych, że nie wiedziałam, co przeważa.

— Jak to wspaniale, Ted! — powiedziałam nieco drżącym głosem.

— Tak się cieszę! Ale... co na to twoja matka?

— Pozwala mi jechać. Lecz będzie bardzo samotna i nieszczęśliwa

— odparł Ted, nagle poważniejąc. — Chciałem, żeby pojechała ze mną, ale ona za nic nie opuści Wrotyczowego Łanu. Tak mi przykro, że zostawiam ją tu samą. Żałuję, że... że ma do ciebie taki stosunek, Emilko. Mogłabyś być dla niej wielką pociechą.

Zastanowiłam się, czy Tedowi przyszło kiedykolwiek do głowy, że i ja potrzebuję pociechy. Zapadło między nami dziwne milczenie. Szliśmy Jutrzejszą Drogą — która stała się

tak piękna, że chyba żadne jutro nie uczyni jej piękniejszą — aż w końcu dotarliśmy do pastwiska nad stawem i stanęliśmy przy ogrodzeniu pod szarozielonymi, mrocznymi jodłami. Poczułam się nagle bardzo szczęśliwa i przez kilka minut połowa mnie zajęła się pielęgnowaniem ogrodu, ustawianiem pięknych szaf, kupowaniem srebrnych łyżeczek, porządkowaniem strychu i mereżkowaniem adamaszkowego obrusa — a druga połowa po prostu *czekała*. Powiedziałam, że wieczór jest piękny — a nie był — i że zbiera się na deszcz — wcale się nie zbierało. Ale *coś* trzeba było mówić.

— Będę ciężko pracował... Wykorzystam te dwa lata najlepiej, jak potrafię — odezwał się w końcu Ted, spoglądając na Perlistą Wodę, na niebo, na(wzgórza, na zielone, spokojne łąki... na wszystko prócz mnie. — A potem być może uda mi się pojechać do Paryża. Wyjechać za granicę... zobaczyć dzieła wielkich mistrzów... odetchnąć ich powietrzem... ujrzeć miejsca, które unieśmiertelnił ich geniusz... wszystko, czego łąknałem przez całe życie. A kiedy wrócę...

Ted urwał raptownie i zwrócił się ku mnie. W jego oczach wyczytałam, że chce mnie pocałować — naprawdę tak pomyślałam. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie zamknęła oczu.

— A kiedy wrócę... — powtórzył i znowu umilkł.

— Tak? — spytałam. Nie będę zaprzeczać, że w moim tonie pojawiła się wyczekująca nuta.

— Postaram się, by nazwisko Fryderyka Kenta znaczyło coś w Kanadzie! — dokończył Ted.

Otworzyłam oczy.

Ted z chmurną miną wpatrywał się w zamgloną, złotą Perlistą Wodę. Poczułam, że nocne powietrze jednak mi nie służy. Zadrzałam, wypowiedziałam parę uprzejmych banałów i

odeszłam, zostawiając go nachmurzonego. Zastanawiam się, czy był zbyt onieśmielony, żeby mnie pocałować, czy po prostu wcale tego nie chciał.

Mogłabym pokochać Teda Kenta, gdybym sobie na to pozwoliła... gdyby on zechciał. A on«najwyraźniej nie chce. Myśli tylko o powodzeniu, ambicjach, karierze. Zapomniał o naszej wymianie spojrzeń w starym Domu Jana... zapomniał, że przed trzema laty przy grobie Jerzego Hortona powiedział mi, że jestem najładniejszą dziewczyną na świecie. Spotka na swej drodze setki wspaniałych dziewcząt i nawet o mnie nie pomyśli.

Niech i tak będzie.

Jeśli Ted nie chce, ja także nie będę go chciała. Taka jest tradycja Murrayów. Ale jestem Murrayówną jedynie w połowie i muszę wziąć pod uwagę dziedzictwo Starrów. Na szczęście i ja mogę myśleć o swych ambicjach i karierze. Służę zazdrosnej bogini, jak to określił pan Carpenter. Ona mogłaby wymagać ode mnie całkowitego oddania.

W tej chwili uświadamiam sobie istnienie trzech różnych doznań. Na zewnątrz jestem opanowana i posłuszna tradycji. Głębiej tkwi coś, co bolałoby straszliwie, gdybym na to pozwoliła. A jeszcze głębiej kryje się dziwna ulga, że nie utraciłam wolności.

26 czerwca 19...

Całe Shrewsbury śmieje się z ostatniego wyczynu Ilzy, choć połowa Shrewsbury go potępia. Pewien bardzo nadęty trzecioklasista, który traktuje siebie z wielką powagą i którego Uza nie cierpi, pełni w niedzielę funkcję odźwiernego w kościele Św. Jana. Zeszłej niedzieli Ilza przebrała się za staruszkę, pożyczwszy ubranie od ubogiej krewnej pani Adamson, mieszkającej w tym samym pensjonacie: długą, sutą, czarną spódnicę obszytą krepą, wdowi czepek i gęsty, czarny wdowi welon. Tak wystrojona podreptała ulicą i tęsknie przystanąła przy stopniach kościoła, jak gdyby nie miała siły wspiąć się na nie. Nadęty Młodzian zauważył ją, a ponieważ zachował jeszcze nieco przyzwoitości, rycersko pospieszył staruszcze

z pomocą. Ujął jej drżącą dłoń, obleczoną w rękawiczkę — dłoń istotnie drżała, bo Ilza trzęsła się ze śmiechu pod welonem — i pomógł słabym, drżącym nogom wejść po schodach do nawy, a następnie do ławki. Ilza pobłogosławiła go łamiącym się głosem, wręczyła mu broszurkę religijną, wysłuchała mszy i podreptała do domu. Nazajutrz, oczywiście, mówiła o tym cała szkoła i owego nieszczęśnika koledzy tak wyśmiali, że stracił swoją pompatyczność — przynajmniej chwilowo — i był wyraźnie przygnębiony. Zdarzenie to może mieć jednak na niego bardzo dobry wpływ.

Zbeształam Ilzę, naturalnie. Jest radosnym, śmiałym stworzeniem, które nie zważa na nic. Zawsze będzie robiła to, co jej strzeli do głowy — nawet gdyby to było fikanie koziołków w kościelnej nawie. Kocham ją — kocham — kocham! I nie wiem, co tu będę bez niej robiła przez cały rok. Nasze jutra staną się odtąd oddzielnymi jutrami... oddalą się od siebie... i kiedy spotkamy się od czasu do czasu, będziemy dla siebie obce. Och, wiem... wiem.

Ilza była wściekła na Perry'ego za jego „zarozumiałe” — jak to określiła — mniemanie, że mogłabym kiedykolwiek zostać jego żoną.

— O, to nie jest z jego strony zarozumiałość — odparłam ze śmiechem. — Raczej łaskawość. Perry należy do wybrańców losu.

— Och, powiedzie mu się z pewnością. Ale zawsze będzie po nim widać Piecykową Rurę — rzuciła Ilza.

— Dlaczego jesteś taka surowa dla Perry'ego, Uzo? — spytałam z wyrzutem.

— Bo jest głupkowskim chwalipiętą — stwierdziła ponuro Ilza.

— No cóż, chłopcom w jego wieku wydaje się, że wiedzą wszystko — powiedziałam, czując się jak osoba stara i mądra. — Z czasem zda sobie sprawę z własnej niewiedzy i stanie się znośniejszy — ciągnęłam, tym razem czując się jak osoba dowcipna. — I bardzo rozwinął się przez ostatnie trzy lata — zakończyłam, czując się jak drobnomieszczanka.

— Mówisz o nim, jakby był główką kapusty! — uniosła się Ilza. — Na miłość boską,

Emilko, nie bądź taka wyniosła i protekcyjna.

Czasami Ilza dobrze na mnie wpływa. Wiem, że zasłużyłam na te słowa.

27 czerwca 19...

W nocy śniło mi się, że na podłodze starej altany w Księżycowym Nowiu dostrzegłam migoczący u moich stóp Zaginiony Diament. Podniosłam go z zachwytem. Przez chwilę spoczywał w mojej dłoni, a potem... jak gdyby wymknął mi się z palców, zabłysł w powietrzu, pozostawiając za sobą długą, cienką, świetlistą smugę, i zamienił się w gwiazdę nad zachodnim widnokrzem. „To moja gwiazda... muszę do niej dotrzeć, zanim zniknie” — pomyślałam i ruszyłam przed siebie. Wtem obok mnie pojawił się Dean — on także szukał gwiazdy. Wiedziałam, że muszę iść wolniej, gdyż Dean jest ułomny i nie może biec... A tymczasem gwiazda przesuwała się coraz niżej. Czułam jednak, że nie mogę zostawić Deana. Wtedy niespodziewanie — jak to w snach, kiedy wszystko dzieje się tak łatwo i miło — obok mnie znalazł się Ted. Wyciągnęłam ramiona, a jego oczy miały wyraz, jaki już dwukrotnie widziałam. Ujęłam jego dłoń, a on przyciągnął mnie do siebie... uniosłam twarz... i wtedy usłyszałam gorzki okrzyk Deana: „Moja gwiazda zniknęła!” Odwróciłam głowę na jedną chwilę... gwiazdy już nie było... i obudziłam się. Był szary, dżdżysty, brzydki poranek — bez gwiazdy, bez Teda... bez pocałunku.

Ciekawe, co oznacza ten sen — jeśli cokolwiek oznacza. Nie powinnam o tym myśleć. W murrayowskiej tradycji nie ma miejsca na przesady.

28 czerwca 19...

To moja ostatnia noc w Shrewsbury. „Żegnaj, dumny świecie, jadę do domu”. Jutro kuzyn Jim przybędzie po mnie i moją walizkę starym, pospiesznym dyliżansem i wrócę tym państwowym rydwanem do Księżycowego Nowiu.

Owe trzy lata w Shrewsbury wydawały mi się na początku tak długim okresem — a teraz, gdy spoglądam wstecz, widzę je jako jeden dzień. Myślę, że coś mi dały. Znacznie rzadziej używam kursywy, zyskałam równowagę i zdolność panowania nad sobą, zdobyłam odrobinę gorzkiej życiowej mądrości i nauczyłam się patrzeć z uśmiechem na odesłane rękopisy. To była chyba najtrudniejsza i bez wątpienia pożyteczna lekcja.

Kiedy wspominam minione trzy lata, niektóre wydarzenia wydają mi się bardziej wyraziste i znaczące niż inne, jak gdyby miały szczególną wymowę. Czasami trudno przewidzieć, jaki przyjmą obrót. Na przykład wrogość Eweliny i nawet okropne zdarzenie z wąsami zbladły i stały się nieistotne. Natomiast chwila, gdy ujrzałam swój wiersz w „Lasach i Ogrodach”... o, to *była* niezwykła chwila. I wędrówka do Księżycowego Nowiu po przedstawieniu... i napisanie tego dziwnego wiersza, który pan Carpenter podarł... noc w stogu siana w świetle wrześniowego księżyca... wspaniała staruszka, która sprawiła lanie królowi... odkrycie wiersza Keatsa o „napowietrznych głosach”... chwila w starym Domu Jana, kiedy Ted spojrzał mi w oczy... o, te właśnie rzeczy zapamiętam nawet w przedsionku Wieczności, gdy złościwości Eweliny Blake, skandal ze starym Domem Jana, utyskiwania ciotki Ruth, lekcje i egzaminy zostaną na zawsze zapomniane. Obietnica dana ciotce Elżbiecie *także* mi pomogła, zgodnie z przepowiednią pana Carpentera. Nie dotyczy to pamiętnika — dawałam tutaj *upust* uczuciom, gdyż każdy potrzebuje „wentyla” — lecz moich opowiadań i zeszytów od Jima.

Dzisiaj po południu mieliśmy uroczyste zakończenie szkoły.

Włożyłam nową suknię z kremowej organdy przybraną fiołkami, a w ręku miałam wielki bukiet różowych peonii. Dean, który przebywa obecnie w Montrealu, zamówił w naszej kwiaciarni bukiet róż — siedemnaście róż, tyle ile mam lat — i wręczono mi ten bukiet podczas odbierania dyplomu. To bardzo miłe ze strony Deana.

Perry wygłosił w imieniu klasy znakomite przemówienie. Otrzymał medal za postępy w

nauce. Niewiele brakowało, by dostał go Will Morris, lecz Perry zwyciężył.

Napisałam i odczytałam przepowiednię dla całej klasy. Była bardzo zabawna i podobała się słuchaczom. Mam jeszcze jedną, zapisaną w zeszycie. Jest znacznie zabawniejsza, lecz nie mogłabym jej wygłosić.

Dzisiaj napisałam ostatni „list towarzyski” dla pana Towersa. Nienawidzę tego, ale potrzebowałam paru groszy, które za to dostawałam; a ponadto nie należy pogardzać najniższymi szczeblami drabiny, po której wspina się młoda osoba.

Prócz tego pakowałam swoje rzeczy. Ciotka Ruth od czasu do czasu wchodziła na górę i spoglądała na mnie, lecz była przy tym dziwnie milcząca. W końcu westchnęła:

— Będzie mi ciebie bardzo brakowało, Emilko.

Nigdy nie przypuszczałam, że ciotka powie coś podobnego. Poczułam się nieswojo. Odkąd zachowała się tak przyzwoicie w związku ze skandalem wokół starego Domu Jana, moje uczucia wobec niej uległy zmianie. Nie mogłam powiedzieć, że będę za nią tęskniła. Coś jednak musiałam powiedzieć.

— Zawsze będę cioci wdzięczna za wszystko, co ciocia dla mnie zrobiła przez te trzy lata.

— Spełniłam tylko swój obowiązek — odparła dzielnie ciotka Ruth.

Czuję ze zdziwieniem, że przykro mi opuszczać ten pokoik, którego nigdy nie lubiłam i który nigdy nie lubił mnie... i to gwiaździste wzgórze... W końcu przeżyłam tu kilka cudownych chwil. Nawet nieszczęsny umierający Byron! Lecz nie odczuwam żadnego sentymentu do litografii królowej Aleksandry i wazonu ze sztucznymi kwiatami. Lady Giovanna, naturalnie, jedzie ze mną.

Ona *należy* do mojego pokoju w Księżycowym Nowiu. Tutaj zawsze wyglądała jak wygnanka. Z bólem myślę o tym, że nigdy już nie usłyszę nocnego wiatru w Wyniosłej Krainie. Ale za to będę słyszała nocny wiatr w zagajniku Dumnego Jana. Ciotka Elżbieta

zamierza, jak sądzę, dać mi lampę naftową, przy której będę mogła pisać — a drzwi w

Księżycowym Nowiu dają się zamknąć *szczelnie*. I nie będę już musiała pić bawarki. Dzisiaj

o zmierzchu poszłam nad ów lśniący, perlisty staw, który zawsze wydawał mi się tak

czarujący w wiosenne wieczory. Nikłe, różowo — szafranowe smugi przesączały się przez

korony drzew. Panował niezmacony spokój, a w wodzie odbijało się każde źdźbło trawy,

każdy listek, gałązka, paproć. Ujrzałam odbicie własnej twarzy, a wygięta gałąź utworzyła

wokół mojej głowy coś na kształt liściastej girlandy... jak gdyby laurowy wieniec.

Uznałam to za dobry znak.

Może Ted był tylko onieśmielony!